

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVI.

ROK XIV.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

I. NOWOŻYTNE PAŃSTWO. Przez *K.* 385
II. FRANCYA PO WYBORACH. Przez *X.* 391
III. NAD HORYNIEM. Powieść. Przez *Julię Terpiłowską.* . 411
IV. DZIEDZICZNOŚĆ POD WZGLĘDEM EMPIRYCZNYM. Przez *Adama Mahrburga* . . , ... 435
V. UBEZPIECZENIE INWALIDÓW PRACY I STARCÓW, wedle prawa niemieckiego z dnia 22 czerwca 1889 r. Przez *J. Kirszrota-Prawnickiego* 459
VI. ROCZNA EMIGRACYA POLSKA I ŚRODKI PRZECIW NIEJ ZARADCZE. Przez *St. Kłobukowskiego* . . 475
VII. DRUGI ZJAZD PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH I JEGO ZNACZENIE. Przez *Adolfa Suligowskiego* 489
VIII. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA i WRAŻENIA LITERACKIE 535
IX. KRONIKA 558
X. KORESPONDENCYA: Z powodu artyk. „Bawmy się“. 569
XI. NEKROLOGIA. 574
XII. Dopełnienia i Sprostowania. 576

Druk ukończono 6 Grudnia 1889 r.



NOWOŻYTNE PAŃSTWO.

Chcąc dać czytelnikowi wyobrażenie o państwie nowożytném jako pewnym typie życia społecznego, trzebaby historycznie przebiedz dawniejsze jego formy i porównać je z tą najnowszą, na jaką patrzymy. Okazałoby się wówczas, że państwo na równi z innemi instytucyami rozpoczęło życie swoje od związków bardzo prostych i doszło do bardzo złożonych, czyli że się rozwijało, albo jak inni mówią, różniczkowało. Najprostszym takim związkiem, była, jak powszechnie dziś przypuszczają, horda. Związek to jeszcze bardzo luźny, zawsze przecież bez naczelnika obejść się nie mógł. Zależność od niego pojedynczych rodzin—jeżeli w hordzie o rodzinie mówić się godzi—była wielka, ale głównie podczas wojny z innemi hordami; w czasie pokoju zależność ta malała. Kiedy wśród hordy powstała rodzina i władza ojcowska nabrała przewagi nad poprzednią władzą matki, zaczęły się wytwarzać rody oparte na związku krwi; odtąd zaczęło decydować pokrewieństwo ojcowskie zarówno o stanowisku syna, lub brata ojcowskiego w rodzinie, jak i o własności. Rody mają na czele ojców, a zebranie ich stanowi o rządzie i sądzie; jest-to federacya rodów, które do swoich szeregów nie dopuszczają obcych. Wojna gromadzi oddzielne rody pod osobnemi znakami; po jéj skończeniu każdy ród odzyskuje swoję niezależność. Gdyby już wtedy można było mówić o państwie, trzebaby je nazywać rodowém, na związku krwi opartém. Trzecią z kolei formą państwa były miasta z terytoryami do nich należącemi. Kilka czy kilkadziesiąt rodów z niewolnikami tworzą pewną całość; jest-to już miasto-państwo. Ma ono swoich urzędników, wojsko, króla, czy wodza, i odtąd dopiero można datować narodziny państwa w ściślejszém znaczeniu. Daleko mu do nowożytnego, ale forma

bytu zbiorowego została znaleziona, ramy przygotowane do objęcia już niekoniecznie rodowych krewniaków, lecz także i obcych. Przykłady takich miast, będących oraz państwami, przekazała nam starożytność. Ateny, Sparta, Teby a szczególniéj Rzym; były to miasta-państwa (*Stadtstaaten*). Cechuje tę formę bytu nie jedność krwi, jak dawniéj, ale jedność terytoryum. Jeszcze wprawdzie w tych państwach przewodzą rody, zwłaszcza z początku; ale powoli, w miarę rozradzania się ich, do obywatelstwa bywają dopuszczani zupełnie obcy. Tak się dzieje w Rzymie, szczególniéj w cesarskim. Rzym cesarski to praojciec dzisiejszych państw. Gdy go zdławili barbarzyńcy, nastąpił chaos, z którego wykluło się państwo średniowieczne, feudalne, na którego wierzchołku stoi suweren, a pod nim szereg wazalów coraz drobniejszych, zależnych jeden od drugiego. Rozpętani przez upadek Rzymu ludzie dostają się znów w oka wielkiéj sieci hierarchicznéj; każdy ma wytknięte naprzód stanowisko; czém był jego ojciec, tém i syn będzie. Niewola jednostki zmieniła nazwę; dawniéj ginęła ona w mieście będącém oraz państwem, teraz roztapia się w wielkiéj rzeczypospolitéj chrześciańskiéj. Wprawdzie swobody używa, ale tylko mała garstka ludzi. Koniec feudalizmowi kładą wielkie wstrząśnienia 16 i 17 a zwłaszcza 18 wieku. Nowożytne państwo można datować dopiero od tych czasów. Cechuje się ono wyrobieniem absolutnéj monarchii, stałemi wojskami i nadzwyczaj złożonym aparatem urzędniczym. Porównywając je z dawniejszemi formami państwowemi, najwięcéj podobieństwa ma z Rzymem cesarskim. Podobieństwo zaś to leży we wszechwładztwie, to jest w poddaniu wszystkich ognisk życia pod naczelny jego kierunek; jednostka nic tu prawie nie waży; ona ma znaczenie tylko o tyle, o ile państwo przez nią urzeczywistnia swoję wolę. Człowiek powinien żyć nie dla siebie, ale dla państwa; powinien utożsamiać swoje cele z celami państwa. Nie masz ofiary, jakiejby państwo nie miało prawa od niego zażądać: w potrzebie powinien się wyrzec majątku, zdania swojego, osobistości swojéj, nareszcie życia. Czego religia wymaga od swoich wyznawców, tego państwo nowożytne wymaga od swoich obywateli. Jest-to kult niemal religijny, a pomimo ofiar, jakich potrzebuje, pożądany jako forma bytu chroniąca od rozproszkowania społeczeństwa. Tak wygląda państwo nowożytne; stało się ono jakoby bóstwem, które przez poszanowanie tradycyi nazywają chrześciańskiém. Nie wchodząc w to, ile w niém z chrześciaństwa zostało, rozważmy jakie cele nowożytnemu państwu zakreślają teoretycy.

Państwo nowożytne, jako zorganizowany lub może raczéj zmechanizowany naród, jest samowładne (*souverain*) i nikomu nie do-

zwala, by mu cel i zadanie jego wskazywał: samo ono decyduje o tém, co ma czynić i od czego się wstrzymywać. Niemniéj jednak teoretycy począwszy od greckich filozofów, aż do dzisiejszych statystów, kuszą się o nakreślenie celu i granic działalności państwowéj. I pod tym względem wszakże, jak i we wszystkich kierunkach życia zbiorowego, teoretycy po większéj części tylko formułują w abstrakcyjne kategorye czyny już przez państwo dokonane. Teorya zawsze następuje po praktyce i doświadczeniu; wprzód muszą być dokonane pewne czyny, a dopiéro potém statyści je sankcyonują niejako i podnoszą do znaczenia zasad politycznych, prawnych, ekonomicznych i t. d. Ztąd to pochodzi, że prototypy rozmaitych teoryi państwowych znajdujemy w bliższém, lub dalszém otoczeniu teoretyka, w stosunkach konkretnych przez życie i doświadczenie społeczeństwa wytworzonych. Przeceniać tych teoryi nie należy, ale znać je trzeba.

Jakież tedy zadania i cele wyznaczają uczeni państwu nowożytnemu? Możnaby je, bez względu na odcienie, zredukować do dwóch poglądów. Jedni mówią, że zadaniem państwa jest obrona prawna własności i osób wewnątrz, a obrona wojenna granic na zewnątrz; reszta interesów należy do samorzutnéj inicyatywy obywateli; drudzy nie poprzestając na téj negatywnéj działalności państwa, wskazują mu jeszcze pozytywną, zasadzającą się na czynném dbaniu o pomyślność społeczeństwa. Ponieważ zaś pod kategoryą pomyślności można podciągnąć wszystkie objawy życia zbiorowego: stąd oczywiście wynika, że nie ma takiéj sfery działania, któréjby państwo nie mogło, owszem któréjby nie powinno regulować. Chcieliby oni zamienić państwo w ziemską Opatrzność. Ograniczony rozum poddanych nie może ani ogarnąć celów państwowych, ani témsamém krytykować ich pożytku i wykonalności; do niego należy słuchać. Jak niebieskiéj tak i ziemskiéj Opatrzności drogi są niezbadane.

Pierwszy pogląd na zadanie państwa nazywają prawnym, a państwo według jego recepty zbudowane prawném (*Rechtstaat*). Znajdował się on w zapachu świątobliwości pod koniec zeszłego i w pierwszéj połowie bieżącego wieku u teoreryków politycznych. Zdawało się, że w państwie prawném znaleziono idealną formę bytu zbiorowego. Cóż bowiem idealniejszego nad sprawiedliwość w stosunkach ludzkich? Na czele ich i na wierzchołku stoi nie swawola tłumu lub jednostki, lecz prawo. Pogląd taki na zadanie państwa nie wyłączał wprawdzie bardzo grubych realnych stosunków, decydowanych jak zwykle siłą, nie prawem; ale pochlebiał umysłowi i sercu, wskazywał, jakie są pragnienia duszy ludzkiéj.

Miał też za sobą co podnioślejsze charaktery zarówno w teoryi, jak i w praktyce państwowéj. Ma on i dzisiaj swoich wyznawców, bardzo już nielicznych i nieśmiałych, wobec rywalizującego i zwycięskiego poglądu.

Zasada głosząca, że państwo winno ograniczyć swoję działalność do obrony własności i osób na wewnątrz, a granic na zewnątrz, czyli, że winno być nocnym stróżem, ażeby obywatele spokojnie i bezpiecznie spali; zasada ta uważana abstrakcyjnie zdaje się być najsłuszniejsza. Tymczasem zastosowana w praktyce państwowéj doprowadziła szczególniéj na polu ekonomiczném do rezultatów wcale niepocieszających: okazała się korzystną dla mocnych, zdolnych do konkurencyi, a zgubną dla słabych, pozbawionych własności. Pod wpływem humanitarnych teoryi, głoszonych od początku bieżącego wieku na Zachodzie, zaczęto ze wszech stron domagać się interwencyi państwa na rzecz tak zwanych wydziedziczonych. A więc interwencyi do regulowania pracy i zarobków przedewszystkiem, a następnie już w dalszéj konsekwencyi i w innych dziedzinach życia społecznego, zatém we wszystkich sprawach ekonomicznych, edukacyjnych, religijnych i t. d. Nietylko obrońcy prawa z Bożéj łaski, widzący w państwie ziemską Opatrzność, ale i demokraci, obrońcy prawa z łaski ludu, gdy do władzy doszli, zgoła sami socyaliści tak uniwersyteccy jak i pospolici, nagle ujrzeli jedyne lekarstwo na wszelkie niedole we wszechwładzy państwowéj. Zaczęto dowodzić, że dawniejszy prawnopaństwowy pogląd na zadanie państwa jest tylko sankcyonowaniem przemocy kapitału nad pracą, że stanowi palladium wulgarnego liberalizmu i zapasłego mieszczaństwa. Tym sposobem, kiedy przedtém odradzano państwu mieszanie się do wszystkich dziedzin życia zbiorowego z wyjątkiem nocnego stróżowania; teraz wołano o jego pomoc nietylko w tych sprawach, w których siły jednostkowe nie wystarczają, lecz wszędzie. Państwo winno zabrać drogi żelazne, poczty, telegrafy, urządzić szkoły, kult religijny, samę nawet produkcyą ekonomiczną. Jakoż, na téj drodze do zostania Opatrznością obywateli państwo poczyniło już w Europie znaczące kroki i niewątpliwie pójdzie daléj, znajdując zachętę i usprawiedliwienie ze strony teoretyków, a pewien przymus w rozwijających się zdarzeniach, które nakazują trzymać olbrzymie siły zbrojne. Podołanie tym wszystkim zadaniom, jakie teorya państwu naznacza, wymaga kolosalnych środków, tak iż rozważniejsi z trwogą patrzą w przyszłość, gdy się wyczerpie podatkowa siła obywateli. Nim to jednak nastąpi, prąd zmierzający do uposażenia państwa we wszelkie pełnomocnictwa chciałby, jak się zdaje, samo nawet my-

ślenie odjąć od głów poddanych, a zwalić je na barki państwa. Jest-to lenistwo rąk i umysłu, prowadzące do fetyszyzmu, a pozorowane dbałością o los warstwy roboczéj, o sprawiedliwość doskonalszą niż może wytworzyć swobodna konkurencya sił ludzkich. Jak niegdyś radzono ludziom, by się na nikogo nie oglądali i kuli sobie losy własnemi rękoma; tak znów obecnie wszyscy oczekują uzdrowotnienia nietylko własnych podwórzy, lecz i wszystkich niedomagań społecznych od państwa.

Wobec tych krańcowo sobie przeciwnych teoryi o zadaniu państwa pozostawała droga średnia, którą obrali inni teoretycy, znający niebezpieczne następstwa obu powyższych poglądów i utrzymują, że państwo tam jedynie winno interweniować, gdzie osiągnięcie zamierzonego celu nie daje się uskutecznić prywatném usiłowaniem jednostek lub stowarzyszeń.

Porównane z dawniejszemi formami państwo nowożytne stało się machiną tak złożoną i tak kosztowną, że nie każde społeczeństwo pozwolić sobie może takiego zbytku. Niemożność zaś ta głównie dytyczy strony finansowéj. Utrzymanie w bezpieczeństwie granic na zewnątrz a sprawiedliwości wewnątrz, utrzymanie edukacyi, gospodarstwa publicznego czyli administracyi, wyznań religijnych, opieki nad ubogimi i t. p. pociąga za sobą tak wielkie wojsko urzędników i takie wydatki, iż społeczeństwa nieliczne liczbą i niezamożne, skazane są naturą rzeczy i rozwojem idei państwowéj do odgrywania roli satelitów, obok wielkich konglomeratów politycznych naszego czasu. Zdaje się, że jak na polu ekonomiczném cechą nowożytnéj produkcyi jest pochłanianie drobnych przedsiębiorstw i kapitałów przez wielkie; tak samo na polityczném znikanie drobnych, przedtém niezależnych państw i wsiąkanie ich w olbrzymie różnojęzyczne organizmy. Jeżeli te małe państwa jeszcze istnieją lub nawet powstają nowe (jak np. Rumunia, Serbia, Bulgarya), to tylko dzięki spółzawodnictwu potężnych sąsiadów. Czują one same efemeryczny byt swój, a pomimo tego czynią najwyższe wysiłki do utrzymania odzyskanéj formy państwowéj, gdyż w niéj jedynie widzą możność osiągnięcia pełniejszego rozwoju sił swoich ekonomicznych i umysłowych. Jest-to nowy dowód, zwiększający siłę dawniejszych, przez historyą dostarczonych, że społeczność ludzka dotychczas nie zdobyła się na wyższą formę życia zbiorowego nad formę państwa i gdzie ją osiągnęła, tam nie szczędzi żadnych ofiar, by się przy niéj utrzymać. Czy ta forma wieczną pozostanie, tego nikt prorokować nie może; na dziś jest ona dla ludzi najwyższą, chociaż się uginają pod jéj wymaganiami. Pomstowanie przeciw państwu, nazywanie go *malum necessarium*, za-

chwalanie samoistnych gmin komunistycznych, lub też wyklinanie wszelkich form państwowych propagowane przez anarchistów, nie zdołały przekonać myślących, ażeby bezrząd lepszym był od jakiegokolwiek rządu. Jak dotychczas, idea państwa, poczucie jego potrzeby tak są zakorzenione, że zapewne długo jeszcze ludzie bez niego obejść się nie zdołają.

Cóżkolwiek bądź, nie można twierdzić absolutnie, że społeczność ludzka ograniczy się w swojém dalszém rozwinięciu do mozolnie zdobytéj i wytrwale bronionéj formy państwowéj, że nie potrafi żyć inaczéj, niż dotychczas, albo że społeczeństwu nic nie pozostaje do zrobienia w sferze dostępnéj dla prac indywidualnych i zbiorowych. Jeżeli prawdą jest, że państwo stanowi niejako ramy dla bytu zbiorowego ludzi; to niemniéj zdaje się być prawdą, że wytworzenie tych ram i kształt ich są zależne od bytu ekonomicznego i form produkcyi danego okresu i danego społeczeństwa, że zatém będzie rzeczą pierwszorzędnéj wagi utrzymanie i poprawa ekonomicznych warunków tegoż społeczeństwa. Inne następstwa wzmożonego stanu ekonomicznego same przez się wypłyną, a więc wzmożona oświata i moralność, jako warunki niemniéj ważne od bytu materyalnego. Ale pod tym względem właśnie zdaje się społeczeństwu grozić ruina, skutkiem tak zwanych konjunktur wszechświatowych i miejscowych. Mówimy, z d a j e s i ę grozić, bo w rzeczy saméj zamało znamy tak rynek wszechświatowy jak i swój własny, ażeby mówić o ruinie w ścisłém znaczeniu. Przypuszczając nawet, że w spółczesném przesileniu ekonomiczném wiele gospodarstw większych i mniejszych zachwieje się i upadnie; to z drugiéj strony wiadomo historycznie, iż przesilenia takie nie trwają wieków, i że niewyczerpana twórczość zarówno ziemi jak i ludzi znajdzie sobie drogi dalszego rozwoju, powoła nowe jednostki gospodarcze, siły świeże, obudzi nowy zapał, nową otuchę w sercach. Więc zamiast biadać i ruiny prorokować, raczéj należałoby wytężać wszystkie siły, by sprostać nowym potrzebom i nowym zadaniom. Od państwa żądać, ażeby za nas myślało i pracowało, zapowiadać potop gdy nas nie stanie, rzecz jest łatwa; ale odrobić porządnie zadanie dnia jednego, nie stracić wiary w możność poprawy swojéj doli, po raz dziesiąty i setny wracać do dźwigania Syzyfowego kamienia—na to trzeba trochę innego bohaterstwa, niż średniowiecznych rycerzy i trubadurów. Do wytrwałych pracowników należy przyszłość; w naszym wieku, a jeszcze bardziéj w następnym praca stanie na piedestale wśród społeczeństw i ocali, jak zawsze ocalała, tych, co się jéj nie wstydzili.

K.





FRANCYA PO WYBORACH.

Kilka dni temu, w pamiętny wieczór 6 października, kiedy zmiatane łagodnemi zresztą szarżami kawaleryi z bulwarów: Kapucyńskiego i Włoskiego, pozbawione przyjemności oglądania transparentowych afiszów wywieszonych nad biórami „*Gaulois*“ i „*Presse*“, a na placu W. Opery, w namiętném oczekiwaniu pożądanych „*resultats du scrutin*“, tłoczące się tłumy, odczytywały roznoszone przez ochrypłych *camelots*’ów i co kwadrans prawie odnawiane buletyny wyborcze na wilgotnych tych arkuszach bibuły, zadrukowanych zmieniającemi się ciągle i coraz inaczéj ustosunkowanemi kolumnami nazwisk, cyfr i klasyfikacyi politycznych — jedna cyfra pozostawała niezmienną, jakby wystereotypowaną raz na zawsze:

Paris. Conservateurs...... 0.

I wyroczne to *zero* nie zmieniło się do końca. W VIII okręgu stołecznym, w jednéj dzielnicy miasta, shołdowanéj stale zachowawczo-monarchicznym upodobaniom, p. Hervé, kandydat hrabiego Paryża, ustąpił miejsca panu Mariusowi Martin, prostemu bulanżyście, niewiadoméj skądinąd barwy politycznéj, bo niewiadoméj przeszłości. Na przedmieściu St. Germain, pana Cochin, piastującego godnie odziedziczoną po ojcu tradycyę wierności zachowawczym zasadom i zasług położonych w ich obronie, pobił p. Terrail-Mermeix, były reporter socyalno-komunistycznych piśmidełek, dzisiejszy redaktor „*Cocarde*“’y, — drugi bulanżysta.

W rezultatach tych mieści się moralność historycznéj powiastki o generale Boulanger i jego monarchicznych sprzymierzeńcach w r. 1889. Owo zaś komentarz, dołączony do niéj wczoraj na szpaltach „*Gazette de France*“, najstarszego i najpoważniejszego z organów tego stronnictwa, które ręka w rękę z żółtobrodym ge-

nerałem, podjęło dokonanie wielkiego wyłomu, „*la grande trouée*“, w murach republikańskiéj fortecy:

„Ostatnia izba składała się z następujących żywiołów: 376 republikanów, 20 bulanżystów, 180 konserwatystów. A jeszcze nie należy zapominać, że przed rugami, za pomocą których lewica republikańska nie omieszkała osłabić swych przeciwników, było wybranych konserwatystów 205. Obecnie jest ich wybranych 162. Oto „wyłom“, którego doczekaliśmy się przy pomocy bulanżyzmu“.

A teraz ośmielamy się przypomnieć czytelnikom treść uwag, skreślonych przez nas przed miesiącem na tém samém miejscu, odnośnie mianowicie do właściwego charakteru koalicyi, która w tak niefortunny sposób zamknęła dziś swoje dzieje, i wracamy do powołanego artykułu „*Gazette de France*“.

„Trzeba, ażeby wiedziano o tém. T. Mermeix jest zwycięskim kandydatem dziennika „*Univers*“ (organu ultramontanów), dziennika „*Autorité*“ (organu pana de Cassagnac), i b a r d z o z n a c z n é j c z ę ś c i k l e r u ś w i e c k i e g o i z a k o n n e g o w VII o k r ę g u. Tak jest, widziano liczny poczet duchowieństwa, idącego do skrutynium pospołu z farmazonami; widziano księży bratających się przed urnami z gromadą autentycznych ateuszów... Precz z panem Cochin! Niech żyje Mermeix, adjutant wielkiego człowieka, któremu zawdzięczamy prawo o proboszczach *sac au dos* i projekt prawa o zniesieniu budżetu wyznań i ambasady przy Watykanie! Tak wołali ludzie noszący sutannę. Nie p. Cochin w tym przypadku zasługuje na litość!...“

Geneza więc wypadków, na które patrzyliśmy w ciągu dwóch ubiegłych tygodni, zdaje się nam wyniesioną po nad wszelką wątpliwość. Kampania, z którą miała do czynienia 3-a Rzlpta, i z któréj wyszła zwycięsko, była tém, czém ją uczyniliśmy w naszych, rezultat ten poprzedzających, spostrzeżeniach — kampanią „czarnych sutann“, sprzymierzających i prowadzących do szturmu przeciwko panującemu porządkowi wszystkie rozporządzalne siły. W koalicyi téj, w któréj *qui pro quo* było punktem wyjścia, podstawą operacyi i hasłem wojenném, i w któréj wszystkie obok siebie zaszeregowane grupy łudziły się wzajemnie nadzieją wyzyskania jedna drugiéj, wszystkie były równocześnie i w równym stopniu narzędziem jednego żywiołu, odgrywającego za kulisami kierowniczą rolę, a kierującego się osobiście sobie tylko wiadomemi pobudkami.

Rozwiązana jednak w ten sposób zagadka tego historycznego *imbroglio* zostawia w zawieszeniu szereg innych łączących się z nią pytań, które nasunąć się już musiały uwadze i zaciekawieniu czy-

telników. Jakie przyczyny mianowicie przechyliły ważącą się do ostatniéj chwili szalę zwycięstwa na tę stronę, któréj tryumf zdaje się obecnie stanowczym? Jaką jest właściwa doniosłość tego zwycięstwa? Jaką przyszłość obiecuje ono krajowi i utrwalonemu na teraz w tym kraju porządkowi politycznemu i społecznemu? A przynajmniéj do jakich w tym względzie wniosków upoważniać nas mogą dane, będące obecnie w naszém posiadaniu? Nad temi pytaniami zastanowić się chcemy obecnie.

I.

Jeżeli odwołamy się do świadectwa tego lub owego z wczorajszych uczestników smutnie zakończonéj kompanii koalicyjnéj, odpowiedź na pierwsze z wyszczególnionych wyżéj pytań, okazuje się kategoryczną i taką, jakiéj spodziéwać się każe zwykła, w podobnych przypadkach, koléj rzeczy: „Gdyby generał był inaczéj odegrał swoję rolę—woła p. Hervé w „*Soleil*"— jego i nasza sprawa byłaby wzięła inny obrót". „Generał przyswoił sobie program konserwatystów i skompromitował go"— woła p. St. Genest w „*Figaro*". P. de Cassagnac odzywa się ostatni z kolei, i ze zwykłą swoją, nieco brutalną otwartością wstawia nogi do półmiska, jak się tu mówi: „Generał zdradził nas, sprzymierzeńców swoich, ponieważ nie dokazał tego, czego spodziewaliśmy się po nim i dla czego sprzymierzyliśmy się z nim. Cofnął się przed awanturą, przed zamachem na legalność. Owóż właśnie podaliśmy mu rękę jako awanturnikowi (*sic*), który nie cofnie się przed niczém i gotowym się okaże, za przykładem Napoleona III, „do wyjścia z legalności dla wrócenia do prawa". W każdym razie nie powinien był przynajmniéj generał wyjeżdżać z Paryża, albo wyjechawszy, powinien był wrócić tak czy siak na dwa tygodnie przed wyborami, „a wtedy on sam byłby dziś w pałacu Elizejskim, a my nie bylibyśmy, jak jesteśmy w szponach (*sic*) Rzpltéj".

Co należy trzymać o tych wywodach *a posteriori* i o tych oskarżeniach, wymierzonych przeciwko ubóstwianemu wczoraj szefowi „stronnictwa narodowego", szefowi, którego wszystkie postępki, a w ich liczbie i ucieczka do Anglii, spotykały się ze strony dzisiejszych oskarżycieli z bezwarunkowém uznaniem? Sądzimy, iż sam fakt tych oskarżeń i ich charakterystyczna jednomyślność przemawiają za słusznością jednego co najmniéj z podniesionych przez nie zarzutów. Przegrawszy sprawę razem z drugimi, omyliwszy się razem z nimi i razem z nimi popełniwszy szereg błędów, które teraz dopiéro uznane zostały za błędy, generał jest sam jeden winien,

dla tego, że jest nieobecny. Doświadczenie dowiodło już dawniéj, że nieobecność, nawet otoczona urokiem prześladowania, jest najniewdzięczniejszą z politycznych sytuacyi. Generał, który przyłożył swego czasu rękę do wydalenia książęcych swoich współzawodników, a późniejszych sprzymierzeńców, powinien był wiedziéć, czego się trzymać w tym względzie. Powtarzano wówczas, iż hrabia Paryża daleko niebezpieczniéjszym będzie na wygnaniu, niż był nim na przedmieściu St. Germain, w — pożyczonym zresztą — pałacu księżnéj de Galiera. Pokazało się inaczéj. Była przed dekretem proskrypcyjnym chwila, w któréj pałac ów, innym dziś oddany przeznaczeniom, zakrawał na konterfekt spalonych Tujleriów. Nie mając jeszcze korony, miał już hrabia Paryża dwór królewski, a w sztabie dowodzącego pułkiem krewniaka swego, księcia de Chartres, mógł miéć i zawiązek armii. Ciśniono się na pokoje Ich Królewskich Wysokości; panowie kłaniali się do ziemi, a panie uczyły się zgrabnego wychodzenia tyłem do drzwi, bez szwanku dla pięciometrowych ogonów atłasowych. Wszystko to od razu wzięło koniec. Sprawiono odjeżdżającemu exulantowi piękne pożegnalne gody w Honfleur, i obejrzano się za innym ołtarzem. Niebawem księżna d'Uzès tak samo niemal dygała przed synem prowincyonalnego notaryusza, przywłaszczającym sobie osierocony tytuł zbawcy Francyi, i sama księżna de Galiera zapomniała, rozstając się z tym światem, o zostawieniu pańskiéj swéj rezydencyi dalekiemu pretendentowi, któremu Rzplta wypowiedziała komorne. Wszystko zaś to powtórzyło się z kolei po odjeździe generała i w stosunku do niego samego. „Śród mglistych wyziewów Tamizy, jak pisze dziś p. Arthur Meyer w „*Gaulois*“, czarny koń, idea odwetu, wielki pałasz, talizman obiecany wszystkim nieszczęśliwym i wszystkim zwyciężonym, gwiazda nakoniec wschodząca na widnokręgu, zaciemniły się, zatarły i stały się czémś podobném do cieniów chińskich“. Opuszczając Paryż, generał zsiadł stanowczo ze swego czarnego konia; owóż, według dawniéj już przez pana de Cassagnac uczynionéj uwagi, wczorajszy reprezentant idei odwetowéj nie wygrał nigdy bitwy pod Austerlitz. Siedzenie na czarnym koniu było jedynym fundamentem jego zdumiewającéj fortuny. Wprawdzie przed 18-ym *brumaire'a*, późniejszy pogromca republikańskiéj Francyi i monarchicznéj Europy wydalił się także z murów stolicy; ale błędem generała Boulanger i jego otoczenia było przypuszczenie, iż pobyt w Londynie, przejażdżki po Hyde-Park'u w towarzystwie pięknéj pani de Bonnemain, i spijanie toastów w klubach starczą przed historyą i przed sympatyami narodu za egipską epopeję generała Bonaparte'go i za bitwę pod Piramidami.

Chodzi jednak o to, czy pozostanie w Paryżu było możliwe dla byłego szefa stronnictwa narodowego? Owóż w tym względzie niepodejrzany sędzia, p. Ranc, jeden z wczorajszych zwycięzców, bierze w obronę biednego generała. „Wołacie — mówi — „gdyby generał był chciał! gdyby się był odważył!...“ Odpowiadam wam: generał chciał, nie odważył się i dobrze zrobił.“ Dobrze zrobił, według pana Ranc, dla tego, że zamach stanu, o który on i jego wspólnicy mogli się byli pokusić, nie miał żadnych widoków powodzenia. Oczywiście (i w tym względzie nie dzielimy sami sangwinistycznych zapatrywań pana de Cassagnac), nie mogło być już mowy o podobnym zamachu w przededniu wyborów, w chwili, kiedy rząd zainaugurował już był śmiałą, energiczną, wojenną politykę, któréj owoce zbiera obecnie 3-a Rzplta. Wróciwszy do stolicy, podług dziś objawionego życzenia swoich sprzymierzeńców, dosiadłszy napowrót swojego konia i wyjechawszy z nim na ulicę (bo oczywiście trzeba już było wyjechać z nim na ulicę, albo dostać się bez niego do więzienia w Mazas), generał nie byłby znalazł dziesięciu kuchcików za sobą. Był wcześniéj moment psychologiczny, jeden z tych, które nie powtarzają się nigdy. Tłum, który otaczał swego ulubieńca na wyjezdném do Clermont-Ferrand, byłby z pewnością ruszył za nim z banhofu kolei południowéj do pałacu Elizejskiego. Czarny koń oczekiwał jeźdźca, tysiące rąk trzymały strzemię. Ale generał siadł — na lokomotywę. Czy dobrze zrobił, jak chce pan Ranc? Sądzimy, iż tego rodzaju zagadnienia nie dopuszczają rozstrzygnięcia *post factum* i *ante executionem*. Chętnie jednak przyznamy, iż argumenta pana Ranc nie są pozbawione siły. Droga z banhofu lugduńskiego na *Fauburg St. Honoré* jest dość odległa, a „rząd, który nie opuszcza sam siebie, jak mówi p. Ranc, nie jest na łasce ulicznéj zawieruchy. Z dwudziestu tysięcy manifestantów, nie byłoby się zostało pięciuset na drugim kilometrze. Jedna szarża kawaleryi byłaby wystarczyła. Czytałem gdzieś, że w dniu 27 stycznia, śród pierwszego wrażenia wywołanego jego tryumfem, p. Boulanger mógł był dokonać rewolucyi. Tak sobie, w nocy? Żartujecie chyba; nie jest to we zwyczaju. Ależ za pierwszym ruchem, za pierwszym wystrzałem z rewolweru, cała banda byłaby poszła do ciupy. Słyszałem, iż środki ostrożności były przedsięwzięte i aresztowania przygotowane“. Dodamy tylko, że jeżeli w rzeczy saméj, ani na banhofie lugduńskim, ani gdzieindziéj podjęcie walki z Rzpltą na ostre nie było łatwe, tedy dziś łatwo utrzymywać, że było niemożliwe.

Ale zgodzimy się znowu chętnie na to, że było rzeczą nieroztropną rzucać rękawicę téjże Rzpltéj bez stanowczego zamysłu

dobycia szabli z pochwy, kazać się przedstawiać na landszaftowych wizerunkach z miotłą w ręku, a nie chcieć wziąć téj miotły do ręki, występować z pretensyą do zajęcia pierwszego miejsca w narodzie, ale żądać, aby naród sam uprzątnął to miejsce dla swojego wybrańca. Narody mają zapasy uwielbienia, entuzyazmu i niewolniczości dla swoich wybrańców dla tego tylko, aby ci wyręczali je w dokonaniu tego rodzaju robót, których same dokonać nie chcą, lub nie umieją. Tylko generał Boulanger nie wymyślił téj nieroztropnéj polityki i zastosował się jedynie, obierając ją, do stałego programu swych wczorajszych sprzymierzeńców. Od lat ośmnastu monarchiści i konserwatyści tutejsi wszelkiego gatunku nic innego nie robią. Od lat ośmnastu program ten nie dopisuje. Przypuszczano, że tym razem wywdzięczy się lepszemi rezultatami, za sprawą nowéj kombinacyi, w którą zamierzono go wcielić i od któréj spodziewano się cudów. Nader dowcipną w rzeczy saméj była to kombinacya; ale za dowcipną właśnie, jak się dziś pokazało. Połączenie pod jednym sztandarem, pod godłem sławnéj i upamiętnić się w dziejach mającéj „akcyi równoległéj“ (*action parallèle*), pana Naquet z biskupem Freppel, pana Rochefort z panem de Cassagnac, i hrabiego Paryża z księciem Wiktorem a panem Boulanger pozostanie na zawsze pomnikiem subtelności politycznéj. Na nieszczęście masy dowiodły raz jeszcze, że się nie znają nic a nic na subtelnościach. Na paryskich wyborców ta wyrafinowana mikstura podziałała jako tako; prowincyonalni zakrztusili się od razu i wyrzucili flaszkę za okno. Ostatecznym więc i udowodnionym, ale wspólnym błędem zwyciężonéj koalicyi antyrepublikańskiéj było przypuszczenie, iż kombinacye, za pomocą których walczyć można zwycięsko na ciasnéj szachownicy parlamentarnych zapasów, dają się przenieść w szerokie szranki życia publicznego, i że rządy obalają się tym samym sposobem co i gabinety. Doświadczenie stwierdziło i obecnie, że taktyczne i strategiczne warunki zwycięstwa podlegają tu i tam odmiennym prawom. Ale jeżeli się nie mylimy, była to jeszcze rzecz do dowiedzenia, i p. Ferry, który doświadczył bolesnéj porażki w St. Dié, razem z panem Constans, który doświadczył wstydliwego balotowania w Tuluzie, skłaniają się zapewne do wniosku, iż eksperyment był wątpliwy i recepta bulanżystowsko-monarchicznego konsorcyum niebepieczną.

Nie sądzimy téż skądinąd, iżby ta i inne więcéj hypotetyczne omyłki, które ciążą na sumieniu wczorajszych zwyciężonych, wystarczały same przez się do wytłómaczenia ich klęski. Mniemamy owszem, iż oprócz wszelkich ujawnionych, lub przypuszczalnych taktycznych i strategicznych uchybień po jednéj stronie, przyczy-

niły się do zapewnienia zwycięstwa stronie drugiéj inne jeszcze okoliczności, niezależne poniekąd od woli i możności czyjejkolwiek. A najpierw, niezależnie od siły oporu, do którego rozwinięcia zdolną się okazała 3-a Rzplta, z którym rachować się wypadało jéj przeciwnikom, spotkali się oni nadto z dywersyą a nawet z dwoma dywersyami przychodzącemi jéj w pomoc, z których jedna okazała większą, niż się spodziewano, skuteczność, a druga jako czysto przypadkowa, nie mogła być wprowadzoną w rachubę. Mamy na myśli wystawę i—urodzaj tegoroczny. Ci, którzy śledzili od początku przygotowania wielkiego turnieju międzynarodowego, wiedzą jak dalece i jak długo wątpliwe były jego losy. Ci, którzy zastanowili się nad właściwemi żywiołami tego dziś dyskusyi nie podlegającego powodzenia, przyznać muszą, iż eskontowane ono z góry być nie mogło. Jakoż t o co zwyciężyło i zwycięża dotąd na placu Marsowym i na placu Inwalidów, nie jest t é m, poczém, w założeniu, spodziewano się zwycięstwa. Związana z rocznicą, któréj uroczysty obchód musiał spotykać się w Europie z wielorakiemi przeciwieństwami i niechęciami, międzynarodowa wystawa europejska w r. 1889 zdawała się skazaną na *fiasco*—i zrobiła *fiasco*. Przypuszczano dość powszechnie, iż Europa nie dopisze, nie odpowie na wezwanie, które w tych warunkach przybierało niemal charakter wyzwania—i Europa nie dopisała. Dość zajrzéć do któregokolwiek ze ściągających milionowe tłumy pałaców i pawilonów, aby się o tém przekonać. Brak wszelkiego planu i systematycznego układu w nagromadzonych tam bogactwach, który, rzucając się wszystkim w oczy, wywołał od pierwszéj chwili zarzuty, przygłuszone dziś rosnącym w potęgę chórałem uwielbień i oklasków, jest właśnie następstwem i świadectwem tego zawodu. Plan istniał na papierze, ale zabrakło możności wykonania go, bo zabrakło europejskich wystawców w odpowiedniéj jego zamierzaniom proporcyi. Wypadło tedy zapełnić jak i czém się dało przygotowane dla odpraszających się gości i pustką stojące kondygnacye. I trzeba przyznać, że zapełniono je dość szczęśliwie, choć z konieczności nieco chaotycznie. Z jednéj strony otworzono drzwi na oścież inicyatywie prywatnéj, któréj zrezygnowano się nie krępować żadnym schematyzmem; z drugiéj strony odwołano się do współudziału bratnich Rzeczypospolitych Ameryki południowéj, które, zwabione perspektywą kolosalnéj reklamy handlowéj w narodowym duchu, ruszyły, wyprzedzając jedna drugą, przez Atlantyk; a w końcu obmyślono szeroki program wystawy kolonialnéj, która sama jedna prawie zapełnila cały plac Inwalidów, i sama jedna oryginalnością swoją zdolną się okazała do zapewnienia powodzenia wchodzącemu na nowe drogi przedsięwzięciu. Wszystko to, razem wzięte,

stworzyło całość bezkształtną, cudaczną prawie, ale nieskończenie powabną. Nie dość na tém. W ostatniéj chwili, przypadkiem, trafiono na pomysł szczęśliwy, oryginalny i genialny, bo odpowiadający cudownie geniuszowi tego żywiołu społecznego, o którego pociągniecie, poruszenie i shołdowanie chodziło przedewszystkiém. Związano los przedsięwzięcia z losami loteryjnéj emisyi bonów wystawowych, i jednym ruchem pióra zapełniono te dziesiątki tysięcy pociągów, które dotąd z najodleglejszych okolic kraju ściągają w mury stolicy odnawiający się ciągle tłum prostaczych pielgrzymów w bluzach i sabotach. Urokowi papierowéj premiówki, z 25-ma natychmiast zrealizować się dającemi kuponami, nie oparł się żaden chłop francuski. Skoro zaś kupił papier, musiał przyjechać na wystawę dla zrealizowania kuponów, tembardziéj że zrealizować ich inaczéj nie mógł bez straty, bo, wbrew powszechnym przewidywaniom, kupony spadły w cenie. Przyjechał więc, wydał oprócz wyłożonego już kapitału, sporą część pracowicie uzbieranych oszczędności, ale zabawił się jak nigdy w życiu. Wrócił z pustą sakiewką, ale z głową nabitą wspomnieniami i wrażeniami, mającemi przez długie lata opromieniać szary widnokrąg jego twardéj doli; trochę utyskujący na zdzierstwo stołecznych przemysłowców, ale upojony, oszołomiony i rad bądź co bądź ze swojéj przygody. I właśnie w tym momencie, w takiém usposobieniu jego umysłu i serca, zatrąbiono mu nad uszami pobudkę do walnego szturmu przeciwko Rzpltéj, przeciwko téj Rzpltéj, która dopiero co zabawiła go tak dobrze choć za jego własne pieniądze i któréj prezydent— grzeczny człowiek, ani słowa, ukłonił mu się z dziesięć razy wśród zaułków wystawowego placu! Można było przewidzieć, że się nie ruszy z miejsca. Jakoż nie ruszył się. Został przy spokojném przeżuwaniu wczorajszych uciech i rozkoszy.

Tém bardziéj że jednocześnie rok wystawowy zapowiedział się jako rok wyjątkowo pomyślny pod względem gospodarczym. Wypróżniona w Paryżu sakiewka zaczęła się napowrót napełniać. Więc składając do niéj pięciofrankowe sztuki, Jacques Bonhomme jął, zwykłym trybem właściwego swéj logice rozumowania, skłaniać się do wniosku, że dama o greckim profilu, reprezentująca na garnącéj się do jego rąk monecie obecny porządek, równie dobrze na niéj wygląda jak wąsate popiersie Napoleona III lub faworytami okolony konterfekt Ludwika Filipa. I chciano od niego, aby sprzeniewierzył się téj damie. Nigdy w życiu! Jacques Bonhomme jest lojalną osobistością. Porywać się na rząd, który go bawi i napełnia jego kieszeń, to nie jego rzecz. Co innego, gdyby pszenica nie urodziła i gdyby Jacques Bonhomme się nudził, co mu się zdarza cza-

sem, zwłaszcza, kiedy niema czego zbierać w polu, co jest zawsze w jego oczach winą rządu, tak jak przeciwnie pomyślny rezultat jest tegoż rządu zasługą. Mogą tedy nieprzyjaciele Rzpltéj czekać gorszego żniwa, a tymczasem niech żyje Rzplta!

Najmądrzejsza taktyka i najbieglejsza strategia nie były, jak sądzimy, w stanie sprostać, po stronie generała Boulanger i jego sprzymierzeńców, trudnościom wynikającym z takiego zbiegu nieprzyjaznych konjunktur, przez co nie chemy zaprzeczać błędów popełnionych. Że wspomnimy o jednym jeszcze, pominiętym dotąd przez nas a niedostatecznie uwzględnionym i przez tych, którzy go się dopuścili i przez tych, którzy zeń korzystali. Błędem była zwycięzka kandydatura paryska generała Boulanger w dniu 27 stycznia r. b. bo była zamachem stanu bez natychmiastowéj egzekucyi, była wyzwaniem rzuconém panującemu porządkowi z pozostawianiem mu czasu do opamiętania się, dokonania przeglądu swoich sił i urzeczywistnienia ich mobilizacyi. Jakoż mobilizowała natychmiast Rzplta. Odpowiedzią jéj na wyzwanie było prawo przywracające skrutynium okręgowe, prawo przeciwko kandydaturom wielorakim i upadek gabinetu Floquet. Wszystko to razem obaliło z jednéj strony jedyną platformę, na któréj rozwinąć się mogła akcya wyborcza koalicyi antyrepublikańskiéj, z drugiéj zaś strony postawiło obrońców panującego porządku na niebywałéj dotąd stopie wojennego uzbrojenia. Bulanżyści nie mieli na razie czém zastąpić w 565 okręgach pojedyńczéj, osobistéj kandydatury popularnego generała, którą dawniéj wojowali po departamentach; nie byli wstanie zaimprowizować przyzwoitego personalu poselskiego (*personnel députable*); p. Constans zaś powołany, w zastępstwie pana Floquet, do zainugurowania prawdziwego *gouvernement de combat*, nie pomyślał o naśladowaniu oględności swego przeciwnika, nie cofnął się przed niczém, gotowym się okazał do wszystkiego, śmiało, czelnie, otwarcie wysunął naprzód kandydaturę oficyalną, sterroryzował nią jednych, zdemoralizował drugich, sfanatyzował innych jeszcze—i zwyciężył.

Taką zdaje się nam w głównych rysach historya tego dramatycznego epizodu. Przypatrzmy się teraz sytuacyi, która się zeń wywiązała.

II.

Jedném z nie najmniéj ciekawych zjawisk, w liczbie tych, z któremi spotkać się nam przyszło w ciągu rozegranego dopiero co dramatu, był nazajutrz po ostateczném jego rozwiązaniu, brak, przy-

najmniéj pozorny, niezadowolenia wywołanego w którymbądź obozie przez to rozwiązanie. Dziś postać rzeczy zmieniła się już cokolwiek, rozpatrzono się po pobojowisku, policzono straty, zmierzono okiem utracone po jednéj, zyskane po drugiéj stronie pozycye strategiczne i, jeżeli nie wyłoniło się jeszcze w zupełności, to wyłaniać się zaczyna między zwyciężonymi przekonanie, że poniesiona klęska jest tak wielka, jak wielkim miał być względny tryumf, że stało się coś fatalnego, bolesnego i niepowetowanego. Ale na razie nie było widać nic podobnego. Okrzykom tryumfu podnoszącym się z obozu republikańskiego odpowiadały w przeciwnym obozie niemal równie głośne i radosne wiwaty. P. Rochefort oznajmiał swym czytelnikom, że generał Boulanger z m i a ż d ż y ł Rzpltę w 18-ym okręgu paryskim. P. de Cassagnac oświadczał, w tonie zwykłego swego patosu, że porażka pana Ferry i balotowanie pana Constans starczą za wszystkie inne przegrane dobréj sprawy. P. Arthur Meyer mienił się całkowicie zadowolnionym. A generał Boulanger milczał. Było w téj postawie trochę obłudy właściwéj graczom, którzy *font bonne mine au mauvais jeu*, ale było sporo także szczeréj naiwności. Zjawisko zaś to tłómaczy się łatwo. Zaczynając najpierw od monarchistów, jeżeli znajdowała się między niemi pewna liczba takich, którym podjęta kampania stawiała przed oczami ponętną perspektywę przypaść im mającéj w udziale wielkiéj roli na przodowniczych w narodzie stanowiskach, tedy między tymi kandydatami *in spe* do rozdzielanych z góry urzędów i dostojeństw nie było żadnego, dla którego ich osiągnięcia stanowiło by kwestyę życia, lub śmierci. Nie było wielkich, łatwo się nasycić nie dających ambicyi. W gruncie rzeczy, dla politykowców téj miary, co p. de Cassagnac, miejsce w izbie i łatwość popisywania się na niém gromkiemi wybuchami nieco trywialnéj, ale efektownéj wymowy, znajdującemi pochlebne echo w salonach przedmieścia St. Germain i w wiejskich rezydencyach arystokratycznych, ujść może za naturalny kres politycznéj fortuny, po za którym czekać by ich tylko mogły niebezpieczne i ani z ich talentem, ani z ich temperamentem nie godzące się próby działalności praktyczniejszéj. Książe de La Rochefoucault, w roli honorowego przywódcy monarchicznéj opozycyi, wygląda dość przyzwoicie, jeżeli nie nadto okazale; przeniesiony na stanowisko, wymagające poważniejszéj i czynniejszéj inicyatywy, wyglądał by prawdopodobnie daleko gorzéj. I zapewne zdaje sobie sam sprawę z tego. Jeden i drugi tedy, p. de Cassagnac i książe de La Rochefoucault, zrozumieli, że nic nie zmieniło się w ich położeniu i skłonnymi się okazali do wniosku, że skoro tak jest, wszystko jest jak może być najlepiéj w najgorszéj ze wszyst-

kich rzeczypospolitych. Razem z nimi ujrzała się w powrocie do swoich krzeseł, do swoich parlamentarnych szermierek, do swoich korytarzowych intryg i zakulisowych sprzysiężeń miniaturowych cała towarzysząca im falanga monarchicznych opozycyonistów, dla któréj wybory z r. 1885 były tak wielkim już i nadzieje przechodzącym tryumfem; więc i ci w pierwszéj chwili ulegli naturalnemu pociągowi do winszowania sobie swojego losu. Nakoniec dla samego głównego przedstawiciela zwyciężonéj idei monarchicznéj, narzucająca mu się obecnie, rezygnacya nie mogła być bardzo trudna, bo jego własna ambicya nie była nigdy bardzo potężna. Ten nie potrzebował nawet zsiadać z konia, bo nigdy nie włożył ani nie pomyślał o włożeniu nogi do strzemienia. Nie pomyślał téż z pewnością o obstalowaniu, za przykładem hr-go Chambord, pozłocistéj karety, zawieźć go mającéj w mury odzyskanéj stolicy. Jeżeli podoba się Paryżanom zobaczyć go kiedyś w takiéj karecie, to będą musieli ją sami sprawić za swoje własne pieniądze, otworzyć drzwiczki i pomódz dostojnemu wygnańcowi na stopnie. Inaczéj dostojny wygnaniec pozostanie do końca życia swojego wygnańcem i kandydatem do korony, o tyle o ile pozostać nim będzie potrzebował dla zachowania prawa do honorów i wiernopoddańczych hołdów, które nawiedzają go w Sheen-House i które żonie jego zwłaszcza sprawiają wielką przyjemność, a także dla zachowania w całości praw swojego najstarszego syna i spadkobiercy, który zdaje się przywiązywać wielką do nich wagę i zdradzać wcześnie skłonność do wyzyskania ich w swoim czasie z większą energią i stanowczością od téj, na którą zdobyć się jest wstanie ciężka, flegmatyczna i sceptycyzmem przesiąknięta natura jego ojca. Bo ten nieosobliwy pretendent, który mógłby być niezłym monarchą, zwłaszcza w innym kraju, jest doskonałym ojcem i mężem. Byłby on idealnym b r a t e m k r ó l e w s k i m, takim za jakiego posiadanie dużo byłby dał Ludwik XIII.

Innym, o ile wnosić można, jest temperament drugiego, razem z tamtym dziś *ad calendas graecas* odesłanego pretendenta. Ale ten, w skromnéj swojéj Brukselskiéj rezydencyi, potrzebuje już sporego natężenia młodzieńczéj energii, aby brać na seryo bodaj tę rolę kandydata wieczystego do spadku po Napoleonidach, która mu trafem przypadła w udziale i przy któréj wolno mu i nadal pozostać.

A Bulanżyści. W tym obozie nie zdano sobie także sprawy od razu z tego co zaszło. Przypuszczano, iż prowadzona od lat dwóch kampania ciągnąć się będzie mogła daléj w tych samych warunkach i od biédy zadowolniono się prawie tą perspektywą. Bo i tu,

od samego generała zaczynając, nie trafił się, w całéj zgrai awanturników, żaden awanturnik na wielką skalę. Przechowała się z pierwszych lat zawodu Napoleona I-go anegdotka, podług któréj przyszły Cezar, będąc naczelnym dopiero dowódcą armii włoskiéj, spotkał w Medyolanie piękną jak bogini patrycyuszkę, która rzuciła mu pod nogi swoję batystową chustkę. Młody wojownik podniósł z ziemi ponętny zadatek chwil rozkosznych—i wrócił go właścicielce z grzecznym ale zimnym komplementem. Późniéj dopiero, stanąwszy u szczytu swoich przeznaczeń i zetknąwszy się znowu z dawną znajomą, czulszym się okazał ukoronowany parweniusz na pogardzone dawniéj wdzięki. „A przecież byłam wtedy młodszą i piękniejszą jeszcze!“ zawołała z wyrzutem i zdziwieniem urocza niebianka. „Tak, ale ja byłem za młody i miałem przed sobą za daleką podróż, abym mógł zabawiać się po drodze.“ Generał Boulanger nie dał nigdy przystępu do siebie tego rodzaju skrupułom i natchnieniom przezornéj wstrzemięźliwości. Od pierwszéj chwili dewizą jego zdało się być epikurejskie *carpe diem*. Szedł naprzód, z oczami niby utkwionemi w jakiś cel odległy, ale tymczasem łapał wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. Łapał tuzinkowe pochlebstwa, łatwe uliczne tryumfy, łatwiejsze jeszcze salonowe powodzenia—i batystowe chusteczki. Aż w końcu tchu mu zabrakło. Historya zaś jego jest historyą jego otoczenia całego. Była to zawsze i jest teraz jeszcze banda głodnych i łakomych *jouisseurs*'ów, którzy nie są w stanie zaczekać aż nakryją do stołu, ale plondrują przed obiadem w kuchni. Ci wywnioskowali że, mimo zawodu zgotowanego daléj sięgającym pretensyom ich wodza, dostało się im samym niezgorsze miejsce przy rondlu, więc zawołali chórem: wygrana!

Obecnie, jak to już zaznaczyliśmy, objawiła się niejaka zmiana w tych pierwotnych wrażeniach, wywołanych wypadkami dnia 22 września i 6 października. Przypomniano sobie najpierw, że chodziło przecież o ocalenie Francyi, o wydarcie jéj ze „szpon“ Rpltéj, jak mówi p. de Cassagnac, i dla tego celu wyruszono w pole, narobiono tyle hałasu i poniesiono tyle ofiar, łącznie z ofiarą godności własnéj, a nawet czegoś więcéj podobno, nie zaś dla zachowania sobie i przyjaciołom swoim dwustu i kilka krzeseł w izbie niższéj. Następnie zrozumiano, że dalsze prowadzenie kampanii z tym samym co i dotąd planem, w tym samym szyku i na téj saméj linii operacyjnéj stało się niepodobieństwem, że spalono mosty za sobą i pozbyto się możności powrócenia od dawnych stanowisk. Obiecano krajowi rewizyę konstytucyjną, obiecano mu uprzątnięcie wszelakich nadużyć i niegodziwości, a w téj liczbie największego nadu-

życia i największéj niegodziwości, Rzpltéj saméj. Wszystko z terminem stałym, ściśle określonym datą dopiero co dokonanych wyborów. Termin nadszedł i jedynym rezultatem wyszafowanych tak hojnie obietnic i podjętych tak zapalczywie usiłowań okazało się wprowadzenie do życia publicznego, pod etykietą bulanżyzmu, czterdziestu warchołów najgorszego gatunku, i nowego anarchicznego pierwiastku. Zrozumiano to i zobaczono się w położeniu nie dającém powodu do objawionego w pierwszéj chwili samolubnego ukontentowania.

Jedno z pism warszawskich zamieściło niedawno datowaną jakoby z Paryża i do wywołania sensacyjnego wrażenia przeznaczoną korespondencyę, podług któréj przygotowywał by się w Sheen-House manifest mający zawrzéć abdykacyę hr-go Paryża z piastowanéj dotąd roli i rozwiązać ręce jego dotychczasowym stronnikom, wezwanym do poddania się z nim razem wyrokowi przeznaczeń i uroczyście objawionéj woli narodu. Zapewniając, iż wiadomość ta nie podlega żadnemu zakwestyonowaniu, jako pochodząca z najbliższego otoczenia eks-kandydata do korony, korespondent dodaje, iż prasa tutejsza, jakkolwiek poinformowana o tym gotującym się zamachu stanu *à rebours*, ignorować go postanowiła do czasu ze względów taktycznych. To ostatnie przypuszczenie przekraczać nam się zdaje granicę naiwności dozwolonéj zaimprowizowanym nawet korespondentom politycznym. Co się tyczy zaś wiadomości saméj, odpowiada ona po prostu jednéj z tysiącznych pogłosek, które krążą w téj chwili śród wzburzonéj atmosfery tutejszéj, znajdując mniéj lub więcéj głośne echo w dziennikach, zakłopotanych tą mnogością krzyżujących się i sprzecznych przejawów ogólnego rozstroju i ogólnéj niepewności jutra. Rozstrój ten i niepewność ta, które ogarniają osobliwie rozbite, stropione i błąkające się szeregi, byłéj armii koalicyjnéj, oto jedyny fakt nie ulegający na teraz wątpliwości. Niezawodnie toczą się w Sheen-House poważne narady, i prawdopodobnie naradom tym nie obcą jest myśl niejakich przymusowych i tymczasowych koncesyi względem tryumfującéj formy republikańskiéj. Świeże wystąpienie nowego posła i kandydata do ministeryum, pana Say, z programem obejmującym „oderwanie“ pewnéj liczby członków przyszłéj izby z prawego skrzydła dla przyłączenia ich do centrum, i pokuszenia się o utworzenie z ich pomocą nowego stronnictwa rządowego, wystąpienie to wiąże się bezsprzecznie z owemi kombinacyami pojednawczemi, ale zawiera także ich ostatnie możliwe słowo. Pewna grupa monarchistów o praktyczniejszym zakroju, tak zwanych *gens d'affaires*, z panem de Soubeyran, dyrektorem banku dyskontowego na czele, agi-

tuje silnie w tym kierunku, Ale najpierw chodzi o to, czy tryumfujący w téj chwili żywioł republikański skłonnym się okaże do podania ręki tego rodzaju kompromisowi. Jak dotąd zaś jeden tylko organ skrajnéj lewicy—„La Lanterne",—oświadczył się kategorycznie za anneksyą żywiołu monarchicznego, ale w następującym sensie: „*nous voulons bien avoir la droite avec nous pour nous asseoir dessus.*" Powtóre, między kierunkiem owym a abdykacyą absolutną i oddaniem się *en masse* w „szpony" Rzpltéj jest jeszcze przepaść.

Przepaści téj nie przekroczy prawica monarchiczna, choćby dla tego, że nie jest i nie będzie panią swoich postanowień w tym względzie. Była ona dotąd, staraliśmy się już to wykazać, więźniem i narzędziem pewnéj panującéj nad nią siły, która zwyciężona została obecnie z nią razem, ale z wszelką pewnością nie dała i nie da za wygraną, i na téj lub innéj drodze pokusi się o odwet; która wprzęgła wczoraj posłusznych swoich sprzymierzeńców do tryumfalnego, jak się zdawało, bulanżystowskiego rydwanu, wprzęgnie ich jutro do nowego jakiegoś woza, ale nie wyprzęgnie ich nigdy z narzuconego ich karkowi jarzma.

Jaką jest właściwa doniosłość téj siły? Odpowiedź na to pytanie zawartą nam się zdaje w tym fakcie, że jeżeli na stu dzisiejszych francuzów niemasz może jednego, który by chodził regularnie do kościoła, tedy na sto francuzek niemasz dziesięciu może, które by nie były dewotkami, a w jednéj i drugiéj płci niezmiernie ograniczoną pozostaje liczba tych osób, które, nawet nie chodząc do kościoła i spotykając się o ile możności najrzadziéj z księdzem, mogą obejść się bez kościoła i bez księdza. Zajrzyjmy do pierwszéj lepszéj świątyni wiejskiéj, dajmy na to w okolicy najmniéj podległéj klerykalnym wpływom: zobaczymy wewnątrz same kobiety, ale wszystkie prawie kobiety należące do parafii. Wróćmy zaś w te same poświęcone progi na Wielkanoc: zobaczymy w nich tym razem całą bez wyjątku żeńską i męską ludność miejscową. Dla czego? Dla tego, że tak chce obyczaj, i przerachowanie się z potęgą tego obyczaju popchnęło właśnie 3-ą Rzpltą do popełnienia błędów, które o mało co nie przyprawiły jéj o zgubę. Weźmy teraz pierwszego lepszego obywatela z klasy średniéj, i zapytajmy go o jego wyznanie wiary religijnéj. Dziewięćdziesiąt co najmniéj razy na sto odpowie on nam najspokojniéj, że do spowiedzi nie chodzi, w piątek nie pości, ale w „pewnych razach" nie cofa się i nie cofnie się przed „spełnieniem swojego obowiązku". Co znaczy, że jeżeli ma syna, nie zaniedbał albo nie zaniedba posłać go do 1-éj komunii; gdyby znalazł się sam w niebezpieczeństwie życia, nie zaniechał by przywołać „pomocy duchownéj", a sama myśl pogrzebu

cywilnego przejmuje go wstrętem. Wszystko to, razem wzięte, jest może bardzo nielogiczne, ale logika w pojęciach, uczuciach i postępkach należy do rzeczy najbardziéj wyjątkowych w przyrodzie. Geniusz sam jest mniejszą rzadkością. Z téj zaś sprzeczności wykluczających się z pozoru, a jednak sąsiadujących z sobą zjawisk wynika zapewne niezmierna trudność ujęcia ich w jakowąś konkretną formułę społecznego porządku, ale z niéj i z uniwersalnych negacyi nagromadzonych w łonie tego zrewolucyonizowanego społeczeństwa naprzeciwko jednéj, stałéj i niezachwianéj afirmacyi, wynika także to, że afirmacya ta jest i pozostaje jedynym rzeczywiście silnym pierwiastkiem moralnym, pierwiastkiem możliwego rządu nad umysłami i sercami.

Forma republikańska, narzucona temu krajowi w chwili strasznego odmętu przez gromadę politycznych awanturników, była i jest dotąd tylko faktem, utrzymującym się siłą, właściwą faktom wszystkim. Idea żadna, przewodnia, rządząca, nie wcieliła się w tę formę, i okazało się to świeżo, gdy zbałamucone rzesze tak łatwo jęły odwracać się od niéj, aby biedz za pierwszym lepszym błędnym ognikiem, w którym wyobraziły sobie, że widzą przewodnią latarnię morską. Stała się zresztą ostatecznie forma, o któréj mowa, kompromisowym jedynie wypadkiem negujących się wzajemnie form monarchicznych, więc jedną negacyą więcéj, *ni empire, ni royauté, donc république*. Podniesione w jéj łonie hasło emancypacyi umysłowéj, sekularyzacyi politycznéj i społecznéj, było może punktem wyjścia do nowego, dodatniego kierunku, porwać mogącego shołdowane masy. Ale obierając ten kierunek, należało, jak to zaznaczyliśmy już poprzednio, zacząć od śmiertelnéj rozprawy z naturalnym jego przeciwnikiem. Trzecia Rzplta rozpoczęła tę walkę, ale w pierwszém zaraz starciu, nie dotrzymała placu. Wyzwany, podrażniony, ale nie zwyciężony klerykalizm pozostał pod bronią i przygotował dopiero co zakończoną kampanię. Jakkolwiek nieszczęśliwym był jéj wypadek, można być przekonanym, iż nie będzię ona ostatnią i że te same mniéj więcéj siły, które wyprowadziła ona na linię bojową, odnajdą się w polu pod innèm prawdopodobnie hasłem, ale pod tą samą komendą i z frontem zwróconym w tę samę stronę. Kombinacye pana Say i pana de Soubeyran pospołu z gotową rezygnacyą hr-go Paryża nie pomogą nic przeciwko temu.

Tém bardziéj, że pora była by źle wybraną do złożenia broni, gdyż—trzeba nam przyjść teraz do zaznaczenia tego faktu,—zwycięstwo panującego porządku republikańskiego, jakkolwiek stanowcze, jest daleko więcéj pozorne, niż rzeczywiste. Jeden z wczo-

rajszych zwyciężonych margr. de Castellane (brat księżny Antoniowéj Radziwiłłowéj, młody jeszcze człowiek, który przed ośmnastu laty świetnie rozpoczął obiecujący zawód w Zgromadzeniu Wersalskiém, ale zabłąkał się od téj pory na manowcach hulaszczego życia), odezwał się z tém, iż właściwie w obozie zachowawczym zwyciężone zostały tylko osoby, zasady zaś zwyciężyły owszem, i absolutnie. Nie możemy podzielać w zupełności tego przekonania, ale musimy przyznać mu częściową słuszność. Faktycznie obóz republikański uległ, w pewnéj mierze, prądowi reakcyjnemu, z którym miał do czynienia i którego siła, zbyt groźną mu się zdała, aby walczyć z nią było można wstępnym bojem. Uległość ta wszakże zaznaczyła się jedynie zarzuceniem dyskretnéj zasłony na ołtarze dotychczasowego republikańskiego nabożeństwa, nie zaś całopaleniem złożoném w ofierze bogom cudzym. P. Floquet, w swojéj odezwie do paryskich wyborców, zaniechał orędownictwa za merostwem centralném; p. Goblet pominął milczeniem kwestyę rozdziału między kościołem i państwem; p. Clémenceau zapomniał o podatku dochodowym. Ale ani jeden, ani drugi, ani trzeci nie objawili ochoty do ograniczenia wolności prasy, albo do odstąpienia od świeckiego programu reformy szkolnéj, albo do ukrócenia uroszczeń parlamentaryzmu w sferze władzy wykonawczéj. Nie odważyli się skądinąd na wystąpienie z takim programem sami kandydaci konserwatywni. Walka wyborcza, w tym charakterze, z jakim objawiła się przed wyborcami, była walką jednéj formy, rzecby prawie można—jednéj etykiety rządowéj z drugą, i jednego urzędowego personelu z drugim. Zasady zostawiono obustronnie za drzwiami, z zamiarem po jednéj stronie, po stronie zachowawczéj, otworzenia im drzwi w razie zwycięstwa i po zwycięstwie, po drugiéj zaś stronie bez żadnego, o ile wnosić można, zamiaru. I w téj okoliczności, towarzyszącéj tryumfowi teraźniejszemu 3-éj Rzpltéj, tkwić nam się zdaje groźne dla niéj niebezpieczeństwo.

Postaramy się uzasadnić i wyjaśnić nasz sposób widzenia w tym względzie.

III.

Trzecia Rzplta żyła dotąd na kredyt pewnych przywłaszczanych przez się w teoryi, choć w praktykę nigdy nie wcielanych ideałów politycznych. Była ona przez lat ośmnaście ową balwiernią, w któréj golą bezpłatnie jutro. Dziś, wyzyskiwane w ten sposób złudzenie rozchwiało się ostatecznie. Obiecujący napis na szyldzie został zamazany i nie ma podobno sposobu

oszukiwania nim dalej łatwowierności publicznej. Czém więc żyć będzie jutro trzecia Rzplta? Przypuśćmy, iż pod przewodem jakiegoś pana Say skłoni się ona w rzeczy saméj do wstecznego ruchu w kierunku zasad zachowawczych. Dokąd ją zaprowadzi zwrot tego rodzaju? Wyobraźmy sobie właściciela restauracyi posiadającego kuchnię francuską z francuskim kucharzem i przypuśćmy, że nie umiejąc dogodzić swoim gościom nadsekwańskiemi przysmakami, postanawia naraz karmić ich polską sztuką mięsa i barszczem. Jaki będzie rezultat téj kulinarnéj reformy? Za pozwoleniem, powiedzą goście zakłopotanemu przemysłowcowi, twoje francuskie paszteciki były dyabła warte i barszcz może być lepszy, ale twój francuski kucharz gotować go nie umié. Jeżeli polskim barszczem żyć mamy, chcemy polskiego kucharza. Niewątpliwie czekałaby trzecią Rzpltą przygoda tego rodzaju, z narzucającą się w niéj koniecznością odpasania fartucha i oddania go w inne ręce.

Ale nie przypuszczamy prawdopodobieństwa takiéj ewolucyi. Mniemamy, iż trzecia Rzplta żyć będzie, jak żyła dotąd, tylko bez dotychczasowych iluzyi, obracając się w tém samém błędném kole wykluczających się wzajemnie ostateczności, i w téj saméj próżni. Przybędzie wprawdzie pewna liczba ludzi nowych, albo odnowionych, jak p. Say, ale ci nie przyniosą z sobą, o ile wnioskować można, nic nowego, prócz osób swoich. Będą to nowe sitka na starym kołku. Trzebaby kołek odmienić. Słychać o kandydaturze pana Say do prezesostwa izby, ale słychać jednocześnie o kandydaturach pp. Floquet i Brisson; samo współistnienie tych kandydatur stwierdza polityczną ich nicość moralną, brak wszelkiego konkretnego znaczenia, przywiązanego dziś do którejkolwiek z tych osobistości, które niegdyś starczyły za program, a reprezentowały trzy antagonistyczne programy. P. Say cofa się podobno, oglądając się za prezesostwem przyszłego gabinetu, mającego ożenić najumiarkowańszy żywioł republikański z najumiarkowańszym monarchicznym. Czém będzie ten ożenek? Tém, czém był maryaż oportunizmu z radykalizmem pod wodzą pana Floquet, jednym więcéj kompromisem między dwoma przejednać się nie dającymi pierwiastkami i jedną więcéj negacyą.

Trzecia Rzplta, nie zdobywszy się na przeprowadzenie swojego pierwotnego i jedynego, emancypacyjnego i sekularyzacyjnego programu, nie wytrwawszy na téj drodze i nie zdoławszy pchnąć na nią mas ludowych, skazała się na nieruchomość. Masy wszelako, otrząsając się powoli z otrętwienia, w które pogrążone zostały szeregiem strasznych klęsk moralnych i materyalnych, wracając do pełni sił, rozwijając na innych drogach działalność,

któréj energia i obfite zasoby wzbudziły świéżo podziw całego świata, masy owe znużyły się tém deptaniem, w sferze politycznych zagadnień, i przestępowaniem z nogi na nogę na jednérn miejscu. Więc rzuciły się w nastręczoną sobie awanturę, nie pytając nawet dokąd idą, rade, że gdzieś idą przecię. Trzecia Rzplta stawiła opór temu ruchowi i zwyciężyła na razie, z pomocą dwóch wyżéj wskazanych żywiołów dywersyjnych. Ztąd konieczność dla niéj obejrzenia się niebawem za nową dywersyą. Jaką będzie ta dywersya? Sądzimy, iż wypadnie jéj szukać, bo nie da się ona znaleść gdzieindziéj — w wielkiéj wojnie kontynentalnéj.

Ewentualność to, którą oddawna zresztą przewidział urzędowy świat republikański i do któréj nie zaniedbał się przygotować. Jaka jest wartość téj przygotowawczéj pracy? O niektórych jéj rezultatach nie łatwo dziś jeszcze wnioskować, nawet specyalistom. Ulegają one zresztą ciągłym zmianom i fluktuacyom. Mamy na myśli rezultaty materyalne, doskonałość organizacyi, uzbrojenia, wyćwiczenia rozporządzalnych kontyngensów i t. d. Są natomiast rezultaty inne, moralne, które, z naszego nawet niefachowego punktu widzenia, podlegają krytycznéj ocenie. Otóż sąd nasz o nich, o ile nań zdobyć się jesteśmy w stanie, jest bardzo rozmaity. W pewnéj mierze wypada on dosyć dodatnio. Nie umiemy wyrokować o stopniu wytrwałości, jaką zapewnić potrafiono sławnéj linii fortec pogranicznych—„*couverture*“, przeznaczonéj, w pierwotném założeniu, do skompensowania przypuszczalnéj niższości zaimprowizowanego po roku 1871 systematu mobilizacyjnego, a obdarzonéj dziś przez niektórych specyalistów ambitniejszém przeznaczeniem; ale możemy i musimy zaznaczyć fakt, iż pod osłoną téj linii, oraz innych sił odpornych nagromadzonych w odwodzie, z szybkością godną podziwu, z energią godną wszelkich pochwał i z olbrzymim nakładem, potrafiono zapewnić podjętym przygotowaniom wojennym ośmnaście lat mniéj lub więcéj szczęśliwie wyzyskanego czasu. Jeżeli nie wygrano żadnéj bitwy i nie odzyskano żadnéj prowincyi, wygrano pokój, któremu groziły poważnie niebezpieczeństwa i odzyskano imponującą w każdym razie potęgę militarną, któréj zwycięzcy z 1871 roku nie spodziewali się już podobno zobaczyć przed sobą.

Zrobiono więcéj. Umiano natchnąć naród duchem ofiarności bez granic. Historya zapisze, iż w ciągu ośmnastoletnich wewnętrznych rosterek, pośród zgromadzeń prawodawczych rozdwojonych, rozszarpywanych i w nicość pogrążanych najskrajniejszemi przeciwnościami i namiętnościami najgwałtowniejszemi, żaden kredyt wojenny nie stał się przedmiotem, chociażby najlżejszego spo-

ru. I, jakkolwiek wątpliwym być może jeszcze stosunek politycznych żywiołów w przyszłéj izbie i charakter wyłonić się między niemi mających antagonizmów, niema obawy, aby spór tego rodzaju powstać miał w jéj obrębie.

Nakoniec, w najtrudniejszych i najprzeciwniejszych takiemu zadaniu warunkach, potrafiono utrzymać, a raczéj stworzyć, bo stworzyć go było trzeba, pierwiastek będący w wojskowych organizacyach tém, czém jest wapno w ceglanym budynku. Stworzono prawdziwą dyscyplinę wojskową. Armia cesarska była dyscyplinowaną armią, ale była armią cesarską. Pokazało się to w procesie marszałka Bazaine'a, któremu naturalną zdało się rzeczą powołać na swoję obronę ten argument, że „przecież po sedańskim pogromie nie było już nic we Francyi". „Była Francya"— odpowiedział oskarżonemu książę d'Aumale, i odpowiedź ta stała się niejako hasłem podjętych na tém polu reorganizacyjnych usiłowań. Dzisiejsza armia francuska jest armią czysto francuską, i na chwałę 3-éj Rzpltéj powiedziéć godzi się, iż nie pomyślano nigdy o jéj republikanizowaniu. Rezolutnie owszem pokuszono się o odgrodzenie jéj nieprzenikliwym murem od życia politycznego. I mur ten wytrzymał świéżo najniebezpieczniejszą próbę, na jaką mógł być narażony. Bulanżyzm nie zrobił w nim dającego się okiem dostrzedz wyłomu. Tak zazdrosna gdzieindziéj o czystość republikańskiéj etykiety, tak skłonna do wyłączeń, ostracyzmów i proskrypcyi, 3-a Rzplta umiała wytrwać tutaj przy zasadzie ścisłéj neutralności. Wydalenie książęcych osobistości z szeregów nie było sprzeniewierzeniem się téj zasadzie, ale raczéj jéj koniecznem zastosowaniem, wykluczeniem właśnie politycznego pierwiastku, który siłą rzeczy wkradał się do strzeżonego przed nim obrębu. Bo książęta krwi są książętami wszędzie. Ale dziś jeszcze margrabia de Gallifet, bonapartysta najczystszéj wody, jest „wielkim mistrzem" kawaleryi, a generał de Miribel, orleanista najczystszéj krwi, jest komendantem 6-go pogranicznego korpusu i wyznaczonym, na przypadek wojny, głównym szefem sztabu. Obaj nie ujawnili nigdy niczém swoich naturalnych skłonności politycznych, jeżeli zachowali je nawet, co może być wątpliwe. Mieliśmy kilkakrotnie sposobność obcowania z oficerami lekkich pułków kawaleryi, między którymi trafiają się w przeważającéj zwykle proporcyi żywioły należące, po za armią, do sfer najniechętniéj usposobionych względem Rzplitéj. W najgorętszych chwilach, śród przejść najdrażliwszych, nie dostrzegliśmy u żadnego z nich śladu jakiejkolwiek solidarności z uczuciami i namiętnościami, poruszającemi owe sfery. I nie mieliśmy, o ile wnosić możemy, do czynienia, w tym względzie, z przejawem przymusowéj hipokryzyi. Spotykaliśmy się ją,

wnie z zupełną, absolutną i szczerą obojętnością dla wszystkiego, co nie dotyczy bezpośrednio czysto-wojskowych zaprzątnień. W tym potężniejącym z dnia na dzień, do poczucia własnéj siły wracającym, z dawnego upośledzenia wydobytym, otoczonym owszem aureolą powszechnych sympatyi i urokiem zabobonnego niemal zaufania, sąsiedniemi wreszcie wpływami mniéj lub więcéj bezwiednie potrąconym organizmie, wyrodziło się uczucie, pokrewne wypielęgnowanemu w sąsiedztwie instynktowi: fanatyzm własnego rzemiosła, własnéj autonomii, własnéj nad wszystkiemi innemi stosunkami i względami panującéj indywidualności.

Oto, co stworzyła 3-a Rzplta i z czém rachować się przychodzi dzisiaj Europie.

Ale, między przymiotami moralnemi, od których zawisła wartość jakiejkolwiek siły zbrojnéj, pozostaje do uwzględnienia jeden jeszcze. Jakim jest duch ożywiający tę armią, jaką skala zapału, entuzyazmu, poświęcenia, których wolno się po niéj spodziewać? Niestety, tutaj nasuwają się nader poważne wątpliwości. Trzecia Rzplta nie okazała się wogóle zdolną do wydobycia ze swego łona, w zakresie pierwiastków moralnych, czegośkolwiek dodatniego. Dyscyplina i fanatyzm, to także, i tylko, *sui generis* negacye. Wzięła je, przyswoiła sobie dzisiejsza armia francuska z głębi poczucia narodowego, przenikniętego bolesnemi doświadczeniami przeszłości. Czy miała skąd wziąć iskrę ognia świętego, zagrzewającego serca do wielkich wysileń i do wielkich czynów? Niestety, nie umiemy odpowiedziéć twierdząco. Była do niedawnego czasu, w łonie społeczeństwa tutejszego, jedna struna, boleśnie drgająca, ale potężnie naprężona, o któréj sądzić było można, że w danym razie stanie się gromowładną cięciwą Tell'owego łuku. Dziś i ona jeżeli nie pękła jeszcze, to jakoby odstroiła się. Wczoraj próbował zagrać na niéj p. Antoine, były poseł alzacki, były bohater sprawy narodowéj w zabranych prowincyach, i dobył tylko fałszywy akord. Przypuścił, przypuściło z nim razem wielu jego przyjaciół, że jego osoba wystarczy dla stawienia czoła w całéj Francyi propagandzie bulanżystowskiéj. Nie wystarczyła dla zaszachowania dogorywającego bulanżyzmu w lichym okręgu podstołecznym. Drugorzędny warchoł, p. Laur, pobił przedstawiciela téj idei, która jedna zdolną się zdawała do poruszenia milionów. Jaka inna myśl, jakie inne uczucie poruszy je w stanowczéj, bliskiéj może chwili?

Nie umiemy znaleść odpowiedzi na to pytanie i dla tego, mimo całéj świetności teraźniejszych jéj tryumfów, ciemną nam się zdaje przyszłość 3-éj Rzpltéj i związanego z jéj losami kraju.

X.



NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ. (*)

Tegoż dnia przed wieczorem Maryjka napisała do *mistress* Lennox, a pewna, że angielka z radością się zgodzi na propozycyę zapewniającą jéj upragnioną niezależność, naznaczyła dzień, w którym spotkać się miały na stacyi najbliższéj od miejsca pobytu *mistress*, skąd już razem miały jechać do egzekutora, a po naradzeniu się z nim, na Podole.

Wyprawiwszy list, Maryjka poszła do hrabiny, aby ją ostrożnie do niezwłocznego swego odjazdu przysposobić. Zastała Ninę chodzącą szybkim krokiem po swoim buduarze. Twarzyczka jéj, bledsza niż zwykle, miała wyraz bolesnego niepokoju, a ręce zacisnęły się na piersiach. Zdziwiły Maryjkę te symptomaty, bo po pogrzebie, gdy zmarły zniknął jéj z oczów, już się była znacznie uspokoiła.

Piękna pani wyciągnęła do wchodzącéj splecione paluszki i zawołała:

— Ach Maryjko, Maryjko! jak życie jest ciężkie!

— Można mu ulżyć ciężaru, nie uginając się pod nim zbytecznie, — odrzekła łagodnie Maryjka. Pokój zmarłym w grobie; nie przerywajmy im spoczynku zbytnim żalem.

Hrabina zmieszała się trochę.

— Ach tak....—szepnęła;—*ce pauvre Janus*... bardzo go żałuję, ale nie o nim w téj chwili myślałam... W mojém smutném życiu jeden smutek za drugim goni...

— Ma pani nowe zmartwienie?

— Mam...—rzekła z pewną nieśmiałością. Siądź przy mnie, *chérie*, opowiem ci wszystko... ty mię pocieszysz, i poradzisz może.

(*) Ob. zeszyt sierpn. str. 202, wrześn. str. 413, październ. str. 15 i listop. str. 224.

Posadziła ją przy sobie, oparła się na jéj ramieniu, i mówiła najprzód wahając się, potém coraz śmieléj:

— Serdecznie mi żal Janusza,—ale wiész, że moje z nim życie nie było splotem róż... Może on temu nie winien, że miał taki zimny temperament, ale ja w téj lodowatéj atmosferze czułam się jak egzotyczna roślina na mrozie. Prawda, że i moje usposobienie *lui rendait un peu la vie dure*, to téż nakoniec postanowiliśmy się rozłączyć. On piérwszy zaproponował rozwód, a ja się na to zgodziłam nietylko dlatego, że mi ciężył niedobrany związek, ale dlatego jeszcze że... O! Maryjko, ty spokojna, chłodna, beznamiętna, ty nie wiész co to miłość!... Ja teraz dopiero kocham całą potęgą mego serca,—kocham prawdziwie po raz pierwszy w życiu...

Zatrzymała się chwilę, wzruszona, a potém mówiła daléj:

— Bo téż jak nie kochać takiego człowieka? ta męska postać, to *je ne sais quoi* pełnego rozkwitu młodości, i te dziwne oczy!... A przytém prawość aż do przesady posunięta; wyobraź sobie, że on taił się przedemną ze swojém dla mnie uczuciem, aż póki nie dowiedział się, że będę wolną.

Ale ty nie wiész o kim ja mówię?

— Wiem; o panu Stalskim.

— Co za domyślna z ciebie istotka! Cóż, co to za oczy! prawda? a co za szlachetność! powiédz?

— Tak; oczy ma rozumne,—a co do szlachetności jestem pewna, że nie popełniłby nieuczciwości w interesie.

— W interesie... jakaś ty nieznośnie praktyczna!... Ale słuchaj daléj, bo mówiąc o jego przymiotach, zapomniałam o niepokoju, w jakim mię teraz zostawia. Ach, Maryjko! dla czego on nie przychodzi?...

— Przyczyna bardzo prosta: niema go przecież w domu.

— Już wrócił. Mówiła mi Ulanka, która jest *bien renseignée*, bo ma *une amourette* z podoficerem, że przyjechał wczoraj, i że podobno już w tym tygodniu żołnierze ze wsi wychodzą. Byłam najpewniejsza, że dziś przyjdzie, i od południa minuty liczyłam, i doczekałam się wieczora, a on nie przyszedł... Ach, Maryjko! co to może znaczyć?... mój Boże, mój Boże! może on już nie wróci...

— Niech pani będzie spokojna, wróci niezawodnie.

— Więc czemuż się spóźnia? czemu czekać mi każe?... Rozstaliśmy się, nic stanowczego na przyszłość nie ułożywszy, bośmy tylko chwilą obecnego szczęścia byli zajęci, a potém zaraz przyszła ta straszna katastrofa, i on wyjechał, i powróciwszy, znaku życia nie daje... *Chérie*, *chérie*! może on mnie porzucił?... Zacisnęła kurczowo ręce w koło szyi Maryjki, która objęła ją i przytuliła jak chore niemowlę.

— Nie porzucił,—perswadowała łagodnie,—tylko teraz właśnie nie chce przyjść nie wołany, żeby nie nadawać sobie pozoru natrętnego wierzyciela.

— Jakżeby go zawołać? Ja w pierwszéj otwartéj z nim rozmowie tak wyczerpałem cały zapas mojéj odwagi cywilnéj, że już się na nią nie zdobędę po raz drugi...

Pomyślała chwilę, a potém rzekła z pieszczotliwą minką:

— Najdroższa, ty mnie poratuj! ty masz tyle rozsądku i taktu, że byleś zechciała, doskonale to wszystko potrafisz urządzić. Wezwij go tu pod jakim pozorem, i zbadaj dyskretnie, co on zamyśla. A nawet bez wyszukiwania pretekstów mogłabyś mówić z nim otwarcie, ponieważ nie o ciebie idzie. Powiédz mu, że wiesz odemnie o wszystkiém, i że chciałabyś oszczędzić mi niepokoju, jakim mię napełnia jego dwuznaczne zachowanie się. *Il faut tirer les choses au clair*, bo ta niepewność, *cela me fait mourir*!...

I rozpłakała się rzewnie.

— Dobrze, *chérie*? prawda, że ty to zrobisz dla mnie?—mówiła łkając.

Maryjka dałaby pół życia za to, aby już nigdy nie widziéć Adama i nie słyszéć nawet o nim; zawahała się przecież małą tylko chwilkę i rzekła krótko:

— Dobrze; zrobię to dla pani.

— *Mon ange tutélaire*!—zawołała Nina, ściskając ją gorączkowo; — składam moję przyszłość w twoje ręce: ułóż ją, jak wiész i umiesz najlepiéj.

— Co tu układać?—odrzekła trochę sucho.—Jak tylko skończy się żałoba, wziąć ślub, i po wszystkiém.

— Jak żałoba się skończy! *y pensez-vous*? ależ to więcéj jak rok czasu! czyż ja mogę tak długo piec się na wolnym ogniu? Wszakże żałoba to tylko forma zewnętrzna... ja zawsze zachowam życzliwe wspomnienie *à ce pauvre Janus*,—i o duszy jego miéć będę staranie, ale co mu przyjdzie z mojéj żałoby?

— Jemu naturalnie wszystko to jedno; pani sama może kiedyś pożałować, że się nadto naraziła swemu światu, nie zachowując jego kodeksu.

— Och, świat! *je m'en moque*!... Zresztą, świat będzie tak zgorszony moim mezaliansem, że jeden więcéj powód oburzenia utonie kroplą w morzu.

— Jabym pani przecież nie radziła rzucać tak rękawiczki towarzystwu, do którego pani niezawodnie kiedyś zatęskni.

— Więc cóż mam robić?.. czekać nie będę!... nie chcę!... nie mogę!...

— W takim razie najlepiejby było wyjechać za granicę, przerwać na czas jakiś stosunki z krajem, wziąć ślub nie zawiadamiając nikogo o dniu jego, i po roku dopiero wrócić do siebie.

— Masz słuszność! ty zawsze masz słuszność! *Ce sera tout-à-fait romantique*... ślub sekretny, i do tego naprzykład w Rzymie, a pierwsze miesiące pod włoskiém niebem! Pomów-że ty z nim o tém, *chérie*, a jeśli da Pan Bóg, że się wszystko dobrze ułoży, przyślij go zaraz do mnie.

— Dobrze—pomówię z nim jutro.

— Jutro? dopiero jutro? Ależ zmiłuj się, jabym nie zasnęła przez noc całą! o nie, nie! nie każ mi w téj niepewności aż do jutra czekać! Poślij po niego dziś—zaraz, w téj chwili! o Maryjko! ty nie wiész co to burza w sercu!...

Maryjka uśmiechnęła się dziwnie, wstała i rzekła spokojnie:

— Dobrze; poślę po niego zaraz.

Nina wstała także i zwróciła się do zwierciadła, aby poprawić rozrzucone włosy, a spojrzawszy w nie zachmurzyła się trochę. Nie było jéj do twarzy w żałobie. Surowa powaga skromnéj czarnéj sukni przytłaczała ciężko ten wdzięk subtelny, do którego uwydatnienia potrzeba było kwiatów, błyskotek i jedwabi. Przytém twarz zmęczona i zapłakana wydawała się przywiędłą, bo nie miała już téj młodzieńczéj świeżości, która nawet na pobladłych od cierpienia licach kwitnie urokiem białéj róży spłukanéj wiosenną ulewą.

Maryjka była także zmieniona, ale wyglądała inaczéj. Rumieńce jéj znikły, zamgliły się oczy, z ust uleciał uśmiéch swobodny, niemniéj przecież twarz jéj zachowała ten wdzięk młodzieńczy, którego elastyczna siła opiera się najgwałtowniejszym wstrząśnieniom. I ona była w grubéj żałobie, ale surowa prostota ubrania uwydatniała wspaniałość postawy, nadając jéj majestat posągowy.

Zostawiwszy Ninę przed zwierciadłem, Maryjka poszła do siebie, usiadła przy biurku i nie namyślając się napisała na bilecie:

„Proszę pana o natychmiastowe przybycie, dla pomówienia o interesie niecierpiącym zwłoki.“

Potém wyprawiła konie po Adama, i przeszła do błękitnego saloniku, aby tam czekać na jego przybycie.

Czekając, chodziła po pokoju i słuchała pilnie tik-taku zegara, aby zwrócić myśli na obojętny przedmiot. Ale myśli bunt podniosły. Zburzyły się owe wszystkie męty, leżące na dnie najczystszéj nawet wody, a gniéw i rozpacz szalały jak potwory szarpiące się na łańcuchu. Rozum wołał na nie surowo: „Uciszcie się! wszak ja tego człowieka nie kocham ani nienawidzę“... serce przecież od-

powiadało mu jękiem szalonego bólu. Ale i teraz bunt ślepego tłumu namiętności został uśmierzony potęgą ich prawowitéj monarchini—wolnéj woli, i w chwili gdy w przyległym pokoju dały się słyszéć znajome kroki, wzburzona twarz Maryjki wygładziła się w spokój marmurowy. Adam miał minę niezadowoloną. Nic go wprawdzie zbyt głęboko nie wzruszało, ale widzenie się z Maryjką było dla niego rzeczą nieprzyjemną, i nie uważał za potrzebne ukrywać tego wrażenia. Podał jéj przecież rękę jak zwykle; ona rozpalonemi palcami dotknęła chłodnéj dłoni, ale nie usiadła i nie wskazała mu krzesła, tylko zaczęła odrazu:

— Wezwałam pana z polecenia hrabiny. Po strasznéj katastrofie, która tak nagle spadła na nią, jest bardzo roznerwowana, i wszelkie silniejsze wzruszenie mogłoby jéj zaszkodzić. Mam więc wyręczyć ją w pomówieniu z panem, dla ułożenia poważnéj strony rozpoczętego między państwem interesu, aby potém już ona sama mogła z całą swobodą mówić o stronie uczuciowéj. Hrabina życzy sobie wyjechać niezwłocznie zagranicę, spotkać się z panem w Rzymie, wziąć ślub w ścisłém *incognito*, i po roku dopiero wrócić do kraju. Jeśli się pan na to zgadza, można zaraz widziéć się z hrabiną.

Wypowiedziała to wszystko, nie zatrzymując się, głosem równym, monotonnym, jakby załatwiała polecony sobie interes kupna lub sprzedaży.

Adam uczuł dotkliwe upokorzenie.

— Cóż znowu!—myślał z gniewem;—traktuje mię jak psa, którego można obić i wypędzić, lecz nie można miéć do niego urazy! Potrafię przecież zmusić ją, aby mi choć gniéw okazać raczyła!

Odpowiedział z chłodną ironią.

— Chociaż hrabina upoważniła panią do ułożenia tego, jak pani się wyraża interesu, ja jednak pośrednictwa nie przyjmuję, chcąc pani oszczędzić tak wielkodusznego poświęcenia.

Pocisk był celny i utkwił głęboko; ale Maryjka nie zmrużyła oka.

— O poświęceniu mowy tu być nie może—odparła dumnie.

Adam mając rozum i naukę, nie posiadał przecież delikatności, bo tę nie wykształcenie daje, lecz wychowanie. Gdy chciał silnie uderzyć, zadawał razy nie ostrym sztyletem, lecz tępą siekierą. Rzekł więc szorstko.

— Nie może nie być poświęcenia w ułatwianiu szczęścia rywalce.

Krew kozacza zawrzała w Maryjce, ale rzekła spokojnie:

— Hrabina nie jest moją rywalką, ponieważ nie kocham jednego z nią człowieka.

— A jednak ten człowiek słyszał tyle razy co innego, że jeszcze teraz nie przypuszcza, aby wtedy przed nim kłamano.

— Nie wywołuj pan przeszłości, bo ona za przepaścią, na któréj nie ma mostu. Z tamtéj strony został człowiek wymarzony,— z téj stoi prawdziwy, a różnica między nimi taka, jak między piersią na miarę Fidiasza i krawca.

Mówiła ciągle z jednostajnym spokojem, tylko jasne oczy tak pociemniały, jak błękitne jezioro w czasie nawałnicy. Jéj chłodna obojętność drażniła Adama do żywego, więc chcąc koniecznie zmusić ją do jakiegoś wybuchu, rzekł jeszcze.

— Pomimo to wszystko ta przeszłość z za przepaści nie da się wygnać precz z pamięci, i przez długi czas jeszcze myśl pani będzie wierną niewolnicą nienawistnego człowieka, bo nienawiść stalszą jest niż miłość.

— Nie—odparła;—tak nie będzie, bo ja dla pana nie mam nienawiści. Nienawiść jest uczuciem wielkiém, chociaż szatańską wielkością—więc godzi tylko w wyniosłe postaci; ci zaś, co nad tłum nie wyrastają, mogą wzbudzać obojętność jedynie.

— Czy to ma znaczyć: nie czuję nienawiści, bo nie raczę?

— Nietylko nie raczę, ale nawet nie mogę, jako chrześcianka.

— Więc przytłacza mię pani wspaniałomyślném przebaczeniem?—zapytał z szyderczym uśmiechem.

— Tak—odpowiedziała poważnie;—ale zechce pan pamiętać o tém, że w niektórych razach chrześciańskie przebaczenie jest tylko najszlachetniejszą formą pogardy... Żegnam pana.

Ukłoniła mu się i odeszła. We drzwiach obróciła się jeszcze.

— Niech pan chwilę zaczeka—rzekła znów urzędowym monotonnym głosem,—hrabina da znać, czy przyjmuje.

I znikła za błękitną portyerą.

Adam czuł wrażenie jakby rozdeptania. Gniótł go wyraz „pogarda“, a choć mówił sobie, że mu się sprawiedliwie nie należy, nie mniéj przecież twarz go paliła jakby od takiego śladu pięciu palców, który krwią tylko zmywa się z policzka.

Nie czując się usposobionym do gruchania z Niną, chciał teraz odejść, i jutro dopiero prosić ją o audyencyę, gdy z za portyery ukazała się fertyczna subretka.

— Pani hrabina prosi pana do siebie—rzekła.

Adam zatrzymał się u drzwi. Pomyślał, że byłoby dziecińRstwem dla chwili złego humoru odkładać o dzień cały doprowadzenie swoich planów do końca; przyszło mu także na myśl, że miło będzie po mrożącém tchnieniu jednéj kobiety, dać się owiać namiętnemu żarowi drugiéj—i poszedł za pokojową.

W godzinę późniéj trzy panie zeszły się w jadalni. Siadłszy u stołu, hrabina odezwała się do panny Heleny:

— Pan Stalski nie mógł zostać na herbacie, bo ma wiele zajęcia. Kończy się teraz jego *corvée* wojskowa, więc musi załatwiać rozmaite formalności; wczoraj wrócił od swego naczelnika, a jutro znów do niego jedzie, i niewiadomo czy tu jeszcze wróci. Mnie i Maryjkę pożegnał osobiście, a tobie kazał złożyć swoje uszanowanie.

— Rozjeżdżamy się więc wszyscy — rzekła panna Helena—ja do Szwajcaryi, Maryjka na Podole, pan Stalski zapewne do jakiéj Kolchidy po złote runo, a nasza wspaniała kasztelanka zostanie samotna jak zaklęta królewna.

— O nie!—zawołała Nina.—Nie cierpię samotności, zwłaszcza w obecnych smutnych okolicznościach. Wyjeżdżam także w tych dniach zagranicę.

Panna Helena spojrzała na nią uważnie. Strapiona wdowa starała się o utrzymanie smutnéj powagi swego stanu, ale radosne ożywienie fizyonomii sprzeciwiało się temu przymusowi. Lica jéj płonęły, kraśniały usta, w głębi czarnych oczu migotały jakieś fosforyczne blaski, i znów teraz była śliczna, pomimo żałoby, bo wyraz jéj twarzy rozjaśniał nawet czarną krepę. Panna Helena zsumowała w myśli pożegnanie Adama z nagłym wyjazdem Niny, sprawdziła działanie wyrazem twarzy pięknéj pani, i znalazła w iloczynie spotkanie się téj pary zagranicą. Teraz była już pewna, że szczęście Maryjki zburzone do gruntu i na zawsze, a rozradowana do głębi swojéj mściwéj duszy, patrzyła na nią długo, karmiąc się i pojąc widokiem jéj bladéj twarzy i podkrążonych oczów.

— Że téż choć raz jeden powiodło mi się w życiu — mówiła sobie—że téż choć raz poszło wszystko, jak chciałam...

Była przecież chwila po śmierci hrabiego, w któréj panna Helena zapytała siebie z pewnym przestrachem, czy nie stało się trochę więcéj niż chciała. Podejrzywała trochę autentyczność pomyłki w zażyciu morfiny, i przychodziło jéj na myśl, że ta pomyłka nie byłaby się może przytrafiła, gdyby nie owo nasionko, rzucone przez nią w umysł hrabiego na kilka godzin przed katastrofą. Niedługo przecież pozwoliła sobie zaprzątać się niepotrzebnym skrupułem i łatwe swoje sumienie uspokoiła zupełnie rozumowaniem zaczerpniętém z wyznawanéj przez siebie teoryi, że nietylko przypadkowe, lecz nawet umyślne usunięcie ze społeczeństwa nieużytecznego członka nie jest rzeczą naganną, ponieważ ogółowi ekonomicznego ubytku nie sprawia.

Ale umiejąc sobie wszystko wytłómaczyć, jednego przecież nie zdołała: zapis hrabiego Janusza na jéj korzyść był dla niéj nierozwiązaną zagadką, i pozostał nią na zawsze, bo pobudka tego czynu przechodziła jéj kompetencyę. Zmysł spostrzegawczy najbystrzejszéj choćby inteligencyi nie może tak doskonale wyjść z subiektywizmu, aby dojrzéć w drugich coś takiego, czego w sobie ani w małym odcieniu nie widzi. Janusz wiedział, że Helena wyrządziła mu umyślnie tyle złego ile to było w jéj możności, pomimo to czuł się jeszcze dłużnikiem za dawniejsze swoje z nią przejścia, więc zamykając z życiem rachunki, chciał jéj chociaż dopomódz do zapewnienia przyszłości. Helena nigdy téj pobudki nie odgadła, bo wyrafinowana szlachetność uczuć była dla niéj ósmym kolorem tęczy, którego najmniejszego odcienia w swojéj pryzmie nie widząc, w niczyjéj téż dostrzedz nie umiała.

Ponieważ hrabina bała się samotności, ułożoném zostało, że wszystkie trzy panie jednego dnia rozjadą się, każda w swoję stronę, a że każdéj z nich było śpieszno, zastosowano dzień wyjazdu do Maryjki, to jest na pojutrze.

Nazajutrz rano Maryjka zajęta dozorowaniem pakowania rzeczy hrabiny, znalazła przecież wolną chwilkę, aby pójść do Kułyny, u któréj więcéj niż przez tydzień nie była. Taki dziś ciężar nieznośny czuła na duszy, że potrzebowała koniecznie orzeźwić się i pokrzepić przy cieple serc prostych, lecz poczciwych i przywiązanych wiernie.

Wyszła do ogrodu, aby jak zwykle zwrócić z parku na ścieżkę ,wiodącą ku wsi przez ługi, ale doszedłszy do furtki, przystanęła, wahając się. Widok miejsc, pamiątkami na każdym kroku naznaczonych szarpnął ją za serce tym bólem niemal fizycznym, jakim wnikają do wnętrza obrazy zewnętrzne, uprzytomniające we wspomnieniu tak żywo wszystko czego były na razie niemymi a późniéj są wymownymi świadkami. Już miała nałożyć drogi, aby obejść zdaleka znajome miejsca ścieżką nie uczęszczaną, na któréj nie było pamiątek świeżéj przeszłości, gdy przyszło jéj na myśl, że byłaby to małoduszna ucieczka, hartowi ducha nie przynosząca zaszczytu. Otwarła więc furtkę odważnie i zeszła po pochyłości na ługi nadrzeczne.

Dzień był chmurny i wietrzny, a ługi mroczne i ponure. Jesienne przymrozki zwarzyły trawy i zioła, oniemiał wesoły naród ptasi, rozległe przestrzenie pokryte zeschłą trawą, mdłe i monotonne, utraciły nietylko barwy i blaski, ale nawet linie, które rozpłynęły się niewyraźnie w szarém półświetle październikowego ranka. Niebo nie zaokrąglało się już pięknie sklepioną kopułą

przejrzystą, lecz obwisło brudną popielatą płachtą, którą targał na wszystkie srony ten wiatr jesienny, ten nudny, uparty, pozbawiony zarówno grozy wichru jak świeżości wietrzyka, co wciska się wszędzie i wszystko przejmuje martwym chłodem i wilgocią bezpłodną. Potrząsana przezeń chmurna płachta siała gęsto te drobne kropelki, co nie są już mgłą ani jeszcze deszczem, a napojone niemi powietrze utraciło swą przejrzystość, i jakby szkłem matowém okrywając przedmioty, w bezkształtny potwór każdy krzak przemieniało. Przy zakręcie rzeki, wierzba pochylona, niedawno podobna do dziewczyny, noszącéj bujną kosę nad lusterkiem wody; teraz wyglądała jak stara czarownica z rozczochranemi kudłami, a owa drobna łuska złoto-szafirowa, marszcząca lekko powierzchnię wody, zmieniła się w mętne fale ołowianéj barwy i ciężkości.

Maryjka szła śpiesznie, omijając błoto i patrząc tylko przed siebie, ale pomimo to z obu boków znajome przedmioty zaglądały jéj natrętnie w oczy. Każdy krzaczek łozy, każdy pień spruchniały, niemiłosiernie krzyczały jéj w uszy: „tu szliście razem, tu mówiliście o tém, tu było to, tu owo"... Przyśpieszyła kroku, lecz widma przeszłości biegły za nią tłumem, i jak upiory ssały krew z pod serca, a wiatr tak jęczał, jakby nie z pustych leciał błoni, lecz z żywéj piersi do głębi rozdartéj, i wołał rozpaczliwém łkaniem: „och gdybyż choć kropelka letejskiéj wody!... och, gdybyż myśl jak jadowitą roślinę wyrwać z korzeniem i rozdeptać nogami!... och! gdyby nie czuć i nie pamiętać!..."

Biegnąc prawie, doszła wrót Kułyninych, i oparłszy się ciężko o nie, ocierała grube krople potu, które jéj wystąpiły na czoło.

Kułyna stała w podwórku, mieszając w szafliku obierzyny dla krów, które ją otoczyły. Tłusty i piękny dobytek, to radość i chluba dobréj gospodyni; zmarszczona twarz Kułyny wygładzała się téż zawsze, podczas gdy karmiła swoje bydełko. Lecz dziś, choć łysa skubała ją za rękaw, raba porykiwała, a siwa sapiąc głośno, wyciągała długi język, Kułyna nie głaskała łaskawych zwierząt, ani do nich przemawiała, lecz z twarzą żółciejszą i bardziéj niż zwykle sfałdowaną milczała, zacisnąwszy usta, tak zajęta robotą i swojemi myślami, że spostrzegła Maryjkę dopiéro wtedy, gdy ta położyła jéj rękę na ramieniu..

— Bóg z wami, titko!—rzekła.—Coście to tak zafrasowani?

— Oj moja detyno! — odpowiedziała baba — zesłał Pan Bóg biédę...

— Cóż takiego?

— Wejdź do chaty, i zobacz sama.

— Czy kto chory?

— To nie, ale i zdrowie nie miłe kiedy dusza boleje.

— Mówcież titko, co się wam przytrafiło.

— Przytrafiło się mojéj doni co jéj znać było od wieków sądzone, ale głupia dziewczyna nie chce zrozumiéć, że żal doli nie przemieni, i zawodzi jak ta zuzula. Wasyl dziś rano z miasta wrócił, gdzie go do poboru wzywali. No, i zły numer wyciągnął, i miarę wytrzymał, bo dola jego taka pohana, że mu się nic nie wiedzie. Idź detyno do chaty; może ty jako moję Oksenię pocieszysz, bo ja jéj próżno gadam nawet i o miłosierdziu bożém. Maryjka weszła do świetlicy, która dziś inaczéj niż zwykle wyglądała. Podłoga nie zamieciona, piec niepodbielony, okazywały, że mieszkańców tego kątka coś takiego spotkało, od czego do wszystkiego odpada ochota. Oksenia leżała na ziemi, szlochała i wyrzekała półgłosem, skarżąc się sama przed sobą.

Ludzie blizcy natury dzielą się z nią dotykalnie swojém cierpieniem; prosty człowiek z pierwszego popędu rozpaczy zwykł padać na ziemię, jak gdyby chciał swój żal wypłakać na łonie wielkiéj matki.

Gdy Maryjka weszła do chaty. Oksenia porwała się z ziemi, i buchnęła jéj do kolan.

— Panuńciu złota! matko rodzona! ratuj nas! ratuj!

Maryjka chciała ją podnieść, lecz dziewczyna uczépiła się jéj sukni.

— Nie wstanę, szlochała, nie wstanę, jak z przed cudownego obrazu, aż się zmiłujesz nad nami!

Maryjka myślała, że bredzi, i podniosłszy ją siłą, posadziła na ławie, przytuliła do siebie dziéwkę, jak wczoraj hrabinę, i rzekła łagodnie:

— Pan Bóg się nad tobą zmiłuje, nie ludzie; tylko go nie obrażaj zbytecznym żalem. Cicho Okseniu, nie płacz, pomówmy spokojnie.

— Jak tu nie płakać, jak mówić spokojnie, kiedy mi zabierają moje szczęście, mego sokoła, moje słonko jasne!...

— Nie szlochaj tak, Okseniu, zastanów się rozsądnie. Wszak że go na zawsze nie zabiorą, ani ci tam przemienią twojego miłego. Wróci kiedyś do ciebie taki poczciwy i kochający, jak pójdzie, a przecież mogłoby być gorzéj... mógłby umrzéć i przepaść dla ciebie na wieki, albo...

Wpatrzyła się w jakiś przedmiot niewidzialny, i mówiła jakby sama do siebie:

— Albo mogłabyś dowiedziéć się nagle, że nie jest ani poczciwy, ani kochający, i żeś zmarnowała swoje serce Bóg wié na co i dla kogo...

Głos jéj zadrżał, i umilkła.

— Oh, nie! ja wiem, że mi go nikt nie przemieni!—łkała dziewczyna. — Ale dlatego téż żal cięższy, że on taki dobry, kochany, serdeczny...

— Jakaś ty szczęśliwa...—szepnęła Maryjka, i łzy jéj także popłynęły z oczów.

— Prawda, byłam w tém szczęśliwa, żem na dobrego trafiła—rzekła Oksenia—ale co mi z tego jak go niestanie?

— To, że zostanie ci dobra pamięć o zacnym człowieku, i aż do śmierci w tém pociecha, żeś kochała co warte kochania... Ej, nie płacz, Okseniu, nie obrażaj Boga! niejednaby się na twoję dolę pomieniała z rozkoszą...

— Na moje wrogi taka dola! zabiorą mi go! zabiorą! zabiorą!...

— Ależ wróci za lat kilka; zastanówże się, kilka lat nie wieki.

— Nie wróci, ja wiem, że nie wróci! pierwsza kula nie minie go na wojnie, bo jemu zawsze co najgorsze sądzono. On się tam nawet bronić nie będzie; skrzyżuje na piersiach ręce, patrząc śmierci w oczy, a człowieka nie zabije. To téż na pewno wojować nie zechce, i zamordują go w pierwszéj bitwie, i nie wróci...

— Ależ i wojny może nie być przez te lata.

— To i tak nie wróci; zatęskni się na obczyźnie za swoją miłą, i za swoją stroną, za ługiem, za lasem, za rzeką, za całą ziemią rodzoną, i na śmierć go zamorzy ta tęsknota, i oczy mu zasypią cudzą ziemią.

Zanosząc się od płaczu, zsunęła się z ławki, i padła znów do nóg Maryjce.

— Pannuńciu, gołąbko moja! ratuj ty nas, ratuj! — wołała.

— Moje dziecko drogie—rzekła smutno Maryjka—cóż ja wam pomódz mogę?

— Możesz, pannuńciu, byleś tylko zechciała!... Patrz, ja nigdy jeszcze, nikogo, o nic nie prosiłam, bo wiész, żem harda; a teraz żal mi całą hardość odjął, i oto żebrzę na kolanach, jak nędzarka jaka... Adwokat w mieście mówi Wasylowi, że doktorzy mogą zaświadczyć za jego niezdatność do wojska, bo i na prawdę on delikatny jakby panicz jaki, ale na to trzeba dużo pieniędzy, trzeba trzysta, a może i pięćset rubli... Pannunciu! tyś teraz bogata, tobie graf nieboszczyk całe swoje dobro zapisał...

Umilkła, i niepewnym wzrokiem patrzyła Maryjce w oczy, w których teraz wyraziło się przykre zakłopotanie. Oksenia mówiła daléj:

— Maty wprawdzie powiedziała, że mogę sprzedać i woły i konie, aby wykupić Wasyla, ale przydała potém: „ja się i suchym chlebem obejdę i łapcie łykowe wdzieję na stare lata, a ty rób jak chcesz, byleś na mnie nie narzekała“; więc czyż mi się godzi to zrobić? bez dobytku gospodarstwo zmarnieje, a maty z porządnéj gospodyni na łapserdaczkę zejdzie... Tak mówię ja wtenczas do Wasyla: „moja pannuncia poratuje nas, bo ona teraz wielka pani“. Wasyl nie chciał pozwolić, żebym cię prosiła, ale musiał, bo mu, powiedziałam, że w Horyń skoczę, jak mi tego będzie zabraniał. Poszedł teraz po drzewo do lasu, żeby przeczekać aż wrócę, bo miałam sama iść do dworu, ale się z tém ociągałam, bo tak ciężko prosić... a jeszcze o pieniądze...

Znów niespokojnie spojrzała na Maryjkę, lecz ta milczała. Całą duszą współczuła z biedną dziewczyną, oddałaby jéj grosz choćby ostatni, ale swój. Więc choć bolało ją serce, słuchając próśb Okseni, ani przez chwilę na myśl jéj nie przyszło, żeby je mogła spełnić, rozporządzając dowolnie cząstką powierzonéj sobie cudzéj własności.

— Dziecko drogie—rzekła—graf mi nie zostawił swego dobra na własność, tylko kazał rozrządzić niém według jego woli. Powiedzże mi, cobyś sama zrobiła, gdyby ci kto dał pieniądze do przechowania? czybyś z nich grosz ruszyła, choćby umiérając z głodu?

— Dla siebie nie ruszyłabym — odpowiedziała dziewczyna — ale żeby drugiego poratować, tobym wzięła, i nie miałabym grzechu, bo Pan Bóg chce, żeby jego dary szły równo na wszystkich, a ludzie psują jego świętą wolę, i dzielą się tak, że jeden na srebrze jada, drugi nie codzień ma chléb suchy. Co na świecie niesprawiedliwe, to przecież godzi się poprawić.

Oksenia była w téj chwili echem ogólnych przekonań swego otoczenia, a Maryjka wiedziała, że tych przekonań wyrobionych cierpieniem całych pokoleń, i wsiąkających od dzieciństwa w mózg chłopski, jak pokarmy w organizm, nie przerobi jednorazowym wpływem rozumowania; nie probowała więc napróżno wykładać dziewczynie swego sposobu pojmowania rzeczy, tylko rzekła:

— Moja droga Okseniu, mogę ci już tylko tyle powiedzieć, że jestem uboższą od ciebie, więc pomódz ci nie mogę, choć mnie ta niemożność ciężko boli. Jedyném mojém bogactwem jest czyste sumienie, a tego nie oddam dla uratowania nietylko szczęścia, ale nawet życia ludzkiego.

Oksenia nic nie mówiąc, podniosła się z ziemi, wzięła z przypiecka garnek z namoczoną gliną, rozmięszała ją, i zajęła się podbielaniem pieca, jakby gościa w chacie nie było. Maryjka poznała,

że jest jéj odmową do żywego dotknięta, ale nic na to nie mogąc, pożegnała ją paru słowami i wyszła z chaty z sercem cięższém niż gdy do niéj wchodziła. Do Kułyny, która była w oborze, już nie zachodziła, nie wiedząc jak jéj zdać sprawę z rozmowy z Oksenią, tylko prosto przez podwórko wyszła na drogę, a z téj ścieżką na ług. Teraz już straszne mary zaklęte w pnie i łoży nie puściły się w pogoń za nią, bo myśl o cudzém cierpieniu na drugi plan własne usunęła. Po raz pierwszy w życiu zaciężyło jéj ubóstwo, ta niemoc materyalna tak do moralnéj podobna, gdy dobrze czynić nie dopuszcza, i łamała sobie głowę nad wynalezieniem sposobu zdobycia téj trochy marnego kruszczu, któraby trzem ludzkim istotom gorzkie łzy otarła.

Przed miesiącem, przed tygodniem nawet, mogłaby zapukać do tkliwego serduszka Niny, która niezawodnie zainteresowałaby się żywo romansową historyą dwóch serc okrutnie rozdzielanych, aby ze zwykłą swą hojnością przyjść w pomoc nieszczęśliwym kochankom; teraz jednak byłoby to daremne. Hrabina nie wyszukiwała wprawdzie sama sposobności do miłosiernych uczynków, ale poddawane sobie pełniła chętnie, świadcząc nie raz wiele dobrego z natchnienia Maryjki. Ale te czyny miłosierdzia miały swoję ściśle zakreśloną granicę; dochodziły one tylko do linii, po za którą znajdowało się poświęcenie jakiegokolwiek osobistego interesu. Obecnie hrabina miała tyle tylko pieniędzy, ile potrzebowała na koszta podróży; była to suma pokaźna, bo piękna pani wojażowała po królewsku, ale nazywała ją „*le strict nécessaire*“, i uszczuplenie jéj uważałaby za niemożliwe. Wiedząc o tém, Maryjka myśl odwołania się do jéj serca odrzuciła jako niepraktyczną, i szukając pilnie, znalazła nakoniec inną. Miała trochę klejnocików, głównie od hrabiny różnemi czasy otrzymywanych, nie wysokiéj wprawdzie ceny, bo od kosztowniejszych podarunków zawsze się wymawiała; gdyby je przecież spieniężyła, zebrana sumka możeby się okazała taką, jakiéj Oksenia potrzebowała. Aby się o tém przekonać, Maryjka postanowiła przejrzéć pilnie rachunki wszystkich wydatków hrabiny, które od lat kilku prowadziła sama. Przyszedłszy więc do domu, zabrała się gorliwie do roboty, i znalazła po obliczeniu, że korale i granaty, które dostała do małoruskiego kostiumu przed ostatnią zabawą, pierścionki, kolczyki i bransoletki otrzymywane przez przeciąg kilkoletni na wiązania i medalion do miniatury Niny, mają wartość ogólną, przechodzącą nawet cokolwiek potrzebną sumkę. Tak ją to ucieszyło, że nawet na myśl jéj nie przyszło żałować tych wszystkich pamiątek, które jéj wdzięczne serce wysoko ceniło, i nie wspominając nikomu o swoim zamiarze, aby Ninie nie było przykro, że się pozbywa pochodzących od niéj przedmiotów,

zaraz po obiedzie wymknęła się z domu, aby pośpieszyć z dobrą nowiną do Kułyninéj chaty. Gęsty deszczyk pruszył, zmrok padać zaczynał, lecz nie zważając na to, szła rzeźwo i śpiesznie, chcąc jaknajprędzéj pocieszyć biédaków, i ująć każdéj chwilki cierpienia, którąby im jéj opóźnienie przydało.

Doszedłszy do wrót Kułyny, zatrzymała się, zdziwiona. Z okienek chaty płynęły smugi światła, niezwykłe o wczesnym zmroku, gdy jeszcze oszczędne gospodynie ognia nie niecą, a kobiéty wiejskie mijały się w podwórku, wchodząc i wychodząc, jakby w dzień praźniku lub wesela w chacie.

Maryjka zatrzymała znajomą babę we wrotach.

— Co znaczy, Jewdocho—zapytała—że tak w dzień powszedni nawiedzacie Kułynę?

— A bo dziś w Kułyninéj chacie okazya—odpowiedziała Jewdocha.

— Jaka okazya?

— Wasyl utopił się.

Maryjka chwyciła się za wrota. bo nogi się pod nią zachwiały.

Baba ciągnęła daléj:

— Ot, co to życie ludzkie! Do południa chodził, gadał, robotę swoją robił, po południu leży bez mowy i ruchu, a dusza przed sądem bożym stoi... Ale sąd boży będzie miłosierny, bo grzech jego spada na głowy tych, tych...

Zawahała się, włożyła rękę pod chustkę, drapiąc się w głowę dla nabrania odwagi, i rzekła rezolutnie:

— I tych co, żałują trochy marnego grosza na okup szczęścia ludzkiego.

Maryjka pod tym ciosem oprzytomniała nagle. Wyprostowała się i rzekła rozkazująco;

— Opowiédz jak było.

— Ot tak było — zaczęła baba, rada, że się wygadać może, bo należała do najwymowniejszych we wsi.— O południu Wasyl przyniósł drzewo z lasu, a wszedłszy do chaty, zobaczył Oksenię leżącą na ziemi przy niedobielonym piecu, i słyszał, że przeklina swoją dolę i ludzi, co miłosierdzia w sercu nie mają. Zrozumiał wtedy, że już dla niego nie ma ratunku na świecie, zawrócił się i poszedł za wrota. Oksenię coś niby tknęło, więc pobiegła wyjrzéć za nim i zobaczyła, że idzie śpiesznie przez ług, jak do rzeki. Wołała za nim, ale się nie obejrzał, pobiegła, ale już go dogonić nie mogła. Widziała tylko zdaleka, jak przyszedłszy do zakrętu, gdzie to wierzba nad głębiną płacze, padł na ziemię, objął ją, pocałował, wstał, przeżegnał się i buchnął z obrywu w wodę. Oksenia krzycząc

nieludzkim głosem, zawróciła się do wsi po ratunek, ludzie pobiegli nad rzekę z bosakami, ale z czółna nic nie poradzili, dopiero Prokop rybak dał nurka na dno i wyciągnął topielca za włosy. Trzęsiono go zaraz i rozciérano, ale nic nie pomogło; czy to, że już na dobre nie żył, czy że duszę w sobie zataił umyślnie, i nie chciał żyć; bo mówił bywało, że nie ma na świecie takiéj mocy, coby wolę człowieka mogła zgwałcić, zmuszając ją do tego co jéj przeciwne, i że jest sposób, żeby się wyrwać z każdéj niewoli. No, to i użył tego sposobu, Boże jemu przebacz!

Maryjka nie wymówiła ani słowa, bo ją dreszcz lodowaty tak na wskroś przenikał, że musiała zęby zaciskać, aby nie szczękały. Wahała się czy ma do domu wracać, czy wejść do chaty, gdy wtém drzwi skrzypnęły i Oksenia wybiegła na podwórko, a Kułyna zatrzymała się za nią u progu. Dziewczyna miała stargane włosy, rozerwaną na piersiach koszulę, twarz jak wosk żółtą, a błędne oczy błyskające zielonawém światłem, jak u zranionego zwierzęcia. Stanąwszy w środku podwórka, wyciągnęła pięść zaciśniętą ku Maryjce, i ochrypłym głosem zawołała:

— Bodajeś ty zmiłowania ludzkiego żebrała i nie wyżebrała!... Bodajeś ty miłego miała i straciła!... Bodajeś sama jedna żyła i konała!... Bodajeś...

Kułyna podbiegła, zatknęła jéj usta ręką, i szamocząc się z nią, ciągnęła do chaty. Z progu obróciła się do Maryjki, która stała jak skamieniała.

— Przebaczcie jéj — rzekła — że z rozpaczy sama nie wié co bredzi, przebaczcie głupiéj chłopce, jasna panno!...

Maryjka zawróciła się, i poszła automatycznym krokiem prosto przed siebie, drogą wiodącą przez wieś ku dworowi. Ponieważ deszcz padał i już się prawie ściemniło, ulica wiejska była pusta, i spotykała na niéj rzadkich tylko przechodniów, ale żaden nie zbliżył do niéj, nie przemówił, nie pozdrowił nawet jak zwykle. Mijając karczmę, spotkała dwóch podchmielonych ludzi, których dobrze znała, bo jednego kiedyś leczyła, a drugiemu w biédzie dopomogła. Z tych jeden uczuł się w obowiązku wygłoszenia wyroku opinii, i rzekł do towarzysza, podnosząc głos, aby go przechodząca słyszała:

— Oj prawdę mówią starzy, że nie daj Boże z chama pana! Choć się to i przyczai na czas, a zawsze pokaże się w końcu, że zapomniał dawnéj biédy, i że mu już chłopskie łzy nie padają na serce. Czy to chamska boleść warta pańskich pieniędzy...

Drugi zataczając się, grubiańsko zaklął i splunął głośno, dla ulżenia swemu oburzeniu.

Maryjka zatuliła szalem uszy, i uciekała jak nieprzytomna, ale usłyszane słowa leciały za nią, powtarzając się hałaśliwie w powietrzu. Nieopisana gorycz przepełniła jéj serce. Po śmierci hrabiego powiedziała sobie, że to ostatni cios, jaki w nią ugodzić może, ponieważ osobiście nie ma już chyba nic do stracenia. Aż oto przekonała się, że niedola, kiedy się na kogo zaweźmie, jest w pomysłach swoich niewyczerpana. Dziś ci wszyscy młodsi bracia, z którymi była pochodzeniem złączona, którym tyle dobrego robiła, odtrącali ją ze wstrętem, i to wszyscy razem jak jeden człowiek; nienawiść, zajmująca miejsce dawnego uwielbienia, rozpłynęła się po całéj wsi z Kułyninéj chaty, niby kółka z ciśniętego w wodę kamienia.

Lud prosty, bardziéj niż wyższe warstwy społeczne, podlega epidemiom moralnym. Jest on jak morze: trącana fala trąca drugą, druga trzecią, ruch postępowy rozchodzi się coraz daléj, poruszając do głębi całą masę ruchomego żywiołu, i oto rozkołysane bałwany piętrzą się, pienią, ryczą—aż pochłoną potężny statek, który zaledwo przed chwilą panował samowładnie cichemu wód zwierciadłu.

Dopadłszy alei prowadzącéj ku pałacowi, Maryjka przystanęła pod drzewem, aby ochłonąć i spocząć. Przycisnęła się do obmokłéj lipy jak do żywéj istoty, oparła zmordowaną głowę o chropowatą korę, i myślała z goryczą—że wśród półtora miliarda ludzi nie ma ani jednéj piersi, którąby ją przytulić chciała, że wśród całego rojowiska ludzkiego jest tak samotną jak zamurowany w *in pace* pokutnik—pomimo że ma prawe serce i duszę czystą—a może właśnie dla tego.

Naprzeciw niéj, w ramkach bezlistnych gałęzi, majaczył w mroku mglisty obrazek: jakaś smuga pola, kilka pagórków rozpływających się niepewnemi zarysami w siwym tumanie, jakiś odłam skały czerniejący w dali. Było to jeszcze piękne, choć jesienną szarugą zapłakane, a Maryjka patrząc przed siebie smutnemi oczami pomyślała z miłością o rodzinnéj ziemi, która sama tylko na świecie niezmienna i jednakowa, ma zawsze dla każdego swego dziecka te same łez perły jesienią, te same słoneczne uśmiechy w majową pogodę. Tak zapatrzona w macierzyńskie oblicze, przypominała sobie ze ściśniętém sercem, że już jutro wszystkie znajome obrazy znikną jéj z oczu na zawsze, że już odtąd na dobrowolném wygnaniu będzie deptać ziemię bez pamiątek, patrzéć na przedmioty nic do niéj nie mówiące, odzwyczajać się i przyzwyczajać na nowo.

Przyzwyczajać się i odzwyczajać... te dwa wyrazy rozwiązują zagadkę każdego niemal przywiązania. Gdy tysiąc drobnych wpły-

wów obmota powoli serce siateczką cieniutką lecz gęstą, któréj nitki splątawszy się z sobą ściśle, wrosną głęboko—to przyzwyczajenie. Gdy się te nitki porwą jedna za drugą, aż sieć cała zniknie, i szramy po niéj, krwawiące zrazu, zagoją się z czasem—to odzwyczajenie.

Żegnając wilgotnym wzrokiem wszystkie znajome w koło siebie przedmioty, Maryjka uczuła w sercu to wrażenie odrywania czegoś co przyrosło i serce jéj jęknęło:

— Boże moj, Boże! jak i tę jedyną pociechę utracę, cóż mi pozostanie?...

Ale oczy jéj instynktowie podniósłszy się w górę, znalazły punkt oparcia.

— Ziemia jest wszędzie inną—odpowiedziała sama sobie, i ludzie wszyscy zmienni; ale niebo nad całą ziemią i nad wszystkimi ludźmi jednakowe, a w niém jest ktoś, co się nigdy nie zmienia. Ten mi zawsze zostanie, ten mię nigdy nie zawiedzie, nie porzuci, nie osądzi niesprawiedliwie, ten będzie mi wiernym przyjacielem dopóki zechcę sama, ten sam tylko na pewno nie opuści aż do śmierci...

I cała gorycz jéj żalu wypłynęła we łzach modlitwy.

Kiedy jęk zbolałego serca nie padnie z rozpaczą na ziemię, lecz uleci z rezygnacyą w niebo, anioł wytrwania zstępuje w rozdartą duszę, i namaszcza jéj rany chryzmatem pokoju. A nieopisana błogość tego ukojenia jest tajemnicą bohaterów cierpliwości, któréj nie widziało oko, nie słyszało ucho, i pojąć nie zdoła rozum szczęśliwych, co nigdy nie cierpieli, i nieszczęśliwych, którzy cierpieli bez męstwa.

Pokrzepiona na duchu Maryjka poszła daléj, postanowiwszy nie rozpamiętywać już odtąd swoich minionych smutków, jakby wypominając je Bogu. Zwróciła więc myśl w przyszłość, a ta zaczęła jéj się wydawać mniéj ciemną i zimną. Żyć dla drugich—mówiła sobie, to przecież większe szczęście niż żyć dla siebie, a sposobność całkowitego oddania się cierpiącéj ludzkości jest najpiękniejszym udziałem, jaki przypaść może człowiekowi. A przytém jest jeszcze i to w zysku, że kto nie ma żadnych osobistych pragnień ani nadziei, ten od zawodów i rozczarowań bezpieczny, łatwiéj zachować może największe dobro życia—niezachwiany pokój ducha.

Odzyskawszy tak w całości to swoje dobro największe, zachwiane nieco ostatniemi wypadkami, Maryjka uczuła się nakoniec znowu szczęśliwą—szczęśliwą, jak męczennik śpiewający na stosie *hosanna*!

Wieczorem u stołu panna Helena śledziła zdziwionym wzrokiem wyraz pogodnego spokoju, rozlany na bladém obliczu Maryjki, ale nie zdołała wyśledzić przyczyny, która tę zmianę spowodowała. I ta zagadka psychologiczna pozostała dla niéj nierozwiązaną, ponieważ także przechodziła miarę jéj subiektywnéj kompetencyi.

Nazajutrz przed stacyą kolei wysiadły trzy panie, z których dwie jechały razem aż do granicy, a trzecia w przeciwną stronę, w głąb kraju. Pociąg mający zabrać Maryjkę odchodził pierwszy. Hrabina pożegnała ją czule, ale z pewném roztargnieniem, bo była mocno zajęta myślą widzenia przez pięć minut Adama, znajdującego się obecnie w mieście, przez które przejeżdżać miała. Maryjka ze smutném ale spokojném sercem weszła do wagonu—drzwi za nią zatrzaśnięto — gwiznęło, zahuczało, i uniosła ją para w dal ciemną.

My z nią nie pojedziemy. W dalszym jéj życiu nie będzie ani romansu, ani przejść dramatycznych, ani interesujących powikłań, będzie tylko ciągła, jednostajna praca, ciche a wytrwałe poświęcenie, całkowite oddanie się jednostki ogółowi,—a to wszystko choć piękne w rzeczywistości, ale w opowiadaniu nieciekawe.

Pani Nina po półtorarocznym pobycie zagranicą wróciła do Horyniec z mężem. Przez parę miesięcy młodzi państwo siedzieli w domu, dając czas wypalenia się pierwszemu ogniowi oburzenia, jakie mezalians hrabiny wywołał w sąsiedztwie, poczém odważnie wybrali się z wizytami. Pierwsze przyjmowane były chłodno,—oddano je przecież, choć nie zbyt prędko, z drugiemi poszło lepiéj, bo państwo Stalscy zapowiadali cały szereg zabaw u siebie, a któż zabawić się nie lubi? Nakoniec stosunki ugładziły się jakoś, i wszystko dobrze poszło. Adam potrafił postawić się na równi z najdumniejszymi nawet, przybierając sobie pewien lekki ton wyższości w obcowaniu z ludźmi; wiedział, że taktyka impozycyi bywa zawsze skuteczna względem wszystkich, którzy nie rozbierają czy rzecz jaka ma słuszną podstawę; że zaś tacy stanowią większość, więc w niedługim czasie wyrobił sobie ogólne poważanie tém jedynie, że umiał kazać się poważać.

Znalazła się przecież mała garstka nieprzejednanych, składająca się z potężnego niegdyś zastępu kastowców, którego niedobitki dotąd jeszcze nie zrobiły ustępstw postępowemu duchowi czasu. Ci w Horyńcach nie bywali nigdy, przy spotkaniu zaś w towarzystwie Ninę traktowali ze sztywną grzecznością, Adama—tak jakby nie istniał wcale. Na czele téj opozycyi stała najszanowniejsza

w okolicy matrona, staruszka nieposzlakowanéj prawości, surowa nietylko dla drugich lecz i dla siebie, księżna Juliuszowa. Pozyskanie jéj byłoby wielką wygraną, bo całe stronnictwo powtarzało każdy pacierz za tą panią matką; Nina więc całym swoim powabem starała się ująć ją przy każdém spotkaniu, lecz staruszka pozostała niezdobytą warownią. Wtedy Adam postanowił sprobować szczęścia śmiałym sposobem otwartego z nią rozmówienia się, licząc na to, że sama prawdomówna czasem do krańcowości, najprędzéj da się ująć zupełną szczerością. Na imieninach więc jednéj z krewnych Niny, na których była i księżna, Adam usiadł przy niéj, a choć odwróciła głowę, jakby tego nie zauważyła—odezwał się odważnie:

— Księżna nie łaskawa na moję żonę.

Księżna spojrzała z góry na zuchwałego interlokutora, ale nie mogąc bez ubliżenia dobremu wychowaniu zostawić go bez odpowiedzi—rzuciła od niechcenia:

— Pani Stalska mojéj łaskawości nie potrzebuje.

— Owszem—odrzekł; niełaska księżnéj jest bardzo przykrą dla mojéj żony. Nina spodziewała się, że księżna, jeżeli nie przez dobroć dla niéj saméj, to przynajmniéj przez wzgląd na zwyczaj zechce odwzajemnić się za jéj odwiedziny.

— Dziękuję panu Stalskiemu—odpowiedziała staruszka oschle,—że mię pan Stalski uczy zwyczajów towarzyskich.

Nie zrażając się tém, Adam rzekł spokojnie:

— Niechże księżna zechce przynajmniéj być ze mną jak ze wszystkimi szczerą, i raczy mi otwarcie powiedziéć, czém tak bardzo mogliśmy się jéj narazić? Wszak nawet skazanemu odczytują potępiające go dowody przed wykonaniem wyroku.

Staruszka trochę się udobruchała, bo lubiła, gdy się odwoływano do jéj otwartości.

— Dobrze—rzekła;—wypowiem przekonania, w duchu których postępuję, skoro pan Stalski sam mię do téj z nim szczerości upoważnia. Oto, podług mnie, nikt nie powinien wychodzić ze sfery, w któréj Bóg mu się urodzić kazał, a gdyby chciał się między wyższych wcisnąć, obowiązkiem jest *le remettre à sa place*. Odstąpić od téj zasady można tylko dla rzadkich wyjątków, których wartość moralna i intelektualna jest tak wysoka, że zaciera nawet nierówność urodzenia. Ja sama kiedyś całowałam w rękę świątobliwego dostojnika kościoła, który z ludu wychodził, a przyjmowałam z przyjemnością w moim domu dorobkiewicza, co uczciwie zarobionych milionów używał prawdziwie po obywatelsku, i doktora niepewnego

pochodzenia, słynącego nauką w kraju i zagranicą. Takie wyjątkowe osobistości na miejscu dziedzictwa zasługi przodków stawiają własną zasługę; ale do ich kategoryi nie można wliczyć tych, których wartość osobista nie wynagradza braku zasłużonego krajowi nazwiska.

— Kwestya osobistéj zasługi—odpowiedział Adam,—jest często za ciemną, aby omylna sprawiedliwość ludzka mogła o niéj słusznie wyrokować. Niech mi więc księżna powiedziéć raczy, na jakich danych odsądzony jestem od takiéj wartości moralnéj, któraby mi zastąpiła tak zwane dobre urodzenie?

— Ponieważ pan Stalski sam mię o to pyta, mogę bez niedelikatności dotknąć tak drażliwéj kwestyi. Czyny—to świadczą o moralnéj wartości, a ta w czynach jego okazała się dosyć dwuznaczną.

— Proszę o zupełną otwartość: jaką nieuczciwość popełniłem?

— Przed opinią ludzi płytko i lekko sądzących, pan Stalski może być czystym jak bursztyn; lecz przed sądem poważnym i skrupulatnym uczepienie się fartuszka żony, aby się po nim wedrzéć na wyższe stanowisko jest co najmniéj *une mesquinerie*. Wymiana swojéj osoby na posag i pozycyę jest handlem, a handel—to rzecz żydowska.

— Któż w obecnym wypadku może wiedziéć, że motorem była rachuba, nie uczucie? Jeśli żona jest kobietą mogącą się podobać, zkąd pewność, że mąż żenił się nie z przywiązania?

— Niepewność w tym względzie sąsiadowałaby z naiwnością... Przyjmijmy jednak możliwość przywiązania, to i w takim razie sąd o moralnéj wartości niewiele zmienić się może. Mężczyzna, który choćby nawet pod wpływem namiętności wybiera na kapłankę swego ogniska, na matkę swego rodu, na anioła swego domu—kobietę mającą powierzchowne jedynie zalety, i nie wynagradzającą nawet wad swoich żadnym przymiotem poważnego znaczenia, musi być albo słaby umysłem—a pan jesteś inteligentny; albo słaby charakterem—a pan jesteś energiczny; albo słaby moralnie—*et c'est le cas.* Sam już zresztą pociąg do kobiéty tego rodzaju należy do uczuć tak niskiego gatunku, że to jedno dostatecznie okazuje wartość moralną poddającego mu się mężczyzny. A teraz niech mi pan Stalski wybaczy, jeśli moja otwartość uraziła jego miłość własną. Sam prosił mię o to—ja zaś prośbie zadosyćuczyniłam dlatego, że mój wiek i stanowisko obowiązują mię tak do kierowania opinią, jak i do wygłaszania jéj bez ogródek. Nie zawsze to wprawdzie skuteczne, ale może ubyłoby trochę złego na świecie, gdyby było więcéj starych werydyczek.

Wypowiedziawszy to wszystko, księżna Juliuszowa obróciła się do nadchodzącéj gospodyni domu—i rozpoczęła z nią rozmowę.

Odtąd Adam nie probował już zbliżyć się do zachowawczego stronnictwa, starając się tylko o zaciśnięcie stosunków z tymi, którzy z krwią błękitną nie odziedziczyli średniowiecznych uprzedzeń.

Niedługo potém sąsiedztwo horynieckie powiększyło się. Pan Henryk Zarzecki powrócił do swojéj rezydencyi, i przywiózł młodą żoneczkę, którą była ex-panna Helena. Pan Henryk był w głębi ducha mocno zdziwiony, że się z nią ożenił; a stało się to w ten sposób.

Po przejściu drugiego kursu w Zurichu, panna Helena ułożyła naukową wycieczkę na czas wakacyjny, i odbywała ją w sposób nietylko pożyteczny lecz przyjemny, włócząc za sobą kilku kolegów-studentów. W Interlaken spotkała się z panem Henrykiem, który odbywał romantyczną podróż po Szwajcaryi z trzecim już od wyjazdu z kraju przedmiotem gorącéj miłości, sentymentalną niemeczką z niezabudkowemi oczyma. Przy spotkaniu pan Henryk nie wiedział, czy ma zdobyć się na śmiałość powitania Heleny, ale ona pierwsza zbliżyła się do niego, i jakby nic nigdy nie zaszło między nimi—przywitała go uprzejmie, gawędziła swobodnie i wesoło, wypytując się o dawnych wspólnych znajomych, i nakoniec zaproponowała uczestnictwo w ułożonéj na jutro wycieczce. Po téj pierwszéj wspólnéj przechadzce poszła druga i trzecia, a daléj rzeczy tak się jakoś same ułożyły, że piękna Gretchen tonąc we łzach, wróciła do jakiegoś teatrzyku, z którego była wzięta, a koledzy panny Heleny porozjeżdżali się jeden za drugim. Ona sama studyowała daléj alpejską przyrodę *en tête-à tête* z Henrykiem, aż ten, sam nie wiedząc jak i dlaczego, w pewien piękny wieczór pod Tella kaplicą wyznał jéj ustami, czego rzeczywiście w sercu nie było, i zanim miał czas zastanowić się, co i na co robi, stanął z nią na ślubnym kobiercu w genewskim kościele katolickim.

Pan Henryk był kliszą, któréj wierne odbitki widzimy między obecnie nam przodującą młodzieżą, w stosunku co najmniéj dwóch do pięciu. Od natury nie skąpo wyposażony, wszystkie jéj dary w ten sposób obrócił, że rezultat wypadł następujący: Inteligencyę żywą i bystrą zaniedbał u podstawy, ozdabiając po wierzchu, wskutek czego zadziwiał czasem erudycyą, czasem niewiadomością. Niepospolitego daru wymowy używał w ten sposób, że ze znakomitą dyalektyką bronił dziś tezy, którą potępiał wczoraj, i sam się chwalił swoim sofistycznym talentem, nic sobie nie robiąc ze stałości wyrobionych przekonań. Z téj chwiejności zdań wychodziła w naturalnéj konsekwencyi zmienność usposobienia; łatwe miłostki

zmieniał jak rękawiczki, szczycąc się bałamuctwem, jak ludzie jednolitego charakteru stałością, a pojęcia o honorze stosował tylko względem mężczyzn, w stosunku do kobiét, nie czując się do żadnéj sumienności obowiązanym, ponieważ uważał je po mahometańsku jedynie za cacka dla męskiéj rozrywki stworzone. Postępowanie swoje w razie potrzeby tłómaczył teoryami poczerpniętemi z modnego naturalizmu; teorya nieodpowiedzialności za swoje czyny, jako bezwzględnie zależne od ustroju nerwowego, była mu wygodnym parawanem, za którym dawały się zadawalniać rozmaite popędy nie-idealnego porządku. Rzadkiemi lecz gwałtownemi wybuchami energii wyrobił sobie opinię człowieka z charakterem u osób, które nie umiały zauważyć, że ta fantastyczna energia jest zupełnie wytrwałości pozbawioną; miewał chwile zapału dla idei, szlachetnych uniesień i pięknych porywów, ale te chwile były tak krótkie, że nigdy nie starczyło mu czasu do wcielenia ich w czyny; serce miał dobre—ale tylko dopóki w grę nie wchodziła własna przyjemność, bo ta była mu wszystkiém w życiu, na którego najpoważniejszych kwestyach ostrzył świetny swój dowcip dla wesołéj zabawki. Dla miłego swego humoru był ogólnie lubiony i pożądany w towarzystwie.

Pan Henryk ożenił się tedy z panną Heleną dlatego, że człowiek tego rodzaju jest jak ów dzban przysłowiowy, co wodę nosi aż się ucho urwie, i musi prędzéj lub późniéj stać się łupem pierwszéj lepszéj intrygantki lub zalotnicy, którą ludzie, okoliczności lub jéj własna zręczność narzuca jego chwiejnemu usposobieniu.

Panna Helena jako pani Zarzecka zmieniła się do niepoznania. Wyładniała niezmiernie, bo utyła, wybielała, oczy straciły ponury wyraz, a uśmiech sardonicznéj goryczy zmodyfikował się w odcień dowcipnéj ironii. Powierzchowność jéj i sposób bycia uległy także gruntownéj przemianie. Zarzuciła zupełnie dawny strój surowy, świetniała tualetami, które słynęły oryginalnością pomysłów, była wesołą, ożywioną, otwarcie już teraz zalotną, a liczny zastęp wielbicieli otaczał ją na każdém zebraniu. Chociaż dom prowadziła otwarty i bywała wiele, umiała przecież nie zaniedbywać pożytku dla przyjemności, prowadziła wzorowo nietylko swoje lecz i męskie gospodarstwo, a objąwszy ster interesów majątkowych, w niedługim czasie fortunę nadszarpniętą kawalerskiemi interesami męża nietylko z długów oczyściła, lecz nawet przyrabiać zaczęła.

Pan Henryk na drugi plan we wszystkiém usunięty, radby był pocieszać się ulubionemi dawniéj rozrywkami, ale nie mógł, bo bał się żony; oddał się więc bakaratowi i czytaniu pieprznych płodów beletrystyki francuskiéj, a z nudów zaczął równie często jak przed ożenieniem się zaglądać do Horyniec.

Pani Nina była z panią Henrykową w stosunku serdecznéj zażyłości, ale ta przyjaźń ochłódła trochę, gdy Helena zaczęła kochanéj kuzynce zabierać jednego po drugim wszystkich jéj dawnych hołdowników. Nina stanąć z nią do walki o nich nie mogła, bo niestety, piękna pani zaczynała więdnąć, a powabne jéj ożywienie nikło razem z blaskiem oczów. Do tego małżonek zapowiedział jéj stanowczo, aby starała się pozbyć niektórych dawnych przyzwyczajeń, bo nie zniesie śmiesznéj roli męża kokietki, a w razie lekceważenia jego woli, potrafi zmusić do posłuszeństwa. Adam był tak wszechwładnym panem w domu żony, jak Helena w domu męża. Nina dostawała nerwowego dreszczu, gdy tylko brwi zmarszczył, więc na lekceważenie jego woli odważyć się nie śmiała i szukała tylko smutnéj pociechy w rozpamiętywaniu nieocenianych niegdyś przymiotów pierwszego męża, który był wprawdzie dla niéj równie chłodnym jak drugi, ale za słabym, aby mógł zdobyć się na despotyzm, i zawsze delikatnym; u Adama zaś z pod świeżo nabytego zewnętrznego poloru często przeglądała dawna chropowata kora. Znów więc przyrównywała się w duchu do egzotycznéj rośliny ziębnącéj pod północném niebem, i znów marzyła o rozgrzaniu zmrożonego serca przy życzliwém cieple jakiéj bratniéj duszy. Taka właśnie dusza, doskonale przygotowana, znalazła się u najbliższego sąsiada; pan Henryk został jéj powiernikiem i pocieszycielem, a ona nie bawiła się już z nim w kotka i myszkę, bo biédaczka jego jednego teraz miała.

Ciągłe stosunki dwóch sąsiedzkich domów dawały im wszelką łatwość porozumiewania się nie budząc podejrzeń Adama i Heleny, a że każde z nich drżało przed swoją zwierzchnością, więc bojaźń, ta matka wynalazku, wyuczyła ich mnóstwa sposobików, któremi się doskonale maskować umieli. Adam też z całym swoim rozumem został przebiegłością kobiecą wyprowadzony w pole, i nic nie widział, ale pani Henrykowa po pewnym czasie zaczęła się domyślać i skrycie obserwować. Zaobserwowawszy, wzruszyła pogardliwie ramionami, bo o serce małżonka nie chodziło jéj wcale, ale Ninę postanowiła przykładnie ukarać oddając jéj pięknem za nadobne, i w tym celu zaczęła kokietować Adama. Ten, znudzony dawniéj egzaltacyą żony, a teraz jéj melancholicznym nastrojem, przyjął chętnie nastręczającą mu się rozrywkę na zbywające od zajęć chwile, i oba domy tak ścisła odtąd przyjaźń łączyła, że w bliższéj i dalszéj okolicy cytowano je jako wzór stałéj zażyłości sąsiedzkiéj. Świat, taki domyślny, gdy idzie o wykrycie złego, tym razem był ślepy. Prawdziwa tylko miłość jest jak szydło w worku, co zawsze zdradzić się musi; wszelkie zaś jéj pośledniejsze, fałszowane ga-

tunki ukrywają się doskonale, ponieważ maskowanie ich może być z chłodnym rozmysłem robione. Zresztą, Adama ani Heleny nawet nie śmianoby o coś złego posądzać, bo dobra opinia ich była już tak stanowczo wyrobiona, że śmiałek, coby się na nią targnął, ściągnąłby tylko na siebie zarzut niskiéj zazdrości. Pani Henrykowa zyskała sobie ogólne uznanie jako kobieta dzielna w całém znaczeniu tego wyrazu, rządziła się bowiem jak mało który mężczyzna, a umiejąc być jednocześnie gospodarną i światową, pomimo oszczędności dawała świetne przyjęcia. Pan Stalski zaś coraz bardziéj na poważanie zasługiwał, bo był obywatelem rzeczywiście wzorowym, czynności i energii niezwykłéj, gospodarstwo i rozmaite przemysłowe przedsiębierstwa urządzał znakomicie, interesa na wielką skalę prowadził szczęśliwie a rzetelnie, i co najważniejsza—krociami mnożył krocie.

Julia Terpiłowska.





DZIEDZICZNOŚĆ POD WZGLĘDEM EMPIRYCZNYM.

II.

Z pomiędzy czynników albo praw, powołanych przez nowoczesny ewolucyonizm biologiczny do objaśniania względnéj stałości i zmienności form życia organicznego, dziedziczność w piśmiennictwie naszém najszersze znalazła uwzględnienie. Zmieniały się przecież i wciąż się zmieniają poglądy specyalistów na znaczenie i rolę doboru naturalnego, doboru płciowego, przystosowywania się narządów i czynności; tak zakres faktów, jak ich interpretacya, stanowią przedmiot ustawicznéj wymiany zdań pomiędzy biologami. Pomimo tego, ruch w tym kierunku uwzględniano u nas chyba dorywczo; nie przekładano dzieł wybitniejszych, z wyjątkiem Darwina, i nie referowano ich systematycznie. Dziedziczność tylko zwracała na siebie szczególną uwagę i cieszy się niejako monopolem popularności. Przyczyny tego zjawiska w pewnéj mierze dadzą się zrozumiéć. Inne z wymienionych czynników są bardziéj zawiłe, rola ich w zmianach świata organicznego nie jest dość przezroczysta, by ją bowiem pojąć należycie, trzeba uwzględniać długie szeregi pokoleń, ulegających zmianom nieznacznym i powolnym wśród ustawicznéj gry działań i oddziaływań pomiędzy daną formą organiczną i powikłanemi warunkami zmiennego otoczenia. Dziedziczność, przeciwnie, nietylko znajduje dostateczną ilustracyą w faktach dla bezpośredniéj obserwacyi dostępnych, lecz, o ile jéj prawo przybiéra prostą postać bezwzględnéj formuły: „wszelka cecha odziedzicza się; niedziedziczenie jest wyjątkiem", o tyle rola dziedziczności dla każdego, nawet niezbyt przygotowanego umysłu staje się oczywistą. Ze stanowiska tego, tak niby prostego prawa, otwierają się nadto łatwe i wzrok nęcące perspektywy na przy-

szłość; stajemy się niejako posiadaczami tego zwierciadła magicznego, w którém Makbet z przerażeniem śledził pochód szeregu przyszłych pokoleń, bo skoro każda nabyta cecha przelewa się dziedzicznie z fatalnością prawa niezłomnego, więc od nas to zależy los naszych dzieci i prapotomków, a nieopatrznie przez nas nabyta trucizna chorób i kalectw cielesnych lub duchowych wkłada na sumienie nasze nietylko odpowiedzialność za samych siebie, lecz i za tych, którzy tę zgubną spuściznę przez nas przekazaną dźwigać mają. Perspektywa jasna i nawet podnosząca moralnie.

Po wywodach powyższych nie będziemy się tu dłużéj zastanawiali nad szeregiem prac o dziedziczności piśmiennictwu naszemu przyswojonych. Książka Büchnera „Dziedziczność“ jest popularném, ale niekrytyczném, rozsnuciem poglądu na dziedziczność i schematu klasyfikacyjnego Haeckela, ubarwioném szczegółami, mającemi wartość niedostatecznie zbadanych anegdot. Najgruntowniejsza książka Ribota „Dziedziczność psychologiczna“, wielce cenna ze względu na nagromadzenie materyału i niektóre analizy psychologiczne, jakkolwiek dość świéża, w wielu razach nie dotrzymuje kroku najnowszym wymaganiom krytycznym i dopiéro w nowém chyba wydaniu autor porachuje się należycie z poglądami teoretycznemi i krytycznemi biologów niemieckich. Wreszcie, świéżo wydana praca Aleks. Dingi „Dziedziczność instynktów, namiętności i uczuć“ (1) odpowiada zupełnie typowi tych traktatów o dziedziczności, jakie pisano przed trzydziestu i więcéj laty, tak, iż gdyby nie pewne daty, możnaby ją wprost odnieść do owéj epoki naiwnego empiryzmu i anegdot. Natomiast pojawiła się u nas w roku jeszcze bieżącym praca oryginalna o dziedziczności, która wymaga rozejrzenia się dokładniejszego.

Dobrze znany autor całego szeregu opowiadań historycznych z przeszłości południowo-wschodnich kresów rzeczypospolitéj dr. Antoni Józef Rolle jest zarazem lekarzem o rozległéj i wieloletniéj już praktyce, która mu w znacznym stopniu dostarczyła materyału do studyum „O dziedziczności obłąkania“, pierwotnie drukowanego w „Przeglądzie lekarskim“ i następnie wydanego w osobném odbiciu (2). Jestto, jak sam autor we wstępie do swojéj rozprawy zapowiada i w końcu jéj powtarza, owoc trzydziestoletniéj pracy, a więc owoc dostały, który przetrwał próby czasu i przetrawił w sobie cierpką goryczkę skorospiałek. Takie przysmaki, rzadkie w na-

(1) Al. D. Dinga. „Dziedziczność“ i t. d. Odbitka osobna z przekładu dra L. Wolberga, drukowanego w tygodniku „Życie“ numera 12—16. 1889 r.

(2) Dr. Ant. J. Rolle. „O dziedziczności obłąkania“, 8-ka, str. 73. Kraków. 1886.

szym wieku pośpiesznéj gospodarki, gdy się sprzedają przyszłe na pniu jeszcze podrastające plony i przeceniane bywają przez zepsutych smakoszów mdłe i wodniste nowalie, warte są tego, aby ich zakosztować, aby się z nich pożywić.

Praca dra Rollego jest empiryczną. Wychodzi on z paru bliżéj nieuzasadnionych twierdzeń ogólnych, z których naczelne głosi: „Dziedziczność jest prawem, wyjątki zaś przeobrażeniem dziedziczności“. Do czynników warunkujących te przeobrażenia autor zalicza za Ribotem: krzyżowanie się w osobniku wpływów dziedzicznych ojca i matki, tak bezpośrednich jak atawistycznych, oraz „przyczyny wypadkowe, działające w chwili powstawania płodu, nakoniec wewnętrzne i zewnętrzne wpływy po dokonaném poczęciu“ (str. 24). Nadto, powołuje się na zdanie Moreau de Tours (starszego): „Prawa dziedziczności nie należy szukać w tożsamości czynów lub faktów, czy to organicznych, czy umysłowych; szukać go należy w samém źródle organizacyi, w wewnętrznéj budowie. Nie jestto koniecznym warunkiem, aby rodzina, któréj głowa umarła, będąc obłąkanym lub epileptykiem, również składała się z epileptyków i obłąkanych, lecz dzieci mogą być idyotami, ulegać porażeniu, zołzom. Ojciec przelał na swe dzieci nie obłąkanie, lecz wadliwość w budowie, która objawiać się będzie w rozmaitych postaciach epilepsyi, histeryi, zołzów, rachityzmu. W ten sposób należy rozumiéć dziedziczne przelewanie“. Wreszcie, przytacza autor opinią Baillargera, według którego najrozmaitsze sprawy patologiczne w spadku mogą dawać zboczenie umysłowe. Wobec tego w pracy swojéj dr. Rolle „szczególny kładzie nacisk na tę rozmaitość przypadłości“ i stara się „związek między niemi wyjaśnić i sprawdzić“ (26). Za wzór klasyfikacyi spadkobierstwa psychopatologicznego (*) służy autorowi podział przyjęty przez Ribota (35); praca zaś Doutrebante'a, którą omówiliśmy wyżéj, była wskazówką w poszukiwaniach genealogicznych (7).

Ta szczupła wiązka wskazówek ogólnych posiada wielkie znaczenie, gdyż z jéj to pomocą wypada czytelnikowi, jak z nicią Aryadny, zapuszczać się w labirynt szczegółów empirycznych, które można najrozmaiciéj sobie tłómaczyć, skoro brak niechybnych zna-

---

(*) To, co autor w różnych miejscach nazywa spadkobierstwem albo dziedzicznością „psychiatryczną“, właściwiéj, jak sądzimy, byłoby nazwać „psychopatologiczną“, bo „psychiatria“ jest sztuką leczenia, o czém w pracy mowy nie ma. Tak samo Ballargera należałoby nazywać nie „frenopatą“, bo on nie cierpiał na umyśle, lecz frenopatologiem, bo on badał patologią umysłu.

mion faktu i granice jego nie są znane. Sądzę, iż każdy, kto się zastanawiał nad tajemnicami dziedziczności, dozna niepospolitych przeszkód w usiłowaniach należytego zrozumienia powyższych oświadczeń ogólnych autora, zwłaszcza jeżeli je zestawi z sądami rozproszonemi w całéj pracy. I tak, z jednéj strony zdawałoby się, że przez dziedziczność należy rozumiéć ściśle tylko przelewanie się na potomstwo téj saméj mianowicie cechy, którą się przodek odznaczał i w tym samym stopniu. Przytém dziedziczności szukać trzeba „w samém źródle organizacyi, w wewnętrznéj budowie“, nie zaś w formach zewnętrznych lub „w tożsamości faktów i czynów“, i to témbardziéj, że autor powtarza: „protoplasta udziela spadkobiercy nie chorobę, ale usposobienie do niéj, jakby kapitał nie procentujący, który wielką dywidendę dać może przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności (oczywiście z dziedzicznością nic wspólnego nie mających?), ale też może jéj długo nie dawać, może w końcu nie dać jéj wcale“, (naturalnie także wskutek wpływu jakichś okoliczności). Ztąd wypada, że gdziekolwiek w potomstwie występuje cecha patologiczna inna niż u przodków, albo chociażby i ta sama, ale w większych lub mniejszych rozmiarach, przyczyn tego szukać należy w jakichś pobocznych wpływach, wikłających objawy prawa dziedziczności; daléj wypada, że jedyném znamieniem, na mocy którego da się stwierdzić fakt dziedziczności, jest zupełna tożsamość budowy wewnętrznéj przodka i potomka, lub przynajmniéj w razach, gdy téj budowy zbadać nie można, zupełna tożsamość symptomów; w końcu wypada, że moc prawa dziedziczności rozciąga się tylko do zasadniczych cech organizacyi, że granicą tego prawa jest budowa wewnętrzna ciała, stanowiąca grunt usposobień chorobnych cielesnych i duchowych.

Z drugiéj jednak strony okazuje się, że autor w interpretacyi kazuistyki rzecz zupełnie inaczéj rozumie. Nasamprzód, uderza okoliczność, że autor budowy wewnętrznéj, która właśnie jest jedyną cechą znamienną faktu dziedziczności, nigdzie nie bada, chociażby nawet według metod, używanych dziś przez anatomów patologów. Skutkiem tego są następujące sądy, że tu podamy jeden przykład z wielu: „Pradziadek, gwałtownik, nerwowy, do zbytku używający trunków; dziadek lubieżnik, ograniczonych zdolności umysłowych; ojciec dotknięty obłędem peryodycznym, w końcu samobójca; synowie ulegają najrozmaitszym cierpieniom nerwowym i zwyrodnieniom umysłowym (padaczce, rozdrażnieniu mózgo-rdzeniowemu, agorafobii i t. d.)“. Momentem etyologicznym w tym szeregu dotkniętych różnemi chorobami pokoleń ma być dziedzi-

czność. Zkąd to wiemy? Budowy wewnętrznéj nie badano, i gdyby ją nawet badano, to jak wiemy, najskrupulatniejsze badania mikroskopijne tkanki nerwowéj nie wykryły dotąd od jakich właściwości jéj budowy zależy gwałtowność, lubieżność, obłęd peryodyczny albo popęd do samobójstwa, a tém bardziéj nikt nie wykazał, aby wymienione formy patologiczne wynikały z jakichś wspólnych cech budowy tkanki nerwowéj, co wszakże, według założenia, byłoby jedyną pewną rękojmią, że te, tak różne formy patologiczne, powiązane są przyczynowo nicią dziedziczności. Pozostaje fakt jeden, że we wszystkich wymienionych przypadłościach patologicznych niewątpliwie układ nerwowy był bezpośrednio lub pośrednio obrażony, że albo zwyrodnienia tkanki nerwowéj, albo nienormalności w jéj okrwieniu były przyczyną chorób; ale wady te mogły tkwić w różnych częściach układu nerwowego i być różnéj natury; niepodobna przecież wiązać szeregu spraw patologicznych w łańcuch dziedziczny dla tego tylko, że ich podkładem jest wogóle tkanka nerwowa, raz zwyrodniająca się w rdzeniu, drugi raz źle odżywiana lub obrażona przez wybroczyny w mózgu i t. d. Tu żadnéj tożsamości w budowie wewnętrznéj nie masz. Ostatecznie tedy mamy szereg genetycznie powiązanych pokoleń, dotkniętych rozmaitemi chorobami układu nerwowego. Stąd tylko można wnosić, iż tu mamy do czynienia z dziedzicznością, to znaczy zapominać, że związek genetyczny szeregu pokoleń patologicznych nie jest przesłanką, z któréjby już wprost dziedziczność wywnioskować się dała, lecz jest faktem, który nasuwa pytanie: o ile tu dziedziczność nie grała roli momentu etyologicznego? Odpowiedzi zaś na to pytanie trzeba szukać gdzieindziéj, mianowicie we wspólności cech budowy wewnętrznéj, i dodajmy, w dokładnéj analizie symptomów, posuniętéj aż do najbardziéj zasadniczych czynności ustroju lub części jego.

I nigdzie, w ciągu całéj pracy swojéj, autor nie bada budowy wewnętrznéj, ani nawet nie analizuje dokładnie symptomów, w celu wykrycia tych wspólnych różnym pokoleniom zasadniczych usposobień, na gruncie których rozwijają się choroby. Natomiast bardzo często opiéra się na obserwacyi podobnych „czynów lub faktów“, czyli na tém, przeciwko czemu sam zastrzegł się słowami Moreau de Tours. Tak, „Syn odziedziczył po ojcu: kamienie nerkowe, względną oszczędność, zamiłowanie porządku, wytrwałość i systematyczność w pracy, upodobanie w samotności; po matce: ....gotowość do poświęcenia i głęboką miłość kraju. Córka odziedziczyła po ojcu... podejrzliwość, obojętność dla kraju...; po matce:... nieopatrzną rozrzutność i lekceważenie porządku“ (24—25).

Obok tego przytaczane są różne szczegóły zewnętrznéj budowy syna i córki, odziedziczone naprzemian po ojcu i matce. Szczegóły te wszakże nie zostają w żadnym widocznym związku z wymienionemi właściwościami psychicznemi, aby wolno było zawnioskować, że ponieważ takie a takie szczegóły budowy zostały odziedziczone po ojcu, więc i oszczędność albo obojętność dla kraju są także spadkobierstwem ojca. Mogły te cechy psychiczne być wprost odziedziczone od rodziców, ale mogły téż być następstwem mieszanych wpływów wychowawczych i przykładu obojga rodziców. Co tu właściwie było przyczyną trzeba byłoby zbadać dopiéro.

Po tych uwagach metodologicznych, przechodzimy do saméj treści pracy dra Rollego. Jest ona zestawieniem wyników badania stu konarów rodowych, głównie na Podolu, nie w jednéj wszakże gubernii, powinowactwo bowiem rodzin badanych przekraczało nieraz jéj granice. Materyału odpowiedniego dostarczyły trzy źródła: przedewszystkiém osobiste spostrzeżenia autora, obejmujące dwa, niekiedy zaś i trzy pokolenia; nadto szczegóły, z drugiéj zapożyczone ręki, i wreszcie badania dokumentów archiwalnych. Poszukiwania tego rodzaju nastręczają poważne trudności z powodu, iż statystyka dokładna chorób psychicznych przy dzisiejszych warunkach sanitarnych w danéj okolicy prawie jest niemożebna, a témbardziéj była niemożebna dawniéj. Zawód swój lekarski autor rozpoczął przed trzydziestu laty i zachował wspomnienia swoje z owych czasów o stanie przytułku dla obłąkanych w Kijowie. Dostawali się do tego zakładu przeważnie pacyenci ze stanu włościańskiego, nie wszyscy jednak, „spokojni waryaci“ bowiem używali swobody. Zamożne natomiast rodziny, wskutek wstydu fałszywego, chorych swoich tego rodzaju ukrywały przed światem albo w tajemnicy wywoziły do zagranicznych zakładów, gdyż obłąkany członek rodziny wyobrażał w opinii téj klasy społeczeństwa naszego pewnego rodzaju upokorzenie, „jakby karę bożą“, co zresztą i dziś się jeszcze zdarza. Lekarza używano wyjątkowo. Gmin przesądny, o ile nie zdołał obłąkanych swoich umieścić w szpitalach, leczył ich, ale kuracyą stanowiły praktyki nabożne, albo gusła i zioła, udzielane przez znachorów, którzy się niekiedy cieszyli dużém wzięciem w okolicy, nawet wśród zamożniejszych ziemian. Dziś warunki nieco się polepszyły, chociaż statystyka, do któréj autor ma przedewszystkiém zaufanie, w dalszym ciągu nie istnieje; tak naprzykład: jedyny na gubernią podolską szpital rządowy dla obłąkanych w ciągu lat dziesięciu, od 1877 do 1887 r., dał przytułek 757 chorym, co w przecięciu wynosi rocznie 75,5 czyli w stosunku do

ogółu ludności téj guberni nie całych 0,003 %. Że stosunek ten nie wyraża rzeczywistego stanu rzeczy, to oczywista i potwierdza się zresztą dostatecznie przez fakt, że z roku na rok pozostaje po kilkudziesięciu kandydatów, wyczekujących kolei, tudzież, że w każdéj wiosce i miasteczku jest po kilku obłąkanych, którzy się oddają żebraninie i pełnią niektóre posługi. W wymienionym szpitalu stosunek chrześcian do żydów w rzeczonym okresie 10-letnim był taki: chrześcian było 627 czyli 1 na 3000 mieszkańców, żydów zaś 130 czyli 1 na 2000 jednowierców gubernii. Nie należy ztąd wnosić, jakoby żydzi u nas częściéj ulegali obłąkaniu, niż chrześcianie, jak to stwierdza Lombroso we Włoszech, lecz zależy to od faktu, że żydzi wszystkich prawie chorych swoich umieszczają w szpitalu, kiedy chrześcianie ledwo 20 do 30 %.

Ze względu na powyższe trudności statystyczne autor ogranicza pole poszukiwań swoich do stanu uprzywilejowanego, gdzie można korzystać z mniéj lub więcéj dokładnych danych rodowodowych, gdzie nadto częściéj pomoc lekarska wzywaną bywa i do tego „stan uprzywilejowany częściéj od innych ulega dziedziczności chorób umysłowych“ (str. 7). W zebranych przez siebie genealogiach dr. Rolle notował sobie obok nazwisk daty, dotyczące powinowactwa różnych stopni, urodzin i zgonów, urzędów sprawowanych, zasług i występków wybitniejszych; w rozprawie jednak swojéj uznał za stosowne pominąć „nazwiska i imiona i wszystko, z czegoby teraźniejszość zły chciała zrobić użytek. Idzie mi bowiem— powiada autor—o same fakta; genealogie zużytkowałem jako surowy materyał, nigdy ich nie ogłoszę, choćby pracę niniejszą miano pomawiać o przesadę i niedokładność.“

Ale i określenie dokładne stosunku owych stu zbadanych rodów szlacheckich do reszty szlachty w prowincyi jest także niemożebne, bo należyty wykaz liczby szlachty przedstawia trudności nieprzezwyciężone; „do uwłaszczenia kmieci u nas szlachcicem był, kto władał ziemią; do 1861 r. szlachcicem był, kto miał na prowincyonalnych sejmikach (wyborach) prawo głosu; wówczas jeszcze rachunek stawał się możebnym; tak, w r. 1820 liczono w gub. podolskiéj 1150 posiadaczy i 524 rodzin albo rodów. W 1860 r. pierwszych 1656, ostatnich 890. Z upadkiem reprezentacyi i nadaniem prawa nabywania ziemi wszystkim stanom oprócz mieszkańców „polskiego pochodzenia“ posiadłość większa zaczęła drobnieć, liczba zaś ziemian urosła w r. 1885 do poważnéj cyfry 4025 głów.“ Pomimo jednak tych przeszkód, autor nie odstępuje od statystyki. Zaznaczywszy mimochodem, że „nie masz u nas gniazda, w któremby nie udało się odszukać przynajmniéj jednego chorego na umy-

śle", sto badanych rodów dzieli on na siedm kategoryi, według liczby uwzględnionych pokoleń, tak iż najwyższą liczbę uwzględnionych pokoleń danego rodu stanowi siedm. Ogół osób płci obojéj we wszystkich tych rodach wynosi w ciągu badanego okresu 1564 i w téj liczbie 834 mężczyzn i 721 kobiet. Na ten ogół jednostek, wchodzących w skład stu badanych rodów, przypada 276 chorych psychicznie a mianowicie: obłąkanych (nerwice umysłowe) 142, zwyrodnień umysłowych (histerya, histeroepilepsya, hypochondrya, neurastenia, psychopatya, idyotyzm itd.) 89, upośledzenie umysłowe 45. W sumie wynosi to 18% procent ogółu osób. Z pośród ogółu tego większość, obejmującą dwa pokolenia, autor zbadał osobiście i znalazł, że obłąkaniu towarzyszyły pewne sprawy patologiczne, które albo dały początek obłąkaniu, albo były następstwem jego, w takim stosunku: padaczka 12, rozdrażnienie mózgo-rdzeniowe 15, pląsawica 2, głuchoniemota 3, głuchota 9, zézowatość 18, zająkliwość 6, dziedziczna ślepota w jednéj rodzinie 4, wodogłowie wrodzone 7, udar mózgowy i jego następstwa 38, opilstwo 44, zgon wskutek chorób mózgowych 24, zbrodnia 3. Ogółem 206 czyli około 20% w stosunku do liczby osób, reprezentujących dwa pokolenia.

Główną przyczyną zboczeń umysłowych i towarzyszących im cierpień nerwowych jest dziedziczność, któréj spotęgowane objawy w klasie uprzywilejowanéj dopiero z końcem przeszłego stulecia dają się spostrzegać. Spotęgowanie tych objawów wywołały następujące czynniki: 1⁰ o p i l s t w o: — „dość jest pilnie rozpatrzyć się w dziejach wewnętrznych naszego społeczeństwa, poczynając od tak zwanych czasów saskich, kiedy to opilstwo podniesiono na wyżyny kultu; trzy albo nawet cztery pokolenia pod wpływem alkoholicznego odurzenia spędziło życie całe, bo jak Polska szeroka i długa wszystka bywała pijana od początku do końca roku; oddziałać to wreszcie musiało nawet na zahartowane i twarde mózgi, nie wycieńczone zbyteczną pracą umysłową, niezużytkowane w pogoni za rozwiązaniem zagadnień społecznych." 2⁰ Z w i ą z k i m a ł ż e ń s k i e m i ę d z y k r e w n e m i: „Szlachcic był przekonany, że wszyscy herbowni są między sobą spowinowaceni, stawało się więc dla niego obojętną rzeczą, czy Sakrament bliższe czy dalsze zwiąże konary; szło mu przeważnie o splendor rodu a dla podtrzymania splendoru niezbędny majątek, ztąd pod hasłem nierozdrobniania fortuny powstawały owe połączenia; dawniéj kościół stawiał swoje *veto*, obok moralności zdrowie publiczne mając na względzie, w przeszłym atoli wieku pobłażliwie zaczął omijać szkopuły, stworzył całe stosy okoliczności łagodzących." 3⁰ r o z p u s t a: „nieszczęścia

krajowe, w pierwszéj zwłaszcza chwili, nie wywarły prawie żadnego wpływu... Ogół, większość, nie potrafiła odczuć należycie nieszczęść krajowych, nigdy się nie bawiono tak wesoło, jak podówczas; matrony polskie na tych ucztach stypowych nieprzyzwoiciéj od fryn nadsekwańskich, przez rewolucyą porodzonych, wyglądały, a panowie z uprzejmym uśmiechem i kurtuazyą podziwienia godną przegrywali w karty spuściznę poojcowską szczęśliwym zwycięzcom.“ 4° Opłakane położenie finansowe i ekonomiczne, a także wstrząśnienia polityczne dopiero późniéj oddziałały i po wojnach napoleońskich i czasach królestwa kongresowego dały znaczny odsetek samobójstw: „ówczesny ogół walczący przyniósł z wędrówki po świecie obojętność w rzeczach religii, lekceważenie życia, a jednocześnie wyrobił sobie chorobowe o honorze wyobrażenie. Wstrząśnienia, którym kraj ulegał późniéj, nie zostały bez wpływu następstwem ich bowiem był ubyt silniejszych organizmów, przymusowe i dobrowolne wygnanie, w skład zaś jego wchodzili ludzie młodzi, energiczni, z nauką mający do czynienia; wydatek stosunkowo większy od przychodu, wszystko to prawie wyłącznie dotykało stan uprzywilejowany; zkąd wyjałowienie, podtrzymywane jeszcze niewłaściwém wychowaniem.“ Pod wpływem tych czterech czynników choroby nerwowe wzmogły się i „dziedziczność stała się predominującą przyczyną, dobiegła bowiem do 75%.

Wśród chorych badanych przez autora 90% mieli byt zapewniony, nie potrzebowali wysiłkiem władz umysłowych zdobywać utrzymania dla siebie i rodziny; z pomiędzy 92 mężczyzn, których autor badał na podstawie materyału archiwalnego, 49 czyli 52% ukończyło wyższe zakłady naukowe. Z liczby 1564 osób, składających sto badanych rodów 35 nazwisk pozyskało rozgłos z powodu wiedzy swojéj i talentu. Cyfry te skłaniają do zastanowienia się nad stosunkiem talentu do obłąkania. Genealogie nasze nie pozwalają stwierdzić stosunku geniuszu do obłąkania, bo w tablicach swoich dr. Rolle żadnego geniusza nie znajduje, chociaż zaprzeczyć nie podobna, że „w rodach dotkniętych zboczeniami umysłowemi gnieżdżą się także i niepospolite zdolności.“ Im więcéj w danéj rodzinie spotykamy upośledzonych umysłowo, tém częściéj osoba normalna do téjże rodziny należąca, o ile się w pomyślnych rozwija warunkach, ujawnia wybitniejsze talenta; co autor objaśnia w ten sposób, że „mózg jednakowo podrażniony w tych i tamtych, w pierwszym jednak przypadku zachowana równowaga daje wyniki dodatnie, talent rozgłośny, w drugim zatracona daje wyniki ujemne, obłąkanie.“ Pisma chorych psychicznie zbierał dr. Rolle, ale znajduje

w nich tylko objawy rozstroju umysłowego. Matoidów genialnych i proroków nie masz u nas wcale; mistycy nasi z pierwszéj połowy bieżącego stulecia nie znajdowali u nas gruntu dla swojéj nauki odpowiedniego i zmuszeni byli wędrować na zachód. Natomiast, nie brak u nas matoidów dyplomatów, ekonomistów politycznych, wynalazców, ostatniemi zaś czasy heraldyków i archeologów. Wzmiankuje też autor o dziełach wydawanych u nas ostatniemi czasy przez matoidów, nie wymienia ich jednak, dla zrozumiałych, jak sądzi, powodów. Kilka dokładniéj opisanych egzemplarzy dziwaków i matoidów nie przedstawia nic szczególnie wybitnego, jakkolwiek dla osób, któreby takich charakterystyk nie znały, mogą być one do pewnego stopnia wskazówką, na co uwagę zwracać należy.

Pod mianem dziedzicznego przelewania rozum u dr. Rolle obejmuje nietylko fakty przekazywania zdolności do nauk i zawodów praktycznych, lecz także do muzyki, malarstwa, poezyi, gdzie poczucie piękna, wrażliwość i żywsza wyobraźnia, jak się zdaje, grają rolę naczelną. Nauka była u nas przywilejem rodów możnowładczych i duchowieństwa, które się wspina na wyżyny, zdobywa wszystkie niemal katedry w zakładach naukowych, kształci młode paniątka, sekretarzuje przy królu, posłuje do dworów ościennych. Była to ważna okoliczność w sprawie dziedziczności rozumu, kler bowiem, wchłaniając w siebie najwybitniejsze zdolności, nie pozostawiał potomstwa, a więc tamował dziedziczność uzdolnień umysłowych w klasie średniéj. W rodach możnowładczych dziedziczność uzdolnień umysłowych częstokroć przybiera pewien specyalny kierunek: gniazdo Leszczyńskich w ciągu lat 600 wydało 12 biskupów; z domu Szembeków wyszło 5 biskupów, 8 kapłanów i 6 zakonnic (czyż na to potrzeba szczególnych uzdolnień umysłowych i gdzie dowód, że tu rozstrzygała o wyborze powołań dziedziczność?); z domu Tarłów 5 biskupów, 9 kapłanów i 13 zakonnic; Załuscy liczą w swym rodzie 6 dygnitarzy duchownych, głośnych z nauki, historyków, dyplomatów, zbieraczy, bibliografów; ród Lipskich w przeciągu lat 400 daje 4 biskupów, 16 kapłanów, 7 zakonnic i 40 poległych w obronie ojczyzny. Łubieńscy w ciągu lat 300 liczyli 85 osób płci obojéj i z tych 5 biskupów, 7 kapłanów, 2 zakonnice. Radziwiłłowie w ciągu lat 440 na 134 liczą 4 biskupów, 3 zakonnice, 10 hetmanów i kanclerzy. Stwierdza się to także na rodzinach Zamojskich, Potockich, Lubomirskich, Łaskich, Morsztynów. Rody Kochanowskich i Lubienieckich ujawniają fakt, że dłuższy wpływ dziedziczności uzdolnień umysłowych w pewnym rodzie i bujniejsze rozlewanie się tego dziedzictwa na różne konary odpowiada doniosłości umysłowéj protoplasty. Na

rodzie Czackich i spokrewnionych z nim rodach Małachowskich, Krasińskich, Radziwiłłów, stwierdza się, że siłę dziedziczności rozumu potęguje spadkobierstwo obustronne, po mieczu i po kądzieli.

Poza szlachtą możnowładczą i duchowieństwem, „pośród szarego drobiazgu“ występują także talenty, ale jako pojedyńcze osoby; spadkobierstw naliczył tu autor 680, co stanowi cyfrę nader skromną wobec tego, że osób, które się odznaczały w najrozmaitszych gałęziach nauki i sztuki polskiéj naliczył autor 27,150; „spadkobierstwo więc rozumu nie całych 25% (1) wynosi, a zmniejszy się ono, jeżeli dodamy, że z liczby tych 680 numerów część czwarta przypada na ostatnich lat dziewięćdziesiąt, materyał bowiem, z którego korzystaliśmy, zamyka rok 1880.“

Dziedziczność psychopatologiczna tym samym podlega prawom, co i dziedziczność uzdolnień umysłowych, z tą wszakże różnicą, że kapitał patologiczny do danego gniazda wniesiony nie tak łatwo się trwoni, trwalszy jest, większą posiada oporność. Przelewanie chorób odbywa się nie wedle pewnéj normy; przeciwnie, wielka tu panuje rozmaitość (polimorfizm). Jak to zaznaczono wyżéj, w genealogiach naszych patologicznych 75% przypadków zależy od dziedziczności, lubo autor zastrzega się: „jestem przekonany, że w 25 przypadkach nie odnalazłem śladów w mowie będącéj choroby dla tego tylko, że mi zbywało na odpowiednim materyale, a gdybym go miał, odsetek dziedziczności podniósłby się niechybnie jeszcze wyżéj.“ Spadkobierstwo psychopatologiczne przedstawia formy z kilku grup złożone, które z kolei zawierają 106 odmian w 75 genealogiach. W 106 przypadkach „udowodnionéj dziedziczności“ dr. Rolle rozróżnia: dziedziczność pojedyńczą czyli przelewanie cechy patologicznéj z ojca lub matki na dzieci—45 razy; dziedziczność uboczną czyli ze stryja albo ciotki—21 razy; zwrotną albo pośrednią (atawizm), t. j. z omijaniem pokoleń — 24 razy i dziedziczność podwójną czyli obustronną, tj. z ojca i matki razem—16 razy. Dziedziczność pojedyńcza może się stać niebezpieczną w późniejszych pokoleniach; co do dziedziczności pośredniéj, można zauważyć, że protoplasta udziela spadkobiercy nie chorobę, lecz usposobienie do niéj, które przy niepomyślnym zbiegu okoliczności może się stać źródłem zgubnych następstw, chociaż usposobienie patologiczne może się długo albo i zupełnie nie ujawniać. Dziedziczność atawistyczna także znaczną może odegrywać rolę, w szczęśliwych jednak warunkach

(1) Jestto oczywisty błąd drukarski, powinno być 2,5% (str. 34).

może nastąpić poprawienie rasy. Najfatalniejszą jest dziedziczność podwójna, gdyż najczęściéj prowadzi do wygasania rodu, przyczém męskie konary wygasają wcześniéj, niż żeńskie. Tu autor podaje szereg zajmujących przykładów zwyrodnienia i wygasania rodów, opierając się na badaniach źródeł piśmiennych i na własnych obserwacyach, które dostarczają dokładniejszego materyału. Zupełne wygasanie rodu poprzedza wzmaganie się liczby zboczeń umysłowych; towarzyszy im cały szereg cierpień nerwowych i zmian patologicznych; równocześnie jednak tu i owdzie objawiają się spotęgowane zdolności umysłowe.

Związki małżeńskie między krewnymi utrwalają dziedziczność w rodzie ze wszystkiemi jéj następstwami. W rodowodowych tablicach swoich dr. Rolle na 437 małżeństw odnalazł 49 zawartych między krewnymi, czyli 10,2%, jakkolwiek za dokładność téj statystyki nie ręczy. Przeważnie żydzi zawierają tego rodzaju związki małżeńskie. Głównym ich następstwem bywa fizyczne i duchowe wyjałowienie, niemoc płciowa, cały szereg przypadłości patologicznych natury mózgowo-rdzeniowéj, wreszcie idyotyzm i wygaśnięcie rodu. Małżeństwa między krewnymi zgubne bywają dla potomstwa wtedy nawet, gdy dziedziczność psychopatologiczną wykluczyć należy.

Wszystkie także przypadki skażenia popędów płciowych, a spostrzegał ich autor 23, zachodzą w rodzinach dotkniętych dziedzicznością psychopatologiczną. „Jestem przekonany—pisze autor, że skażenie popędów płciowych występuje i u nas, szczególniéj w ostatnich czasach daleko częściéj;“ statystyki wszakże dokładnéj niema, a témbardziéj statystyka czasów minionych pod tym względem zupełnie nie istnieje, bo dopiero niedawno zwrócono na to uwagę i poznano niektóre dziwne odmiany. Dawniéj zresztą więcéj się z tém tajono.

W końcu o opilstwie rozpowszechnioném u nas nawet pośród ludzi pióra, pędzla i dłuta. Dr. Rolle naliczył dziesięciu przeszło pisarzy, poetów i historyków ostatniéj doby, których namiętność do napojów gorących złamała zupełnie. Nie wszyscy badani opilcy ulegali swoistemu zboczeniu umysłowemu, powstałemu na gruncie alkoholicznym: z 44 przypadków, 25 osób, czyli 56%. Nadużycie trunków wywołuje groźne skutki, mianowicie szereg najrozmaitszych cierpień nerwowych i w końcu obłąkanie u zstępujących pokoleń. Z form patologicznych, powstających na gruncie alkoholizmu, najczęściéj spostrzegał autor zwyrodnienia umysłowe, następnie dipsomanią czyli opilstwo okresowe, różnego rodzaju obłędy i porażenie alkoholiczne. Spadkobiercy opilców, kojarzący się

z obłąkanymi, przelewają na swoje potomstwo wszelkie nerwice mózgowo-rdzeniowe, zwyrodnienia umysłowe. Zboczeniom psychicznym, na gruncie opilczym powstającym, towarzyszy rzekome podniecenie płciowe, gdy tymczasem przy obłąkaniu, uwarunkowaném przez dziedziczność podwójną, skażenie pociągów płciowych stale daje się spostrzegać. Jednocześnie i w sferze umysłowéj, dopóki jeszcze wolna jest ona od choroby, albo przynajmniéj niezupełnie przez chorobę zwichnięta, daje się spostrzegać spotęgowanie odnośnych zdolności, mózg tu widocznie pracuje energiczniéj, produkuje więcéj pod wpływem podniecenia sztucznego, większą przedstawia oporność. Zresztą opilcy często długo nie ulegają rujnującym wpływom alkoholu.

Jeżeli dziedziczność jest prawem, to wszakże prawo to przy sprzyjających okolicznościach ulegać może zmianom pomyślnym i ród chorobą dotknięty może się w dalszym ciągu nie zwyradniać, lecz owszem poprawiać pod wpływem przymieszki zdrowego pierwiastku; krzyżowanie członków rodziny, dotkniętéj dziedzicznością psychopatologiczną, z członkami zdrowych rodzin obniża procent chorych potomków, czego wybitny przykład podaje autor w rodzie złożonym ze 108 osób, który dzięki krzyżowaniu się ze zdrowymi rodami dźwiga się w ciągu siedmiu pokoleń, tak iż ostatnie pokolenie jest już zupełnie zdrowe.

Taką jest istotna treść pracy dra Rollego. Próba sprawdzenia rezultatów gdzieindziéj osiągniętych na materyale oryginalnym, z odmiennych do pewnego stopnia stosunków zaczerpniętym, jest i uznania i naśladowania godna. Skrzętne w ciągu lat trzydziestu notowanie i porządkowanie spostrzeżeń z praktyki własnéj, przez informacye z obcéj ręki i zmudne badania archiwalne uzupełnionych, także jest u nas rzeczą rzadką, jeżeli nie wyjątkową, i już przez to samo cenną wysoce. Nadto, zdaje się nam, że nikt u nas nie jest bardziéj od dra Rollego kompetentny w rzeczach poszukiwań genealogicznych, w drobiazgowém znawstwie pamiętnikowych i archiwalnych źródeł, dotyczących życia publicznego i prywatnego rodów naszych w przeszłości. W tém wszystkiém podobno dwóch różnych zdań być nie może.

Poza tém jednak dziedziczność, pod tym lub owym względem badana, nie przestaje być zagadnieniem specyalnie biologiczném, tak iż z tego przedewszystkiém stanowiska daną pracę oceniać należy. Doniosły przez skutki swoje a tak rzadko u nas przestrzegany zwyczaj spółczesnych badaczy przyrody, wymaga, iżby badacz uwzględnił nasamprzód wyniki przez poprzedników w badanéj kwestyi osiągnięte, określając swój do nich stosunek; aby zajął określo-

ne stanowisko do poglądów w danéj chwili w nauce upowszechnionych, obwarował się przeciwko nieodpartym dotąd zarzutom krytycznym i niezałatwionym wątpliwościom; aby nie pozostawiał czytelnika w zawieszeniu co do sensu pojęć zasadniczych i metod. W przeciwnym bowiem razie nowy napozór przyczynek może niezwykle wikłać zagadnienie; sprowadzać je na stare i o ile się zdaje, nie bez pewnych podstaw zaniechane tory; wznawiać bez dostatecznego uzasadnienia to, nad czém już inni przeszli do porządku dziennego; tamować drogę raz jeszcze przeszkodami, które już są poznane i usunięte. Jeżeli się nie mylimy, praca dra Rollego pod tymi właśnie względami nie jest wolna od zarzutów.

Wyżéj już, gdy była mowa o założeniach ogólnych, na których się dr. Rolle w pracy swojéj oparł, wyrażone zostały pewne wątpliwości; tu, przy świetle poznanych już szczegółów pracy, postaramy się okazać, że takich wątpliwości nastręczają one jeszcze więcéj.

Co autor rozumie przez dziedziczność? Bezpośredniéj odpowiedzi na to niezmiernéj wagi pytanie próżnobyśmy szukali w rozprawie; przychodzi zdobywać ją pośrednio. Liczne miejsca, gdzie autor pokazuje, jak „d z i e d z i c z n o ś ć p r z e o b r a ż a s i ę“, „p o t ę g u j e s i ę“, utrudniają zadanie to w wysokim stopniu. Przypuśćmy, że ojciec jest opilcą, syn zaś cierpi na obłęd samobójstwa. Czy w danym razie obłęd samobójstwa jest odziedziczony. Tak, o ile obłęd samobójstwa jest tém samém co opilstwo; jeżeli jednak jest on czémś inném, to wypada raczéj mówić o zmienności, nie zaś o dziedziczności. Można, co prawda odrzec na to, że obie te sprawy patologiczne mają coś wspólnego, mianowicie: nie dające się bliżéj określić, ani pod względem jakości, ani stopnia osłabienia czy zwyrodnienia układu nerwowego, w takim atoli razie należy ściśle mówić o dziedziczności owego zwyrodnienia, nie zaś popędu do samobójstwa, nie ulega bowiem wątpliwości, że powstanie takiego nowego symptomu, jak obłęd samobójstwa, zależy od jakichś jeszcze dodatkowych przyczyn, które specyalnych badań wymagają. Jestto wielce prawdopodobne, że obłęd samobójstwa nie może się objawić bez pewnych wad w układzie nerwowym, które mogą być odziedziczone po ojcu opilcy; ale specyalna forma obłędu samobójczego w danym przypadku odziedziczona nie jest, skoro jest faktem, że ojciec nie cierpiał na tę formę obłędu. O przeobrażeniach dziedziczności zatém mówić niepodobna, bo dziedziczność oznacza właśnie dokładne powtórzenie się u potomka cechy, którą przodek posiadał; wszelkie zaś przeobrażenie jest już zmiennością, która zasadniczo jest z pojęciem dziedziczności sprzeczną. Tę prawdę oczywistą usiłowano tak lub inaczéj zamaskować, byleby tylko po-

jęcie dziedziczności rozciągnąć również na pewne zmiany, na gruncie cech odziedziczonych powstające. Tak, twierdzono, że pewne zmiany w pokoleniach zstępnych mogą występować nie pod wpływem oddziaływania na organizm czynników zewnętrznych, lecz jako wynik konieczny procesu rozwojowego warunków wewnętrznych; podobnie jak skręcona sprężyna zegara rozkręca się mocą własnéj siły napiętéj i porusza za pośrednictwem układu sześcierni i kół zębatych skazówki po coraz innych częściach koła „Odziedziczanie—pisze Nägeli (1) —jako pojęcie ogólne, właściwie oznacza tylko zjawiska koniecznie powiązane z przechodzeniem jednego stanu w bezpośrednio następujący inny i cały ruch ontogenetyczny i filogenetyczny składa się z nieprzerwanego szeregu przejść podobnych. Zazwyczaj jednak przez odziedziczanie rozumié się tylko określone stadya całego szeregu, mianowicie tylko przejścia pomiędzy oddzielnemi osobnikami, o wiele zaś liczniejsze przejścia w obrębie rozwoju tego samego osobnika bywają pomijane, albo przynajmniéj nie uchodzą za odziedziczone. Jestto wszakże tak samo odziedziczanie, gdy w osobniku dzieląca się komórka własności swoje przekazuje obu komórkom pochodnym, jak i wtedy, gdy płonka roślinna rokrocznie wydaje nowe gałęzie, liście i kwiaty, lub gdy z dziecka wyrasta człowiek dorosły i starzec.“

Porównanie z zegarem, oprócz wielu innych względów, dlatego już jest chybione, że dopóty tylko zmiany miejsca skazówek z określoną prędkością objaśniamy rozkręcaniem się sprężyny w danych warunkach mechanizmu zegarowego, dopóki chód zegara za każdym obiegiem koła jest jednostajny; skoro jednak zegar zaczyna się opóźniać lub śpieszyć, wnet szukamy objaśnienia tego zjawiska w przyczynach zewnętrznych, hamujących lub przyśpieszających ruch wahadła itd. Co się zaś tyczy uwagi Nägelego, zdaje się iż nigdy nie zapominano o tém, że zmiany zachodzące w przebiegu rozwoju osobnika, o ile one są zupełnie takie same, jak odpowiednie zmiany w rozwoju przodków jego, są objawem własności odziedziczonych. Fakt, że u ludzkiego osobnika w pewnym okresie rozwoju pojawiają się zęby, lub że kijanka w określonéj fazie rozwoju traci ogon, stale odnosimy do dziedziczności i dopiero, gdy zmiany te pod jakimkolwiek względem uchylają się od przebiegu rozwoju przodków, szukamy specyalnych przyczyn tego. W patologii zwrócono nawet uwagę na zjawiska t. zw. dziedziczności homochronicznéj, to jest gdy pewne sprawy patologiczne w szeregu pokoleń

(1) C. v. Nägeli. *Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre.* München und Leipzig, 1884, str. 272.

występują w tym samym okresie rozwoju osobniczego. Skoro jednak w osobniku zachodzi pewna zmiana, której u przodków nie spostrzegamy, natenczas nie ma racyi powoływać się na dziedziczność przeobrażoną i należy szukać przyczyn specyalnych, które tę zmianę wywołały.

O przyczynach takich dr. Rolle, jakeśmy widzieli, wzmiankuje okolicznościowo i ogólnie, gdy mówi o wpływie czynników zewnętrznych i modyfikujących wpływach płci innéj, ale nie stara się w każdym danym przypadku przez możliwie dokładną analizę zbadać co właściwie odziedziczone zostało i od jakich przyczyn przeobrażenie zależy, tak, iż w wielu razach pozwala się domyślać, jakoby przeobrażenie sprawy patologicznéj w pokoleniu następném zaszło samo przez się, mocą samoistnych przeobrażeń wady dziedzicznéj. Owszem, znajduje on nawet podstawy do „zaprzeczenia twierdzeniu, jakoby tradycya, wpływy i otoczenie oddziaływały na umysł i urabiały go na modłę taką, a nie inną“ (str. 30). Ztąd wolnoby wnosić, że nietylko tożsamość cech, lecz i zmiany ilościowe i jakościowe tych cech pragnie przez dziedziczność objaśniać. Tymczasem dziedziczność wtedy tylko posiada sens dający się pojąć, gdy jest uogólnieniem tych wszystkich przypadków, gdzie mamy do czynienia z powtarzaniem się u potomków tych samych własności i tychsamych zmian w rozwoju indywidualnym, które cechują przodków; wszelkie zaś bodaj najdrobniejsze zboczenie we własnościach lub rozwoju potomka musi być objaśnione przez jakieś nowe przyczyny, jako objaw zmienności, albo zostaje niezrozumiałe. Prawo, dziedziczność zaś ma być prawem, przebrażać się nie może, w ten bowiem sposób przestałoby być prawem i zmuszeni bylibyśmy do szukania prawa tych przeobrażeń. Przeobrażać się mogą tylko objawy, które danemu prawu podlegają, ale natenczas przeobrażenia te muszą zależéć od zakłócających wpływów jakichś pobocznych, w stosunku do prawa, czynników.

Tak samo rzecz ma się z domniemaném potęgowaniem się dziedziczności. Prawo biologiczne, ani żadne inne potęgować się nie może; ono zawsze działa niezłomnie, albo prawem nie jest. Potęgować się lub słabnąć mogą tylko objawy zewnętrzne, jako wypadkowe działania prawa i pewnych innych czynników. Niekiedy o tych czynnikach dr. Rolle pamięta, gdy np. mówi o „spotęgowaniu się fatalnego spadkobierstwa w klasach uprzywilejowanych“ w końcu zeszłego stulecia pod wpływem opilstwa, rozpusty, małżeństw pomiędzy krewnymi i nieszczęść społecznych. I tu jednak nie wyraża się dość jasno o okoliczności, na którą badacze dziedziczności szczególną zwracają uwagę, nie zaznacza czy przez „spotę-

gowanie się fatalnego spadkobierstwa" rozumié, iż czynniki owe podnoszą procent odziedziczeń, czy pomnażają ilość chorób, które się stają dziedzicznemi. Może bowiem dziać się tak, że przy téj samėj ilości patologicznie usposobionych protoplastów pod wpływem danego czynnika u większéj liczby potomków objawia się choroba dziedziczna; i tak, że dany czynnik pomnaża ilość patologicznie usposobionych protoplastów i w ten sposób przyczynia się do pomnożenia ilości chorych spadkobierców. Otóż z jednéj strony możnaby sądzić, że autor pierwsze ma na myśli; ale skądinąd w szeregu tych przyczyn wymienia takie, jak epidemiczne opilstwo i rozpusta, które już same muszą być uważane za symptomy jakichś odziedziczonych wad układu nerwowego, nie zaś za czynności tylko potęgujące objawy dziedziczności. Dziedziczność w wieku XVIII działać musiała tak samo, jak w XV, tylko liczba osobników patologicznych, które dziedzicznie choroby swoje przelać mogły na potomstwo, mogła wzrosnąć, albo téż warunki, nic z dziedzicznością wspólnego nie mające, mogły sprzyjać rozwojowi chorób na gotowym już gruncie usposobień dziedzicznych. Tak jedno, jak drugie nastręczałoby zajmujący przedmiot do badań.

Zebrany przez dra Rollego materyał, mający dowodzić dziedziczności rozumu, wydaje nam się bardzo niekrytycznym, tak ze względu na brak charakterystyki osób i analizy psychologicznéj ich uzdolnień i usposobień, jak również ze względu na dogmatyzm, z jakim autor przyjmuje za fakt odziedziczanie skłonności i uzdolnień do specyalnych zawodów. Aby zostać kapłanem lub zakonnicą, na to nie potrzeba odziedziczać specyalnych zdolności rozumu; na to trzeba przedewszystkiém pewnych warunków otoczenia społecznego i rodzinnego, pewnych wpływów wychowania. Może tu oddziaływać niechęć dzielenia majątku pomiędzy liczne rodzeństwo, pobożne tradycye w danéj rodzinie, ponęty karyery prawdopodobnéj ze względu na stosunki i t. p. Wogóle, dziedziczne przelewanie się wszelkich przystosowań do specyalnych i skomplikowanych warunków otoczenia, jak do zawodów, profesyi, istniejących kierunków umysłowych, politycznych, religijnych, o ile łatwo trafia wielu osobom do przekonania, o tyle jest wielce nieprawdopodobne i słusznie przez ostrożniejszych badaczy podejrzywane. Przedewszystkiém musimy posiąść rękojmie, że wszystko zostało uwzględnione, coby się dało odnieść na rzecz wpływów wychowania, przykładu, przymusu bezpośredniego i pośredniego, składu warunków otoczenia. Gdy chodzi o 40 rycerzy z rodu Lipskich, poległych w przeciągu czterech stuleci na polach bitew, to trudno się tu dopatrzéć dziedziczności rozumu w specyalnym kierunku, tém

trudniéj, że na to nie potrzeba rozumu: wystarczy zamiłowanie do rzemiosła wojennego i jakiś dziwny fatalizm, który może zależéć od wad we władaniu orężem lub nieoględności. Jakkolwiek jest zaszczytnie poledz w obronie ojczyzny, skoro tego potrzeba, ale jeszcze zaszczytniéj i trudniéj jest wrócić z pola zwycięzcą, a już w żadnym razie systematyczne poleganie od ręki wroga nie jest dowodem dziedziczności rozumu.

Najbardziéj zastanawiającém w pracy dra Rollego jest ustawiczne uciekanie się do obliczeń statystycznych, pomimo nieustających zapewnień, że dokładnych danych do statystyki jest brak zupełny. Na swojém miejscu wykazaliśmy, jak się rzecz ma wogóle ze statystyką w téj dziedzinie. Statystyka dra Rollego poucza nas raz jeszcze, że wyniki jéj nie mają i miéć nie mogą żadnego znaczenia, ani teoretycznego, ani praktycznego. Bierzemy przykład: sto rodów, z pośród których większość jest wybitnie patologiczną, daje w badanym okresie 18% osób chorych psychicznie w stosunku do wszystkich osób. Nieznany tu jest ani stosunek tych rodów do ogółu ludności, lub przynajmniéj do ogółu stanu szlacheckiego w danéj okolicy, ani nawet nie wiemy jakie są to rody. Cóż tedy wypada począć z owemi 18%? Dr. Rolle twierdzi, że nie ma u nas rodu, w którymby nie było chociaż jednéj osoby choréj na umyśle: w takim razie stosunek procentowy chorób psychicznych w naszym stanie szlacheckim byłby dopiéro wtedy prawdziwym, gdybyśmy obrachowali wszystką szlachtę i wszystkich jéj chorych psychicznie: odsetek oczywiście obniżyłby się znacznie. Nadto, okoliczność, że nie ma rodu, w którymby nie było osobnika psychopatologicznego, zestawiona z faktem, że jednak większość rodów nie jest dotknięta obłąkaniem dziedziczném, przedstawia zupełnie w inném świetle rolę dziedziczności, jako momentu etyologicznego. Skoro bowiem wszystkie rody posiadają zaczyn patologiczny, który się może odziedziczać, więc jakiekolwiek rody kojarzyłyby się z sobą, zawsze tak ze strony ojca, jak matki groziłoby bądź bezpośrednie, bądź atawistyczne spadkobierstwo psychopatologiczne. Tak jednak nie jest w rzeczywistości. W innéın znów miejscu autor zaznacza, że „wyprowadzenie stosunku rodzin dotkniętych zboczeniami umysłowemi do rodzin wolnych od tych zboczeń staje się niepodobném“ (8), co dziwnie brzmi wobec zapewnienia, że „nie masz u nas gniazda, w którémby się nie udało odszukać przynajmniéj jednego chorego na umyśle“. Rzecz jasna, że albo to ostatnie twierdzenie jest nieprawdziwe, albo stosunek rodzin dotkniętych zboczeniami umysłowemi do wolnych od nich sam przez się już jest dany i wynosi 100%. Ze wszystkich wywodów statysty-

cznych nie potrafiliśmy wybrać ani jednego, któryby miał jakieś znaczenie teoretyczne albo praktyczne.

Obok téj gorliwości statystycznéj, natomiast dyagnoza stanowi najsłabszą stronę pracy dra Rollego, chociaż powszechnie się dziś uznaje, że w badaniu dziedziczności możliwie dokładna dyagnoza i anamneza stanowią jedyny pozytywny punkt oparcia. Widzieliśmy już jak autor poczyna sobie z dziedzicznością rozumu; dyagnoza psychopatologiczna nastręcza jeszcze większe trudności, nawet gdy się bezpośrednio obserwuje pacyenta, a cóż dopiéro gdy się musi poprzestać na opisie. Tymczasem oprócz kilku nieco dokładniéj podanych rozpoznań, w większości razów przychodzi wprost na słowo zaufać autorowi, czego nie wymagają najznakomitsi psychopatolodzy, gdyż przedewszystkiém podają czytelnikowi umotywowane rozpoznania do kontroli. Co gorsza, że autor stanowczo zamyka wszelką drogę do sprawdzeń, skoro nie podaje imion pacyentów; czyni to w obawie, aby ktoś nie zrobił z tego złego użytku, ale w takim razie niechże nam przyzna, że wyliczane nazwy chorób i cyfry są tylko prywatnéj doniosłości materyałem, gdzie bowiem kończy się możność sprawdzania, tam kończy się nauka. Gdyby inni badacze poszli za przykładem autora, mogłoby się zdarzyć, że w dziesięciu pracach ciż sami pacyenci pod różnemi względami są omawiani i wchodzą jako jednostki do różnych obliczeń statystycznych, przyczém nikt nie wié, że tu mowa o jedném i tém samém. Takie zdarzenia znane już są w rocznikach nauki. Doutrebante, którego pracę autor nasz obrał sobie za wzór, postępuje inaczéj, wymienia bowiem nazwiska rodzin, podaje dokładne dyagnozy każdego obserwowanego pacyenta a zupełnie pomija statystykę.

Nie wchodząc tu w bliższe szczegóły, których rozbiór byłby rzeczą medyków z fachu, zastanowimy się w końcu nad jeszcze jedném twierdzeniem autora, budzącém interes ogólniejszy. „Związki małżeńskie między pokrewnemi—pisze dr. Rolle na str. 56—utrwalają dziedziczność w rodzie ze wszystkiemi jéj następstwami“. Ponieważ dziedziczności utrwalać nie ma potrzeby, gdyż ona według założenia jest prawem, więc powyższe uogólnienie należy zapewne rozumiéć w tém znaczeniu, że z małżeństw zawieranych pomiędzy krewnemi, rodzą się osobniki patologiczne w większéj stosunkowo ilości, niż z małżeństw pomiędzy obcemi, oraz, że cechy patologiczne tego pochodzenia są dziedziczne. Tak też bywa to zazwyczaj rozumianém, uogólnienie to jednak nie bez powodu budziło i budzi wątpliwości najpoważniejszych badaczy. Prof. Ziegler (1),

(1) Ziegler. Tamże, str. 42—43.

który badał systematycznie sam fakt i literaturę tego przedmiotu, pisze: „Sądzę, iż z materyału, którym rozporządzamy, można wysnuć wniosek, że w związkach pomiędzy bliskimi krewnymi, o ile ci pochodzą z rodzin zdrowych, prawdopodobieństwo skojarzenia się nieodpowiednich sobie pierwiastków rozrodczych i wytworzenia potomstwa patologicznego wcale nie jest większe niż w związkach małżeńskich pomiędzy niekrewnymi". Tak samo Krafft-Ebing (1): „Jestto sporne pytanie, czy związki pomiędzy bliskimi krewnymi mogą być uważane za czynnik dziedzicznie zwyrodniający. Doświadczenia hodowców zwierząt, którzy rzecz prosta wybierają do rozpłodu tylko osobniki bez zarzutu, jak również rodowody Ptolemeuszów, świadczą przeciwko temu. Możnaby przypuszczać, że związki pomiędzy bliskimi krewnymi dopóty nie mają żadnego znaczenia, dopóki kojarzące się osobniki wolne są od cech zwyrodnienia". Te kilka przykładów niedokładnie opisanych, które autor nasz przytacza na dowód tezy swojéj i w których nawet „dziedziczność psychiatryczną wykluczyć należy bezwarunkowo", nie zdolne są obalić bardzo licznych w tym względzie wątpliwości: być może, iż dyagnoza protoplastów była niedokładna, témbardziéj, że we wszystkich przytoczonych przypadkach kojarzący się krewni musieli pochodzić z rodów nie wolnych od momentu patologicznego, bo, jak sam autor utrzymuje, nie ma u nas rodu, w którym nie dałby się odszukać przynajmniéj jeden osobnik chory na umyśle; tak, iż patologiczne cechy potomstwa mogłyby być wynikiem nie kojarzenia się bliskich krewnych zupełnie zdrowych, lecz objawem dziedziczności atawistycznéj. Że liczne u żydów związki pomiędzy krewnymi, pochodzącymi z rodów patologicznych, wydają potomstwo zwyrodnione, zależy, to nie wprost od bliższego pokrewieństwa przodków, lecz od jednostajności patologicznych usposobień tych przodków. Gdzieindziéj ten sam autor stwierdza, że „starozakonni u nas nie ulegają częściéj obłąkaniu od innych warstw społeczeństwa" (str. 7), co niezależnie od tego, iż samo przez się jest nieoczekiwanym wynikiem, dowodziłoby pośrednio, że wobec tych samych zresztą warunków zbyt częste kojarzenie się pomiędzy krewnymi nie jest czynnikiem, potęgującym ilość zwyrodnień dziedzicznych. Tak tedy, dopóki istniejące dotąd wątpliwości w tym względzie nie zostaną usunięte przez dokładniejsze zbadanie faktów i przez systematyczniejszą statystykę na tych faktach opartą, dopóty musimy poprzestać na tezie, którą Maudsley w swojéj „Patologii ducha" sformułował, że co do małżeństw pomiędzy

(1) Krafft-Elbing. *Lehrbuch der Psychiatrie*, str. 178.

krewnymi wtedy tylko zachodzi większe prawdopodobieństwo powstania potomstwa patologicznego, kiedy się kojarzą osoby pokrewne, z rodu patologicznego pochodzące. Chociaż, jako przeciwwaga dodatnia, większe jest także prawdopodobieństwo, że potomstwo, pochodzące od pokrewnych sobie rodziców zdrowych na ciele i duchu, będzie zdrowe, niż prawdopodobieństwo takiegoż potomstwa od przypadkowo dobranego obcego sobie stadła.

Przekonanie o zgubności dla potomstwa związków małżeńskich pomiędzy krewnymi jest bardzo upowszechnione, popularność ta jednak opiéra się nie na badaniach dokładnych, lecz z zupełnie innego wypływa źródła. Faktem jest, że we wszystkich społeczeństwach, które się pod względem systemu pokrewieństw zbliżają do typu naszych ucywilizowanych społeczeństw, związki pomiędzy blizkimi krewnymi budzą normalnie pewien rodzaj wstrętu jakby instynktowego i pod względem moralnym uchodzą za naganne. Wyjaśnienie rodowodu tego dziwnego zjawiska zawdzięczamy subtelnym i rzeczywiście godnym podziwu poszukiwaniom porównawczo-etnologicznym w najnowszych czasach. Jak się okazuje, pogląd nasz na związki pomiędzy krewnymi jest wynikiem egzogamii, czyli pierwotnie konieczności, a potém zwyczaju zdobywania sobie wyłącznéj towarzyszki życia po za obrębem własnego rodu albo plemienia. Tém się tłómaczy to długo opacznie z naszego stanowiska objaśniane zjawisko, że u wielu plemion kobiéty należące do rodu i będące wspólną własnością wszystkich członków rodu albo rodziny, otaczane są szacunkiem, gdy tymczasem kobiéty porwane z innych plemion lub rodów i stanowiące wyłączną własność swego pana, są w pogardzie. Gdy się już zatraciła świadomość początku tego zwyczaju szukania kobiéty po za obrębem rodu lub plemienia, gdy się on stał normą, wtedy kodeks moralny i religijny adoptował go sobie; dopiéro w najnowszych czasach, poszukując naturalnych racyi tego stanu rzeczy po za nakazami kodeksu moralnego i religijnego, obmyślono racyą profilaktyczno-sanitarną, czyli domniemaną zgubność dla potomstwa. Przykładów takiego przeobrażenia się konieczności i zwyczaju, wobec zatraconych tradycyi, w nakaz moralny historya cywilizacyi podaje co niemiara. I dziś przecież istnieje bardzo dużo społeczeństw, gdzie związki pomiędzy bliskimi krewnymi są normą, uświęconym przez nakaz moralny zwyczajem, związki zaś po za obrębem krwi rodzinnéj uchodzą za hańbiące i karygodne, jak np. u Beduinów i wielu plemion starego i nowego świata; nikt wszakże nie dowiódł jeszcze, aby związki te były zasadniczo zgubnemi i prowadziły do zwyrodnienia i wygaśnięcia rodu, zwłaszcza, że w takim razie i my

nie istnielibyśmy, bo przodkowie nasi, jak to jest bardzo prawdopodobne na zasadzie świadectw wszelkiego rodzaju i analogii, przechodzić musieli długi okres, w którym rodzina kazirodcza i swoista czyli endogamiczna była normalną (1). Wobec tego, zdanie dra Rollego, że przeciwko związkom pomiędzy krewnymi „dawniéj kościół stawiał swoje *veto*, obok moralności zdrowie publiczne mając na względzie“, o tyle tylko jest słuszne, że kościół w danym razie stawał na straży moralności, tj. zwyczaju, który rozwinąwszy się na gruncie w swoim czasie niemoralnym, nieświadomie został późniéj wcielony do kodeksu moralnego bardziéj ucywilizowanych społeczeństw; ale co do zdrowia, mógł kościół pieczołowitość o nie przytaczać jako motyw, podobnie, jak się to dziś dzieje, tylko dowieść niepodobna, że tu rzeczywiście o zdrowie chodziło, bo systemu platonowskiego kontrolowania zdrowia nowożeńców kościół nie podziela.

Skoro zachodzi mowa o związkach pomiędzy krewnymi i ich stosunku do potomstwa, zdaje się, że zarówno ogół jak specyaliści nie zdają sobie należycie sprawy z tego, jak dalece słuszne jest nietylko przenośnie, lecz realnie, zdanie przez kościół głoszone: „wszyscyście bracia“. Wogóle, mamy przesadne wyobrażenie o obcości nie należących do naszéj cywilnéj rodziny osób. Dla ilustracyi tego możemy się uciec do tak zwanego eksperymentu myślowego, który polega na rugowaniu w myśli wpływu pewnych nie dających się w rzeczywistości usunąć czynników, by w ten sposób poznać czyste działanie badanego czynnika, podobnie jak to robi astronom, gdy ruguje w myśli wpływy innych planet zakłócające bieg ziemi i otrzymuje, że ziemia zatacza dokoła słońca drogę eliptyczną, chociaż w rzeczywistości taką ona nie jest. Jeżeli się przyjmie, że w ciągu stulecia zmieniają się trzy pokolenia, że naród nasz pod względem związków małżeńskich żył w odosobnieniu od innych narodów, oraz, że związki pomiędzy krewnymi były stanowczo wykluczone, to się da przeprowadzić następujące rozumowanie: każdy z nas dziś żyjących miał ojca i matkę, czyli dwóch przodków w prostéj linii; daléj dwóch dziadków i dwie babki, czyli jeszcze czterech przodków w prostéj linii; daléj znów czterech pra-

---

(1) W bliższe szczegóły téj kwestyi dotyczące, wchodzić tu niepodobna, czytelnik, pragnący wyrobić sobie pogląd uzasadniony na genezę rodziny naszéj, odpowiednie dane znajdzie w przełożonych na język polski dziełach: Lewisa Morgana „Społeczeństwo pierwotne“ i Giraud-Teulona „Początki rodziny“. Najtrafniejsze, jak sądzę, genetyczne objaśnienie zwyczaju i normy dzisiejszych związków pozarodzinnych podaje Paweł Lacombe w dziele: *La famille dans la société romaine. Etude de la moralité comparée.* (Bibl. antropolog. VII. Paris, 1889; str. 10—21).

dziadków i cztery prababki, czyli jeszcze ośmiu przodków w prostéj linii, i t. d., mnożąc liczbę osób każdego pokolenia przez 2, by otrzymać liczbę osób pokolenia bezpośrednio wstępnego. Cofając się teraz o ośm naprzykład stuleci, a zatém do 25-go pokolenia, otrzymamy, że w r. 1089 musiało ono wynosić 2^{25} czyli 33,554,432 osób, oraz, że ogół wszystkich przodków w prostéj linii każdego z nas w ciągu ośmiu stuleci musiałby wynosić równo 67,108,864 (1). Rachunek ten w zastosowaniu do rzeczywistych warunków, oczywiście jest fałszywy, bo w jedenastém stuleciu nie było tylu Polaków i było ich prawdopodobnie znacznie mniéj, być może (niech mi wybaczą historycy) jakie dwa, trzy miliony. Gdyby jednak warunek niełączenia się krewnych był ściśle przestrzegany, to nieuniknienie musiałoby być owe przeszło 33 miliony. Z tego widzimy na jak rozległą skalę musiały być praktykowane małżeństwa pomiędzy osobami spokrewnionemi w prostéj linii. Należy przytém uwzględnić małżeństwa zawierane z osobami inoplemiennemi, chociaż tych musiało być znacznie mniéj, niż związków pomiędzy osobami jednoplemiennemi. Mieszanie się tedy krwi pomiędzy krewnemi wszelkich stopni musiało być zawsze o wiele większe, niż się to sobie zazwyczaj wyobraża. Ztąd zaś w dalszym ciągu wypadnie, że ilość wspólnych naszych przodków w prostéj linii znacznie była mniejsza niż to powyższy rachunek wskazuje, że jesteśmy potomstwem stosunkowo nie wielkiéj liczby osób, które pomimo swego bliskiego pokrewieństwa łączyły się w ciągu kilku wieków w najrozmaitszych kombinacyach i przekazywały cechy swoje najdalszemu nawet potomstwu tak dalece, że odnajdujemy w sobie nawet rasowe cechy fizyczne i duchowe przedhistorycznych niemal przodków naszych. To ustawiczne mieszanie się krwi wspólnéj we wszystkich pokoleniach zbliża nas wszystkich bardzo pod względem pokrewieństwa; fakt zaś, żeśmy się dotąd nie zwyrodnili zupełnie, pomimo, że posiadamy tyle cech wspólnych, w ciągu tylu pokoleń uporczywie przekazywanych, każe się domyślać, że rzekoma zgubność dla potomstwa małżeństw pomiędzy krewnymi jest wielce wątpliwa. Niektóre, co prawda, fakty zdają się potwierdzać, że mieszańcy z rodziców różnych narodowości bywają szcze-

---

(1) Taką metodę obrachunku podał w r. 1866 znany uczony angielski Grove w mowie swojéj, wygłoszonéj w roli prezesa *British Association*. Po nim, i jak się zdaje, niezależnie od niego w r. 1884, ktoś, podpisujący się $^1/_2$, w angielskiéj „*Nature*“ powtórzył tę samę metodę. Obaj oni nie uwzględnili, że metoda byłaby prawdziwą jedynie pod warunkiem wykluczenia małżeństw pomiędzy krewnymi i nie wprowadzili do rachunku koniecznych ze względu na rzeczywistość poprawek.

gólnie uzdolnieni. Możnaby to sobie tak tłómaczyć, że mieszańcy ci odziedziczają cechy obustronnie nabyte przez rodziców w drodze przystosowania się do odmiennych w każdym narodzie warunków, tak, iż są wielostronniejsi, do większéj rozmaitości warunków przystosowani. Dzieje się tak jednak do pewnego stopnia tylko, gdyż zkądinąd wiadomo, że mieszańcy zbyt odległych od siebie ras ludzkich okazują ślady zwyrodnienia i w dalszym ciągu bywają bezpłodni, o ile z téj lub owéj strony nie przyjdzie na odsiecz czysta krew rasowa.

Na tém zawieszamy uwagi swoje nad pracą dra Rollego. Sam pomysł zbadania dziedziczności psychologicznéj na oryginalnym i pracowicie zbieranym materyale jest znakomity; w wykonaniu jednak pomysłu, jakeśmy widzieli, przeważa niekrytyczny empiryzm. Czém jest ten empiryzm i jakiemi drogami zmierza on do krytycyzmu, wykazane zostało w pierwszéj części pracy naszéj.

Adam Mahrburg.





UBEZPIECZENIE
INWALIDÓW PRACY I STARCÓW,
wedle prawa niemieckiego z dnia 22 czerwca 1889 (1).

Rozwijające się od lat kilku w Niemczech prawodawstwo socyalne zasługuje na pilną uwagę ludzi, odczuwających cierpienia, jakie się kryją pod gładką powierzchnią panującego ustroju ekonomicznego, i pragnących widzieć je złagodzonemi.

Początkowanie instytucyi ubezpieczeń robotników nie jest wprawdzie zasługą Niemiec, zainaugurowały już je dawniéj Francya i Anglia (2), nigdzie wszakże nie zostały one oparte na podstawach tak szerokich i radykalnych, nigdzie nie zostały ujęte w tak systematyczną całość, nigdzie nie przybrały form tak wykończonych, jak w Niemczech.

W ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat popularną była w Niemczech, tak samo jak i w innych krajach, szkoła wysławiająca wszechpotęgę mas pracujących, odpychająca z pogardą wszelką pomoc państwa i bogatych klas społecznych, głosząca, iż samopomoc jest jedynym wystarczającym środkiem do wydźwignięcia mas ludowych z ich zastoju ekonomicznego, intelektualnego i moralnego.

Szkole téj nie można odmówić zasług. Obudziła ona w sferach ludności pracującéj poczucie i świadomość ich siły i zasobów, spotęgowała ich pracę i oszczędność, podniosła ich godność, odzwyczaiła je od wyczekiwania pomocy i zbawienia z zewnątrz i z góry, przyuczyła je do samodzielności, samorządu i łączenia drobnych sił jednostkowych w potężne stowarzyszenia zbiorowe.

---

(1) Gesetz betreffend die Invaliditäts- und Alters-Versicherung vom 22 Juni 1889.

(2) Państwowe kasy ubezpieczenia robotników we Francyi, Anglii i Niemczech opisał W. Wścieklica w „Ateneum“ w zeszytach październikowym i listopadowym za rok 1888.

Kierunek ten był jednak zbyt jednostronny. Drobne mieszczaństwo i drobna własność ziemska zdołały wprawdzie powołać do życia w rozmaitych krajach tysiące stowarzyszeń kredytowych, spożywczych i wytwórczych, skupić pod wspólny sztandar dziesiątki tysięcy uczestników, nagromadzić milionowe oszczędności i połączonemi w ten sposób siłami stawiać dość skuteczny opór kapitalizmowi, wrogiemu produkcyi na małą skalę. Ale cała klasa robotnicza, pozbawiona wszelkiéj własności, rozporządzająca jedynie pracą rąk swoich, stoi po za temi stowarzyszeniami, za wiele jéj brak do opędzenia koniecznych potrzeb bieżących, ażeby mogła myśléć o oszczędzaniu i zapewnieniu sobie lepszéj przyszłości, zbyt ona słaba, ażeby samopomoc była dla niéj wystarczającą i stanowić mogła siłę, równoważną potędze kapitału. W Anglii klasy robotnicze biorą wprawdzie przeważny udział w towarzystwach wzajemnéj pomocy, ale nawet i w téj klasycznéj krainie *self-helpu* coraz bardziéj toruje sobie drogę opinia, iż dla prawdziwie biédnych towarzystwa wzajemnéj pomocy są niedostępne, że dla ogółu klasy robotniczéj samopomoc nie jest wystarczającą do zabezpieczenia go od tych wszystkich wypadków, które w ciągu życia człowieka, a zwłaszcza w twardych warunkach bytu robotnika, czyhają na jego zdrowie i dobrobyt.

Pod sztandarem samopomocy kapitalizm znalazł teoretyczne usprawiedliwienie swego egoizmu i bezwzględnego wyzyskiwania swéj przewagi,—państwo zaś zepchnięte zostało do roli władzy policyjnéj, czuwającéj nad zachowaniem zewnętrznego, powierzchownego porządku, bez prawa wglądania jakiemi to środkami porządek ten jest okupywany i bez możności podjęcia jakiéjkolwiek inicyatywy celem wprowadzenia zmian we wzajemnym stosunku pracy do kapitału.

Z ciasnego tego koła samopomocy wyprowadza robotnika stopniowo prawodawstwo niemieckie, poczynając od 1883 roku. Do utrzymywania instytucyi ubezpieczeń robotnika na wypadek choroby prawem z dnia 15 czerwca 1883 zobowiązani zostali robotnicy łącznie z pracodawcami. Ciężar ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków prawem z dnia 6 lipca 1884 włożony został wyłącznie na pracodawców. Wreszcie do ubezpieczenia robotnika na wypadek niezdolności do pracy i starości prawem z dnia 22 czerwca 1889 r. przyczyniać się winni zarówno robotnicy, jak pracodawcy i państwo.

Bliższy rozbiór ostatniego z tych praw będzie przedmiotem niniejszego artykułu.

Prawo z 22 czerwca 1889 r. zostało uchwalone i pozyskało sankcyą cesarską, dotychczas wszakże w wykonanie go nie wprowa-

dzono—termin, od którego ono w części lub całości ma rozpocząć swoję siłę obowiązującą, ustanowiony będzie przez osobne rozporządzenie cesarskie (§ 162), wedle oświadczenia w parlamencie ministra Böttichera termin ten nie nastąpi przed 1 stycznia 1891.

Liberalna szkoła ekonomiczna. w pełném zaufaniu do dobrych stron natury ludzkiéj, żąda dla każdéj jednostki wolności, swobody w pracy i przedsiębraniu środków celem zapewnienia sobie dobrobytu. *Laissez-faire*, *laissez passer*. Żywi ona to przekonanie, że człowiek wolny, nie znajdujący żadnych na swojéj drodze szranek, wybiera sobie ten kierunek, który najpewniéj do szczęścia go zawiedzie, że obok tego krzyżujące się wole jednostek nie tylko nie staną z sobą w kolizyi, ale przeciwnie zleją się w harmonią i sprowadzą raj na ziemi.

Socyalizm państwowy nie dzieli tego idealnego zapatrywania na naturę człowieka,—przeciwnie skłania się on bardziéj do uwierzenia w przewagę stron ujemnych nad dodatniemi, do przypuszczenia, że słabości i namiętności natury ludzkiéj zbyt często każą zapominać jednostce nietylko o szczęściu ogółu, ale nawet o własném dobru, i dla tego nie wolnością lecz przeciwnie, drogą przymusu osiągnąć pragnie cele dobra tak indywidualnego jak i ogólnego.

Przymus jest tedy zasadniczą podstawą wszystkich wyżéj wymienionych instytucyi, ubezpieczających w rozmaity sposób byt klasy roboczéj, a pomiędzy niemi i instytucyi ubezpieczeń inwalidów pracy i starców.

Do instytucyi téj należą tedy obowiązkowo po ukończeniu 16 roku życia:

1. robotnicy, pomocnicy, czeladź, terminatorowie, służący, pracujący za wynagrodzeniem;

2. oficyaliści, subiekci i uczniowie handlowi (za wyłączeniem aptekarzy), których płaca roczna nie przenosi 2000 marek;

3. płatna osada okrętowa.

Obowiązek ubezpieczenia się może być przez uchwałę Rady związkowéj rozciągnięty:

1. do drobnych przedsiębiorców, którzy nie zatrudniają stale ani jednego najemnika;

2. do przedsiębiorców przemysłu domowego bez względu na liczbę zatrudnionych przez nich najemników. Za pracujących w przemyśle domowym uważają się ci, którzy na własnych warsztatach produkują ze zlecenia i na rachunek innych przedsiębiorców. Dopóki jednak uchwała Rady związkowéj w tym przedmiocie nie nastąpi, osoby téj kategoryi nie są obowiązane, ale mają prawo dobrowolnie w instytucyi się ubezpieczać.

Od obowiązku ubezpieczania się wolni są robotnicy, nieotrzymujący wynagrodzenia w pieniądzach, ale jedynie w utrzymaniu, tudzież ci, którzy nie są w stanie stale zarabiać przynajmniéj jednéj trzeciéj części płacy zwyczajnego najemnika.

Robotnicy, mający tylko czasowe zajęcia, nie są wyłączeni od obowiązku ubepieczenia się, Rada związkowa może wszakże niektóre ich kategorye od obowiązku tego uwolnić.

Fundusze instytucyi tworzą się ze składek wnoszonych peryodycznie w równych częściach przez ubezpieczonego robotnika i jego pracodawcę.

Pod względem wysokości składek, rozmaite w czasie prac przygotowawczych dały się słyszéć poglądy. Projekt rządowy proponował ustanowienie wysokości składek wedle miejscowości;—całe Niemcy miały być podzielone na pięć klasa dla każdéj z nich ustanowiona oddzielna wysokość składki i renty. W komisyi proponowano jednakową dla wszystkich ubezpieczonych składkę i jednakową rentę. Jako motywum posłużyła tu prostota procedury, tudzież wzgląd na ludność rolniczą, która będąc gorzéj płatną od ludności fabrycznéj, byłaby upośledzoną przy ustanowieniu wysokości renty w stosunku do wysokości pobieranéj płacy. W odparciu tych argumentów przytoczono, iż klasy roboczéj nie można traktować jak jednę szarą masę, że pomiędzy robotnikami znajdują się wielkie różnice pod względem uzdolnienia, i do wszystkich jednéj miary stosować nie można. Ostatecznie zwyciężyła zasada podziału na klasy w stosunku do wysokości zarobków, i klas tych ustanowiono cztery:

do	klasy	I	zarabiający	rocznie	niżéj	35o	marek	
„	„	II	„	„	od	35o	„	do 55o
„	„	III	„	„	„	55o	„	„ 85o
„	„	IV	„	„	wyżéj	85o	„	

Dla każdéj z tych klas ustanowiono oddzielną opłatę na czas 10-letni, po upływie którego nowa opłata w miarę potrzeby co lat pięć ustanowiana będzie.

Na pierwszy okres dziesięcioletni wysokość tygodniowych wniosków ustanowioną została:

dla	klasy	I	na	14	fenigów
„	„	II	„	20	„
„	„	III	„	24	„
„	„	IV	„	30	„

Opłaty te wnoszą w równych połowach ubezpieczony i jego pracodawca.

Każdy ubezpieczony zaopatrzony zostaje w kartę pokwitowań (*Quittungskarte*), która nosi datę jéj wydania. W każdéj takiéj karcie znajduje się miejsce do przylepiania marek na 47 tygodni.

Składki tygodniowe, przynależne od ubezpieczonego, pracodawca upoważniony jest potrącać z jego płacy i tak tę składkę, jak i tę, którą sam wnieść jest obowiązany, powinien uiścić przez wlepienie odpowiedniéj marki do karty pokwitowań. Jeżeli ubezpieczony nie pracuje cały tydzień u jednego pracodawcy, to ten z nich, u którego ubezpieczony pracuje na początku tygodnia, winien wnieść składkę za cały tydzień.

Potrącanie z płacy robotnika na rzecz instytucyi ubezpieczeń może nastąpić tylko za dwa ostatnie peryody płatnicze, i tak np. jeżeli wypłata następuje co dwa tygodnie, to potrącić wolno robotnikowi tylko za cztery tygodnie. Jeżeli pracodawca zaniechał uskutecznić tych potrącań we właściwym czasie, to późniéj robić mu tego już nie wolno, robotnikowi wypłacić musi całą płacę, a zaległe składki wnieść z własnéj kieszeni.

Oprócz tego pracodawca ściąga na siebie za spóźnione wlepianie marek, karę 300 marek; taka sama kara spotkać go może za wlepianie marek niedostatecznéj wysokości.

Główny tedy ciężar ubezpieczenia robotnika spada na pracodawcę, obowiązany on nietylko wnosić składki w takiéjże wysokości, jak sam ubezpieczony, ale nadto musi spełniać funkcye poborcy, i cała odpowiedzialność za regularny pobór na niego spada. Jakże to daleko odbiegliśmy od owych pojęć, które odniosły zwycięstwo w parlamencie francuskim po roku 1848, wedle których pracodawca nie ma bynajmniéj względem swych robotników większych obowiązków, niż wszyscy inni obywatele kraju, i do żadnych na ich korzyść ofiar znaglony być nie może!

Po zapełnieniu karty pokwitowań markami, złożyć ją należy do instytucyi ubezpieczeń, w razie niezłożenia jéj po upływie trzech lat od daty wydania, traci ona swoję wartość. Karta pokwitowań służyć winna wyłącznie do wlepiania marek, pod karą zaś kryminalną zabroniono pracodawcom wpisywania do nich świadectwa o sprawowaniu lub uzdolnieniu robotnika. W ten sposób zapobieżono przemianie kart pokwitowań w nienawistne klasie roboczéj książki służbowe, Z tego téż powodu porzucono projektowane pierwotnie książki, a zaprowadzono karty pokwitowań, a nadto dla usunięcia możności dowiedzenia się o przebiegu życia robotnika z zestawienia marek za dłuższy przeciąg czasu, karty pokwitowań służą tylko na jeden rok i mogą na każde żądanie robotnika być zamienione na inne.

W pierwotnym projekcie, którego głównym twórcą był minister Bötticher, ciężar ubezpieczenia miał być rozłożony w trzech równych częściach: na ubezpieczonego, pracodawcę i skarb państwa; projekt ten uległ jednak późniéj zmianie w tém, że ubezpieczony i pracodawca płacą składki, w wysokości wyżéj określonéj, państwo zaś składek żadnych nie wnosi, ale natomiast dopłaca rocznie do każdéj wymagalnéj renty stałą kwotę 50 marek; w ten sposób, ponieważ jakeśmy wyżéj widzieli, mniéj zarabiający, wnosząc niższe składki, otrzymywać będą mniejsze renty od zamożniéjszych, płacących wyższe składki, przeto przy równym zasiłku rządowym dla wszystkich klas i bez różnicy czasu, przez jaki wnioski są składane, zasiłek ten przychodzić będzie z większą pomocą mniéj zamożnym, tudzież tym, których niezdolność do pracy wcześniéj zaskoczyła.

Zaznaczyć w tém miejscu należy różnicę, jaka zachodzi pod względem zasiłku rządowego pomiędzy niemiecką instytucyą ubezpieczeń inwalidów i starców, a francuską *Caisse nationale des retraites pour la vieillesse*, która jest jednocześnie instytucyą ubezpieczeń inwalidów w stosunku do tych z ubezpieczonych, którzy przedwcześnie stają się niezdolnymi do pracy.

Otóż inwalidom tym przychodzi skarb francuski z pomocą, płacąc im wyższe renty, aniżeli w stosunku do wniesionych składek im się należy, z tém wszakże ograniczeniem, że najwyższa płaca roczna nie może przekroczyć trzy razy wziętéj renty, jaka przypada ze składek przez niego samego wniesionych, a w każdym razie nie może przewyższyć 360 franków.

Dopłata zatém skarbu francuskiego może dojść do 240 franków, podczas kiedy dopłata skarbu niemieckiego nie przekracza nigdy 50 marek rocznie na rzecz jednego ubezpieczonego.

Zauważyć wszakże należy, że we Francyi dopłatę otrzymują tylko przedwcześni inwalidzi pracy, w Niemczech zaś tak inwalidzi, jak i starcy, a co najważniejsze, że instytucya francuska, jako dobrowolna, nie może nigdy dojść do tych rozmiarów, co niemiecka, która jest przymusową i ogarnia bardzo szerokie sfery ludności; jest przeto do przewidzenia, że dopłata skarbu niemieckiego będzie nieporównanie wyższa, aniżeli francuskiego.

Oprócz dopłat 50 markowych państwo bierze jeszcze na swój ciężar tę część renty, jaka przypada ubezpieczonym za czas pełnienia służby wojskowéj.

Prawo do renty zyskuje ubezpieczony w wypadku stałéj niezdolności do pracy, lub starości.

Pojęcie niezdolności do pracy było przedmiotem żywych dyskusyi. W pierwszym projekcie rządowym do pojęcia tego przywiązano zupełną niezdolność do pracy, w parlamencie wszakże uznano, iż ktoś może nie być zupełnie pozbawionym fizycznéj zdolności do pracy, a pomimo to ze względu na siły swoje, talenta i stanowisko, może być uznanym za kwalifikującego się do pobierania renty, że np. subjekt handlowy, któryby już nie mógł być użytym do innych zajęć jak tylko np. do zamiatania ulic, winien być uznany za inwalida, chociażby mu jeszcze pozostała zdolność do tego rodzaju pracy, jak zamiatanie ulic.

Ostatecznie zatém prawo uznało za niezdolnego do pracy każdego, który nie jest w stanie zarobić sumy, wynoszącéj $1/6$ średniego zarobku, od którego w ciągu ostatnich pięciu lat wnosił składki, a także $1/6$ części dziennego zarobku, płaconego zwyczajnemu najemnikowi w miejscu ostatniego jego stałego zatrudnienia.

Prawo przyjmuje tedy dwie normy zarobkowe: zarobek średni i zarobek zwyczajowo-miejscowy.

Dla wynalezienia zarobku średniego, ubezpieczeni podzieleni zostali, jak wyżéj widzieliśmy, na cztery klasy, i dla każdéj z nich ustanowiony został zarobek średni, i tak:

dla klasy	zarabiającéj rocznie	przyjęto jako zarobek średni
I	niżéj 350 marek	300 marek
II	od 350 do 550 m.	500 „
III	„ 550 „ 850 „	720 „
IV	wyżéj 850 m.	960 „

Zwyczajowo-miejscowy zarobek dzienny ustanowiony zostaje dla rozmaitych miejscowości stosownie do danych warunków oddzielnie dla mężczyzn, kobiét, młodzieży i dorosłych, i zarobek każdéj z tych grup pozostaje niezmienny, bez względu na rodzaj zatrudnienia i stopień uzdolnienia zarobkującego.

Przy uznaniu niezdolności do pracy, bierze się w rachubę tak zarobek średni, jak i zarobek zwyczajowo-miejscowy. I tak np. dla robotnika, zaliczonego do klasy I-éj, szósta część jego średniego zarobku wynosi 50 marek rocznie; jeżeli zwyczajowo-miejscowy zarobek dzienny najemnika téj co on kategoryi wynosi 50 fenigów, czyli 150 marek, a szósta jego część 25 marek, to za niezdolnego do pracy uznany zostaje wówczas, jeżeli rocznie nie może zarabiać sumy, powstałéj z dodania szóstéj części średniego (50 marek) i zwyczajowo-miejscowego (25 marek) zarobku, to jest 75 marek. Ażeby poznać jak względne jest pojęcie niezdolności do pracy, weźmy drugi przykład. Szósta część średniego zarobku ubezpieczonego w IV klasie wynosi 160 marek rocznie, jeżeli ubezpieczony ten jest

mężczyzną dojrzałym, który wedle zwyczajowo-miejscowego zarobku jest w stanie zarabiać 3 marki dziennie, czyli 900 marek rocznie, to za niezdolnego do pracy poczytuje się wówczas, jeżeli znajduje się w położeniu takiém, że nie może zarobić $^1/_6$ średniego zarobku tj. 160 marek *plus* $^1/_6$ zwyczajowo-miejscowego zarobku tj. 150 marek czyli razem 310 marek.

Koniecznym warunkiem otrzymania renty przez niezdolnego do pracy jest wnoszenie składek, przynajmniéj przez lat 5; przed upływem tego terminu ubezpieczony nie ma prawa do renty i wniesione składki zwrotowi nie ulegają.

Za pełny rok uważa się 47 tygodni; jeżeli ubezpieczony płacił regularnie składki co tydzień, a zatém 52 składki, to mu się liczy rok i 5 tygodni; przeciwnie, jeżeli w ciągu roku nie wniósł 47 składek, to z następnego roku odlicza mu się tyle tygodni, ile w poprzednim roku brakowało do 47.

Zasady obliczenia renty niezdolnego do pracy są następujące: Za podstawę służy suma 60 marek, do któréj dolicza się zasiłek rządowy 50 marek, czyli razem 110 marek, suma ta wzrasta w miarę postępu czasu i w stosunku do klasy zarobkowéj, do któréj ubezpieczony należy.

Przy redagowaniu prawa brani byli w opiekę przedewszystkiém ludzie mniéj zamożni, i z tego powodu jak przy zasiłku rządowym, tak samo i przy sumie podstawowéj przyjętą została jednakowa wysokość dla wszystkich bez wyjątku ubezpieczonych, bez względu na klasy zarobkowe i czas trwania ubezpieczenia. Inwalid przeto należący do najniższéj klasy zarobkowéj i ubezpieczony przez *minimum* czasu, dającego prawo do renty, otrzymuje takisam zasiłek rządowy i taką samę sumę podstawową, tj. 50+60=110 marek, co i ubezpieczony, należący do najwyższéj klasy i płacący składki przez możliwie najdłuższy czas. Dopiéro wyżéj po nad *minimum* 110 marek rozpoczyna się stopniowanie, zależne od klasy zarobkowéj i czasu trwania ubezpieczenia.

Stopniowanie to odbywa się w sposób następujący:

dla klasy	I	2	fenigi	tygodniowo
"	II	6	"	"
"	III	9	"	"
"	IV	13	"	"

W ten sposób, im kto dłużéj wnosił składki i do wyższéj należał klasy, a tém samém większe płacił składki, ten na wypadek niezdolności do pracy wyższą pobiéra rentę, jak to wykazuje następująca tabliczka:

po upływie lat	I klasa	II klasa	III klasa	IV klasa
	m	a r	e	k
5 lat	114,70	124,10	131,15	140,55
6 „	115,64	126,92	135,38	146,66
7 „	116,58	129,74	139,61	152,77
8 „	117,52	132,56	143,84	158,88
9 „	118,46	135,38	148,07	164,99
10 „	119,40	138,20	152,30	171,10
15 „	124,10	152,30	173,45	201,65
20 „	128,80	166,40	194,60	232,20
25 „	133,50	180,50	215,75	262,75
30 „	138,20	194,60	236,90	293,30
40 „	147,60	222,80	279,20	354,40
50 „	157,00	251,00	321,50	415,50

Przyjrzyjmy się teraz sposobowi obliczenia wysokości renty na przykładzie.

Przypuśćmy, że ubezpieczony czeladnik mularski, zarabiający dwie marki dziennie, czyli 600 marek rocznie, a zatém zaliczający się do klasy III, staje się niezdolnym do pracy po 25 latach wnoszenia składek. Wedle tablicy powyższéj przypadałaby dla niego renta w sumie 215 marek 75 fenigów. Ponieważ jednak w ciągu 25 lat człowiek przechodzi rozmaite koleje, od których nie wolny był i nasz czeladnik mularski, przeto i renta jego los ten dzielić musi. W pierwszych latach zapłata dzienna wynosiła zaledwie markę czyli 300 marek rocznie, ten przeto czas zalicza się do klasy I-éj a późniéj bywało, iż zimą nie mógł znaleźć zajęcia w swoim zawodzie i musiał szukać zarobku po rozmaitych fabrykach, gdzie zarabiał po 1 ½ marki dziennie, czyli w stosunku rocznym 450 marek (klasa II), zdarzały się także i latem miesiące stagnacyi, które wyganiały go po zarobek aż na wieś, gdzie się wynajmował do robót w polu i zarabiał zaledwie markę dziennie (klasa I). Nareszcie przez czas pewien pozostawał w służbie wojskowéj, który to czas zalicza się wedle prawa do klasy II-éj (§ 28).

Zebrawszy to razem wypadnie:

550 tygodni klasy III
350 „ „ II
275 „ „ I
1175 : 47=25 lat.

Po rozklasyfikowaniu w ten sposób całego okresu 25-letniego wedle klas, wysokość renty oblicza się jak następuje:

Suma podstawowa	m.	60
Zasiłek państwowy	„	50
550 tygodni klasy III po 9 fenigów	„	49.50
350 „ „ II „ 6 „	„	21
275 „ „ I „ 2 „	„	5.50

Renta roczna wynosi zatem marek 186.

Przechodzimy z kolei do renty starców.

Warunkami koniecznemi do uzyskania téj renty są: skończonych lat 70 i wnoszenie składek przez lat 30, czyli licząc 47 tygodni w roku, przez 1410 tygodni. Kto warunkom tym zadość uczynił, otrzymuje rentę starości, choćby jeszcze był zdolnym do pracy.

Renta starców tworzy się przez doliczanie każdego tygodnia

dla klasy I po 4 fenigi
„ II „ 6 „
„ III „ 8 „
„ IV „ 10 „

Po upływie zatém lat 30 powstają następujące fundusze:

dla klasy	ilość tygodni		tygodniowy przyrost		fundusz instytucyi		zasiłek państwowy		roczna renta
I	1410	×	4	=	56 m. 40 fen.	+	50 m.	=	116 m. 40 f.
II	1410	×	6	=	84 „ 60 „	+	50 „	=	134 „ 60 „
III	1410	×	8	=	112 „ 80 „	+	50 „	=	162 „ 80 „
IV	1410	×	10	=	141 „ — „	+	50 „	=	191 „ — „

Renta starców jest zatém niższa od renty inwalidów, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę, że renta starca nie powiększa się z upływem lat, iż ubezpieczony może płacić składki nietylko przez 30, ale przez 40 i 50 lat, a pomimo to wysokość renty pozostaje zawsze ta sama.

Zamieszczone poniżéj porównanie przekonywa o wyższości renty inwalidów nad rentą starców:

klasa	renta starca	renta inwalida po latach 30	40	50
I	116 m. 40 f.	138,20	147,60	157
II	134 „ 60 „	194,60	222,80	251
III	162 „ 80 „	236,90	279,20	321,50
IV	191 „ — „	293,30	354,40	415,50

Starzec, który wnosił składki dłużéj aniżeli przez lat 30, tę tylko odnosi korzyść, iż do 1410 tygodni zaliczają mu się te, podczas których najwyższe płacił składki.

Niższa renta starców usprawiedliwia się tém, iż prawo do niéj pozyskuje każdy ubezpieczony po ukończeniu 70 roku życia, na-

wet wówczas, jeżeli stan jego zdrowia pozwala mu daléj pracować, że zatém pobiérając rentę, może obok tego jeszcze daléj zarabiać. Jeżeli jednak mało jest ludzi pracy, którzyby dożyli 71 roku życia, to zapewne jeszcze mniéj znajdzie się takich, którzyby, dożywszy tego wieku, mieli siły do dalszéj pracy.

Kto pobiéra rentę inwalida, nie ma prawa do renty starości. Instytucyi ubezpieczenia starości robiony jest powszechnie zarzut, iż zbyt daleko posunęła okres, w którym rozpoczyna się prawo do pobierania renty, iż ciężka praca robotnika i niedostatek rzadko kiedy pozwalają mu dożyć wieku 70 lat skończonych, w którym z prawa korzystać dopiéro może. Trzeba jednak pamiętać o związku, jaki zachodzi pomiędzy ubezpieczeniem starości, a ubezpieczeniem na wypadek niezdolności do pracy. Prawo do renty uzyskuje ubezpieczony, jeżeli się stał niezdolnym do pracy już w szóstym roku po przystąpieniu do instytucyi; a zatém ponieważ każdy robotnik obowiązany jest ubezpieczać się od 17 roku życia, to w wypadku niezdolności, zaszłym w 23 roku życia, już ma prawo do renty; prawo zaś do renty starości wówczas tylko się realizuje, jeżeli do 71 roku życia ubezpieczony jest zdrów i zdolny do pracy, w razie zaś wcześniejszéj niezdolności, pobiéra rentę, przypadającą mu jako inwalidowi.

Jakkolwiek do pojęcia inwalida przywiązana jest stała i nieuleczalna niezdolność do pracy, to jednak prawo rozciąga dobrodziejstwo instytucyi i do czasowo nieudolnych; a to w ten sposób, iż przez pierwszy rok czasowéj niemocy ubezpieczony nie ma żadnego prawa do renty, a dopiéro od początku drugiego roku do czasu powrotu do zdrowia pozyskuje to prawo. Pierwszy rok dla tego jest wyłączony, iż dla chorych istnieje oddzielna instytucya ubezpieczeń, któréj pomoc ograniczona jest do jednego roku. Wogóle wszystkie instytucye ubezpieczeń dla robotników, wprowadzone w życie przez świéże prawodawstwo niemieckie, stanowią jeden łańcuch, którego pojedyncze ogniwa wzajemnie z sobą się łączą.

W wypadku zasłabnięcia ubezpieczonego, winien on przedsiębrać środki, jakie mu przez instytucyę ubezpieczeń wskazane będą. Środki te zmierzają do przywrócenia choremu zdrowia i uchronienia go od popadnięcia w stan niezdolności do pracy, któryby pociągnął dla instytucyi obowiązek płacenia renty. W razie niestosowania się ubezpieczonego do przepisanych mu środków i dojścia skutkiem tego do niezdolności do pracy, prawo do renty upada.

Podczas choroby, ubezpieczony składek nie płaci, lecz czas ten liczony jest na jego korzyść, jak gdyby składki wnosił; dobro-

dziejstwo to rozciąga się tylko do jednego roku, w razie zaś przedłużenia się choroby, ubezpieczony uważa się już za kwalifikującego się do pobierania renty.

Renta wypłaca się za pośrednictwem urzędów pocztowych co miesiąc, gotowizną z góry.

Robotnicy, zatrudnieni w rolnictwie i leśnictwie, otrzymujący zapłatę w całości lub w części nie gotowizną, ale w naturaliach, czyli wedle używanego u nas wyrażenia, otrzymujący ordynaryę, obowiązani są przyjmować rentę w téjże saméj formie, do wysokości maksymalnéj dwóch trzecich części przypadającéj im sumy. Nałogowi pijacy, obowiązani są w każdym razie, nawet wówczas, kiedy w téj formie zarobku nie otrzymywali, przyjmować całkowitą rentę w artykułach żywności, pomieszkaniu i t. p.

Kobiéty są równouprawnione z mężczyznami; korzystają z tych samych praw i ponoszą te same ciężary. Wykluczenie kobiét z instytucyi ubezpieczeń byłoby nietylko niesprawiedliwe, ale i niebezpieczne pod względem socyalnym, gdyż przedsiębiorcy zwolnieni od płacenia składek za robotnika, rugowaliby wedle możności mężczyzn i eksploatowaliby nadmiernie pracę kobiét. Prawo uczyniło tylko zastrzeżenie co do kobiét wychodzących za mąż, a mianowicie: kobiéta ubezpieczona, nie pobierająca jeszcze renty, przy wstąpieniu w związki małżeńskie traci prawo do renty a natomiast otrzymuje zwrot wniesionych przez nią składek, fundusz zaś złożony na jéj rzecz przez pracodawcę zwrotowi nie ulega. Jeżeli jednak małżeństwo następuje przed upływem pięciu lat od chwili przystąpienia do instytucyi, to przepadają i własne składki ubezpieczonéj. Kobiéta wstępująca w związki małżeńskie otrzymuje jednorazowo:

po latach	klasa I	klasa II	klasa III	klasa IV
5	16,45	23,50	28,25	35,25
10	32,90	47	56,50	70,50
15	49,35	70,50	81,60	105
20	65,80	94	112,80	141
30	98,70	141	169,20	211,50

Z nazwy instytucyi możnaby wnosić, że ona ma na celu ubezpieczenie samych tylko robotników na wypadek niezdolności ich do pracy i starości, tymczasem rozciąga ona swoję działalność i do rodziny robotnika, na wypadek jego śmierci, jakkolwiek w ograniczonéj mierze.

Po śmierci ubezpieczonego mężczyzny, niekorzystającego jeszcze z renty, pozostała po nim wdowa, a w jéj braku dzieci, nie mające lat 15, otrzymują zwrot wniesionych przez ubezpieczonego

składek. W razie śmierci ubezpieczonéj kobiéty, to samo prawo przysługuje pozostałym po niéj dzieciom młodszym od lat 15, ale w tym tylko wypadku, jeżeli nie mają ojca. Prawa te wchodzą jednak w życie dopiero po upływie 5 lat trwającego ubezpieczenia; jeżeli śmierć ubezpieczonego nastąpiła przed upływem lat pięciu, albo jeżeli ubezpieczony już za życia korzystał z renty, pozostała po nim rodzina nic nie otrzymuje.

W stosunku zatém do pozostałéj wdowy i sierot instytucya ubezpieczeń inwalidów i starców jest właściwie kasą oszczędności, bo im zwraca tylko wniesione składki; do funduszu wniesionego przez pracodawcę, ani do zasiłku rządowego, ani wreszcie do funduszu powstałego z niekorzystania z renty przez wcześnie zmarłych ubezpieczonych, rodzina pretensyi rościć nie może.

W ten sposób pogodzone zostały poniekąd dwie walczące z sobą w teoryi zasady: ubezpieczenie i oszczędność. Pierwszą spotyka zarzut, że jest wytworem egoizmu, że ubezpieczony ma tylko na pamięci własną osobę, własną starość i wypadki, osobiście jego dotknąć mogące, zapomina zaś o przyszłości swéj rodziny, o losie pozostających po jego śmierci wdowy i sierot. Oszczędności znowu stawiany jest zarzut, że owoce jéj są nader skąpe i niewystarczające, ani dla samego oszczędzającego, ani dla rodziny, bo oszczędzający musi poprzestać na własnym swoim kapitale, wraz z narosłymi procentami, podczas kiedy ubezpieczony korzysta nadto z funduszu tych współuczestników instytucyi, którzy przez wcześniejszą śmierć z niéj nie korzystają.

Niemiecka tedy instytucya ubezpieczeń inwalidów i starców jest w stosunku do samego ubezpieczonego zakładem asekuracyjnym, a w stosunku do pozostałéj po nim rodziny kasą oszczędności.

Z uznaniem w tém miejscu zaznaczyć wypada, iż rząd niemiecki nie uważa jeszcze dzieła swego o ubezpieczeniu robotników za skończone, i że zapowiedziane jest uzupełnienie go przez instytucyę ubezpieczeń wdów i sierot.

Cudzoziemcy nie są wyłączeni od obowiązku należenia do instytucyi, ani od prawa korzystania z renty na ogólnych warunkach; jeżeli jednak korzystając już z renty, opuszczają granice cesarstwa Niemieckiego, otrzymują jednorazowy zasiłek, wyrównywający trzyletniéj rencie, i jednocześnie tracą prawo do dalszéj renty.

Wspomnieliśmy wyżéj kilkakrotnie, iż prawo do otrzymania renty inwalida zyskuje się dopiero po latach pięciu, renty starca po latach 30,—w ten sposób pierwsza renta wypłacona byłaby dopiero po latach 5, ewentualnie 30, od chwili wejścia w życie instytucyi.

Ażeby jednak przyśpieszyć jéj dobrodziejstwa i skutki jéj uczynić widoczniéjszemi, renta inwalida na mocy postanowień przepisów przejściowych wypłacana będzie już tym, którzy się staną niezdolnymi do pracy choćby po jednym roku od daty uczestniczenia w instytucyi i przez pięć lat byli czynnymi w zawodzie, którego pracownicy obowiązkowo do instytucyi należéć powinni. Jeżeli tedy instytucya ubezpieczeń zacznie funkcyonować np. od dnia 1 stycznia 1891 r., to uczestnik, któryby po 1 stycznia 1892 stał się niezdolny do pracy, i do tego czasu wniósł 47 składek tygodniowych, otrzyma rentę stosownie do klasy zarobkowéj, do któréj należał. Za czas brakujący do 5 lat służy za podstawę do obliczenia renty I klasa zarobkowa.

Jeszcze większe znaczenie mają przepisy przejściowe dla starców, a mianowicie ci, którzy w chwili wejścia prawa w wykonanie ukończyli lat 40, nie potrzebują opłacać składek przez lat 30, termin 30 letni o tyle dla nich się skraca, o ile są starsi nad lat 40, a zatém ludzie 50 letni winni opłacać składki tylko przez lat 21, sześćdziesięcioletni przez lat 11 itd.; bez względu więc przez jaki przeciąg czasu opłacać będzie składki ubezpieczony, który w chwili wprowadzenia w wykonanie prawa był starszy nad lat 40, i przedtém przez 3 lata pracował w zawodzie, do którego prawo to się rozciąga, otrzyma całkowitą rentę po ukończeniu 70 roku życia.

Osoby, które nie są obowiązane uczestniczyć w instytucyi ubezpieczeń, ale mają prawo z niéj korzystać, nie otrzymują żadnego zasiłku rządowego. Osoby te zaliczają się bez wyjątku do zarobkujących klasy drugiéj, wnoszą tygodniowo całkowitą opłatę, klasie téj odpowiadającą, to jest 6 fenigów, a nadto obowiązane są każdego tygodnia doklejać markę dodatkową w cenie 6 fenigów, która uiszczoną zostaje przez samego ubezpieczonego w miejsce dopłaty skarbowéj.

Wedle pierwotnego planu, organizacya intytucyi miała być zawodowa, to jest dla każdego rodzaju zajęcia, albo dla kilku spokrewnionych miał być urządzony oddzielny zakład ubezpieczeń. W parlamencie jednak zasada ta została odrzuconą i zwyciężyła zasada organizacyi terytoryalnéj, to jest wszyscy kwalifikujący się do ubezpieczenia, bez różnicy zawodu, zamieszkujący w danéj całości geograficznéj, należą do zakładu. W każdém przeto z państw związkowych, a gdzie niegdzie w każdym związku gminnym (*Komunalverband*) istnieje oddzielny zakład ubezpieczeń, rządzący się autonomicznie.

Zarząd każdego zakładu sprawują urzędnicy państwa związkowego, lub prowincyi, dla któréj zakład jest urządzony. Funkcye

ogólnego zebrania interesowanych spełnia zgromadzenie reprezentantów, złożone z 10 osób, w połowie z przedstawicieli pracodawców, w połowie z przedstawicieli ubezpieczonych. Przy każdym zakładzie urzęduje komisarz rządowy, który czuwa nad interesami całéj instytucyi i państwa. W motywach do prawa powiedziano, iż rola komisarza rządowego nie ma polegać na tém, aby renta była skąpo wydzielona, przeciwnie zadaniem jego jest pilnować, aby ubezpieczeni otrzymywali wszystko to, co z mocy prawa im się należy.

Kwestye sporne rozstrzyga istniejący przy każdym zakładzie sąd polubowny, do składu którego wchodzi stale urzędujący prezes i dodani mu asesorowie, wybrani w połowie z pomiędzy pracodawców i ubezpieczonych.

Na czele całéj organizacyi stoi państwowy urząd ubezpieczeń, który rozciąga kontrolę nad ścisłém wykonywaniem przepisów prawa i poszczególnych statutów. Decyzye urzędu państwowego ubezpieczeń zapadają przy asystencyi dwóch stałych i dwóch czasowych asesorów, pomiędzy którymi znajdować się powinni w równéj liczbie przedstawiciele pracodawców i ubezpieczonych.

Krytyka instytucyi ubezpieczeń inwalidów i starców zarzuca jéj, iż ona właściwie nie jest niczém innem, jak tylko przekształconą formą dotychczasowéj organizacyi dobroczynności publicznéj, i że w gruncie rzeczy nie przychodzi klasom roboczym z hojniejszą pomocą, aniżeli dotychczasowa opieka nad biednymi.

Zarzuty to niesłuszne. Przedewszystkiém instytucya ubezpieczeń nie nosi na sobie upokarzającego dla korzystających z niéj charakteru jałmużniczego—robotnik kaleka lub starzec, nie wyciąga ręki o wsparcie, ale przychodzi po swoje prawo, upomina się o fundusz, który w znacznéj części sam złożył, własnym trudem i potem zebrał.

Następnie wprowadzona jest ważna zasada obowiązku pracodawcy pamiętania o swoim współtowarzyszu pracy nietylko w chwili obecnéj, kiedy pracę jego eksploatuje, ale i o przyszłości jego, kiedy stargane długoletnim trudem siły nie pozwolą mu już pracować, a nie przestaną domagać się odżywiania. Na argumenty tych, którzy twierdzą, że pracodawca nie ma względem swych robotników większego obowiązku, niż każdy inny obywatel kraju, prawo odpowiada: prawda, i dla tego nietylko sami pracodawcy, ale i społeczeństwo całe, wszyscy kontrybuenci podatkowi, pociągnięci zostają do obowiązku wspierania inwalidów pracy i starców, którzy całe swe życie pracowali, a mało zarabiali.

Nakoniec prawo o ubezpieczeniu robotników nie uchyla bynajmniéj dotychczasowych gminnych instytucyi dobroczynnych, (§ 35) przeciwnie utrzymuje je w swéj mocy i nawet przychodzi im z pomocą,—a mianowicie instytucya ubezpieczeń zwraca zakładom dobroczynnym zasiłki, udzielane przez nie osobom, mającym prawo do renty, w granicach tejże renty. Instytucya ubezpieczeń nie pretenduje do usunięcia nędzy z powierzchni ziemi—i dla tego instytucye dobroczynne daléj istniéć będą, jako pomocnicze dla wszystkich tych, którzy z nowéj instytucyi ubezpieczeń albo wcale, albo w niedostatecznéj mierze korzystać będą. Przytém zwrócić należy uwagę, że wedle statystyki ubogich z roku 1885, dobroczynność publiczna udzieliła w Niemczech wsparcia w przecięciu po 55 marek na osobę, tymczasem najniższa renta instytucyi ubezpieczeń wynosi dla inwalida 114 marek 70 fen., dla starca 106 marek 40 fen.—a ponieważ renta dojść może do 400 marek, przeto średnio będzie nierównie znaczniejsza.

Jest więc wielki postęp i pod względem wysokości wsparcia w porównaniu z dotychczasową dobroczynnością publiczną.

Takie są w krótkich zarysach zasady niemieckiéj instytucyi ubezpieczeń inwalidów pracy i starców. Czy droga obrana przez socyalne prawodawstwo niemieckie prowadzi do usunięcia, a przynajmniéj zmniejszenia pauperyzmu? Czy państwo będzie pod tym względem szczęśliwsze od dotychczasowéj inicyatywy prywatnéj? Czy zainaugurowany przymus nie rozciągnie się z czasem i do tych stron życia społecznego, w których on nie jest pożądany? czy pomoc pracodawców i państwa nie osłabi w robotnikach przezorności, energii i ducha asocyacyi? czy nie zwiększy wymagań mas ludowych?—to wszystko są pytania, które otwierają szerokie pole do zastanawiania się i dyskusyi.

J. Kirszrot Prawnicki.





ROCZNA EMIGRACYA POLSKA

I ŚRODKI PRZECIW NIEJ ZARADCZE.

(Dokończenie).

Emigracya zamorska. Najwięcéj w oczy bijąca i może najliczniejsza, lecz bynajmniéj nie najszkodliwsza jest emigracya zamorska, kierująca się głównie do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Argentyny. Za morzem powodzi się naszym emigrantom, wszystko razem uwzględniwszy, lepiéj pod względem materyalnym niż tym, których porwał prąd wędrówki lądowéj. Zachowują oni bez porównania wybitniéj i dłużéj cechy swe narodowe, niż inni, którzy w Niemczech doszczętnie się zwykle wynaradawiają, lub materyalnie giną. W Stanach Zjednoczonych, gdzie jest ich najwięcéj, uorganizowani są w istną rzeczpospolitą odrębną. Jednak pomimo, że zakwita nawet na małą skalę literatura polska przy rozwoju czasopiśmiennictwa polskiego, dochodzącego do liczby mniéj więcéj 30 czy 40 rozmaitych wydawnictw peryodycznych, niepodobna przewidzieć czy i jak długo ta garstka milionowa uchowa swą odrębność w oceanie amerykanizmu. Wprawdzie żywioł polski zdaje się lepiéj trzymać, niż pokrewny anglosaskiemu niemiecki; Niemcy zwykle już w pierwszéj generacyi, a najpóźniéj w drugiéj zapominają swego języka. Praktyka zmusza ich używać jasnych i krótkich wyrażeń angielskich, które mają dla nich nieprzeparty urok (zob. Sering, *Die nordamericanische Concurenz*, str. 96). Pomimo twardszego może usposobienia narodowości polskiéj trzy jednak okoliczności zagrażają jéj w Stanach Zjednoczonych:

1-o. Za mało istnieje łączności z krajami polskiemi, zbyt mało interesujemy się losem współbraci za oceanem, jakgdyby istotnie

były jakieś przestrzenie nieprzebyte na kuli ziemskiéj wobec tegoczesnéj poczty i w ogóle wobec pary i elektryczności; przez co i w nich samych musi mniéj się rozwijać, albo nawet zanikać zajęcie dla pierwotnéj kolébki.

2-o. Straszna, ludożercza niemal, siła asymilacyjna Anglosasów; w pracowitości, energii i przedsiębiorczości nikt yankesom nie dorównał i te przymioty wraz z republikańską formą rządu i wielką swobodą wywierają urok niesłychany.

Rzeczą dotąd nawet niebadaną jest, jakie korzyści mamy i w przyszłości miéć możemy z téj swojéj emigracyi amerykańskiéj.

Jedno poważne źródło informacyjne na zasadzie pocztowych przekazów amerykańskich opiewa, że w ostatnich latach już z jakie 5 milionów dolarów rocznie płynie ze Stanów Zjednoczonych do krajów polskich w małych kwotach pieniężnych: przesyłają je swoim rodzinom emigranci zamorscy. Wartoby tę stronę stosunków emigracyjnych bliżéj zbadać. Przybywanie tak znacznéj sumy ztamtąd rocznie nie byłoby odosobnionem. Czytamy w „Ateneum“ (zesz. styczniowy r. b.) w rozprawie „Madyaryzacya Słowian“, str. 46 i 47, co następuje: „42 emigrantów amerykańskich ze Spiżu, przysłało 1875—80 r. swoim krewnym 13,000 złr. Banki budapeszteńskie w latach 1881 i 1882 wypłaciły na amerykańskie weksle 1.000,497 złr. w małych kwotach po 10 do 30 złr); z tych przypada 351,431 złr. na żupaństwo Szarysz. Od tego czasu wynosiła suma pieniędzy przesyłanych z Ameryki do Szarysza i Zemplina rocznie milion złr. Suma zaś pieniędzy przesyłanych rocznie przez robotników z Ameryki do całych Węgier wynosi wedle peszteńskiego pisma „*Magyar Penzüg*“ (madyarskie pieniądze) rocznie 8 do 10 milionów złr.“ Jestto mniéj więcéj 4½ miliona dolarów. Wziąwszy pod uwagę, że kraje przez Polaków zamieszkałe mają przestrzeń niemal 2 razy większą od krajów korony Św. Szczepana, gęściéj są zaludnione i od dawniejszego czasu wydają emigracyę do Ameryki, byłoby dziwném, gdyby twierdzenie o 5 milionach dolarów było całkiem bezpodstawne.

Obliczając zysk materyalny, jaki mielibyśmy z emigrantów amerykańskich, trzeba odciągnąć od niego stratę, jaką sprawiają krajowi emigrując. Każdy człowiek oprócz sumy małéj, lub dużéj, którą zabiéra z sobą, przedstawia zawsze pewien kapitał, równy co najmniéj kosztom jego odkarmienia, odziania i wychowania jakiegokolwiek. Kapitał ten jest wskutek emigracyi bezpowrotnie stracony. Engel na kongresie ekonomistów w Rzymie porobił bardzo szczegółowe obliczenia tego, co przecięciowo mniéj więcéj „kosztuje“ człowiek dorosły. Molinari (*Notions fondamentales* w *Jour-*

nal des Economistes, maj 1889) oblicza kapitał wydany na wytworzenie człowieka dojrzałego wieku, w którym zwykle się zaczyna emigrować, na 5,000 franków przeciętnie. „W takim razie, mówi ten znakomity ekonomista, 100,000 emigrantów sprawiają narodowi, wypuszczającemu ich, stratę 500 milionów. Zdawałoby się przeto, że środki przeszkadzające téj wędrówce, lub wstrzymujące ją całkiem, odpowiadałyby interesowi żywotnemu narodu, zatrzymując w kraju bogactwo, które się chce przenieść do obcych. Lecz sprawa ta nie jest tak prosta jak się wydawać może na pierwszy rzut oka. Kraje emigracyjne są to właśnie takie, w których wyprodukowanie człowieka, a więc wytworzenie jego usług, przewyższa popyt na te usługi, tj. większe jest, niż tego zachodzi potrzeba w kraju.

„Ta przewyżka jest ciężarem dotkliwym dla społeczeństwa. Najszczuplejsze koszta utrzymania, które wtedy biorą na siebie, czy to gminy czy to ludzie pojedyńczy, stanowią wszystkie razem znaczną kwotę. Obliczając je tylko na 250 franków rocznie od osoby, jestto dla 100,000 osób wydatek roczny 25 milionów, czyli 5% od 500 milionów, tj. od sumy równéj stracie, spowodowanéj wychodźtwem 100,000 osób. Nadto obecność przewyżki ludności, niszcząc równowagę między podażą, a popytem pracy, pociąga za sobą obniżkę zarobków (tj. odsetek kapitałów osobistych) a podwyższenie odsetek kapitałów ruchomych i nieruchomych; tak, że utrzymanie w mowie będącéj przewyżki ludzkiéj musi się bezwarunkowo odbić niekorzystnie na kieszeni znacznéj większości narodu, żyjącéj z zarobku pracy swojéj.“

Uderzającym jest w naszém społeczeństwie fakt, że powszechnie ubytek znaczny przez emigracyę naszéj ludności nie bardzo ciążyć się zdaje na pozostających. Objawia się to w têm, że zwykle dopiéro dane statystyczne otwiérają oczy na wielkie wychodźctwo i wielkie zdziwienie sprawiają. Gdyby emigracya sprawiała pozostającym dotkliwą stratę, to ból ten odczuwanoby i obrachowywanoby jego skutki już przed 20 laty, kiedy się na dobre emigracya zaczynała. Wyjątek tu stanowią rejencye: kwidzyńska i bydgoska, i może jeszcze inne okolice, gdzie istotnie brak rąk roboczych jest wielką klęską. Najwięcéj tu jednak winne są barbarzyńskie środki wyjątkowe, jak wydalania i zakaz sprowadzania sił roboczych z Królestwa.

Zdawałoby się, że jedyną korzyścią z emigracyi dla polskich krain być mogą tylko przesyłki pieniężne emigrantów, przeznaczone dla ich rodzin pozostałych w kraju, i że mowy nawet być nie może o eksporcie polskim na zachód ku krajom o wiele wyżéj sto-

jącym pod względem przemysłowym. Istotnie zbyt wytworów fabrycznych i rękodzielniczych płynie z krajów o wysoko rozwiniętym przemyśle do mniéj rozwiniętych w tym względzie, jak woda z górzystych okolic do nizin. Tymczasem nie jest to reguła bez wyjątku, przynajmniéj nie działa ona z taką niezmiennością jak fizyczne prawo ciążenia. Drogi zbytu torują się często dziwacznie; towary płyną nieraz jakby pod wodę i przez najwyższe pasma gór. Któżby bowiem pomyślał, że zbyt dla domowego przemysłu galicyjskiego otworzy się w Anglii, do téj istnéj Himalai przemysłowéj przez takie Alpy i Andy, jak Niemcy, Holandya i Belgia, i że w Krakowie, Londynie i Glasgowie powstaną bazary w tym celu? Mnóstwo towarów czeskich i austryackich odchodzi do Ameryki, zwłaszcza południowéj, pod firmą angielską lub niemiecką. Niewątpliwie znalazłby się w tych przesyłkach niejeden produkt polski, tak jak pod firmą czeską i niemiecką istnieją w Wiedniu magazyny, sprzedające galicyjskie wyroby przemysłu domowego pod nazwą niemieckich i czeskich. Wielką naiwnością byłoby przypuszczać, że eksport ten wzmódz się może na wielką skalę; ale utrzymywanie i rozwijanie związków z wychodźcami przyczynić się może nawet do materyalnych zysków i choćby do pobocznego drobnego dochodu z tego źródła.

Nie do najmniéj koniecznych, ciekawych i zasłużonych około dobra narodu, należą i należéć będą skrzętne badania sprawy emigracyjnéj, zwłaszcza pod względem wyjaśnienia, ile wychodźctwo sprawia nam strat i przynosi korzyści i jeżeli tylko straty są do zaznaczenia, o ile więcéj tracilibyśmy usiłując energicznie i gorączkowo ją powstrzymywać, o ile przez to wzmogłaby się nędza i oddawanie dziesiątek tysięcy biedaków na pastwę śmierci i gorszych niemal od niéj ajentów emigracyjnych.

Powstaje zatém pytanie, jak się zachować wobec niezaprzeczonego faktu emigracyi, który jakby maczugą uderza w naszą wyobraźnię, budząc wysokością cyfr emigracyjnych nawet najzimniejszych z obojętności. Tablica X (1), zestawiona podług znakomitéj urzędowéj statystyki niemieckiéj, wykazuje, że od przeszło 20 lat po kilkanaście tysięcy ludzi rocznie z samego Księstwa i z samych Prus Zachodnich wędruje za morze; nie zdołała ona, wedle własnego przyznania, dotąd wykazać wszystkich wychodźców uchodzących za morze. Ze statystyki austryackiéj danych emigracyjnych nie warto nawet dotąd czerpać; istnieje bowiem w niej tylko rubryka tych, którzy zadali sobie trud zameldować się do urzędów,

(¹) Ob. zesz. listopadowy „Ateneum“ str. 304.

jako pozbywający się poddaństwa austryackiego; wartość więc jéj równa się zeru pod względem wyświecenia ruchu emigracyjnego, bo zameldowanie się takie pociąga zwykle za sobą powstrzymanie z rozmaitych powodów, jak: służba wojskowa, niedostateczny kapitał wędrującego, tak, że ten skoro tylko ma niekłamaną chęć emigrowania, ucieka prosto w paszczę potworów, zwanych ajentury emigracyjne; one mają dokładne dane handlu ludzkiemi głowami; ujęta w ręce sprawiedliwości ludzkiéj w Wadowicach jedna z głów hydry ajentur wykazuje z ostatnich 2 lat przeszło 60 tysięcy zamorskich wychodźców galicyjskich, nieznanych urzędowym, półurzędowym i nieurzędowym statystykom austryackim. To samo da się powiedziéć o statystyce ruskiéj, która dopiéro od kilku miesięcy zdaje się spostrzegać, że istnieje jakaś emigracya w g. Płockiéj. Najdokładniéjsze dane o wychodźctwie z państw austryackiego i ruskiego czerpać można z urzędowych biur immigracyjnych Stanów Zjednoczonych i Argentyny; mniéj dokładne z biur brazylijskich i kanadyjskich. Tablica XI (ob. str. 304) ułożona wedle pierwszych, a więc niewykazująca bynajmniéj wszystkich wychodźców, przedstawia jednak obraz wprawiający w wielkie zdziwienie niemal każdego, pierwszy raz weń się wpatrującego. Widać z niego, że z Królestwa od całego szeregu lat prąd wychodźczy porywa po kilka tysięcy, a z Rosyi bez Finlandyi i Królestwa Polskiego po kilka dziesiątek tysięcy do samych Stanów Zjednoczonych.

Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że w ostatnich czasach żywiołu polskiego jedynie tylko za morze płynie z jakie 60.000 rocznie (około 30.000 z Galicyi, niemal tyleż ze Szląska, Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich, przeszło 10.000 z pod panowania rosyjskiego). Mechaniczne wstrzymanie téj potężnéj rzeki ludzkiéj za pomocą środków policyjnych, gdyby było wogóle możliwém, groziłoby u nas prawdopodobnie kataklizmem społecznym a z pewnością powiększyłoby nędzę i śmiertelność. Obliczając dla okrągłości liczbę Polaków na 15 milionów (3 pod panowaniem pruskiém, 3 pod austryackiém, 9 pod rosyjskiém) i przypuszczając, że przeciętnie umiera ich stosunkowo 32 (w Poznańskiem 28, w Galicyi 35) na 1000 ogólnéj ludności, wzmożenie się śmiertelności tylko o 1 na 1000 tj. na 33 stanowi utratę 15.000 ludzi jaknajbardziéj bezpowrotną, zniżenie zaś o 1 na 31 jest uratowaniem od śmierci tyluż tysięcy dla narodu. Pytanie czy owo mechaniczne powstrzymanie emigracyi 60.000 ludzi tylko o 4 na 1000 wzmogłoby śmiertelność, nie zaś o wiele więcéj. Statystyka śmiertelności w Poznańskiém wskazuje w latach 1816 do 1875 liczbę 32.50 na 1000 (zob. tabl. II, na str. 297), w latach 1875—85 tylko 28.04 (zob. tabl. III, str. 298). Czy

to zmniejszenie śmiertelności nie przypisać może, oprócz polepszonym urządzeniom sanitarnym też i zwiększonéj emigracyi, tak lądowéj jak zamorskiéj? Rzucam tu tylko to pytanie, lecz nie poważam się na nie odpowiedziéć stanowczo.

Energiczne usiłowanie wstrzymania emigracyi za pomocą donosów policyjnych i tendencyjnych ustaw może istotnie tylko częściowy skutek odnieść na razie; lecz pożytku z tego społeczeństwo niema; zatrzymana cząsteczka uchodzi w ramiona śmierci lub podpada pod wyzysk ajentów emigracyjnych. Sprawa wadowicka wykazuje,że w głębiach mas ludowych złoczyńcy nie tylko zapuszczają od lat wielu sieci na dziesiątki tysięcy ludzi, lecz zawzięcie współzawodniczą, prowadząc formalne wojny między sobą o połów ludzkich istot, jak rekiny o mniejsze ryby. Usiłowanie nieopatrzne mechanicznego wstrzymania emigracyi mąci tylko wodę i znakomicie ułatwia ohydne rybołówstwo. Wszelka policya jest bezsilna wobec hydry, któréj odcięta głowa zawsze gdzieś wyrośnie, tj. wobec znakomitych organizacyi ajentur emigracyjnych, rozporządzających olbrzymiemi kapitałami i ciągnących ogromne zyski ze stręczenia pracy rąk ludzkich pożądającéj ich Ameryce. Światło dzienne, żywe zainteresowanie się losem emigrantów ze strony społeczeństwa oraz roztoczenie nad nimi rozumnéj opieki najskuteczniéj położyłyby tamę nieludzkiéj spekulacyi, czyhającéj tylko na zysk i wyzysk.

Aby chorobie jakiéj zaradzić, trzeba przedewszystkiém postawić trafną jéj dyagnozę a następnie zwalczać zło samo a nie uboczne jego symptomata. Zło tu stanowczo nie leży w emigracyi jako takiéj, ona jest tylko jego objawem. Zło jest w tém, że nie możemy na rodzinnéj ziemi ludności naszéj otwierać źródeł dochodu i zarobku w takim stosunku, w jakim tego wymaga naturalna jéj siła rozrodcza. W pomysłach zaradzania temu złemu i wynikającéj z niego emigracyi pierwsze miejsce miéć powinna troska o powiększenie źródeł dochodu i zarobku w naszych rodzinnych krajach.

Dokonywać się to winno przez podniesienie rolnictwa, kolonizacyę wewnętrzną czyli parcelacyę częściową większych majątków pomiędzy włościanami naszymi, wraz z organizowaniem ich w kółka, banki i kasy włościańskie tak na zachodzie jak na wschodzie pod rozmaitemi rządami, przez szerzenie swojskiéj oświaty ludowéj, technicznéj i wszelkiéj innéj, przez wyzyskiwanie nowożytne bogactw przyrody, przez rozwój wszelkiego przemysłu, ducha stowarzyszeń a przedewszystkiém komunikacyi, które warunkują rozkwit rolnictwa i przemysłu, umożebniając zbyt produktów. Komunikacye stwarzają produkcyę a nie dopiero są ich skutkiem. Wiel-

ką tę prawdę poznały te rządy i narody, które w ostatnich czasach tak olbrzymie wykazują postępy w podniesieniu produkcyi przez rozwój komunikacyi a przedewszystkiém kolei żelaznych. My nie tak bardzo potrzebujemy zapatrywać się na obcych, lecz tylko nawiązać do najlepszych tradycyi niedalekich czasów, do akcyi ekonomicznéj, jaka na wielką skalę podjęta została za Królestwa Kongresowego przez takich Mostowskich, Lubeckich, wybawców większéj własności ziemskiej od doszczętnéj po wojnach napoleońskich ruiny, twórców Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i przemysłu w Królestwie Polskiém. Światły ten duch przedsiębiorczy, który ożywiał ówczesnych naszych mężów stanu, byłby, przy zmienionych warunkach czasu, niewątpliwie uchwycił silną ręką za najpotężniejszą dźwignię produkcyi nowoczesnéj tj. za koleje żelazne, nie czekając przykładu Ameryki, Saksonii, Belgii, Niemiec, Włoch i Węgier.

Zdaje się, że niedostatecznie jeszcze zrozumiana jest u nas doniosłość rozwoju ekonomicznego, który bynajmniéj nie jest dowodem zmateryalizowania, lecz przeciwnie żywotności narodów; bywa on jednym ze środków dojścia do wyższych celów. Akcya więc ekonomiczna podjęta na jaknajwiększą skalę, wzmożenie do jak największych rozmiarów produkcyi krajowéj, ściąganie obcych kapitałów, do naszych krajów gwoli téj zbawiennéj działalności, przyswajanie sobie obcych żywiołów, będących już w kraju lub przybywających doń z kapitałem i wiedzą, słowem, pomnażanie jaknajusilniejsze źródeł dochodu i zarobku dla ludności licznie wciąż przybywającéj wskutek jéj zadziwiającéj siły rozrodczéj, oto jedyny środek godziwy właściwego powstrzymywania emigracyi polskiéj lub przyciągania jéj do innych okolic polskich. Wszelkie inne są sztuczne i bodaj czy nie wzmagają jedynie tylko nędzę i śmiertelność.

Niewątpliwie **wzrost ludności istotny** wpływa na wzrost produkcyi, zmuszając do coraz skrzętniejszego wyzyskiwania istniejących i powstających źródeł dochodu i zarobku. Pod tym względem możemy jeszcze dotąd z pewną otuchą spoglądać w przyszłość: oprócz rejencyi kwidzyńskiéj, gdzie w ciągu pięciolecia 1880-85 (wedle ostatnich spisów ludności) na 1000 głów ubyło 1.83, ludność polska wogóle nie zmniejsza się na rodzinnéj ziemi, lecz owszem, pomimo wielkich emigracyi i śmiertelności, powiększa się wciąż; wierzyć w wyludnianie się u nas byłoby zbytecznem łudzeniem się na gorsze. W latach 1875—85:

w Prusach Wschodn. na 1000 lud. rocz. przybyło	5.39	czyli	105.054
„ „ Zachodnich „ „ „ „ „	4.71	„	65.072

w Poznańskiém	na 1000 lud. rocz. przybyło	6,57	czyli	109.534
„ Opolskiém (na Szląsku górnym)	„ „ „ „ „	8.40	„	61.233
„ rejen. Wrocław.	„ „ „ „ „	6.95	„	106.994
„ „ Lignickiéj	„ „ „ „ „	6.96	„	40 293
„ prowin. Pomeranii	„ „ „ „ „	7.45	„	43.592
„ Prusach całych	„ „ „ „ „	9.52	„	2.576.066
„ cesar. niemiec.	„ „ „ „ „	8.20	„	4.128.512
„ Francyi w 1881 r.	„ „ „ „ „	1.50		
„ Anglii i Irl. 1881 r.	„ „ „ „ „	4.10		
„ Włoszech 1881 r.	„ „ „ „ „	7.30		
„ Austryi 1887 r.	„ „ „ „ „	8.20		
„ Węgrzech 1886 r.	„ „ „ „ „	12.20		
„ Rosyi 1885 r.	„ „ „ „ „	13.30		
„ Szwecyi 1887 r.	„ „ „ „ „	6.50		
„ Norwegii 1886 r.	„ „ „ „ „	7.20		
„ Szwajcaryi 1888 r.	„ „ „ „ „	5.00		
„ Hiszpanii 1884 r.	„ „ „ „ „	5.70		
„ Stanach Zjednocz. 1790—1880 r.	„ „ „ „ „	28.80		

Od 1867 do 1889 ludność wzrosła w Galicyi o 23.40% (czyli z 5.212.544 do 9 430.000) tj. o 1.95% rocznie, podczas gdy w Austryi bez Galicyi o 18.70% (czyli z 14,460,106 do 17.166.000) t. j. o 1.50% rocznie, a w Węgrzech o 13.10% (czyli z 15.285.144 do 17.288.300) tj. o 1.09% rocznie (zob. tabl. V, str. 300). Królestwo Polskie 1862—1873 wzmogło się w ludność o 28.69% tj. rocznie o 2.61% (z 4.972.193 do 6.397.793).

Jeżeli są kraje, w których prędzéj się wzmaga ludność niż polskie, to przyczyna tego jest, że w nich szybciéj wzrasta produkcya. W każdym razie nie najwolniéj i u nas postępuje wzrost ludności, pomimo strasznéj śmiertelności i wielkiéj emigracyi. Dowodzi to, że mnożą się i u nas źródła dochodu i zarobku, warunkujące ten wzrost ludności; lecz niestety niepodobna zaprzeczyć, że ogólny wzrost produkcyi postępuje u nas ślimaczym krokiem wobec szybkiego jéj rozwoju gdzieindziéj w krajach cywilizowanych, nie daléj idąc jak w sąsiednich Węgrzech. Gdyby kraje nasze pokryły się szybko gęstą siecią kolei żelaznych i mnóstwem zakładów fabrycznych, słowem, gdyby produkcya wzmogła się u nas w olbrzymi sposób, wtedy może przez jakiś czas czynnik zwiększania się źródeł dochodu i zarobku doganiałby czynnik siły rozrodczéj i emigracya sama przez się by ustała. Nie jest jednak prawdopodobném nawet wtedy, żeby potężna siła rozrodcza narodu naszego dała się długo

dopędzać. Sprawa emigracyjna pojawiłaby się znów na porządek dzienny, bo doprawdy najbujniejsza fantazya nie może przewidzićć jéj zniknięcia na zawsze, bo nie może przewidywać rozwoju ekonomicznego dość szybkiego i świetnego, aby on zadosyć uczynił wymogom wielkiéj dotąd, i da Bóg w przyszłości, siły rozrodczéj narodu naszego.

Niewątpliwie wielu wychodźców ginie z nędzy, spowodowanéj głównie wyzyskiem ajentów i nieznajomością stosunków tamtejszych i języka. Nie będę się zatrzymywał na kreśleniu nędzy emigrantów. Sprawa wadowicka tylko pewnie w małéj części odkryje ten straszny obraz. Im on jest bardziéj przerażającym, tém większym jest obowiązek nasz łagodzić wedle możności i usuwać biedę tę. Zaczyna się ona dopiero na miejscu przeznaczenia. Bez znajomości języka i stosunków w Ameryce biedny emigrant, złupiony przez ajentów z ostatniego swego grosza, skazany jest na nędzny zarobek w miejscowości, do któréj go stręczą; z początku cierpi on ostatnią nędzę w zamian za złote góry, które mu obiecano i to najczęściéj przy samym, że tak powiem, źródle dobrego zarobku; odkrywa je zwykle dopiero po niejakim czasie, zapoznawszy się cokolwiek ze stosunkami, jeżeli mu śmierć nie przeszkodzi. Tendencyjném jest jednak twierdzenie, że wszystkim wciąż zawsze źle się powodzi i że z małym wyjątkiem wszyscy giną w największéj biedzie. Choć w dobréj myśli jest nieraz szerzoném to zdanie, nie przyczynia się ono bynajmniéj do rozjaśnienia sprawy emigracyjnéj.

Skoro faktycznie emigracyi zatrzymać niepodobna, to jest naszym obowiązkiem chrześciańskim, humanitarnym, starać się o to, aby naszym emigrantom jak najlepiéj się powodziło pod względem materyalnym i żeby zachowali swe właściwości narodowe. To ostatnie jest do życzenia nie tylko z ciaśniejszego stanowiska narodowego lecz i szerszego ludzkiego. Tyle się zwykle naczytało tak w obcéj jako téż i w swojéj literaturze o wyższości ras i kultur zachodniéj i środkowéj Europy, tyle się słyszy w obcym i swojskim nawet języku o niedołęstwie i nizkim stanie umysłowym chłopa polskiego oraz jego fizyczném upośledzeniu zwłaszcza w Galicyi, że doprawdy ledwo chce się wierzyć, żeby ten sam człowiek opisywany był przez obcych jako najdzielniejszy do pracy i przed wszystkimi innymi poszukiwany. Nie tylko błędném jest twierdzenie, żeby polscy emigranci ustępowali w czémkolwiek innym, lecz przeciwnie spotyka się w opisach podróży i sprawozdaniach urzędowych wyrażenia jak „że chłop polski jest najcenniejszym żywiołem kolonizacyjnym, odznaczającym się pomiędzy kolo-

nistami niemieckimi, włoskimi i t. d. pracowitością, uczciwością, czystością, zgodnością... że z przedziwną wytrwałością zachowuje swą mowę i obyczaje" (1). Pomimo prawdziwego czy udanego mniemania o swéj rasowéj wyższości, Niemcy najchętniéj poszukują robotnika polskiego, którego odznaczają przymioty większéj uczciwości, wdzięczności i pomysłowości. Zalety te, zostające na dnie duszy i niewydobywające się w nędzy, wykwitają razem z dobrobytem, w sposób mile zadziwiający słuchacza i czytelnika.

Pod względem zachowania przymiotów narodowych, znaczna jest różnica pomiędzy wychodźctwem. Jedni osiadają pojedynczo pomiędzy obcą ludnością. Otoczenie obce i mieszane małżeństwa z konieczności dokonywują niepowrotnych ubytków w téj masie niejednolitéj rozpryskującéj się na tysiące atomów. Każda jednostka o tyle tylko zostaje przy swéj narodowości, o ile jéj starczy zapasów moralnych pod tym względem, zachowanych z dotychczasowéj przeszłości. Ostatecznie musi ona lub jéj potomkowie wsiąknąć w nowe otoczenie. Nieuchronne wynarodowienie czeka tę część emigracyi, która nie skupia się w większe grupy niż pojedyncze rodziny. Obcują oni z konieczności przeważnie z ludnością nowego kraju; nie znajdując się w społeczeństwie polskiém, oni lub ich potomkowie przestają być Polakami... Taki to los czeka niestety przeważną część emigracyi lądowéj tak wschodniéj jak zachodniéj.

Emigracya straciłaby wiele ze swego *odium*, gdyby wychodźcy nasi dochodzili do zamożności... Potęga tego czynnika objawiła się jednak dosyć widocznie już w starożytności. Fenicyanie, naród nieliczny i sam przez się mało znaczący, założyli kolonie, które do stokroć większéj doszły potęgi i znaczenia niż macierz: jedna, Tyr, przeciw któremu wszystkie siły musiał wytężyć Aleksander Wielki, zdobywca świata ówczesnego; druga, Kartago, która spierała się z Rzymem o panowanie świata. W nowszych czasach Anglia za pomocą kolonizacyi stała się najpierwszym narodem na kuli ziemskiéj, język angielski najbardziéj w świecie się rozpowszechnił. Z łona Albionu głównie, z odłamów jego społeczeństwa powstała olbrzymia Unia amerykańska, równająca się już teraz bogactwem, obszarem i znaczeniem niemal całéj Europie. Półwysep iberyjski wydał z siebie kolonie, które się stały wielkiemi państwami, mającemi przestrzeń prawie 4 razy większą od europejskiéj swéj kolebki, a o wiele bogatszą od tejże w skarby przyrody. My sami nie zapominajmy cośmy dokonali przez emigracyę i kolo-

(1) Zob. *Reise des Fregattenschiffes Albatros* v. F. v. Benko, 1889. str. 98, 145, 146, 151.

nizacyę. Kiedy Mongołowie zniszczyli i wyludnili kraj polski, rozpoczęła się po ich ustąpieniu w te pędy kolonizacya niemiecka, która zniemczyła okolice Lignicy, Głogowa i Wrocławia, tj. przeważną część Szląska, dawniéj całkiem polskiego. Może cała Polska ówczesna uległaby była temu losowi, gdyby lud polski, a zwłaszcza wielkopolski, wychodząc z ukryć po nawale mongolskiéj nie był instynktywną kolonizacyą ocalił ojczyzny. Historycy niemieccy opisując tamte czasy, nie mają dość słów nagany na niedbałość i niesystematyczność, z jakiemi prowadzone było dzieło kolonizacyi niemieckiéj i nie tają swego oburzenia z powodu, że nie skorzystano ze znakomitéj sposobności zgermanizowania całéj Polski.

Najwięcéj przekonywającym przykładem, jaką siłą stać się może emigracya dla narodu, nie mającego już od 7 wieków nawet bytu politycznego, jest Irlandya. Gdyby nie emigracya do Ameryki to, pomimo wielkiéj płodności rasy irlandzkiéj, naród ten nie byłby prawdopodobnie liczniejszy i zbiorowy jego majątek nie większy, niż na to pozwalają obecny stan ekonomiczny i społeczny Irlandyi; w każdym razie, w zielonym Erynie, liczącym 1888 roku 4.790.614 ludności (któréj prawie połowa, zwłaszcza na północy, najbogatsza i inteligentniejsza, jest zupełnie angielska) nie pomieściłoby się 10 milionów Irlandczyków amerykańskich, nieulegających Anglikom. Kapitały i ruchliwość tychże, nabyte pod swobodném niebem, najwięcéj się przyczyniają do wywalczania niezależnego bytu na Zielonéj Wyspie, choćby w ramach konstytucyi angielskiéj.

W téj chwili zaś odbywa się za pomocą emigracyi w świecie fakt najdonioślejszy w dziejach, ważniejszy od wszelkich dotychczasowych podbojów, fakt którego znaczenie przewyższa chyba tylko nastanie chrześciaństwa. Jestto rozszerzanie się kultury i ras europejskich po wszystkich częściach świata. Zbliża się chwila, w któréj one, a zwłaszcza Ameryka, staną wobec małéj Europy w takim stosunku, w jakim taż stoi do jeszcze mniejszéj Grecyi, kolebki swojéj cywilizacyi.

Gdyby nie było emigracyi polskiéj, wtedy na mocy danych o wielkiéj sile rozrodczéj i strasznéj śmiertelności możnaby się wahać, czy tworzyć własne kolonie kosztem własnéj ludności kraju, skupiać ją w pewne okolice, by zachowała swą narodowość, i miéć z niéj korzyści materyalne i moralne. Ponieważ jednak prąd emigracyjny istnieje w rozmaitych kierunkach i powstrzymać się nie daje, ani środkami rządowemi, a tém mniéj prywatnemi, ponieważ zresztą kolonie polskie same przez się tworzą się bez wszelkiego współdziałania a nawet bez wiedzy naszego ogółu, trzeba

koniecznie złemu, objawiającemu się przez ten prąd, zaradzać z męską stanowczością i konsekwencyą.

Dziesiątki tysięcy ludzi rocznie jestto tak znaczny odłam narodu, że warto doprawdy pomyśléć o wydarciu go ajenturom emigracyjnym. O wiele mniejsze wychodźctwo bywało zawiązkiem najpotężniejszych państw: 1753 r. kolonie angielskie w północnéj Ameryce, zawiązek potężnéj Unii, miały 1.083.000 mieszkańców tj. mniéj niż już jest Polaków w samych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Godzi się uważać roztoczenie nad emigracyą naszą opieki jako sprawę narodową nie ostatniéj wagi. Nadać należy świadomy kierunek téj rzece ludzkiéj, aby płynęła nie do mórz obcych, lecz do własnego choćby jeziora na początek. Trzeba, żeby wychodźctwo polskie skupiało się w okolicy, gdzieby znalazło jaknajkorzystniejsze warunki pod względem klimatycznym i materyalnym. Tak czynią zresztą już Niemcy, Włosi, Francuzi i inni. Takie przeszczepienie latorośli polskiéj może się dokona samo przez się, bez przyczynienia się naszéj inteligencyi i kapitalistów. Lecz pewném to nie jest. Roślinie na nowym gruncie grozi zatracenie właściwości swojskich i jeżeli się to stanie przy możliwości uniknięcia téj fatalnéj ewentualności, czyż ciężko nie zawinimy przed własną potomnością? Aby takiéj odpowiedzialności na siebie nie ściągnąć, trzeba z odwagą i pewnością siebie działać w jasno wytkniętym kierunku. Żywotność narodów nie objawia się zawsze w kroczeniu po dotychczasowych ścieżkach, lecz nieraz w pewnéj śmiałości a nawet zuchwałości pomysłów i ich wykonania. Emigracya ludu naszego sama przez się jest dowodem jego niemałéj żywotności, téj saméj, która zmieniła postać kuli ziemskiéj, szerząc po niéj chrześciaństwo i cywilizacyę. Człowiek prosty, udający się w tak daleką i zawsze niepewną podróż, wié dobrze, iż ryzykuje zmarniéć w ostatniéj nędzy; musi się więc odznaczać dzielnością duszy. Zadanie to wcale nie trudne i na wpół już samo przez się dokonywające się, a nietylko nie wymagające poświęcenia, lecz obiecujące nawet korzyść. Te zaś obiecują być bezpośrednie i materyalne, a nie tylko pośrednie i duchowe, jakie zresztą tém obficiéj wykwitają dla każdego narodu, i tenże więcéj zawiera stosunków, im większa staje się jego ruchliwość, im się więcéj rozszerza pole jego działalności.

Olbrzymia część świata, Ameryka, mająca obszaru 39.666.846 kil. kw. i ludności 121.335.000 tj. 3 mieszkańców na 1 kil. kw., przeszło 4 razy większa od staréj Europy mającéj 9.620.039 kil. kw., z 349.873.000 mieszkańców tj. 36 na kil. kw. (Saksonia ma ich 212 na kil. kw.!) i od tejże Europy bez porównania świetniéj uposażona pod względem przyrody, jest tą ziemią obiecaną, która już może w niedalekim czasie stanie się ogniskiem świata cywilizowanego,

Bardzo mała dotąd stosunkowo do obszarów ludność, przeważnie pochodzenia i zwyczajów europejskich, żyje pod rządami wolnemi, przebywszy przesilenia wyzwalań od europejskich metropolii i mając téż już po za sobą gorączkowy okres wojen domowych. Znajduje się tam w rozmaitéj mierze wszystko to, co najpotężniéj się przyczynia do rozwoju ludzkości: wolność, bezpieczeństwo mienia i osoby, dojrzałość polityczna mieszkańców, dzielny duch przedsiębiorczy, najnowsze środki techniki nowoczesnéj użyte ku wyzyskaniu niezmiernych bogactw przyrody i naturalnych komunikacyi morskich i rzecznych, a klimat stosunkowo umiarkowany i to nawet często w okolicach podzwrotnikowych, z powodu wysokich gór i płaskowzgórzy. Wszystkie te warunki powodzenia w najwyższym stopniu posiadały dotąd Stany Zjednoczone północnéj Ameryki, mające 9.068.272 kil. kw. obszaru i mieszkańców obecnie (1889 r.) 62.921.000 tj. 10.60 na kil. kw. (Galicya w r. 1885 miała ich 81.60!). To téż widzimy rozwój i rozkwit tamtejszego społeczeństwa niebywały w dziejach ludzkości, jakby do dziedziny fantazyi należący. Tam to więc głównie zmierza dotychczas olbrzymi prąd emigracyjny z Europy. Tam głównie podąża nasza emigracya polska i tworzy już społeczeństwo przeszło milionowe, osiadające wedle swego instynktu zachowawczego w okolicach północnych, w pobliżu wielkich jezior, w klimacie podobnym do polskiego, jak Chicago, gdzie jest 350.000 polaków, Buffalo 56.000, Millwaukee 40.000 itd. (zob. tabl. XII, str. 305). Już na początku rozprawy niniejszéj wspomniałem o niebezpieczeństwie, zagrażającém narodowości naszéj tamże w trzech postaciach: siła asymilacyjna anglosaskiego plemienia, zbyt małe stosunki z polskiemi krajami w Europie, okoliczność, że polacy, choć naród przedewszystkiém rolniczy z natury, najmniéj się właśnie biorą tam do najważniejszego wszędzie przemysłu rolnego; przybywa w ostatnich czasach czwarte niebezpieczeństwo ze strony rządów Stanów Zjednoczonych, utrudniającego imigracyę: wymagany jest obecnie od przybywających wychodźców dowód, że posiadają kapitalik 300, czy téż więcéj dolarów na osobę. Z taką zaś sumą, doliczywszy do niéj koszta podróży i wyzysku ajentur emigracyjnych, chłop nasz wcale nieźle da sobie radę w rodzinnym kraju, i nie potrzebuje emigrować. Pojawiają się w ogóle teraz w Stanach Zjednoczonych prądy odpychające wychodźtwo europejskie, bądź to z powodu już stosunkowo znaczniejszego zaludnienia, bądź z racyi szowinistycznych, tj. zbytecznéj obawy utracenia społecznéj przewagi nad nowemi żywiołami, którą mają dotąd bezsprzecznie yankesi. Zmniejszenie przypływu do istniejących już kolonii polskich jest może nie najmniejszém niebezpieczeństwem dla naszéj narodowości w Stanach Zjednoczonych.

Inne części błogosławionego lądu amerykańskiego odstraszały dotąd emigracyę europejską niestałością stosunków społecznych i politycznych.

Do Brazylii dopiero w nowszych czasach światłe rządy cesarza, *don* Pedro II, ściągają liczne wychodźctwo niemieckie, włoskie, portugalskie, angielskie nawet i w części polskie. Południowe prowincye tego olbrzymiego państwa, równającego się obszarem 8.337.213 kil. kw. niemal całéj Europie, mają klimat dość umiarkowany i szybko się już w nich rozrasta kolonizacya włoska, a przedewszystkiém niemiecka. Znajdują się tam téż i polskie kolonie w kwitnącym stanie, jak konglomerat polskich wsi pod Curytybą, stolicą prowincyi Parana, zwany „Nova Polonia" i liczący kilkanaście tysięcy dusz (zob. tabl. XII; list Bendaszewskiego. *Reise des Albatros* v. Freih. v. Benko, Gruber „*Kurzgefasste Berichte über südbrasilianische Kolonien* str. 37. Lange „*Südbrasilien*". Mniejszy konglomerat wsi, liczący 5.000 Polaków, istnieje w prowincyi S-ta Catarina pod San Bento. Znajdują się Polacy dość licznie po koloniach założonych przez rząd brazylijski, ceniący ich jako znakomitych kolonistów, np. pod San Francisco w téjże saméj prowincyi, oraz w prowincyi Rio Grande do Sul, m. i. w koloniach Conde d'Eu, Dona Isabel, Silveira Martens, Caxias, Solelade (zob. *Rathschläge für Fusswanderer nach Südbrasilien* v. Koseritz, *Der Auswanderer* v. dr. A. v. Eye, *Deutsche Ansiedelungen in Südbrasilien Uruguay und Paraguay* v. R. Dilthey).

Jednak nie tam może należałoby kierować emigracyę polską. Klimat, choć stosunkowo z powodu płaskowzgórzy umiarkowany, odpowiada więcéj naturze ludów Europy południowéj, np. osiedlonych tam dość już licznie Włochów i Portugalczyków, niż plemieniowi Europy północnéj. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu kilku generacyi rasa nasza znakomicie się przyswoi w gorętszéj krainie, tam samo jak na Sumatrze i innych południowo-azyatyckich koloniach holenderskich, wytwarza się po kilku generacyach z pomocą przymieszki ludności miejscowéj rasa holenderska, znakomicie wytrzymująca gorący klimat tamtejszy. Nim jednak do tego dojdzie w Brazylii, prawdopodobnie zatracimy tam swe właściwości narodowe i zasymilujemy się z plemieniem portugalskiém, panującém tam i rządzącém, lub z włoskiém, a nawet niemieckiém, bardzo licznie gromadzącém się tamże, tak, jak to się dzieje z Anglikami, którzy już w drugiéj generacyi wyradzają się z właściwości anglosaskich.

Najwięcéj dla nas uwagi godne w południowéj Ameryce są rzeczypospolite Chile i Argentyna. Jedna i druga odznaczają się

różnorodnym klimatem i ustalonemi rządami republikańskiemi, ogromem bogactw przyrodzonych i nadzwyczaj małą ludnością; pierwsza ma 3.40 mieszkańców na kil. kw., ogółem zaś 2,527,320 w r. 1885, na przestrzeni 753,216 kil. kw., tj., tak wielkiéj jak razem wzięte Niemcy i Austrya bez Galicyi i Bukowiny, tworzące przestrzeń 751,683 kil. kw. (Niemcy 540,604 kil. kw., z ludnością 46,855,704, tj. 86,70 na kil. kw.; Austrya bez Galicyi i Bukowiny 211,075 kil. kw., z ludnością 16,414,373, tj. 77,76 na kil. kw.). Państwo to mieści się między wielkiém pasmem gór, Andami, dzielącemi je od Argentyny, i oceanem Spokojnym. Długość jego, mieszcząca się między 17 a 56 stopniem szerokości geograficznéj, równa się mniéj więcéj odległości między Kijowem a Gibraltarem, albo Warszawą a źródłami Nilu lub Mokką. Rządy sprawuje tam centralistycznie dzielna oligarchia niby szlachta tegoczesna.

Stany zjednoczone argentyńskie mieszczą się między 19 a 55 stopniem szerokości geograficznéj i mają przestrzeń 2,835,969 kil. kw., tj. 5 razy większą od Francyi (528,855 kil. kw.), lub Niemiec (540,622 kil. kw.), nieco mniejszą niż 5 razy Austrya-Węgry (673,426 kil. kw.), lub mniéj więcéj 70 razy Szwajcarya, albo 36 razy Galicya. Piękna ich konstytucya naśladowana jest z pierwowzoru konstytucyi amerykańskich wielkiéj Unii północnéj, z dążnością jeszcze większéj swobody i decentralizacyi, mianowicie pojedyńcze Stany w luźniejszym i niezależniejszym są stosunku od stolicy związkowéj. Dotychczas jest 15 *provincion* czyli stanów, tj. niezależnych państw, powiązanych powyżéj wspomnianą konstytucyą wspólną, lecz mających odrębne własne swoje konstytucye, parlamenty i administracye; reszta ziemi podzielona jest na terytorya, z których każde, skoro osiągnie liczbę mieszkańców 60,000, ma prawo się ukonstytuować w oddzielny stan. Jest ich na krańcu północnym w gorącéj podzwrotnikowéj części Argentyny trzy: Gran Chaco, Formosa i Missiones, a na południu 6, mianowicie: Pampa 144,919 kil. kw., płaszczyzna bezdrzewna, gatunek stepów ukraińskich o klimacie południowo-włoskim; Rio Negro 212,163 kil. kw., o glebie mniéj żyznéj z wyjątkiem brzegów rzeki Negro, o klimacie Włoch środkowych i północnych; rozciąga się to terytoryum po obu stronach środkowego biegu téj rzeki i po prawym brzegu przy jéj ujściu; Neuquen 109,081 kil. kw. o klimacie środkowéj i południowéj Francyi, odznacza się nawet w Argentynie szczególną zdrowotnością; leży ono między widłami rzek Neuquen i Limay (1),

(1) Limay jest spławny od samego ujścia, wypływa z wielkiego i pięknego jeziora Noimel Huapi; przeszłego wieku kapitan hiszpański Villarino, zajechał okrętem morskim w jego pobliże.

rzek, które tworzą razem rzekę Negro; liczne opisy przedstawiają to terytoryum w jak najświetniejszych barwach, tak pod względem urodzajności gleby, jak obfitości lasów, skarbów mineralnych, jezior, bystrych rzek i rzeczek, pastwisk, na których wypasają się już trzody bydła i zbywają do Chile po wysokich cenach; to terytoryum Neuquen stanie się pewnie najpoważniejszym stanem argentyńskim; w nim się znajduje okolica las Mansanas (jabłka), pokryta lasami dzikich jabłoni, w bardzo smaczne gatunki obrastających; jest to pamiątka po pobycie jezuitów, którzy je zasadzili przed 200 laty, podczas swych usiłowań utworzenia z ludności dzikich Indyan araukańskich, państwa socyalistyczno-chrześciańskiego, jak w Paraguayu; zakończyło się ich dzieło wymordowaniem ich i zdziczeniem kraju, wybranego przez nich do wielkich przeznaczeń; Chubut 247,331 kil. kw., leży więcéj na południe i w środku mało jest zbadane; klimat mniéj więcéj polski; Santa Cruz 276,910 kil. kw., téż mało zbadane wewnątrz, ma klimat zbliżony do polskiego; Tierra del Fuego 21,048 kil. kw., czyli wschodnia i mniejsza część wyspy tegoż imienia (zachodnia i najznaczniejsza część należy do Chile), klimat białorusko-inflancki, wewnątrz wyspy ma być dosyć umiarkowany, a nawet cieplejszy od chubutskiego.

Gleba Argentyny odznacza się żyznością na południu wzdłuż pasma gór Andów, ciągnących się w pobliżu oceanu Spokojnego. Nad Atlantykiem na południe od prowincyi Buenos Ayres, jest wogóle ziemia mniéj, lub wcale nieurodzajna. Okolice południowe podgórskie, mało co dotąd są znane i uchodzą pospolicie za nieżyzne i zbyt zimne. Niemniéj jednak wszystkie opisy podróżnych, jak Muster, Moreno, Moyano, zaprzeczają temu stanowczo. Szczególniéj Moyano stwierdził naukowo i naocznie wielką żyzność górskich i podgórskich krain w dziełku „*A traves la Patagonia*“ z 1881 r., które się stało urzędowém; rząd argentyński pośpieszył natychmiast potém założyć kolonią tamże nad wielkim jeziorem, odkrytém przez Moyano i przezwaném przez niego Buenos Ayres. Zaludnienie Argentyny będzie postępowało naturalnym biegiem wzdłuż gór. Gdy stopy Andów się zaludnią, wtedy się ożywi z czasem brzeg Atlantyku dotąd martwy, choć do niego płynie mnóstwo wielkich i spławnych rzek, jak Negro, Chubut, Santa Cruz, Gallego i inne. Że dotąd brzegu tego nie obsiedli europejczycy tłómaczy się raczéj powyższą okolicznością, niż dzikością szczepów Patagonii.

Powyżéj w krótkości opisane terytorya południowe Argentyny 1,011,452 kil. kw. i południowa część Chile przeszło 400,000 kil. kw. zalegają ogromną przestrzeń blisko $1^1/_2$ miliona kil. kw.,

a mają mieszkańców ledwie parę kroć sto tysięcy: rasa łacińska niemal wyłącznie garnie się do okolic północnych tam cieplejszych i téż jeszcze bardzo mało zaludnionych.

Trzy okoliczności od paru dziesiątków lat zmieniły znaczenie rzeczypospolitéj Argentyńskiéj, dorównywającéj teraz dla emigracyi europejskiéj znaczeniu wielkiéj Unii północnéj. 1-o Zakończenie współzawodnictwa o panowanie między miastem i „prowincyą“ Buenos Ayres, a resztą „prowincyi“. Zostało Buenos Ayres ogłoszone jedynie tylko stolicą całéj Argentyny, a przestało być stolicą prowincyi tegoż imienia; utworzona zaś przed 10 laty nowa stolica stanu Buenos Ayres, La Plata, wzrosła z nicości już do liczby 50 tys. mieszkańców. 2-o Podział Patagonii, wielkiego obszaru na południu Argentyny i Chile, między te dwa mocarstwa. 3-o Wzmiankowane powyżéj odkrycia urodzajności gleby podgórskiéj przez różnych podróżników (pomiędzy którymi są i polscy) w najnowszych czasach. 4-o. Zwycięska kampania, podjęta przed 10 laty przez jenerała Rocca przeciw Indyanom terytoryów Pampa, Rio Negro i Neuquen, podjęta wbrew opinii publicznéj, zatrwożonéj fantastycznemi wieściami o potędze kacyków indyjskich, popieranych podobno potajemnie przez rząd chilijski. Skutkiem wyprawy było oczyszczenie tych terytoryów z dzikich, którzy rozbojami i kradzieżą uniemożliwiali w nich wszelkie gospodarstwo i kolonizacyę, i w wycieczkach swoich podchodzili aż do stolicy Buenos Ayres, czyniąc nawet samę jéj okolicę pod murami niepewną. Indyjskie zaś szczepy Patagonii są skłonne do kultury i przyjacielsko względem rasy europejskiéj usposobione, tak, że ta wyprawa jenerała Rocca oznacza dla Argentyny potrojenie dotychczasowego obszaru zdolnego do zaludnienia. To téż przez te wszystkie okoliczności, z których właściwie tylko pierwsza i ostatnia w saméj Argentynie są należycie znane i oceniane, emigracya z Europy coraz większe przybiéra rozmiary, i w tym roku równa się już północno amerykańskiéj. Zaczynają powszechnie rozumiéć, że korzystniéj emigrować do Argentyny; mniéj tam bowiem wyzyskane bogactwa natury, mniejsza ludność i mniéj od yankesów niebezpieczna we współzawodnictwie przy walce o byt. Prąd emigracyjny przynosi wychodźców wszelkiéj narodowości, przeważa jednak w nim wybitnie rasa łacińska, a zwłaszcza Włosi (z jakie 70 tys. rocznie). Fale emigracyjne kierują się dotąd prawie wyłącznie do cieplejszych północnych okolic tam, gdzie choć utworzone są „*provinciones*“ (stany), jednak jeszcze ludności w nich jest bardzo mało. Najwięcéj na kil. kw. mieszkańców miało 1886 r. „*provincion*“ Tucuman tj. 7,10; następna najludniejsza jest Entrerios, mająca 2,40

(Galicya ma ich 81,60, Bukowina 60,20, Szląsk austryacki 115,10). Te cieplejsze krainy północne, dokąd się ciśnie całą masą emigracya, są właściwie mniéj odpowiednie, bo za gorące dla naszego ludu; południowe zaś, chłodniejsze, są za zimne dla rasy łacińskiéj, przynajmniéj o tyle, że taż rasa, głównie Włosi i Hiszpanie, będzie musiała się do nich przez parę generacyi przyzwyczajać tak, jak nasza do cieplejszych. Wiedzeni trafnym zmysłem i jakby ręką opatrzności, już osiedlili się nasi w silną kolonię, na krańcu południowym wielkiego jak Węgry (322,302 kil. kw.), lub Austrya (300,024 kil. kw.), albo 4 razy Galicya (78,497 kil. kw.), stanu Buenos Ayres (311,377 kil. kw.), w pobliżu terytoryum Rio Negro, tam, gdzie dotąd jeszcze ludzkiéj siedziby nie było. Zwie się ona Hinogo i składa się z 3 wsi. W środku każdéj z nich, zabudowanéj w kwadrat, wznosi się kościół. Domy pobudowane są z kamienia ciosowego, wydobywanego z pobliższych kamieniołomów. Proboszcz rozporządza tam kilkunastoma końmi, obsługując 3 kościoły. Każda ze wsi ma swoję szkołę; główna wieś Hinogo ma 74 uczniów obojga płci; nauczyciel tamże potrafił utworzyć orkiestrę z 14 samorodnych muzykantów; pobiéra miesięcznie 85 peso (=170 rs.), nie licząc pomieszkania. Sam rząd argentyński uorganizował tę kolonię z biédaków, którzy przybyli do Buenos Ayres bez żadnego innego kapitału, jak zdrowe ręce do pracy; osiedlił on ich tam w światłem przeświadczeniu, że najzdolniejszy do zaludnienia południowych zimniejszych okolic rzeczypospolitéj jest lud rolniczéj północnéj Europy. Każda rodzina otrzymała po dwa *„chacra“* ziemi (czakra=47 hektarów), liczniejsze rodziny po trzy czakry w cenie 100 peso (1 peso=4 marki=2 rs.) na spłaty. Zdaje się prawie, że ta garstka jakby na zatracenie tam została wysłana, tak jak w czasie bitwy wysyła się pułki dla zdobycia niebezpiecznéj pozycyi nieprzyjacielskiéj. Niebezpieczne stanowisko zostało zdobyte: obecnie cena każdéj *„chacra“* wynosi 1,000 peso, roboty polne wykonywane są za pomocą maszyn, które każda rodzina posiada na własność, zbyt produktów jest łatwy do najbliższéj stacyi kolei żelaznéj, zbudowanéj przed kilku laty. Rolnikom naszym, którzy z początku ciężkie chwile przebywali, jeszcze teraz czasem figle płata zjawisko natury całkiem nieznane w środkowéj i północnéj części stanu Buenos Ayres, a cóż dopiéro daléj na północ. Jestto dobry nasz znajomy mróz, który od czasu do czasu niszczy im całe pola dojrzewającéj pszenicy, lub kukurydzy, choć rzadko kiedy w zimie dochodzi co najwyżéj do 5 stopni R. w tamtejszym klimacie północno-włoskim. Ta okoliczność naprowadza na podejrzenie czy przypadkiem wiara nie sieje dwa razy na rok.

Istnienie kolonii Hinogo stanowi jeden z dowodów, że wychodźctwo polskie z Galicyi zwraca się już ku południowéj Ameryce; ten zwrot kierunku od północnéj, należy jaknajusilniéj popiérać. Należy ściągać do południowych części Argentyny i Chile lud nasz polski z północnéj Ameryki, oraz ten, który się u nas w kraju rodzinnym nie da zatrzymać. Przedsięwzięcie to jest łatwe tak, jak sprowadzanie wody z gór w doliny, lepsze warunki ekonomiczne przyciągają północnych Amerykanów rocznie setkami i tysiącami do południowéj półkuli, a znawcy stosunków polskich w północnéj Ameryce bynajmniéj nie uważają za rzecz trudną znaczną część polonii północno amerykańskiéj przywabić do Argentyny.

Gdyby ten milion rodaków, który się znajduje w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie skupiony był w Argentynie, istniałby jeden lub kilka stanów, z przeważającą lub wyłączną ludnością polską: najliczniejszy i najpotężniejszy Buenos Ayres nie dochodzi do miliona mieszkańców; w r. 1886 miał bowiem 684,555 mieszkańców (nie licząc miasta Buenos Ayres o przeszło 400,000 mieszkańców, które jest stolicą całego państwa, a nie stanu tegoż imienia); stany najludniejsze potém liczą: Cordowa 310,000 Santa Fé 220,330, Entre Rios 180,000, Tucuman 170,000, najmniéj ludny podzwrotnikowy Jujuj 65,000.

Rozumne rządy argentyński i chilijski, a zwłaszcza pierwszy, popierają wszelkiemi sposobami rolnictwo w żywém przeświadczeniu, że ono ze wszystkich możliwych przemysłów jest tak dla ludności saméj, jak dla rządu najkorzystniejsze. Ich najusilniejsze starania zwrócone są do tego, aby do téj cięższéj, lecz ostatecznie najzyskowniéjszéj tam pracy zachęcić ludność miejscową, mieszaninę rasy hiszpańskiéj i indyjskiéj, dawniéj stroniącą całkiem od robót rolnych i dotąd skłonną jeszcze prędzéj do handlu i wypasu bydła; te dwa źródła dochodu i zarobku zaś tylko na razie tam większe od rolnictwa zyski przynoszą. W tym celu usiłują ściągać z Europy i północnéj Ameryki przedewszystkiém rolników, zachęcając ich do siebie rozdawaniem na własność lub dzierżawę tak zwanych koncesyj na ziemie i to darmo, lub na spłaty dogodne, wraz z inwentarzem żywym i martwym, i uwolnieniem na 10 lat od wszelkich podatków. Przedsiębiorcom kapitalistom rozdają wielkie koncesye na 40,000 hektarów (20 kil. kw., 7 mil. kw. naszych) z obowiązkiem sprowadzenia w ciągu 2 lat 150 rodzin rolników, rozdania, lub rozprzedania każdéj co najmniéj 50 hektarów ziemi wraz z inwentarzem żywym i martwym, udzielenia pożyczek nie na wyższą odsetkę niż 10% itd.; otrzymać nawet można koncesyą 80,000

hektarów, przybywa wtedy obowiązek sprowadzenia 250 rodzin i uczynienia pomiarów własnym kosztem; dopóki się zaś niewypełni zobowiązań, trzeba złożyć kaucyę 4,000 peso (=8,000 rs.). Bliższe szczegóły znajdują się w ustawie 1871 r. „*ley de inmigracion y colonisacion*“, zwłaszcza w art. 98 i 104.

W ciągu kilkunastu lat rozumnéj polityki ekonomicznéj przestrzenie całkiem dzikie i tylko przez dzikich Indyan rzadko przebiegane, pokryły się zbożem, trzodami bydła i tabunami koni. Argentyna przestała sprowadzać zboże i stała się jednym z krajów wywożących ziarno i mięso, nienajpośledniejsze miejsce zajmującym obok Stanów Zjednoczonych, Egiptu, Indyi i Australii. Kapitały europejskie i północno amerykańskie, płynące do Argentyny, przyczyniają się potężnie do zwiększenia komunikacyi wszelkich, zwłaszcza kolejowych i otwarcia coraz to nowych dróg zbytu.

Najlepiéj się tam powodzi: 1-o ludziom prostym, z kapitałem zdrowia i siły fizycznéj, które się tam szczególnie rozwijają wskutek zdrowego i podniecającego klimatu, oraz obfitego pokarmu mięsnego, 2-o kapitalistom koncesyonaryuszom, którzy bez wielkiego trudu doszli do milionowych majątków, głównie przez bardzo wielkie podniesienie się cen ziemi, podniesienie, wzrastające wraz z ludnością i szalonym rozwojem produkcyi.

Co do ludzi pracujących głową, lub zasobnych w małe kapitaliki, kilkodziesięcio tysiączne, nie powiązane w wielkie i na racyonalnych podstawach oparte przedsiębiorstwa, to nie można dość ich ostrzegać przed niebezpieczeństwami, czyhającemi na nich, jeżeli nie znają tamtejszych stosunków i języka. Dopóki nie osiągną bardzo dokładnych informacyi, niech pozostają lepiéj w kraju, choć w miernych stosunkach, lecz z lepszym pożytkiem dla siebie. Zdarzają się i w Argentynie wypadki, że ludzie z dyplomami ukończonych w Europie nauk uniwersyteckich, muszą się zniżyć do najniższych posług, by tylko sobie na życie zarobić.

Pozwolę sobie zakończyć ustępami listu prywatnego z Buenos Ayres od młodego rodaka naszego, mieszkającego od kilkunastu lat w Argentynie.

„...Wielkim błędem emigracyi jest dotąd, że przeważnie proletaryat, nie mający nic do stracenia, oraz ludzie bez zdolności moralnych, lub fizycznych przybywają tutaj, myśląc, że tu tak łatwo zostać bogatym. Jest tu olbrzymie pole dla każdego specyalisty, robotnika, rzemieślnika, inżyniera, lekarza. Wszyscy zarabiają ogromnie, pomimo bajecznéj drożyzny (człowiek naszego stanu nie może w Buenos Ayres żyć taniéj miesięcznie jak za 150 peso i to skromnie; 100 peso jest już biédą); lecz przyjeżdżając tu, muszą

mieć przynajmniéj tyle kapitału, ażeby żyć z tego aż do poznania stosunków i nauczenia się języka hiszpańskiego, który jest koniecznie potrzebny i wcale nie trudny. Nasi rzemielnicy odznaczają się zręcznością, pilnością i uczciwością; tak samo nasi technicy i lekarze zdolnościami. Tak mogłaby powstać nowa generacya inteligentna i samodzielna i może skończyłoby się już raz to żebranie o posady rządowe w Galicyi. Naturalnie byłoby to ryzykowne dla kapitalistów pożyczać pieniądze na kredyt osobisty z jedyną hipoteką uczciwości i wdzięczności; lecz przecież nie wszyscy są oszustami, a nadto wiemy, że tak robią kapitaliści we Francyi, Anglii, Belgii i Niemczech i to z dobrym skutkiem...“

St. Kłobukowski.





DRUGI ZJAZD PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH

I JEGO ZNACZENIE.

§ 3.

W sekcyi prawniczéj, rozpoczęły się czynności od referatu piszącego te słowa o potrzebie organu, poświęconego teoryi prawa i studyom porównawczym.

Literatura prawnicza nie zdołała zdobyć sobie w naszém piśmiennictwie stanowiska współrzędnego obok innych więcéj rozwiniętych działów, ruchu na polu nauk prawnych nie widzimy, a przynajmniéj posiadamy go za mało, i do postępów wiedzy w tym kierunku nie przykładamy dość energicznéj ręki. Współcześnie jednak społeczeństwo posiada liczebnie bardzo znaczne siły prawnicze, rozrzucone po różnych miejscach już to po uniwersytetach, już to po za niemi, z których możnaby złożyć poważną dla dobra nauki całość.

Należy przeto te siły pobudzić do działania i zogniskować, przy oznaczeniu stosownego kierunku pracy. Nie możemy przytém zapomnieć, że podniesiona raz produkcya rodzi nową produkcyę. W myśl znanego prawa fizycznego, wedle którego wprawiona w ruch siła wytwarza znowu siłę, ożywiona działalność piśmiennicza rzuci nowe myśli, zachęci do badań i dociekań, i powołać może do życia nowe żywioły i nowych współpracowników. W ostatnich czasach dostrzegamy pewne pomyślne na téj drodze objawy. Zjazdy, jako zebrania rozrzuconych prawników, wpływać mogą skutecznie na zbliżenie się, zachęcając do wspólnéj pracy. Ale, potrzeba zrobić krok dalszy, potrzeba stworzyć stały organ, któryby mógł służyć za ognisko pracy i myśli dla wszystkich lepszych sił prawniczych, czytających po polsku, bez względu na to, gdzie im w udziale wypadło pracować.

Zakres takiego organu wskazać nie trudno. Różnorodność prawodawstw odgradza działalność praktyczną naszych prawników, ale różnice ustawodawcze nie wyłączają wspólności zawodu i wykształcenia; po za temi różnicami istnieje teorya prawa, jako wspólne dobro wszystkich prawników i grunt dla wspólnéj pracy. Daléj, obowiązujące w różnych dzielnicach rozmaite prawa i przepisy otwierają drogę do studyów porównawczych. Studya te stanowią cenny element nauki i nabierają w danych warunkach praktycznego znaczenia ze względu na stosunki osobiste ludzi polskiéj narodowości z różnych związków państwowych. Gdy dodamy do tego sprawy ogólne, jak kwestyę słownictwa prawnego, kwestyę wydawnictw prawniczych i tym podobne, to otworzy się dla nowego organu obszerne pole, wymagające połączonéj pracy i zespolonych usiłowań.

Organ taki, nie tamując dotychczasowych wydawnictw, przyczyni się do podniesienia ruchu naukowego w kierunku umiejętności prawnych. Na zasadzie przytoczonych uwag, postawiłem wniosek o uznanie, że zachodzi potrzeba utworzenia miesięcznika, poświęconego teoryi prawa i studyom porównawczym.

Wniosek, pomimo różnych zdań, co do szczegółów, w zasadzie nie napotkał opozycyi i został przyjęty jednomyślnością, z dodatkiem prof. Balcera, aby obok artykułów naukowych, uwzględniony był dział recenzyi ze wszystkich prac naukowych prawniczych polskich i ważniejszych zagranicznych.

Gdy przyszła kwestya, komu powierzyć ster wydawnictwa, zwróciłem uwagę na komisyę prawniczą akademii umiejętności w Krakowie. Wśród rozprawy, jaka się w tym przedmiocie rozwinęła, prof. Till, obecny redaktor Przeglądu sądowego i administracyjnego, rzucił myśl, iż możnaby wytworzyć organ, o którym mowa, w drodze stosownego przekształcenia jednego z istniejących czasopism, mianowicie wspomnianego Przeglądu. Oświadczenie to doznało ogólnéj natychmiastowéj aprobaty, która znalazła wyraz w uchwale Zjazdu, z prośbą do redakcyi Przeglądu, aby pożądaną organizacyę wydawnictwa przeprowadziła.

Nie dość na tém, sprawa zrobiła zaraz jeszcze krok daléj. Nazajutrz po zjeździe, na odbytéj u prof. Tilla naradzie przy udziale prof. Kasparka i moim, obmyślono sposób wprowadzenia téj reformy w wykonanie tak, że prawdopodobnie z początkiem roku przyszłego będziemy mieli organ, którego pożyteczność zebrane na zjeździe koło prawnicze uznało.

Ze sfery prawa karnego były dwa referaty prof. Roszkowskiego i dra Pinińskiego.

Prof. Roszkowski wniósł na zjazd kwestyę ekstradycyi przestępców, którą tak gorliwie w ostatnich czasach zajmuje się Instytut prawa międzynarodowego istniejący w Bruksellі. Wychodząc ze stanowiska potrzeby ścisłego wymiaru sprawiedliwości, referent upatruje w ekstradycyi środek konieczny dla zadość uczynienia téj potrzebie, co téż nadaje prawo bytu rzeczonéj instytucyi w stosunkach międzynarodowych. Zgodnie z têm, wedle zdania referenta, ekstradycyę zamknąć należy w granicach wypadków wskazanych przez wymagania zwyczajnéj sprawiedliwości karzącéj, stawiając ją po za obrębem wszelkich interesów politycznych. Obok téj zasadniczéj tezy, w poparciu któréj p. R. powoływał się na prace różnych autorów, referat obejmował jeszcze wnioski szczegółowe w przedmiocie sposobu zawierania umów dotyczących wydawania przestępców, w przedmiocie form i warunków ekstradycyi, niedopuszczalności wzajemności międzynarodowéj w téj sprawie itp. Takich tez dalszych było aż ośm.

Nad referatem rozwinęła się ożywiona dyskusya, która jednak spotkała się z niepomierną trudnością, gdy przyszło do uchwalenia wniosków, a to z powodu ich mnogości. Zbyt liczne pytania dla dokładnego ocenienia wymagałyby specyalnego dla siebie posiedzenia, jeżeli nie posiedzeń paru, i dlatego zebranie słusznie przekazało do załatwienia tę sprawę przyszłemu zjazdowi. Żałować przychodzi, że referent nie zdecydował się ograniczyć dyskusyi do głównéj tezy zasadniczéj, co ułatwiłoby rozprawę, a zarazem pozwoliłoby zebranym zastanowić się dokładniéj nad kwestyą, bądź-co-bądź ważną i interesującą. Ta jedna teza dostarczyłaby aż nadto materyału do rozprawy, bo z natury swojéj jest trudną i w nauce wywołuje różne opinie, jak to p. R. sam zaznaczył.

Z powodu referatu p. Roszkowskiego spotkaliśmy się ze szczególnéj natury uwagą w „Gazecie Sądowéj“ (N. 44 z r. b.). Sprawozdawca tego pisma uznał kwestyę podniesioną w referacie za niekwalifikującą się na zjazd lwowski z zasady, że wspomniany Instytut prawa międzynarodowego, złożony z powag naukowych, pracuje nad tą sprawą. Z równą słusznością możnaby powiedzieć, że gdy w Paryżu istnieje Towarzystwo dla prawoznawstwa porównawczego (*Societé de legislation comparée*), to prawnikom polskim nie przystoi podnosić kwestyi z dziedziny porównawczéj, a wobec Akademii prawoznawstwa w Tuluzie (*Academie de legislation de Fontanne*) lub innych zagranicznych instytucyi poświęconych prawoznawstwu wszelkie rozprawy i bodaj nawet zjazdy prawnicze nie miałyby

u nas racyi bytu. Czyżby „Gazeta Sądowa“ istotnie żywiła tego rodzaju pogląd? Dobre wrażenie na prawnikach-kryminalistach zrobiło przemówienie hr. Pinińskiego, członka komitetu przygotowującego kodeks karny dla państwa austryackiego. Z najlepszego źródła członkowie zjazdu mieli sposobność zapoznać się z ogólnemi zasadami nowego projektu, który uwzględnia wymagania nowszéj nauki i stanowić będzie postęp względem obecnie obowiązującego w tém państwie prawa. Karę śmierci nowy projekt zatrzymuje, z ograniczeniem jednak jéj zastosowania do wypadków morderstwa i zdrady głównéj. Uważano, że w praktyce bez zasady odstraszenia obejść się nie można, i dlatego zachowano ten rodzaj kary, pomimo przeciwnych wskazań nauki. Godną zaś uwagi rzeczą jest to, że na 15 członków komisyi aż 11 oświadczyło się za karą śmierci, czyli że przeważna większość karę tę aprobowała.

Daléj idzie kara ciężkiego więzienia, któréj *maximum* wynosi lat 20; dożywotniéj kary nowy projekt nie akceptuje.

Potém następuje więzienie zwyczajne i areszt.

Więzienie może być obostrzane przez post, twarde łoże i zamknięcie w ciemnicy. Te ostatnie środki ze stanowiska humanitarnego mogłyby ulegać kwestyi, zwłaszcza, że przytoczone przez referenta motywa nie zdają się tego pomysłu usprawiedliwiać.

Obostrzenia są potrzebne, wedle zdania prelegenta, przeciwko ludziom, którzy skutkiem pewnego zdziczenia dążą sami drogą przestępstw do więzienia, zwłaszcza na czas zimy. Czy takie dążenie będzie istotnie zawsze wyrazem zdziczenia, czy w podobném dążeniu nie objawia się częściéj nędza bytu, nędza mieszkaniowa, o któréj w Europie zachodniéj tak dużo w ostatnich czasach się pisze?

Okropności téj nędzy przewyższają niekiedy swą grozą pobyt w najcięższém więzieniu, a gdy przemogą poczucie potrzeby wolności, popychają nędzarzy przed furtę więzienną. Obostrzenia mogą cokolwiek zmniejszyć ilość delikwentów téj barwy, ale nie przestaną w takich wypadkach nosić cechy pewnego natrząsania się, że nie powiem znęcania, nad jednostką. Za słuszne poczytać należy rozszerzenie kary pieniężnéj, która w dotychczasowych kodeksach wogóle mało bywa stosowaną. Wedle nowego projektu kara ta ma dochodzić aż do 5000 gul., przy częstszém znacznie jéj niż dotąd użyciu.

Postępową pożyteczną nowość stanowią instytucye warunkowego zwolnienia i warunkowego skazania. Każdy więzień, po odbyciu $^2/_3$ cześci kary może być uwolniony, oczywiście warunkowo, jeżeli dobrém sprawowaniem podczas trwania kary na taką wzglę-

dność zasłużył. Z drugiéj strony sądy, w niektórych wypadkach przy drobniejszych przestępstwach, mogą skazywać przestępcę warunkowo, zawieszając wykonanie kary, ze skutkami zupełnego zwolnienia, o ile skazany w ciągu pewnego czasu przestępstwa się nie dopuści. Dwa te środki, jak doświadczenie w Anglii i Belgii przekonało, przynoszą wyborne skutki i przyczyniają się do utrzymania nie całkiem zepsutych jeszcze ludzi na drodze uczciwego życia.

Z innych szczegółów wspomnieć by jeszcze należało o zrównaniu kary dla głównych sprawców i uczestników, co także nowy projekt obejmuje.

Przemówienie p. P. nosiło charakter sprawodzania. Prelegent nie postawił żadnego końcowego wniosku, bo referat jego do tego się nie nadawał. Rzecz téż nie wywołała większéj rozprawy, dyskusya zakończyła się na kilku rzuconych dorywczych uwagach.

Dwa referaty: p. Konica o gminie zbiorowéj, p. Listowskiego o międzynarodowém prawie transportu na kolejach, wkraczające w sferę prawa publicznego, obok zasadniczéj ważności poruszanych kwestyi, nosiły dla Galicyi cechę spraw aktualnych, mówiąc językiem galicyjskim, czyli stojących na porządku dziennym w tym kraju.

Kwestya gminna, dotknięta już na pierwszym zjeździe, dzięki p. Konicowi przyszła znowu na stół obrad drugiego zjazdu. Jak wiadomo, Galicya nie posiada gminy w europejskiém znaczeniu tego wyrazu, tj. gminy terytoryalnéj, bez różnicy stanów i rodzaju własności. Urządzona wśród innych warunków i z nieprzychylną dla kraju tendencyą jeszcze w r. 1856 tak zwana gmina wiejska z posiadłości włościańskich, przy odseparowaniu jéj od obszaru dworskiego, przetrwała do dnia dzisiejszego i pomimo zmiany okoliczności nie może się doczekać pożądanéj reformy. Wedle téj organizacyi, gmina wiejska i obszar dworski stanowią oddzielne, różne od siebie jednostki administracyjne, które stają ze sobą niekiedy w antagonizmie, i utrzymują do pewnego stopnia rozdział stanowy, w zasadzie nie istniejący i przez konstytucyę uchylony. Separatyzm ten z postępem czasu nie uległ złagodzeniu, raczéj przeciwnie w koniecznéj logice faktów potęgował się przez naginanie wszelkich nowych urządzeń i zarządzeń do istniejącego porządku rzeczy. Tak naprzykład, z mocy ustawy wyborczéj, różne te jednostki administracyjne wyobrażają dzisiaj odmienne kurye wyborcze, i wysyłają swoich osobnych posłów na sejm i do parlamentu, tak jak gdyby interesa łącznych i pomieszanych z sobą dziedzin miały być koniecznie różne i odmienne. Im dłużéj trwają te stosunki, tém więcéj różnorodnych nici pokryje organizmy dwóch

pokrewnych ciał społecznych, dla tém ściślejszego ich odróżnienia i oddzielenia.

Nie mówiąc o szkodliwości téj organizacyi ze stanowiska ogólno-społecznego, gmina wiejska w tych warunkach, bez udziału większych sił intelektualnych i materyalnych, stanowi jednostkę administracyjną słabą i podobnie, jak gmina wielkorosyjska, niezdolną do normalnego wykonywania właściwego sobie w administracyi krajowéj zadania.

W tym stanie rzeczy, p. Konic, nie godząc się z krążącemi w Galicyi projektami pośredniéj reformy, proponuje gruntowną zmianę i stawia trzy następujące wnioski: 1°, że połączenie dzisiejszéj gminy z obszarem dworskim w duchu zupełnego zespolenia jest nieodzowne; 2°, że wszelkie sprawy miejscowe winny być całkowicie ześrodkowane w gminie, jako ognisku życia gminnego; 3°, że gmina zbiorowa winna posiadać trzy władze ogólne, jakoto: zgromadzenie gminne, radę gminną i naczelnika gminy.

Dodać trzeba, że wyodrębnienie spraw miejscowych jako gminnych, jak również ustosunkowanie władz ogólnych gminnych do specyalnych i do wyższéj administracyi, przedstawia w istocie wiele trudności, których wyczerpanie nie było możliwe w pojedyńczém przemówieniu.

Jak już wspomniałem, traktowano o tym przedmiocie na poprzednim zjeździe, przedstawiano historyę obecnego ustroju gminnego w Galicyi, mówiono o zgromadzeniach gminnych, uchwalono nawet potrzebę połączenia obszaru dworskiego z gminą, jednakże sprawy reformy nie stawiano tak jasno i dobitnie, jak to obecnie p. K. uczynił.

Śmiałe i energiczne wystąpienie referenta nie pozostało bez skutku, owszem zaostrzyło ogólną ciekawość i wywołało ożywioną rozprawę, w któréj wzięły udział przedewszystkiém siły miejscowe.

Rozprawa ta zasługuje na podznaczenie. Mówiono wiele o trudnościach wykonania myśli, podnoszono wątpliwości co do zakresu spraw gminnych i co do stosunku władz, biédzono się nad szczegółami, nie zaprzeczając przecież, że ustrój obecny przedstawia godną pożałowania anomalią. Słuchając tych rozpraw, chwilami zdawało się, że zapowiedź radykalnéj a przecież koniecznéj reformy budzi trwogę.

Jednakże trudności, nieuniknione przy każdéj zmianie, nie mogą wstrzymywać od potrzeby działania, i nie usprawiedliwiają bezcelowego wyczekiwania. A może kwestya w kołach wpływowych galicyjskich nie cieszy się sympatyą? Gdyby tak być miało, to do-

prawdy ubolewać by przychodziło nad niemożnością przeprowadzenia reformy, za którą prawdopodobnie już następne pokolenie błogosławiłoby swych poprzedników.

Wśród wikłającéj się dyskusyi dwie dalsze tezy p. K., jako bardziéj sporne pod względem podniesionych szczegółów schodziły mimowoli na plan drugi; pozostaliśmy przecież przy pierwszéj tezie, głównéj i domagającéj się uchwały. W tém miejscu zaszło małe *intermezzo*. Znalazł się dziwny głos, który rzucił nieoględne słowo o bezcelowości kwestyi, gdy jednak nieopatrznemu mówcy dano z miejsca odprawę, ku powszechnemu zbudowaniu cofnął się, usprawiedliwiając pomyłkę nieporozumieniem na gruncie wyrazów. Po usunięciu tego wybryku, rezolucya mogła przejść jednozgodnie, i przeszła téż prawdziwą jednomyślnością.

Co do redakcyi, to zgodnie z wnioskiem prof. Kasparka i dla nawiązania wspólności myśli z uchwałą dawniejszego zjazdu, wyrażono tę rezolucyę w słowach: połączenie dzisiejszéj gminy w Galicyi z obszarem dworskim jest nietylko pożądane, lecz nawet nieodzowne. Jest to redakcya podobna do dawniejszéj, lecz więcéj stanowcza od niéj, co się ujawnia w użytém wyrażeniu o nieodzowności reformy.

Referent gorąco przejęty podniesioną sprawą, o ile wiem, nie był bardzo zadowolony z téj uchwały; pragnął on czegoś więcéj, z obawy, aby uchwała nie dała się pogodzić z projektami pośrednich reform. Nie bądźmy jednak zbyt wymagający. Uchwała to ważna i znacząca. Prawnicy polscy ponownie wyrazili swój pogląd, i wyrazili go niedwuznacznie, a uchwała tém jest silniejsza, że zapadła po raz drugi, i za każdym razem jednomyślnie. Sprawa więc reformy coraz dobitniéj się zaznacza, i uznanie należy się p. K. że pracą swą do tego skutku się przyczynił. Oby ta wskazówka nie pozostała głosem wołającego na puszczy!

Na pochlebną wzmiankę zasługuje referat pana Listowskiego. Specyalista w dziedzinie stosunków i przepisów kolejowych, wytknął on jasno brak stałych zasad dla przewoźnictwa międzynarodowego, i podnosząc zredagowany w Berlinie w roku 1886 przez delegatów różnych państw projekt międzynarodowego prawa transportowego, postawił wniosek, że projekt ten uznać należy za ważny czynnik w ułatwieniu międzynarodowego obrotu. Nadto zaproponował jeszcze, aby projekt ten w dwóch punktach, mianowicie w przedmiocie sprawdzania ilości i wagi towarów, oraz składu takowych na stacyi przeznaczenia, został uzupełniony, wreszcie zaproponował jeszcze i to, aby zjazd wyraził potrzebę wypracowania ustawy o przewoźnictwie na kolejach austryackich na wzór wspomnianego wyżéj projektu. Wadliwe

i przykre w skutkach stosunki taryfowe i frachtowe, jakie na kolejach austryackich dla Galicyi istnieją, czyniły referat tém ważniejszym i pożyteczniejszym.

Wywody jasne i gruntowne referenta nie pozostawiały wątpliwości, wszystkie też trzy jego wnioski zostały *en bloc* uchwalone, nadając projektom p. L. autorytet szerszego koła.

Z tematów ze sfery prawa cywilnego, zjazd wysłuchał przedewszystkiém referatu p. Boduszyńskiego o przysiędze. Z uwagi, że reforma sądowa z r. 1876 w Królestwie Polskiém prawie całkowicie usunęła z procesu cywilnego dowód z przysięgi stron spór wiodących, p. Boduszyński będąc zwolennikiem rzeczonego dowodu, wyraził życzenie, aby takowy mógł znaleść napowrót uwzględnienie w życiu. Na podstawie ogólniejszych uwag starał się referent uzasadnić myśl swoję, o ile można, najsilniéj. Z pośród obowiązków, jakie uspołecznienie ludzkie na jednostki wkłada, jednym z ważniejszych jest obowiązek prawdy w słowach i czynach. Kłamstwo pociąga za sobą skutki prawne i podchodzi pod sankcyą prawa, jeżeli zatajenie lub naruszenie prawdy szkodę drugiemu przyniosło. Z tego pierwotnego obowiązku wynika dalszy, mianowicie wynika obowiązek poświadczenia prawdy, składania publicznego o niéj świadectwa, co właśnie stanowi przysięgę. Ten ostatni obowiązek staje się zarazem prawem dla strony drugiéj, która w przewodzie procesowym może znaglić przeciwnika do wykonania przysięgi, a to z zasady, że ludzie w stosunkach swoich rządzić się powinni prawdą. Jakkolwiek zaś przysięga a raczéj jéj praktykowanie, w procesie cywilnym, łączy się tym sposobem z przymusem, to przecież przymus nie psuje natury ludzkiéj, ilekroć do szlachetnych celów jest stosowany, jak to właśnie ma miejsce w wypadkach przysięgi sądowéj, któréj celem jest zapewnienie tryumfu prawdzie. Przysięga, zdaniem referenta, raczéj uszlachetnia człowieka, obudza w nim sumienie, przywodzi do zastanowienia i powstrzymuje od kłamstwa. W braku przysięgi, i z tytułu jéj usunięcia, p. Boduszyński dostrzega obniżenie poziomu moralnego w społeczeństwie, zagęszczone nieprzyznania podpisów na dokumentach, akty symulacyjne, wreszcie bezzasadne, a liczne spory o wyłączenie rzeczy z pod zajęcia i egzekucyi na zasadzie kłamliwych umów dłużnika z osobami trzeciemi.

Dodatkowo wiązał jeszcze p. B. potrzebę przysięgi z całokształtem obowiązującego u nas kodeksu Napoleona, chociaż niesłusznie, bo przepisy o przysiędze z natury swojéj należą do dziedziny prawa formalnego i stoją po za sferą prawa materyalnego. Należy to nawet do wadliwych stron redakcyi kodeksu Napoleona,

że zamykał w sobie odnośne w tym przedmiocie postanowienia, dla których gdzieindziéj, mianowicie w kodeksie procedury sądowéj, właściwe przypadało miejsce.

W konkluzyi referent postawił wnioski o uznanie, że przysięga stanowi pożyteczny środek zapewnienia prawdy, i że odpowiada tradycyi, oraz poczuciu prawnemu, moralnemu i religijnemu naszego społeczeństwa.

Przechodząc do szczegółów, następowały jeszcze konkluzye co do tego, aby rota przysięgi pozbawiona była charakteru wyznaniowego, przy ograniczeniu jéj do słów: przysięgam na Boga jedynego, honor i sumienie, oraz aby krzywoprzysięstwo było karane z pozbawieniem czci obywatelskiéj. Pomijam trzy inne jeszcze wnioski, które pozostały po za dyskusyą i uchwałą.

Oddając słowo uznania referentowi za szlachetny ton przemówienia, nie idzie zatém, abyśmy się mieli godzić z jego wywodami. Jakoż referat wywołał opozycyę. Wśród dyskusyi, w któréj brali udział między innemi prof. Zoll i prof. Spasowicz, wysunęła się naprzód kwestya tradycyi, podniesiona przez referenta i poparta, przez paru mówców. W odpowiedzi zwrócono zaraz uwagę, że chociażby przysięga zgadzała się z tradycyą narodu, nie dowodzi, to jeszcze jéj konieczności.

Społeczeństwa są organizmami, żyją i przeobrażają się, zmieniając formy swego bytu prawnego. Dla rozwiązania téż kwestyi nie wystarczy powołanie się na tradycyę, przeciwnie trzeba wniknąć w istotę rzeczy, w naturę instytucyi, a to w zestawieniu z teraźniejszemi potrzebami społecznemi.

Po usunięciu wstępnéj kwestyi, dyskusya potoczyła się daléj po gruncie zasadniczym. Wedle słów prof. Spasowicza, usunięcie dowodu z przysięgi stron w ustawie z r. 1864 tłómaczy się stanowczém pragnieniem zerwania z dawnym procesem inkwizycyjnym, do którego cech należało wyszukiwanie prawdy przez pozyskanie przyznania. Pomimo szczegółowych przepisów o dowodzie piśmiennym, o badaniu świadków i innych dowodach, w zasadzie zwolniono sędziego od wszelkich krępujących formuł, zwolniono go od teoryi dowodów, pozostawiając mu swobodę w poszukiwaniu prawdy i ocenianiu faktów, pod obowiązkiem jedynie należytego umotywowania swego zdania. W konsekwencyi téż nie uznano potrzeby przysięgi, która leży po za obrębem samodzielnego badania.

Do prof. S. przyłączył się piszący te słowa, zwracając uwagę na brak danych dla orzeczenia, że skutkiem usunięcia przysięgi stron upadła u nas moralność społeczna, i zwiększyła się liczba

bezzasadnych procesów. Byłem dawniéj sam tego zdania, ćo referent, i w chwili wprowadzenia reformy sądowéj wyraziłem to w druku (1), praktyka przecież i doświadczenie nie utrwaliły tych obaw; raczéj zachwiały niemi. Czyny ludzkie wiążą się z sobą w nieprzerwany łańcuch, pozostawiając ślady w świecie zewnętrznym; istnieją téż drogi do wykrycia prawdy po za obrębem wszelkich przyznań strony interesowanéj, a témsamém po za obrębem jéj przysięgi. Zresztą i rozumowi ludzkiemu trzeba dzisiaj trochę zaufać. Prawnicy uważają przysięgę, o jakiéj mowa, za komplanacyą pomiędzy stronami, bo jedna deferując przysięgę przeciwnikowi, poddaje się jego słowu i sumieniu, przeciwnik zaś podnosząc rzuconą rękawicę, przyjmuje propozycyę, zwłaszcza, że ma prawo odznaczyć przysięgę stronie proponującéj na odwrotne fakty, i zwolnić siebie od ciężaru uroczystego świadczenia. Ta komplanacya jednak nosi ujemne cechy przymusowości, bo powód sprawy posiada prawo proponowania przysięgi, a więc prawo znaglenia pozwanego, bądź do przysięgi, bądź do jéj odznaczenia, jeżeli pozwany z jakichkolwiek powodów, choćby przez zelotyzm religijny, wykonać przysięgi nie chce. To téż z téj przymusowéj komplanacyi rodzą się w życiu, jak doświadczenie poucza, gorzkie niekiedy zawody rozczarowania na temat ludzkiéj nierzetelności. Co się zaś tyczy przysięgi opartéj na rzeczywistéj zgodzie obu stron, takowéj ustawa z r. 1864 nie zabrania, przeciwnie przewiduje i dopuszcza ją, chociaż nie można zaprzeczyć, że wypadki zastosowania tego rodzaju przysięgi w praktyce zdarzają się bardzo rzadko.

W końcu zwróciłem uwagę na znany kodeksowi Napoleona dowód z domniemań, którego szersze zastosowanie ułatwia sędziemu zadanie, pomimo braku przysięgi stron. Do tego rozumowania z kolei przyłączył się adwokat krakowski p. F. Wilkosz, i wspomniawszy o mnogości przysiąg praktykowanych w Galicyi, zakończył, że galicyanie mają już tych przysiąg tyle, iż bez szkody mogliby część z nich odstąpić sąsiadom. Powszechna wesołość towarzyszyła téj ostatniéj uwadze.

Swoją drogą, jak to można było z góry przewidziéć, i co się naturalném zapatrzeniem w dawne wzory tłómaczy, większość prawników oświadczyła się za przysięgą. Uchwalono zasadniczą konkluzyę p. Boduszyńskiego co do potrzeby przysięgi i jéj zgodności z tradycyą, przy uznaniu w dalszym ciągu, że rota powinna być uroczysta, i że krzywoprzysięstwo powinno być surowo karane (2).

---

(1) Patrz o reformie sądowéj w Królestwie Polskiém. Warszawa 1875.

(2) Sprawozdawca „Prawdy" (Nr. 41), nazwawszy niesłusznie całą tę rozprawę jałową, wyraził ubolewanie, że zabrała ona wiele czasu i nie pozwoliła na rozpatrzenie

P. Parczewski poruszył nową kwestyę, jaka w ostatnich zaledwo czasach wypłynęła na powierzchnię rozpraw prawniczych w Europie, kwestyę tak zwanych *homestead*'ów.

W odróżnieniu od surowéj zasady prawa rzymskiego, wedle którego egzekucya oddawała w ręce wierzyciela całość praw majątkowych dłużnika, nowożytne kodeksy ze względów humanitarnych i ekonomicznych, wyłączają z pod egzekucyi rzeczy konieczne dla istnienia i pracy dłużnika, jak odzież, pościel, meble nieodzowne w życiu, wreszcie narzędzia, warsztaty i maszyny, służące do uprawiania kunsztu. W dalszym ciągu téj idei, Ameryka, a mianowicie Stany Zjednoczone, ze względów dobrze zrozumianéj ekonomii publicznéj, uznały, że pewna protekcya w tym kierunku należy się własności ziemskiéj. Zagroda wiejska w pewném minimalném ograniczeniu stanowi dla rolnika również warsztat konieczny do pracy i wyżywienia się. Jest rzeczą słuszną, tak przynajmniéj sądzą Amerykanie, aby ten warsztat stał po za obrębem operacyi kredytowych, których prawnym wyrazem jest zobowiązanie, a proceduralném następstwem proces i egzekucya. Z téj zasady najprzód stan Texas w r. 1839, a późniéj inne stany w drodze stosownych ustaw zwolniły pewną, ściśle co do przestrzeni określoną, zagrodę wiejską od wywłaszczenia egzekucyjnego. Podnosząc tę sprawę p. P. zwrócił się do stosunków galicyjskich, i tutaj znalazł nową podstawę do usprawiedliwienia potrzeby téj instytucyi.

Wobec upadku drobnéj własności ziemskiéj w Galicyi, i wobec ciągłych wywłaszczeń, które często przenoszą drobną własność w ręce do rolnictwa nie nawykłe, sprawozdawca mniemał, że podobne wyłączenia wywarłyby pożyteczny wpływ na zatrzymanie tego rodzaju własności w rękach włościańskich. Z tych pobudek p. P. postawił konkluzyę o potrzebie uwolnienia od egzekucyi za długi zagrody rolniczéj w pewnéj minimalnéj przestrzeni.

Kwestya ta prawie współcześnie rozbierana także była w Paryżu na kongresie w przedmiocie przenoszenia własności ziemskiéj, który się odbył w sierpniu r. b. Jak się pokazuje ze sprawozdań, we Francyi także nad tą sprawą się zastanawiają, czego dowodem między innemi jest memoryał złożony akademii prawoznawstwa w Tuluzie, z propozycyą wydania stosownéj w tym przedmiocie ustawy weFrancyi. P. Parczewskiemu należy się podzięka zarówno

---

referatu p. Flama o spółkach rolnych. Tymczasem referaty p. Boduszyńskiego i p. Flama szły jeden od drugiego niezależnie, w różnych sekcyach; trudno więc pojąć, jakim sposobem jeden mógłby wchodzić w drogę drugiemu. Jest to mała próbka wartości naszych sprawozdań dziennikarskich.

za wniesienie téj kwestyi na zjazd lwowski, jak i za to, że uwzględnił stosunki miejscowe, nadając kwestyi cechę szczególnéj żywotności.

Po ożywionéj dyskusyi, która jednak, wobec zbliżającego się końca posiedzeń, domagała się skrócenia, zjazd uznał wysoką doniosłość poruszonéj kwestyi, i z tytułu ważności przedmiotu, przekazał załatwienie sprawy przyszłemu zjazdowi.

Nadmienić muszę, że temat ten nadawał się doskonale do połączenia z rozprawami w przedmiocie drobnéj własności ziemskiéj na sekcyi ekonomicznéj. Życzyć téż należy, aby komitet przyszłego zjazdu przeniósł go na rzeczoną sekcyę, do czego tém więcéj będzie miał sposobności, że sprawa drobnéj własności ziemskiéj ma wypłynąć znowu na wierzch, jak to poniżéj zobaczymy.

Również nową i ważną, a głębiéj jeszcze niż poprzednia sięgającą w ustrój społeczny, kwestyę poruszył prof. Zoll, podnosząc myśl reformy prawa spadkowego.

Nie uznając zasad obowiązującego w większości tegoczesnych państw prawa spadkowego za słuszne, p. Zoll wskazał na pierwotne prawo rzymskie przedjustyniańskie, a nawet przedpretorskie i w zasadach ustawy XII tablic, jako téż w urządzeniach pierwotnych ludów germańskich i słowiańskich starał się znaleść podstawę do zmian w sposobach dziedziczenia. Poglądy swoje zamyka referent w trzech następujących konkluzyach. Żąda on : 1) ograniczenia prawa spadkobrania krewnych pobocznych co najwyżéj do 4-go stopnia; 2) w braku takich krewnych, powołania do dziedziczenia gminy, do któréj zmarły należał; 3) wreszcie rozszerzenia praw sukcesyjnych małżonków po sobie.

Doniosłość kwestyi skupia się około dwóch pierwszych konkluzyi, które dotykają obecnéj podstawy prawa spadkowego, opartéj na pokrewieństwie, przy najszerszém uwzględnieniu praw rodziny i rodu.

Idea reformy prawa spadkowego, jak wiadomo, zajęła poważne miejsce w nowoczesnéj nauce socyalnéj, dając powód do zbyt daleko nieraz idących projektów, godzących prostą drogą w instytucyę rodziny i własności. Ale pomijając wszelkie wyskoki, niezależnie od tego, przedostała się ona daléj, bo w sfery prawodawczych zamierzeń i postanowień.

Świéżo na kongresie towarzystwa ekonomii społecznéj (*congrès de la societe d'economie sociale*), który się odbył w czerwcu r. b. w Paryżu, omawiano ją z powodu referatu p. Duquaire pod tytułem: prawo dziedziczenia *ab intestato* (1). W izbach prawodaw-

(1) Reforme sociale. Serya 2, t. VIII, zeszyt 7, str. 369.

czych francuskich leżą trzy projekty do przyszłego rozpoznania: jeden z propozycyą ograniczenia spadkobrania pobocznych do szóstego stopnia; drugi z zamiarem obłożenia sukcesyi pobocznych wielkiemi, rosnącemi w miarę stopnia opłatami na rzecz państwa, z tém zastrzeżeniem, aby wpływy z tego źródła obracane były na rzecz kas wzajemnego ubezpieczenia na przypadek choroby i starości; trzeci wreszcie ustanawiający na rzecz małżonka po małżonku dożywocie na $^1/_4$ części przy dziedziczeniu w zbiegu z dziećmi, a na połowie przy krewnych bocznych, z zapewnieniem całego zaś spadku na własność w braku wszelkich krewnych. Nowy projekt kodeksu cywilnego dla Niemiec proponuje także odsunięcie krewnych bocznych od spadku po za szóstym stopniem pokrewieństwa, przy zabezpieczeniu na rzecz małżonka takich samych praw sukcesyjnych, jak to projekt francuski wskazuje.

Zasady te znalazły do pewnego stopnia zastosowanie w nowym kodeksie cywilnym hiszpańskim, który od dnia 1 maja r. b. wszedł w życie. Wedle tego nowego prawa, spadek nie przechodzi daléj, jak do krewnych szóstego stopnia, a w braku takowych dziedziczy państwo pod obowiązkiem obrócenia odziedziczonych dóbr na rzecz instytucyi dobroczynnych lub szkół z darmém nauczaniem téj gminy, do któréj zmarły się zaliczał, lub jego prowincyi, albo nawet państwa. Co do praw małżonka, nowy kodeks hiszpański zapewnia mu sposobem dożywocia część równą części dziecka, z ograniczeniem do jednéj trzeciéj części, gdy znajduje się tylko jedno dziecko. W zbiegu z krewnymi, małżonek otrzymuje jedną trzecią lub połowę również na dożywocie (1). Jak widzimy wszędzie powtarza się idea dożywocia dla małżonka; nie zawadzi zaś przypomnieć, że zasadę tę ustalił u nas na rzecz małżonka przy dziedziczeniu łączném z dziećmi kodeks cywilny Królestwa Polskiego z r. 1825, jeszcze przed 64 laty.

Z powyższego widzimy, jak ważną sprawę wniósł na porządek dzienny zjazdu p. Zoll, a zarazem dostrzegamy, że propozycye jego zbliżone są nieco do zasad ustalonych przez nowy kodeks hiszpański.

Za wybór przedmiotu należy się p. Zollowi podziękowanie; niech mi jednak wolno będzie zastrzedz się nieco przeciwko sposobowi usprawiedliwienia wniosków. Sprawa docierając do wnętrza ustroju społecznego, domagała się rozbioru zasadniczego, tak ze stanowiska społecznego wogóle, jak i prawnego w szczególności. Niepodobna ominąć tego, co nowoczesna nauka i pomysły

(1) Reforme sociale, zeszyt wrześniowy. str. 356.

prawodawczych reformatorów przyniosły. Słuszność, do któréj dla usprawiedliwienia swoich projektów p. Zoll się powoływał, nie jest czémś oderwaném, czémś istniejącém po za warunkami bytu społecznego; przeciwnie trzeba ją wynaleść i wykazać na gruncie istniejących stosunków społecznych, przez badania i porównania. Powołanie się na pierwotne przepisy rzymskie lub germańskie czy słowiańskie również nie wystarczy, bo z tych starych, chociaż czcigodnych strzępków, trudno złożyć suknię dopasowaną do tegoczesnych, odmiennych potrzeb.

Być może, że p. *Z.*, nie chcąc wyprowadzać kwestyi na otwarte i niebezpieczne morze, świadomie zamknął się na ciaśniejszym gruncie. Jeżeli tak było, to wątpię także, czy słusznie uczynił, zwłaszcza, gdy powaga jego i doświadczenie dawały wszelką rękojmię, że utrzyma referat i dyskusyę w należytych karbach.

Rozprawa nad tematem p. Z. nie stała na wysokości zadania. Była to dyskusya dorywcza, przeskakująca od szczegółu do szczegółu, daleka od tego, czego przy tak ważnéj kwestyi od poważnego zebrania spodziéwać się było można. Chwila bliskiego zamknięcia prac do reszty rozpraszała uwagę, ku niemałéj szkodzie dla przedmiotu. Wszystkie trzy konkluzye p. *Z.* zostały prawie w całości uchwalone, z tą jedynie zmianą, że nie określono stopnia pokrewieństwa, na którym ma się kończyć dziedziczenie krewnych, poprzestając na ogólném wyrażeniu o potrzebie ograniczenia spadkobrania do bliskich stopni; co zaś do praw gminy zastrzeżono, że powołana do dziedziczenia gmina winna być samorządną.

Przyjęcie aż trzech wniosków imponować może tym, którzy wartość prac zjazdu mierzą ilością uchwał („Kuryer warszawski“ Nr. 260 „Gazeta sądowa“ Nr. 40), pomimo to jednak zdaje się, że zebranie byłoby lepiéj zrobiło, gdyby podziękowawszy referentowi za pożyteczną wskazówkę, zastrzegło dalszy rozbiór na przyszłym zjeździe. Nie ubliżyłoby to wcale sprawozdawcy, a przyniosłoby w przyszłości korzyść całemu kołu prawniczemu. Dla uspokojenia zaś zwolenników uchwał, mógłbym sposobem przykładu dodać, że wspomniany powyżéj kongres towarzystwa ekonomii społecznéj, trwał przez dni siedm, odbywał gorące rozprawy w różnych przedmiotach, nie wdając się w żadne uchwały.

§ 4.

W sekcyi ekonomicznéj najwybitniejsze miejsce zajęły rozprawy na temat mniejszéj własności ziemskiéj. Początek tym rozprawom dały dwa referaty: dra Milewskiego, dotyczący reformy

prawa spadkowego dla własności ziemskiéj, i p. Vayhingera w kwestyi zastosowania do Galicyi ustawy o spadkach włościańskich i niepodzielności gruntów chłopskich. Pierwszy dotykał własności ziemskiéj wogóle, drugi jedynie własności włościańskiéj; ten ostatni pod względem przedmiotu zamykał się w ciaśniejszym zakresie, lecz sfera drobnéj własności ziemskiéj stanowiła grunt spotkania obu sprawozdawców. Co do stanowiska zasadniczego, referenci stali na wręcz przeciwnych biegunach; p. M. w równych działach, o ile dotyczą własności ziemskiéj, widzi nieuwzględnienie warunków produkcyi rolniczéj i domaga się, aby działy uszanowały jednostkę gospodarczą i zapewniały jednemu ze spadkobierców utrzymanie się przy dziedzictwie takiéj jednostki; p. V. zaś należy do zwolenników nieograniczonéj podzielności gruntów i odpycha wszelkie ograniczenia prawne w tym kierunku. Z tytułu tak odmiennych poglądów sprawozdanie p. V. stanowiło niejako kontrreferat względem pracy p. M., to też sekcya łącznie nad obu referatami obradowała, wysłuchawszy kolejno jeden po drugim.

Wedle zdania p. M. system obecny dzielenia własności ziemskiéj, stanowiącéj spadek, pomiędzy wszystkich sukcesorów jest poprostu szkodliwy dla społeczeństwa. Posiadanie wspólne ze strony sukcesorów nie da się utrzymać, sprzedaż własności ziemskiéj dla podziału stoi w kolizyi ze względami etycznemi (?) i ekonomicznemi, podział idealny przez pozostawienie gospodarstwa w jednych ręku, przy obciążeniu dziedzica wysokiemi spłatami spadkowemi, prowadzi do ruiny tego, kto ciężar gospodarowania na siebie przyjmuje; nareszcie podział w naturze na części, czyli parcelacya nie zawsze jest korzystna, często wprost niemożliwa. Może być korzystna odprzedaż części z obszaru większego gospodarstwa, może być usprawiedliwiony podział na kilka jednostek gospodarczych, ale parcelacya każdego pola, każdego skrawka ziemi, jaką się dostrzega w Galicyi, musi być zgubną.

Liberalizm nowoczesny w imię równości ogólnéj wprowadził system równy dla działów, zapominając o interesach rolnictwa, z którymi niezawsze ta zasada daje się pogodzić. Przyznając wszystkim sukcesorom równe udziały, prawo zapewnia im równy los, ale nie zapewnia, czy losem tym dziś lub jutro nie będzie nędza.

Z naturalnych różnic, istniejących pomiędzy rzeczami, wypływa potrzeba uwzględnienia odmiennych warunków i potrzeb każdéj kategoryi rzeczy, a stąd wynika potrzeba oddzielnego, jak w danym wypadku, prawa spadkowego dla własności rolnéj.

Jako środek do zatrzymania jednostki gospodarczéj w ręku jednego spadkobiercy, wskazuje p. M. niskie spłaty dla współsukce-

sorów oznaczone podług przychodu, jaki majątek daje, i umarzane w ciągu życia jednego pokolenia. Dodać trzeba, że propozycyę reformy stawia p. M. na gruncie dziedziczenia beztestamentowego, pozostawiając zupełną swobodę ojcom rodziny w kwestyi działów czy za życia, czy w testamentach.

Na zasadzie takich uwag p. M. wnosił trzy tezy: 1° że zachodzi potrzeba reformy prawa spadkowego beztestamentowego dla własności ziemskiéj; 2° że prawo powinno powoływać dla każdéj jednostki gospodarczéj jednego dziedzica, przy zapewnieniu mu możności utrzymania się przy dziedzictwie przez ułatwione spłaty; 3° że prawo takie zastosować należy do wszelkiéj własności ziemskiéj, ewentualnie do drobnéj i średniéj, nie wyłączając gospodarstw jednowioskowych.

To ostatnie ustępstwo referenta wskazuje nam odrazu na słabą stronę jego wywodów. W istocie, jeżeli nieograniczona parcelacya i dzielenie drobnych własności na szmaty i szmaciki łączyć się może z licznemi niebezpieczeństwami i szkodami dla produkcyi rolnéj, to nie można jeszcze tego samego powiedzieć o własności większéj, a choćby nawet średniéj, ale na tyle znacznéj, że z niéj mniejsze jednostki gospodarcze dają się jeszcze wykrajać. Zbytecznie téż uprzedzony był referent do sprzedaży pozostałéj ziemskiéj spuścizny, zwłaszcza większéj, dla podziału; sprzedaże takie u nas szczególniéj w Królestwie, pod panowaniem kodeksu Napoleona, dokonywają się ciągle, nie przynosząc przez to szkody ekonomii krajowéj, jak o tém doświadczenie przekonywa.

Natomiast argumenta p. M. nabierają szczególnéj siły, gdy idzie o drobną własność, stojącą na krańcach pojęcia o jednostce gospodarczéj, gdzie dla dalszéj podzielności niema istotnie już pola.

Tymczasem drugi referent p. Vayhinger, podjąwszy rozprawę, właśnie na gruncie drobnéj własności włościańskiéj, wygłosił teoryę wręcz przeciwną, oponując przeciwko wszelkim ograniczeniom, a to w myśl zasady *laissez faire*, *laissez passer*. W przemówieniu tém zasługiwało jeszcze i to na uwagę, że prelegent zamknął się wyłącznie w stosunkach galicyjskich, i pomimo panującego tam rozdrobnienia gruntów włościańskich wszelką myśl reformy stanowczo potępił.

Przypatrzmy się bliżéj téj kwestyi.

W Austryi jeszcze w zeszłém stuleciu zwrócono baczną uwagę na drobną własność włościańską, i dla zapobieżenia zbytniemu rozdrobnieniu wydano za czasów Maryi Teresy i Józefa II, szereg przepisów, ustalających oddzielny system spadkobrania przy spadkach włościańskich. Wedle tego systemu, gospodarstwo, które po

opędzeniu ciężarów zaledwie zdolne jest wyżywić chłopską rodzinę, stanowi jednostkę nieulegającą dalszemu podziałowi. Ta jednostka w spadku przejść musiała na jednego dziedzica, z zapewnieniem mu możności utrzymania się przy niéj w ten sposób, że oceniano gospodarstwo bardzo umiarkowanie i wkładano na dziedzica spłatę współsukcesorów, z umiarkowanéj taksy w powolnych ratach. Kiedy w r. 1786 wydano ogólne prawo spadkowe, oparte na zasadzie równości, w §. 761 kodeksu powszechnego zachowano w swéj mocy wszystkie specyalne przepisy dla spadków włościańskich.

Przepisy te obowiązywały od r. 1797 w Galicyi, przetrwały epokę krytyczną uwłaszczenia włościan i zniesienia poddaństwa i zachowały moc obowiązującą aż do r. 1868.

Rezultaty były wogóle dobre.

Jak długo trwała instytucya niepodzielności, dobrobyt włościan w krajach austryackich znajdował się wogóle na wyższéj stopie, aniżeli to ma miejsce dzisiaj, w jednych miejscach położenie było lepsze, w drugich gorsze, nigdzie przecież do obaw ze stanowiska polityki społecznéj nie dawało powodu (1).

Epoka liberalizmu austryackiego w pierwszéj linii uderzyła na te ograniczenia. Rada państwa ustawą z d. 27 czerwca 1868 uchyliła § 761 kodeksu powszechnego o odrębném prawie spadkowém włościańskiém, chociaż uczyniła to warunkowo, o ileby sejmy w poszczególnych krajach instytucyę niepodzielności znieść zechciały. Z prawa tego skorzystały oddzielne kraje, a tuż zaraz Galicya przez uchwałę sejmową z dnia 1 listopada tegoż 1868 roku.

Jeden tylko Tyrol północny pozostał wierny tradycyi i nie pośpieszył się wcale z przyjęciem modnéj inowacyi. W tymże czasie ustawa konstytucyjna z r. 1867 zapewniała wszystkim wolność nabywania ziemi bez różnicy ras, narodowości i stanów, a różnemi innemi postanowieniami znoszono wszelkie ścieśnienia, tamujące swobodny obieg ekonomiczny. Ta nieograniczona wolność wywołała na razie wielki ruch. Lecz chwila upojenia trwała niedługo, w kilka lat przyszło rozczarowanie. Wśród ludu wiejskiego zwłaszcza w Galicyi, zjawiły się niedobory i długi, fantowania i wywłaszczenia, które zwróciły powszechną na siebie uwagę. Już w roku 1875 Marassé w poważnych rozprawach, ogłoszonych drukiem, podniósł tę sprawę, i uznał zniesienie niepodzielności gospodarstw drobnych za szkodliwe w stosunkach galicyjskich, a wymowne jego argumen-

(1) St. Madejski. O nowéj ustawie względem spadków włościańskich, w Przeglądzie sądowym i administracyjnym. Zeszyt styczniowy z r. b. str. 30.

ta znalazły powszechne w kraju uznanie, jak to sam p. V. poświadcza (1).

W rezultacie sejm galicyjski udał się do rządu o przywrócenie niepodzielności własności chłopskiéj, że zaś podobneż petycye przyszły i od innych krajów austryackich, przeto sprawa została w Wiedniu podniesiona. Rezultatem powyższéj akcyi było prawo, uchwalone przez radę państwa w roku zeszłym, które w zasadzie przywraca dawną niepodzielność, pozostawiając rozwinięcie jéj w szczegółach i zastosowanie do życia uznaniu sejmów w odnośnych krajach. Od uchwał krajowych zależéć też będzie ustanowienie pewnego *praecipuum*, do wysokości jednéj części spadku, na rzecz dziedzica obejmującego gospodarstwo, jak również rozszerzenie zasady niepodzielności po za zakres stosunków spadkowych, nawet do zmian własności w drodze testamentowéj lub w drodze aktów dobréj woli.

Ale, nietylko w Austryi zajmują się tą sprawą. Pracują nad nią również żywo w Niemczech, gdzie tak zwane *Höferecht*, w miejsce bezwzględnego zakazu dzielenia, ustala pewne zasady, dążące do utrzymania w całości minimalnéj jednostki gospodarczéj. Rozprawiają téż o tém we Francyi, chociaż jak dotąd tylko na drodze teoretycznéj, czego dowodem są prace wydawane przez towarzystwo ekonomii społecznéj ze szkoły Le Play'a. Nowość zaś prawdziwą wprowadził świeżo ogłoszony kodeks hiszpański, który dozwala ojcu rodziny całkowite gospodarstwo rolne, a nawet przemysłowe lub handlowe, i wogóle rzecz niepodzielną przeznaczyć jednemu ze swoich dzieci, z obowiązkiem wypłaty innym sukcesorom przynajmniéj części koniecznéj spadku, która wedle tego prawodawstwa równa się jednéj trzeciéj części masy spadkowéj. Obok tego, kodeks ten, popiera zaokrąglenie własności ziemskich przez przyłączenie drobnych cząstek. Obejmuje on oryginalny w téj mierze przepis, wedle którego w wypadkach zbycia drobnéj własności ziemskiéj, nie przenoszącéj dwóch hektarów, służy sąsiednim właścicielom gruntowym prawo skupu sprzedawanego gruntu i podstawienia się w prawa nabywcy, a to w ciągu 9 dni od dnia zawiadomienia o sprzedaży (2).

Przy takim prądzie zadziwiać musi pogląd p. Vayhingera, który wbrew istniejącemu ruchowi a nawet wbrew zapatrywaniom, jakie się w Galicyi objawiły, wystąpił z gwałtowną filipiką przeciwko zainaugurowanéj przez wiedeńską radę państwa reformie.

---

(1) Referat Vayhingera, str. 5.

(2) Reforme sociale—zeszyt wrześniowy z r. b. str. 356.

Zdziwienie to tém większe być musi, że jeżeli gdzie, to właśnie w Galicyi skutkiem nadmiernego rozdrobnienia własności włościańskiéj potrzeba reformy objawia się jak najpilniéj.

Prof. Tadeusz Pilat w swoich wiadomościach statystycznych podaje pouczające dane. Po zebraniu najdokładniejszych wskazówek, dotyczących przykładowo wybranych 249 gmin (1), okazało się, że w 44 gminach, przeciętna rozległość pojedynczéj własności ziemskiéj nie dochodzi do jednego morga, w 121 gminach taż przeciętna kołysze się pomiędzy jednym a dwoma morgami, a w 37 gminach pomiędzy dwoma a trzema morgami, tym sposobem zaledwie w pozostałych 37 gminach, czyli nie wiele więcéj jak w $^1/_7$ części gmin przeciętna wyobraża trzy lub więcéj morgów. Daje to wiele do myślenia, tłómaczy biédę ludu i poważne budzić może o przyszłość obawy. O tym stanie rzeczy p. V. nie wspomniał wcale w swoim referacie, aż mu to piszący te słowa podczas rozprawy wytknąć musiał, natomiast z całą pewnością twierdził referent, że położenie materyalne ludu włościańskiego w ciągu ostatnich 20-tu lat pomimo zniesienia zakazu podzielności nie pogorszyło się, lecz przeciwnie poprawiło. Na dowód tego przytoczył cyfry co do ilości ziemi będącéj pod drobną własnością. Gdy w roku 1875 wyobrażała ona w Galicyi 7.855.902 morgów, czyli 57.65% z ogółu rozległości własności ziemskich, to obecnie doszła do 8.052.344 morgów, co stanowi 59.12% całkowitéj przestrzeni. Ztąd ma płynąć wniosek, że włościanie posiadają dzisiaj więcéj ziemi i są zamożniejsi. Ale p. V. zapomniał, że do szeregów drobnych właścicieli obok włościan w ciągu ostatniego dwudziestolecia weszły różne inne elementy i rasowe i stanowe, a w ich liczbie element żydowski. W przytoczonych przezemnie Wiadomościach statystycznych odznaczone są przy każdéj gminie cyfry osad żydowskich, chociaż na ogół nie są one zbyt liczne, to przecież znajdują się i tak dziwne wyjątki, że gmina Korczyna liczy 52, a gmina Ostrzyki aż 122 tego rodzaju zagród (2). Otóż, odliczywszy przelewy dokonane w ręce nie włościańskie, nie wątpliwie okaże się, że ilość ziemi w rękach chłopskich nie pomnożyła się, a raczéj uległa znacznemu zmniejszeniu. Jeżeli daléj uwzględnimy, że w ciągu tychże lat 20 ludność włościańska powiększyła się, i że przy powiększonéj cyfrze mniéj ziemi posiada, jeżeli uwzględnimy stan obdłużenia tak posiadanéj ziemi, to do stawiania pomyślnéj dyagnozy o warunkach bytu włościańskiego chyba nie będzie powodu.

---

(1) Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych. Tom X, zeszyt I, str. 70—72. — (2) Wiad. statyst. l. c. str. 42.

W usprawiedliwieniu swéj tezy p. V. powoływał się na zwyczaje naszego ludu, które jakoby przemawiają za nieograniczoną podzielnością. Lecz i w téj mierze nie miał szczęścia referent, bo znowu w innėm miejscu referatu (str. 12) przyznał, że zwykle gospodarstwa chłopskie w drodze ugody z rodzeństwem przechodzą na jednego lub dwóch synów, przy zabezpieczeniu pewnéj spłaty dla innych współsukcesorów.

Kwestya zwyczaju podniesiona została wśród dyskusyi, przyczém mówcy z Królestwa wykazywali, że i w Królestwie objawia się instyktowne dążenie do utrzymania niepodzielności gospodarstwa chłopskiego, czego dowodem są częste przelewy osady przez ojca rodziny jeszcze za życia na rzecz jednego z synów.

Dyskusya nad temi referatami była nader ożywiona. Zabierało głos przynajmniéj dziesięciu, jeżeli nie więcéj mówców, rozprawiano gorąco i z zapałem, a napełniona szczelnie sala przekonywała jasno, jak dalece interesowano się tym przedmiotem. Większa część przemawiających, mianowicie ci, co z początku mówili, przyłączali się do wywodów p. V., gdy jednak dalsze przemówienia rzuciły nowe światło na kwestyę, teza referenta zachwiana została, tracąc szansę przejścia przez uchwałę zjazdu. Z drugiéj strony nie mógł miéć pretensyi do uznania ogólnego drugi referent p. M., postawiwszy sprawę reformy na gruncie zbyt obszernym, przekraczającym sferę, w któréj potrzeba ograniczeń naprawdę uczuwać się daje.

Obok tego, wyłoniła się kwestya potrzeby zakazu podzielności gruntów wogóle, po za pewne *minimum*, a to w miarę warunków miejscowych. Sprawa ta doczekała się wszechstronnego wyjaśnienia, a do takiego rezultatu znakomicie przyczyniła się dyskusya, która być może należała do najlepszych na tegorocznym zjeździe.

W konsekwencyi jednak, właśnie skutkiem poważnéj rozprawy, okazała się niemożność powzięcia jakiejkolwiek uchwały. Wnioski referentów wzajemnie się wyłączały, żaden nie mógł być przyjęty, doraźna zaś jakakolwiek rezolucya w sprawie tak ważnéj nie licowała by z powagą zebrania. Referenci cofnęli wnioski i zjazd przeszedł do dalszych referatów. Okoliczność, że pożyteczna dla uczestników rozprawa nie pozwoliła na uchwałę, niech służy za dowód, że wartość pracy takiego zebrania, jak zjazd, nie zależy od tego czy zapadła lub nie zapadła uchwała, lecz spoczywa ona na dokładności obrobienia przedmiotu, na przyniesionych objaśnieniach, rzuconych myślach i poglądach.

Obu referentom, chociażby się ich opinii nie podzielało, wyrazić należy uznanie za gruntowne podniesienie sprawy.

Na katedrę wstąpił dr. Kraiński i przemówił także w sprawie ludu wiejskiego. Tym razem treścią relacyi była kwestya kredytu.

Zniesienie wszelkich ograniczeń ekonomicznych w epoce liberalizmu znalazło lud galicyjski nieprzygotowanym do nieograniczonego rozporządzania swém mieniem. To nieprzygotowanie odbiło się ujemnie w stosunkach kredytowych. Z jednéj strony nieświadomość, brak pojęcia o warunkach kredytu, z drugiéj wyzyskiwanie doprowadziły lud włościański do nadmiernego obdłużenia, które w połączeniu z zupełną wolnością dzielenia gruntów, groziło wywłaszczeniem całéj masie ludowéj. Niesłychane przywiązanie włościanina do ziemi, wytrwałość i abnegacya uratowały go od zupełnéj zguby, wykazując zarazem nieoślednią siłę tego rodzimego pierwiastku.

Z zaparciem się siebie, z zapomnieniem o wszelkich potrzebach, opłacał on lichwę, oddawał na długi i procenta, nieraz plon cały, w ostateczności odprzedawał część gruntu, ale zachował resztę. W ostatnich czasach zaszła zmiana ku lepszemu. Sposób gospodarowania poprawia się, włościanin większe wyciąga z ziemi korzyści, lepiéj zużytkowuje swą pracę, zawsze jednak ugina się aż dotąd pod brzemieniem długów i ciężarów, do pokrycia których, nie posiada racyonalnego i taniego kredytu. Uregulowanie kredytu dla włościan stało się obecnie koniecznością i obowiązkiem klas oświeceńszych w Galicyi.

Przemówienie p. Kraińskiego odznaczało się niezwykłą szlachetnością uczucia, prawdziwą miłością dla ludu i pragnieniem jego dobra. Ten obywatelski charakter wystąpienia czynił jak najlepsze wrażenie, ale jednak w szczegółach były pewne usterki. Referent nie uwzględnił w swém sprawozdaniu tego wszystkiego co już w Galicyi w ciągu ostatnich lat piętnastu na polu stosunków kredytowych zdziałano.

Mówiąc o niemieckich kasach pożyczkowych i towarzystwach zaliczkowych, i stawiając je za wzór do naśladowania, nie wspomniał, że właśnie w kierunku tego rodzaju instytucyi Galicya robi postępy, że zakładają tam kasy pożyczkowe po gminach, a liczba kas zaliczkowych doszła blisko do 300.

Być może, że postępy są za małe, w takim razie należało to uwydatnić, należało porównać skalę działalności z ilością i jakością środków, należało słabość wytknąć i większą energią zalecić.

W braku tego wszystkiego, podczas rozprawy sunęły się przeciwko prelegentowi zarzuty ze strony galicyjskich mówców za niedokładne jakoby zbadanie rzeczy. W zarzutach przebijało pewne rozgoryczenie, pewien żal z powodu pominięcia koniecznych szcze-

gółów i zabarwienia stosunków miejscowych na kolor zbyt czarny. W zapale krytycznym oponenci ze swojéj strony, jak to się często zdarza, przebrali także miarę i zapomnieli, że w gruncie rzeczy p. K. miał pewną słuszność. Wobec znanego powszechnie ubóstwa ludu galicyjskiego nie ma wątpliwości, że działalność społeczna nie wyczerpała jeszcze wszelkich środków potrzebnych w tym kierunku. Nawoływanie przeto p. K. było usprawiedliwione, bo istotnie zachodzi potrzeba większéj czujności i szerszych czynów.

Tak też zrozumiał sprawę ogół zebranych, gdy pomijając zbyt rozwlekłe wnioski referenta, zgodnie z uwagami piszącego te słowa i prof. Kasparka przyjął doraźną rezolucyę, że obok kas zaliczkowych już skutecznie działających, należy starać się o dalszy rozwój kas pożyczkowych gminnych z organizacyą zastosowaną do potrzeb miejscowych. Dodać należy, że w dyskusyi rozwijano dość szeroko różnicę zachodzącą pomiędzy kredytem na potrzeby konsumcyi, a kredytem dla celów produkcyjnych. Pewne odbicie téj myśli znajduje się w końcowém zastrzeżeniu uchwały, dalsze przecież rozprowadzenie jéj wymagałoby specyalnych postanowień, do czego już nie było czasu.

Dr. Kłobukowski podniósł kwestyę emigracyi. Jak wiadomo w ciągu ostatnich lat kilkunastu w okolicach Wielkopolski i Prus Zachodnich, a więcéj jeszcze w Galicyi, rozwija się wśród ludności polskiéj emigracya przeważnie i prawie wyłącznie za morze do Ameryki. W Galicyi emigranci rekrutują się z warstw ludu wiejskiego, jak o tém sprawa wadowicka wymownie przekonała. Że faktu tego nie można lekceważyć, tego dowodem są cyfry, z których się pokazuje, że z jednéj Galicyi już dzisiaj corocznie przynajmniéj kilkanaście tysięcy, jeżeli nie więcéj, ludzi rzuca zagon domowy i śpieszy na oślep w pogoni za lepszym losem. W tém opuszczaniu swojego gniazda dla chleba dźwięczy struna bólów i zawodów, dochodzi nas szmer cichéj walki wewnętrznéj, echo dramatów wśród czterech ścian ubogiéj strzechy. Wątpić bowiem nie można, że chyba tylko wyjątkowe postacie z liczby uchodzących prostaczków płyną za morze gwoli wrażeń, dla zadość uczynienia pragnieniom awanturniczego ducha.

P. Kłobukowski notuje istnienie bardzo znacznéj emigracyi, i wobec tego faktu żąda uznania konieczności opieki nad emigrantami, dla zapewnienia im powodzenia na nowém miejscu pracy, przy zachowaniu cech narodowościowych. W perspektywie zarysował referent możność wytworzenia kolonii polskich w Ameryce, a mianowicie na obszarach stanów Argentyńskich i Chilijskich, które są omijane przez wychodźców rasy romańskiéj, a klimatem

chłodniejszym zbliżają się do naszego i otwierają obszerne pole działania dla emigrantów polskich (1). I ta sprawa wywołała, jak tego można się było spodziewać, bardzo ożywioną dyskusyę. Mówcy galicyjscy dostarczyli ciekawych dla wyjaśnienia sprawy danych. Zwrócono uwagę, że wielu z pomiędzy emigrantów powraca po kilku latach w rodzinne strony, zazwyczaj ze znacznemi oszczędnościami i nabywa następnie ziemię, do którój posiadania, nie ruszając się z miejsca, tak prędko nigdyby nie doszli. Sprawozdania urzędów pocztowych wykazują ciągłe przesyłki pieniężne z Ameryki, które przychodzą od emigrantów pod adresem pozostałych na miejscu żon i krewnych. W niektórych powiatach zachodniéj Galicyi cena ziemi podniosła się nawet znacznie skutkiem zapotrzebowania ze strony powracających emigrantów, pragnących za jaką bądź cenę nabyć gospodarstwo we własnéj wiosce. Jeżeli jednak, wioska przeszła w ręce żydowskie, to emigranci z niéj wcale już nie powracają do kraju.

Zauważono, że powodzenie towarzyszy tym, którzy opuszczają ojczyznę z zasobem pozwalającym czas jakiś żyć swobodnie na drugiéj półkuli, ale jadący bez żadnych środków narażeni są na najcięższe próby i dolegliwości.

Nie ulega téż wątpliwości, że wielu emigrujących prostaczków upada w walce o byt i ginie marnie bez śladu w dalekich krainach. Co do okolic, z których wychodźctwo najwięcéj się rekrutuje, to wedle powszechnie uznawanego zdania, główny haracz w tym kierunku płaci Galicya zachodnia, jako bardziéj przeludniona, gdy przeciwnie we wschodniéj zjawisko z taką siłą nie występuje, ujawnia się bardzo słabo, co się tłómaczy i mniejszém zaludnieniem i mniejszém rozdrobnieniem własności ziemskiéj. Po rozpoczęciu dyskusyi, zdawało się na chwilę, że wnioski referenta będą przyjęte. Ale roztropność wzięła górę. W pogoni za ułudną marą, w jaką z łatwością mogą się obrócić projekta przyszłych kolonii polskich w Ameryce, nie podobna pozbywać się gruntu z pod nóg, a témsamém nie można dawać podniety chociażby najodleglejszéj do opuszczania swych siedzib. Że zaś idea kolonii zaatlantyckich stanowiła podstawę wniosków prelegenta, nie podobna téż im było na tym gruncie dobić się uznania i przyjęcia. Przyszedł wtedy inny projekt p. Konica, aby przy uznaniu emigracyi za złe konieczne, wyrazić jednak potrzebę opieki nad jéj skutkami, to jest nad wychodźcami. Lecz i tutaj znowu postawiono znak zapytania nad tém, czy to złe nosi

(1) Bliższe szczegóły znaleść można w „Ateneum" które w zeszycie listopadowym str. 283 rozpoczęło druk pracy dr. Kłobukowskiego a w niniejszym ją kończy.

istotnie cechy konieczności, zwrócono uwagę, że jeżeli nie z praktycznego, to przynajmniéj z teoretycznego stanowiska, konieczność nie zachodzi, bo mogą być inne środki ułatwiające ludziom zdobycie chleba bez podróży za ocean. Przy téj sposobności zwrócono uwagę na możność zmniejszenia przeludnienia w jednych miejscowościach kraju przez przejście ludności rolniczéj w okolice z wielkiemi obszarami dworskiemi, przez parcelacyę odpadków od tych obszarów, do czego Galicya dosyć jeszcze przedstawia pola. Tak więc z rozprawy nad kwestyą emigracyi wyłoniła się myśl kolonizacyi wewnętrznéj, jako środka obrony przeciwko wychodźctwu.

Ale jak i co zrobić w tym kierunku? Okazało się, że sprawa wogóle zbyt jest trudna, że podniesiona kwestya wymaga dłuższego zastanowienia i pracy, że najsumienniejsza dyskusya nie wystarczy, bo nie może ona zastąpić koniecznych badań. W konsekwencyi zjazd wybrał komisyę złożoną z pięciu członków do zbadania sprawy i złożenia sprawozdania na przyszłym zjeździe, z możnością wcześniejszego ogłaszania wyniku swych prac w miarę ich postępu. Było to najlepsze wyjście, jakiego można było sobie życzyć w tym wypadku. Wskutek takiéj decyzyi sprawa nie utknie, przyjdą dalsze opracowania i ponowna dyskusya. Do komisyi oprócz referenta weszli prof. Kleczyński oraz pp. Mączewski, Parczewski i Szczepanowski.

W tém miejscu piszący te słowa zwrócił uwagę zebranych na wysokie zajęcie, jakie kwestye dotyczące drobnéj własności ziemskiéj wywołały, i postawił wniosek o zalecenie przyszłemu zjazdowi przygotowania specyalnych na ten temat referatów. Wniosek ten został przyjęty. Już na podstawie prac obecnego zjazdu materyał dla następnego przedstawia się w tym względzie bardzo bogaty, że wspomnimy tylko kwestyę emigracyi, kwestyę kolonizacyi wewnętrznéj, kwestyę *homestead*'ów, wreszcie chociażby i kwestyę spadków włościańskich, jako jeszcze niezałatwioną.

Jednocześnie przyjął zjazd także wniosek przysłany listownie przez hr. Cieszkowskiego, z żądaniem, aby przyszły zjazd zajął się kwestyą współudziału robotników i oficyalistów w zyskach przedsiebiorstwa, a to w zastosowaniu do potrzeb naszego kraju. Tym sposobem dla sekcyi ekonomicznéj w przyszłym zjeździe wytkniętą już została droga do obszernéj pracy.

Dwa inne referaty dra Kozłowskiego i p. Flama dotyczyły interesów własności ziemskiéj, ale głównie większéj. P. K., mówiąc o polityce agrarnéj wobec przesilenia rolniczego, uzasadniał konieczność uwzględnienia w prawodawstwie potrzeb rolnictwa za pomocą odpowiednich środków z dziedziny polityki ekonomicznéj,

zaś p. F. traktował o spółkach rolnych. Oba referaty przeszły prawie bez dyskusyi i bez uchwał, zwłaszcza, że referenci nie postawili stosownych wniosków do rozpatrzenia. Myśl spółek w pierwszéj chwili zwróciła na siebie uwagę, rezultat przecież wypadł dla referenta mniéj szczęśliwie. Wywody referatu błądziły wśród ogólników ekonomicznych, brak było ścisłéj podstawy, skutkiem czego dobra zkądinąd myśl nie zdołała przyoblec się w pożyteczne kształty. Znać było, że referent nie jest wcale ekonomistą.

Nareszcie p. Federowicz mówił o przemyśle naftowym w Galicyi. Wykazawszy, że Galicya w źródłach naftowych posiada ogromne bogactwo, protestował gorąco przeciwko zwyczajowi sprzedawania nafty galicyjskiéj za amerykańską, co szczególniéj w Wiedniu na wielką skalę się praktykuje.

Dla zwalczenia tego fatalnego zwyczaju p. F. proponuje, aby zakładać spółki eksportowe lub banki komisowe dla urządzania własnych składów z naftą galicyjską i sprzedawania takowéj pod własną marką. W konkluzyi referent postawił dwa wnioski: o potrzebie odrzucenia marki obcéj, oraz o potrzebie wspomnianych spółek i banków. Po ożywionéj dyskusyi, przy któréj ujawniły się ujemne strony handlu produktami galicyjskiemi, po za granicą Galicyi, obadwa wnioski uchwalono.

§ 5.

Zamknięcie zjazdu nastąpiło na drugiém i ostatniém posiedzeniu plenarném, które się odbyło d. 14 września o godzinie 5-éj po południu. Odczytanie zapadłych w sekcyach uchwał, decyzya względem odbycia następnego zjazdu w Poznaniu, kilka drobnych wniosków natury porządkowéj i wymiana słów serdecznych podziękowania i pożegnania złożyły się na uroczystość, utrwalając w pamięci zebranych miłe wspomnienie przepędzonych razem chwil pracy. W sprawozdaniu niniejszém starałem się dać wierny obraz zajęć zjazdu, dla większéj dokładności w wielu miejscach przemawiałem słowami referentów, o ile streszczenie na to pozwalało. Zdaje mi się, że po przerzuceniu tych kartek czytelnik będzie wiedział, co robiono i w jaki sposób pracowano, a co zatém już idzie, potrafi łatwiéj ocenić rzecz i jéj znaczenie. Niech nam jednak wolno będzie i pod tym względem dorzucić kilka uwag objaśniających.

A przedewszystkiém, jaki pożytek przynosi tego rodzaju zebranie?

Chcąc mówić o korzyściach zjazdu, nie należy traktować téj rzeczy ze stanowiska zbyt subiektywnego, mogącego niekiedy być zawodném. W istocie, najpiękniéj zastawiony stół nie ma wartości dla głodomora, który się od niego odwraca. Ażeby krynica przyniosła ożywczy skutek, potrzeba się do niéj zbliżyć, potrzeba z niéj chciéć i umiéć czerpać. Jak krytyka z „Głosu“ (N. 38 z r. b.), zgodnie z własném przyznaniem rozczarowanego z góry do tego, co swoi urządzają, tak wogóle uprzedzonych i niechętnych nic nie przekona i nic nie nawróci.

Podstawa zatém do ocenienia pożyteczności czy zjazdu, czy wszelkiéj innéj formy wymiany myśli, leży gdzieindziéj, leży ona w zestawieniu tego, co ta forma daje, z prawdziwemi potrzebami ducha dążącego do postępu i rozwoju. W tym zaś względzie, gdy się weźmie pod uwagę bogatą treść programu, gdy się rozważy rzucone, brzemienne treścią myśli, to przecież widzi się, że było z czego czerpać, było z czego odnieść mniejszą lub większą, ale zawsze jakąś korzyść w miarę osobistego przygotowania i usposobienia. A po nadto wszystko, ta atmosfera poważna, różna od zwyczajnéj, podnosząc skołatanego ducha, przedstawia niepomierną wartość zwłaszcza dla prawników praktyków. Jak ciało skąpane w czystém powietrzu górskich okolic odżywia swą krew, przyśpiesza pulsowanie, tak samo i tutaj umysł ożywia się i na tém ożywieniu zyskuje niewątpliwie. I to się spostrzega tak na sobie samym, na własném usposobieniu, jak na innych i na ich usposobieniu. Trzymamy nieraz pulsa innych w naszych ręku, widzimy, że raźniéj biją, gdy im się udało odetchnąć przez chwilę po za atmosferą codziennych prac i trudów, trosk i kłopotów.

Przechodząc do oceny prac zjazdu, o który nam chodzi, i rozpatrując się w szczegółach, dostrzegamy dwie dodatnie cechy odbytego zebrania.

Najprzód, na dobro policzyć mu należy poruszenie ważnych kwestyi, stojących na porządku dziennym w życiu naszego społeczeństwa.

Do takich kwestyi należały: ze względu na Galicyę sprawa reformy gminnéj, sprawa spadków włościańskich, sprawa kredytu dla włościan, sprawa przemysłu naftowego, ze względu na Królestwo, kwestya przysięgi stron jako dowodu w procesie cywilnym, ze względu na Poznańskie sprawa własności ziemskiéj w téj prowincyi, wreszcie z ogólniejszego stanowiska sprawa emigracyi. Jeżeli dodamy nowe projekty i myśli, jak myśl spółek rolnych, projekt nowego organu prawniczego, a przedewszystkiém myśl programu

polskiéj ekonomiki, to dostrzeżemy łatwo istotną żywotność, uwzględniającą najpilniejsze potrzeby społeczne.

Ale nie pozostał też zjazd w tyle po za ruchem ogólno-europejskim, przeciwnie ruch ten znalazł tutaj swoje odbicie, czego dowodem było wprowadzenie do programu zjazdu spraw zajmujących świat naukowy wogóle, że przypomnimy tutaj kwestyę reformy prawa spadkowego, kwestyę niepodzielności jednostki rolnéj gospodarczéj, teoryę *homestead*'ów, ekstradycyę przestępców, kwestyę międzynarodowego prawa transportów, w uzupełnieniu których przyszły jeszcze dwa wyborne informacyjne sprawozdania prof. Spasowicza o reformach w Rosyi i hr. Pinińskiego o projekcie nowego austryackiego kodeksu karnego. Tym sposobem zjazd obecny posiadał pewną wartość naukową na szerszą skalę, i pod tym właśnie względem wyróżnił się od krakowskiego, zamkniętego prawie wyłącznie w sferze kwestyi miejscowych.

Na korzyść zjazdu ostatniego w porównaniu z poprzednim zapisać też wypada większą ilość prac, a przedewszystkiém podniosłość dyskusyi.

Takich rozpraw, jak ta, która się odbyła w kwestyi przysięgi, lub w kwestyi spadków włościańskich, na zjeździe krakowskim, powiedzmy wprost,—nie słyszeliśmy.

Nie ubliża to wcale poprzedniemu zjazdowi, posiadającemu swoje niewątpliwe zasługi, bo postęp jest naturalném następstwem rozwoju pracy ludzkiéj. Jeżeli zaś prawnicy nasi pracują i do poziomu ruchu naukowego dopasować się starają, kto wié, czy w liczbie przyczyn, wprowadzających ludzi na tę drogę, nie znajdzie się ów zjazd krakowski, jako jedna więcéj pobudka do pochodu naprzód. Korzyści zjazdu zamknąć się muszą, jak to z natury rzeczy wynika, głównie w dziedzinie moralnéj, być może jednak, że w rzędzie praktycznych czynów zaznaczy on także swoje ślady.

Mam tu na uwadze organ, poświęcony teoryi prawa i studyom porównawczym, o którym prawnicy już myślą, i wysoce doniosłą kwestyę emigracyi i kolonizacyi wewnętrznéj, do których badania zjazd otworzył drogę. Jeżeli w tych kierunkach cośkolwiek pożytecznego zostanie zdziałane, drugi zjazd osięgnie zasługę praktyczną, podobnie jak zjazd pierwszy, który przyczynił się do zakładania towarzystw prawniczych w Galicyi, i wpłynął pośrednio na pomyślne rozwiązanie sprawy banku ziemskiego.

Jakkolwiek oddajemy należne uznanie zjazdowi, nie idzie zatém, ażebyśmy nie widzieli usterek. Przeciwnie można by niejedno zarzucić; obserwacya bliższa ujawniła ujemne strony, wskazując zarazem na ulepszenia pożądane w przyszłości.

Podział na sekcye: prawniczą i ekonomiczną, rozwinął pole do pracy, zapewniając wyspecyalizowane do każdego kierunku siły, ale to jeszcze nie wystarczało, okazała się potrzeba dalszego podziału mianowicie w sekcyi prawniczéj. Ważniejsze referaty karne pozostały na uboczu, skutkiem braku czasu spadły z porządku dziennego. Dla uniknienia podobnéj straty zdaje się, że należałoby podzielić sekcyę prawniczą na dwa oddziały mianowicie cywilny i karny, z zapewnieniem wspólnéj pracy obu oddziałów w kwestyach ogólnych, oraz w przedmiotach z dziedziny prawa publicznego, po za karném.

Wprawdzie w prasie warszawskiéj ujawniły się zdania przeciwko wszelkim sekcyom („Słowo" N. 211), „Głos" (N. 38) nawet w naturalnym podziale pracy, upatrywał aż separatyzm; czy można jednak z tego rodzaju opiniami liczyć się na seryo?

Brak również było koreferentów. Przypadkowo kwestya spadków włościańskich posiadała kontrreferat, co nawiasem mówiąc, zapewniło sprawie gruntowniejsze przedstawienie i lepszą rozprawę, ale to téż wskazuje na potrzebę wyszukania drugiego referenta do każdego zgłoszonego tematu. Sprawozdania i obrady toczyły się w tempie zbyt pośpieszném, dłuższe dyskusye zaledwie w paru kwestyach dały się przeprowadzić, ogólne wnioski przechodziły,— na bardziéj szczegółowe, poprostu brakowało czasu. Zdaje się, że dalszy podział na sekcye i projektowane w prasie („Słowo" N. 211) przedłużenie ilości dni obrad mogą przynieść dobry w téj mierze rezultat. Nie idzie mi o tę subtelność, jaka cechuje prace niemieckich zjazdów prawniczych, z których naprzykład ostatni, dwudziesty, zamknął się wyłącznie w dziedzinie prawa cywilnego, poprzestając na objaśnieniu projektu przyszłego kodeksu cywilnego dla Niemiec. Nasze zjazdy z natury swojéj różnić się muszą od niemieckich, ale jednak większa dokładność i szczegółowość byłyby do życzenia.

Natomiast dość powszechnie powtórzone żądanie rozsyłania uczestnikom referatów przed zjazdem, zdaje mi się, że nie da się wykonać, a zresztą nie prowadziłoby do praktycznego skutku. W istocie, nie ma pewności, czy zapisany uczestnik przybędzie na zjazd, a przedewszystkiém trudno z góry przewidzieć, nad jaką kwestyą pracuje, w jakiéj dyskusyi zechce wziąć udział. Należałoby może inną ustalić zasadę, mianowicie można by zobowiązać komitet, zjazd urządzający, do komunikowania referatów w miarę wyraźnego żądania ze strony uczestników. O ile wiem, komplet lwowski od tego obowiązku się nie uchylał, ale podobno nie wiele naprzykrzano mu się w tym kierunku.

Tak więc zjazdy się przyjęły. Świat prawników i ekonomistów pozyskał nową formę zbliżenia się dla wymiany poglądów i łącznéj pracy. Każda forma życia, jeżeli tylko powstała w granicach z naturą jéj zgodnych, ma zawsze prawo do bytu, choćby dla tego, że się zrodziła. Ale, nie sięgając tak daleko, pożyteczność téj formy nie może ulegać zaprzeczeniu.

Na gruncie naukowych sprawozdań i teoretycznych rozpraw mamy możność wymienić myśli i wiadomości, wyciągnąć wzajemne korzyści z zetknięcia się wielu ludzi, i wrzucić choć grosz wdowi do téj wspólnéj skarbonki, która się nauką swojską nazywa.

Z tego stanowiska zjazdy przedstawiają dla nas niepoślednią wartość. Są one objawem życia, którego lekceważyć nie można. Stwierdzają dowodnie, że prawnicy i ekonomiści nasi żyją, że umieją myśléć i pracować, a nie ma nic bardziéj przekonywającego o wartości społeczeństwa, jak dowody rozumnéj myśli i cichéj a poważnéj pracy.

Zebranie w takim celu ludzi z odległych stron może robić i robi zapewne dodatnie na zewnątrz wrażenie.

Gdy jednak dla skutków społecznych nie wystarcza wartość zjawiska, jako takiego, lecz pożytek zależy od tego, o ile przygotowana praca przenika w tę warstwę, dla któréj była przeznaczona, niech mi więc wolno będzie zatrzymać się jeszcze nad statystyką zjazdu. Cyfra uczestników, nie licząc zapisujących się w ostatniéj chwili, wynosiła podług listy 369 osób, czyli doszła prawie do téj saméj ilości, co przy zjeździe krakowskim, który liczył 378 uczestników.

Z ogólnéj liczby zapisanych, Galicya dostarczyła 320, czyli sześć siódmych całkowitéj liczby, Królestwo 34, dalsze strony 15 osób. W porównaniu z poprzednim zjazdem rzecz się przedstawiała nieco odmiennie, bo wtedy z Galicyi było zgłaszających się 279, czyli niespełna trzy czwarte ogółu, z Królestwa 78, a z pozostałych stron 21 osób. Tym sposobem uczestnictwo ze strony galicyjskich prawników i ekonomistów podniosło się, przy jednoczesném zmniejszeniu udziału innych miejscowości.

Co do prac, z ogólnéj cyfry zadeklarowanych tematów, wynoszącéj 29, przypadało na Galicyę 21, na Królestwo 6, na inne miejsca 2. Dla krakowskiego zjazdu złożono: z Galicyi 13, z Królestwa 4, z dalszych stron 2, razem 19 tematów. Dodać należy, że obecny zjazd z samego Lwowa otrzymał siedm referatów, a i liczbę uczestników najpokaźniejszą dał także Lwów.

Z tego się pokazuje, jak niesłuszne były skargi na obojętność prawników lwowskich dla zjazdu, zamieszczone w dwóch organach

prasy warszawskiéj, a mianowicie w „Gazecie polskiéj“ (Nr. 209 z r. b.) i w „Gazecie Sądowéj“ (Nr. 39 z r. b.). Jeżeli komuś należéć się mogły przycinki, to chyba nie galicyjskim, a w szczególności nie lwowskim prawnikom; nie z Warszawy do Lwowa, lecz raczéj w odwrotnym kierunku mogłyby popłynąć słuszne zarzuty.

Niewłaściwie również użalała się „Gazeta Sądowa“ (Nr. 39 str. 623) na brak w liście uczestników ludzi nauki i powagi. Zwłaszcza co do Galicyi, tego zarzutu niepodobna było postawić, skoro obok znakomitszych profesorów figurowały z téj prowincyi nazwiska ekonomisty Supińskiego i dr. Smolki.

Czytając podobne uwagi, prawnicy i ekonomiści galicyjscy mieliby prawo powiedziéć: za twoje myto, jeszcze cię obito. Ale ci, którym wyrządzono tak niezasłużoną przykrość, niech się pocieszą, że ogół nasz tego rodzaju wyskoków nie podziela, i że są tacy, co za poniesione trudy przesyłają serdeczne: Bóg zapłać!

Adolf Suligowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

O masonii w Polsce, napisał ks. Stanisław Załęski.

Masonia jest zakonem, który stawi sobie za cel ostateczny uszczęśliwienie ludzkości i zjednoczenie jéj na podstawie wolności, równości, cnoty i światła.

Nie dyskutując celu, powiemy tylko, że niezawsze zakon przebiérał w środkach dla osiągnięcia jego, co łatwo mogło wywołać niezadowolenie rządów i kościoła: ztąd owa niezmierna tajemniczość, którą zawsze się umiał osłaniać.

Po wszystkie czasy składał się on z ludzi, to téż był i jest bardzo ułomny. Dążenie do bogactw, wpływów, potęgi często czyniło go groźnym i niebezpiecznym; ztąd liczne represalie rządów, liczne wyklęcia stolicy apostolskiéj.

Dopóki zakon nie stał się potęgą polityczno-finansową, był zapewne przeniknięty nawskroś duchem humanitaryzmu, i ci co szukali w nim braterstwa, szczerym dla haseł jego pałali zapałem; późniéj stał się przytułkiem masy ambitnych, którzy szukali w nim poparcia i pomocy.

O prawdziwéj potędze zakonu trudno wyrzec ostatnie słowo. Pisarze masońscy, przypisując mu rewolucyę 89 r., 31, 48 i komunę, daléj dzieło zjednoczenia Włoch i niezliczoną moc innych wypadków, epokowych niemal dla wielu narodów, znajdują bardzo wielu niewiernych, którzy uważają to wszystko za przechwałki lub egzageracye.

Zapewne prawda znajduje się pośrodku. Bardzo jest prawdopodobném, że masonia m o g ł a wywiérać w tym względzie olbrzymi wpływ, licząc za członków swych większą połowę najbardziéj wpływowych ludzi, których siłę zespalała w sobie, że zaś c h c i a ł a — wątpić o tém nie można.

Zawsze i wszędzie zakon był ściekiem dla skrajnie-postępowych pierwiastków, jeśli zaś duch czasu posuwał wśród pewnego społeczeństwa tę ultra-postępowość do rewolucyjności, zakon musiał się stawać najstraszliwszym przeciwnikiem istniejącego porządku rzeczy i najgroźniejszym rzecznikiem przewrotu, tém groźniejszym, że mówił szeptem, że się osłaniał powagą swych członków i niezmiennie a szczodrze praktykowaną dobroczynnością, która często, w wielu miejscach i czasach, była, po za gawędami o sztuce i nauce, i płodzeniu niewinnych utopij, jedyną jego działalnością.

Z tego co powiedziałem widać, że masonia była w rydwanie cywilizacyi najbardziéj rwącym naprzód, często ze szkodą pojazdu — koniem, czém zaś jest teraz — trudno orzec niemylnie. Drumont ma ją za zbiorową Luizę Michel, na żołdzie Żydów bankierów pozostającą.

Otóż prawdziwym źródłem masonii jest postępowość, jak prawdziwym źródłem Nilu są oceany, widocznie zaś powstała ona, czyli téż ukonstytuowała się jako taka po raz piérwszy w roku 1717, kiedy to zlały się w jedno dwa bractwa Różanego krzyża i cechu wolnych mularzy, co nastąpiło w Anglii, skąd natychmiast po całym świecie rozesłani emisaryusze pozakładali w krótkim przeciągu czasu masę lóż.

Jeśli, pomimo haseł masonii, braterstwo na ziemi na wieki wieków pozostanie jeszcze mrzonką, zdołała ona w znacznym stopniu tę mrzonkę we własnym łonie urzeczywistnić. Masoni wszystkich krajów i narodów, wojujących czy w przyjaźni ze sobą żyjących, wbrew wszelkim kombinacyom politycznym zawsze pozostają braćmi.

Podczas najbardziéj zażartéj bitwy dość zawołać: „do mnie dzieci, wdowy! (tj. masoni), czyniąc znak masoński, żeby przeciwnicy, co go zrozumieli, własnemi piersiami osłonili wołającego.

I w zasadzie i w praktyce, każdy wolny mularz może być pewnym na całéj kuli ziemskiéj i we wszelkich okolicznościach — pomocy braci wiernych, ta właśnie solidarność główną siłę zakonu stanowi, nie jest téż snać czczym frazes, który wypowiada wiarę masonii w możliwość istnienia téj solidarności.

Punkt piérwszy, rozdziału I-go konstytucyi wielkiego wschodu Francyi opiéwa: „Wolnomularstwo jest instytucyą esencyonalnie filantropijną, filozoficzną i postępową; przedmiotem jéj, poszukiwanie prawdy, studyowanie moralności uniwersalnéj, nauki i sztuki, i wykonywanie dobroczynności. Przyjmuje za swe zasady: istnienie Boga, nieśmiertelność duszy i solidarność ludzką.

Uznaje wolność sumienia jako prawo własne każdego człowieka i nie wyłącza nikogo dla jego wiary. Dewizą jéj: Wolność, równość, braterstwo. Wolność tu oznacza prawo czynienia wszystkiego, co się nie sprzeciwia moralnemu i ustawowemu drugiego.

Moralność dla pozytywnych masonów jest umiejętnie wyrobioném sumieniem, wskazującém nam obowiązki i granice racyonalnego używania prawa. Zwraca się do najczystszych uczuć serca, by zapewnić tryumf cnoty, która jest mocą czynienia tego, co bezwzględnie dobre, a przedewszystkiém dopełniania obowiązków, przed czém się nie cofa, nawet pod groźbą śmierci. Ustępstwo, zrobione na korzyść prywaty lub namiętności, zaspokojenia złych chęci człowieka—jest dla masonii występkiem.

Te określenia dowiodą czytelnikowi skrajną jéj postępowość. W filozofii jest ona pozytywną; w wierzeniach religijnych nie bierze rozbratu ze swą filozofią, głosząc deizm, skłaniając się do panteizmu i twierdząc, że „Wielki budownik świata“ „wielkie wszystko“ ostatnich czasów, tylko przez rozum do ludzi przemawia; w polityce jest, jak widać to z jéj haseł, republikańska i radykalna, w polityce ekonomicznéj socyalistyczno - komunistyczna, co nietyle z określeń, pojęć zasadniczych, ile z czynów i historyi masonii jasno widać.

Jeśli straszliwe przysięgi nowoprzyjmowanych adeptów znajdują się w najzupełniéjszéj niezgodzie z prawami zasadniczemi wielu państw, to konieczność ich wypływa z ducha masonii. Nie mogłaby ona odsłaniać odrazu przed każdym nieprzygotowanym tajemnic, których groza, często zbrodniczość uczyniłaby krok podobny wielce niebezpiecznym, to téż, od stopnia do stopnia, uczniom, czeladnikom, mistrzom (trzy pierwsze, symboliczne), kawalerom wybranym i t. d. sączy ona po drobnéj kropelce swego „sekretu“, upewniwszy się wprzódy gruntownie, że to na szkodę instytucyi nie wyjdzie.

Czy we wszystkich względach taką, jak wyżéj powiedziałem, była ta instytucya w Polsce? Nie.

Była ona tylko jednym z objawów życia inteligencyi polskiéj, lepiéj powiedziéć, wpływu filozoficznych i politycznych teoryi, które z Francyi ówczesnéj po wszystkich krajach się rozlewały. Naturalnie sama już nazwa czyniła dla niéj niemożliwą oporność wobec postępowości, którą inteligencya ta była przesiąknięta, nie była ona jednak przodowniczką i wodzem elementów opozycyjnych, jak to działo się wszędzie. Nie zważając jednak na to, że była wyrazem wpływów obcych, że pomiędzy członkami swymi

liczyła tłumy cudzoziemców, nie stała się ani na chwilę kosmopolityczną.

Masonia w Polsce była stowarzyszeniem filantropijno-humanitarném wogóle, w chwilach grożących bytowi państwa stając się patryotyczném, lub téż rozwiązując się wobec konieczności ustąpienia większéj daleko powinności poświęcenia czasu na usługi narodowe.

Często stawała się ona zwierciadłem odbijającém stan ducha całego narodu. Wraz z całą Polską jest ona w swoim czasie pełna ubóstwienia dla Napoleona, późniéj—zachwytu dla Cesarza Aleksandra I-go.

Masonia polska posługiwała się rytem Różanego krzyża, którego stopień najwyższy 7-y,—kawalera Różanego krzyża (takim był król Stanisław August), odpowiada 18 stopniowi rytu szkockiego, o 33 stopniach.

Z tego można wnioskować, że nawpół zaledwie była ona wtajemniczona w całość „sekretu", chociaż niektórzy jéj członkowie, podróżując po Europie dosięgali nawet 30 stopnia szkockiego, czyli kawalera Kadosz (czysty).

Powtórzmy téż za ks. Załęskim w możliwie ścisłém streszczeniu historyą zakonu w Polsce.

Pierwszą lożę założyli w Wiśniowcu 1742 r. Stanisław Mniszech, chorąży w. lit., Andrzej Mokronowski i ks. Konstanty Jabłonowski. Posługiwali się jeszcze rytem staroszkockim (27 stopni). Następnie, w krótkim przeciągu czasu, i cudzoziemcy i bracia polscy zakładają loże w różnych miastach jednę po drugiéj.

Wstąpienie na tron Stanisława Augusta postawiło ostatecznie na nogi masonią polską, któréj wielce sympatyzował król, jako ożywionéj zasadami filozofii francuskiéj, którym sam hołdował, i które chciał wszczepić w części w naród wraz z upodobaniem do sztuki i zamiłowania do nauki.

Hr. Jerzy Moszyński, w. stolnik kor. i dozorca królewskich budynków, jako wielki mistrz zakonu, w dniu powstania jego, tj. 24 czerwca, w roku 1770 urządził wspaniały festyn na cześć inauguracyi wielkiéj loży polskiéj, do tego zaś czasu wszystkie loże polskie znajdowały się w zupełnéj zależności od wielkiego wschodu Francyi, lub też innych jéj lóż. Na festynie owym ku niezmiernemu zgorszeniu nuncyusza papieskiego, znajdowali się, *incognito* wprawdzie, sam król i prymas Podoski.

Tryumf jednak był niedługi. Wojna domowa i pierwszy rozbiór wyssały wszystką krew masonii, to téż wlokła ledwo ona żywot anemiczny, lożowe posiedzenia ustały, loże przestały prawie

egzystować. Z epoki téj ledwo ocalało od niepamięci imię mistrza wielkiego, Józefa Hylzena, wojewody mścisławskiego.

Powołuje ją nanowo do życia brat mason „wysokich świateł“ wielkiéj loży angielskiéj, Ignacy Potocki, późniejszy prezes rządu polskiego.

W roku 1783 tworzy on nową konstytucyą dla masonii polskiéj, która została w życie wprowadzona w roku następnym, już za mistrzowstwa jego następcy, Andrzeja Mokronowskiego, wojewody mazowieckiego, generała wojsk koronnych.

Masonia cieszy się nadzwyczajną pomyślnością całe trzy lata, lecz w roku 1786, kiedy Polska liczyła już 20 lóż, pali się dom na Rydzynie, własność w. wschodu polskiego, już zupełnie uwolnionego przez Potockiego od wszelkich wpływów obcokrajowych, skutkiem czego najwyższa kapituła musi szukać schronienia w d. br. Mariwilla, który jéj wynajął apartament.

Znowu w anemią zapadła masonia. Po kilkumiesięcznych rządach i śmierci Mokronowskiego, wielki młotek dostał się Szczęsnemu Potockiemu, który musiał go złożyć, ująwszy laskę marszałkowską konfederacyi targowickiéj, z czego można wnioskować o duchu, jaki ożywiał naówczas zakon. Po nim r. 1789 wybrany został w. mistrzem Kazimierz Sapieha, marszałek litewski sejmu czteroletniego.

Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego ożywa masonia, pozostaje jednak w ścisłéj zależności od lóż zagranicznych aż do r. 1810, tj. traktatu wiedeńskiego, który określił i ustalił sytuacyą kraju.

Prezes rady Księstwa Ludwik Gutakowski został obrany w. mistrzem odrodzonego w. wschodu polskiego; umarł jednak po roku szczęśliwych rządów. Następcą jego został Stanisław Kostka Potocki, minister oświecenia. Burze wojen napoleońskich przerwały na trzy lata dobroczynne przeważnie czynności masonii, która podnosi się z własnego upadku, po upadku ostatecznym krwawego bohatéra Francyi, by odżyć swój wiek złoty, krótkotrwały niestety.

Reformatorskie projekta w. m. Potockiego wywołały w r. 1810 wielkie rozdwojenie i niezgody w łonie masonii, czém rozgoryczony mistrz złożył młotek, powierzony następnie w ręce ostatniego mistrza, Aleksandra Rożnieckiego, któremu przeznaczone było pochować zakon we trzy lata późniéj na mocy ukazu cesarskiego w r. 1821.

Z tego krótkiego streszczenia jasno widać, jak nieznaczną rolę grała masonia w Polsce. Niesprawiedliwém byłoby przypisywać jéj chociażby wygnanie Jezuitów, gdyż konieczność reformy edukacyjnéj całe ówczesne myślące społeczeństwo uznawało. Nie

wywarła masonia, jako taka, najmniejszego wpływu na losy narodu, na co jednogłośnie zgadzali się zawsze wszyscy historycy, i względem czego nie łudzi się wcale ks. Załęski.

Historya tak małoznacznéj instytucyi, jaką była niezawodnie masonia polska, nie zasługuje, jak mi się zdaje, na wielki tom (400 str.), który jéj raczył poświęcić ks. Załęski. Bardzo wielka ilość dokumentów masońskich, protokółów z posiedzeń, rytuałów i spisów nazwisk i członków lożowych, bez szkody dla historyi, mogła by być wyrzucona, detaliczne zaś sprawozdania z czynności dobroczynnych lub adopcyjnych zakonu, gdyby ks. Załęski pamiętał o ich wykreśleniu, zmniejszyłyby objętość książki do połowy.

Pozostała część, czasem bardzo ciekawéj treści, miałaby jednak zawsze bardzo niewiele wspólnego z historyą dla swéj tendencyjności, któréj charakter łatwo wytłómaczy duchowny stan autora.

Niezmiernie nudne, jednostajne i nieuzasadnione najczęściéj inkryminacye przeciw zakonowi zmuszony jest czytelnik spotykać tu na każdym kroku.

Według ks. Załęskiego, masonia jest do rdzenia wrogiem kościoła i tronu, co może być prawdą dziś, lecz nie było nią zawsze i wszędzie, obwinia on zakon o ateizm, to znów o deizm, to znów o panteizm, jak mu co przyjdzie na myśl; chce on widać bardzo przypisać mu nawet rozwiązłość obyczajów, zdaje mu się to jednak snać rzeczą dość trudną; twierdzi jednak, że treścią wierzeń jego jest kult dla generacyi (reprodukcyi), czego mają dowodzić znaki symboliczne, jak to, cyrkiel, trójkąt, księżyc, słońce itd.

Zgadzamy się najzupełniéj, że w wielu okolicznościach masonia była instytucyą nader szkodliwą i zasługiwała na prześladowania rządów, zawsze jednak dla swego radykalizmu, lecz nigdy dla niemoralności w pospolitém znaczeniu tego słowa.

Józefat Nowiński.

Połączenie Rusi Czerwonéj z Polską przez Kazimierza Wielkiego, napisał Kazimierz J. Gorzycki. Lwów. 1889.

Z radością powitać należy pracę p. Górzyckiego, ucznia szkoły prof. dr. Liskego, o „Połączeniu Rusi Czerwonéj z Polską za Kazimierza W". Brak należytéj takiéj monografii dawał się wielce czuć, a nie łatwe do pokonania trudności nie zachęcały do specyalnego zajęcia się tą kwestyą. Mówimy tu jedynie o polityczném połączeniu Rusi z Polską, bo kościelne znalazło takich pracowników, jak Reifenkugel i Stadnicki, a wewnętrze prof. Liskego, Hubego, a w dalszym ciągu Stadnickiego, Radzimińskiego i Dziedu-

szyckiego. Autor postawił sobie zadanie napisania monografii o połączeniu Rusi z Polską pod względem politycznym, kościelnym i wewnętrznym, i przyznać trzeba, że jak na swe siły wywiązał się dość chlubnie.

Stosownie do zadania, podzielił autor pracę swą na trzy części. W pierwszéj traktuje o politycznêm połączeniu Rusi z Polską. Część ta jest najcenniejszą z całéj pracy, gdyż przedstawiona przejrzyście i wyczerpująco, pozwala nam wglądnąć w polityczne stosunki Kazimierza z Rusią, i rzuca dokładny obraz na wyprawy jego przedsiębrane na tę ziemię.

Część pierwszą dzieli autor na cztery rozdziały: w pierwszym opisuje pokrótce dzieje Rusi do r. 1340 i rozwodzi się szerzéj o ostatnim księciu Rusi Jerzym II, Piascie mazowieckim. Rozdział drugi opisuje nam zajęcie Rusi przez Kazimierza i dzieje téj ziemi do r. 1349, tj. do czasu, kiedy Ruś zajęta r. 1347 przez Lubarta, przechodzi znowu w ręce króla Polski. Zaraz u wstępu tego rozdziału rozbiéra autor jednę z najzawilszych i spornych kwestyi historyi Polski i Rusi, tj. rozbiéra pytanie, czy Kazimierz W. posiadał jakie prawa czy nie. Historycy ruscy oświadczają, że nie, polscy, że miał. Autorowi zdaje się, że kwestyę tę rozwiązał, chociaż nie traktuje jéj tak, jak należało, tj. nie tak, jak zapowiedział, iż „d o k ł a d n i e“ ją rozbierze. Nie uważa za stosowne odpiérać dowodów historyków ruskich i dowód swój, że Kazimierz miał prawo do Rusi opiéra na z b y t c h w i e j n é j podstawie, gdyż p r z y p u s z c z a, że spadkobiercy praw Jerzego II, Kazimierz i Ziemowit, książęta mazowieccy, przelali swe prawa do Rusi na króla Kazimierza. Przypuszczeniem takiém, chociaż i prawdopodobném nie można bynajmniéj odeprzéć wywodów historyków ruskich, ani poprzéć nieco za daleko idących historyków polskich. Drugim zarzutem, jakibyśmy zrobili, chociaż mniéj ważnym, jest ten, iż autor opowiadając o drugiéj wyprawie Kazimierza na Ruś (str. 23), zbyt mało ceni wiarogodność rocznika Trzaski, a przecie zapominać nie trzeba, iż Trzaska sam osobiście brał udział w téj wyprawie. Detka również poniża autor niesłusznie, zarzuca mu, iż „własne interesa“ popchnęły go do walki z Kazimierzem. Że tak nie było, wystarczy przytoczyć to jedynie, iż Detko poddając się królowi; wyraźnie warował sobie, b y w i a r a, o b y c z a j e, z w y c z a j e i p r a w a r u s k i e w c a ł o ś c i i n i e n a r u s z e n i e z a c h o w a n e z o s t a ł y p r z e z k r ó l a. Chodziło mu więc nie o „własne interesa“, lecz o interesa całéj Rusi. Również nie określa nam autor, jaki był właściwie stosunek Detka po objęciu przezeń rządów Rusi do króla polskiego. Czém był ten Detko, czy namiestni-

kiem, czy, jak się sam tytułuje, „*provisor seu capitaneus*", czy był „rzeczywistym panem Rusi", za jakiego go król Ludwik miał uważać.

W rozdziale III-im kreśli autor przeciąg czasu od 1349 do 1360, tj. czas wojen Kazimierza z Litwą o Ruś, i ostateczne zwycięstwo króla. Autor mówiąc o układzie Kazimierza z Ludwikiem węgierskim co do Rusi, nie rozbiéra go jak na to zasługuje, i zdaje się brać Kazimierza w obronę, choć zaprzeczyć się nie da, że Ludwik wywiódł króla Kazimierza w pole.

Ostatni rozdział téj części opisuje czasy pokoju na Rusi, czasy, w których król Kazimierz stanął „silną nogą" na Rusi Czerwonéj.

Część ta pierwsza rozprawy pana G. stawiała autorowi znacznie większe trudności, niż dwie dalsze, toć spodziéwać się należało, że część II-ga i III-cia lepiéj powinny były wypaść, niż wypadły. Brak przejrzystości, to cała wina dwóch części następnych. A przecież przynajmniéj druga część wobec tak wyczerpujących prac, jak Reifenkugla i Stadnickiego, powinna była wypaść bez zarzutu. Zdaniem mojém błąd w tém leży, iż autor nie robi reasumpcyi po każdym rozdziele, nie podaje pokrótce wyniku, do jakiego doszedł. W tego rodzaju rozprawach powinien był autor wziąć sobie wzór z powyżéj cytowanych rozpraw. Na str. 62, wiersz 14—16, mówi autor, iż stolicy apostolskiéj udało się najzupełniéj pokonać roszczenia biskupów lubuskich w czasie rządów Kazimierza. Tak właściwie nie jest, bo dopiéro r. 1375 uważać należy za właściwe pokonanie roszczeń biskupów Lubusza. Po śmierci Kazimierza, może największą i najzaciętszą toczono walkę, gdyż agitatorowie lubuscy występowali tu energicznie i zacięcie przeciw franciszkanom, aż do przybycia ks. Opolskiego.

Zarzut, jaki uczyniliśmy części drugiéj, dotyczy także w całéj rozciągłości i trzeciéj części rozprawy p. Górzyckiego, która się dzieli na trzy rozdziały.

W pierwszym mówi autor o „stanach", w drugim o „sądownictwie i administracyi", a w trzecim o „handlu, finansach i sile zbrojnéj". Najlepszym może jest rozdział, traktujący o sądownictwie i administracyi, daleko gorszym i wiele przedstawiającym do życzenia, jest rozdział pierwszy „o stanach". Rozdział zaś trzeci, to najsłabszy ustęp z całéj rozprawy.

Rozdział traktujący o stanach wykazuje przedewszystkiem, że autor nie skorzystał z materyałów. U autora np. pierwsze nadanie lenna przez króla Kazimierza stanom wyższym datuje się od r. 1357, gdy tymczasem znany nam jest jeden akt, gdzie już r. 1355 król daje w lenno Grzegorzowi Temszycowi wieś Dawidów. Autor

mówiąc o magdeburgii i zakładaniu na tém prawie osad i wsi i obdarowywaniu miast tém prawem, rozprawia o tém nadzwyczaj skąpo. Przecie prócz Lwowa i Sanoka otrzymała prawo magdeburskie i Kołomyja i Rzeszów (1362). O osadach i wsiach magdeburskich, założonych przez Kazimierza lub za jego rządów, mamy prawo wymagać dokładnych wiadomości od tak specyalnéj rozprawy. Autor nie podaje nic o powierzeniu lokacyi Radymna Bernardowi Szynwaldowi, o założeniu miasteczka Hohenstadt czyli Wysokie Miasto, Tyczyna, Łańcuta i t. d. i całego szeregu wsi, jak Haczów, Rogi, Domaradz, Brzozów, Blizne, Nowe Bybło itd. itd. Nie podaje nic o sprowadzeniu kolonistów niemieckich do Krzemienicy, Krosienka, Krosna itd. (Patrz Lewicki: Obras. Przem.). Co więcéj, imputuje np. prof. Lewickiemu, iż tenże wié tylko o 3 rodzinach szlacheckich czerwonoruskich, pochodzących od bojarów, tj. Drohojowskich, Szeptyckich i Krasickich. Prof. Lewicki zna tylko te 3 rody w ziemi przemyskiéj a nie w całéj Rusi Czerwonéj, jak się autorowi mylnie zdaje.

Nie zastanawia się również autor nad jednym wypadkiem nie małéj wagi, który należało wyjaśnić. Na akcie z r. 1370 (A. G. Z. VII. Nro VIII) wymienieni są jako świadkowie najpierw mieszczanie a potém bojarzy. Nie można tego uważać za przypadkowe, i już Stadnicki starał się to rozwiązać i przyjął, że na Rusi byli prawdopodobnie bojarzy, że się tak wyrazimy „niżsi“, a byli tém czém w Polsce „*milites pauperes*“. Wogóle z cennych wskazówek Stadnickiego (Ziemia lwow. za rządów pol. w XIV i XV w.), zdaje się, że autor wcale nie korzystał, i nie jedno swe twierdzenie uważa za swoje, choć uczony badacz pierwszy je już podał. Sprostować nam téż jeszcze wypada to, co autor pisze o Kostku Bolestraszyckim. Wyraz *Deyac* zdaje się, że autor uważa za nazwisko, gdy tymczasem ono znaczy *diak*; Kostko zaś właściwie zwał się Dejaczkowicz.

Cenne prace Hubego, prof. Liskego, Stadnickiego, Radzimińskiego i Dzieduszyckiego pozwoliły autorowi na dokładne odtworzenie administracyjnych i sądowniczych stosunków Rusi za Kazimierza. W spornych kwestyach trzyma się autor zdania prof. Liskego. Powinien był jednak autor napomknąć, czy Kazimierz zaprowadził na Rusi urząd kasztelanów czy nie. W aktach wprawdzie nie spotykamy nikogo podpisującego się „*castellanus*“, ale natomiast w aktach lokacyjnych, tyczących się Rusi i na Rusi wystawionych, spotykamy bardzo często tego rodzaju wyrażenie: „*Absolvimus eciam sculthetum et cmethones dicte ville ab ombnibus iudiciis et potestatibus omnium palatinorum castellanorum, iudicum, subiudicum*“

etc. W téj téż części (jeśli nie w pierwszéj części przy Detku) należało przynajmniéj mimochodem wspomniéć to, co kronika gustyńska pod r. 1340 zapisała, i podać swe zapatrywanie. Czytamy tam bowiem: „A potém ten król Kazimierz zebrał sejm, na którym ruską ziemię na powiaty i województwa podzielił i szlachtę ruską jedną wolnością z polskiemi wolnościami zjednoczył i utwierdził“.

Najgorzéj z całéj rozprawy wypadł trzeci rozdział téj części, mający traktować o handlu, finansach i sile zbrojnéj na Rusi za Kazimierza. Tak ważne kwestye pomieścił autor na jednéj tylko stronicy!!! Mówiąc o handlu, powinien był autor przynajmniéj powtórzyć to, co inni przed nim o tém napisali. Siłę zbrojną na Rusi trzeba było zupełnie inaczéj traktować. Należało przecie podać także i to, co Kazimierz dla zabezpieczenia kraju poczynił, trzeba było wspomniéć o budowaniu zamków i o opasywaniu miast i grodów murami. Wiemy bowiem, że Lwów, Lubaczów, Halicz, Przemyśl, Sanok, Trembowla, Tustań i Włodzimierz, zostały zaopatrzone przez króla Kazimierza w zamki, nadto Lwów, Sanok, Krosno itd. otrzymały nowe mury.

W zakończeniu zbiéra autor rezultaty swéj pracy. Tu pozwolimy sobie zauważyć, że rezultaty pracy autora, nie są właściwie ze wszystkiém jego rezultatami; to już przed nim historycy nie raz podnieśli, że Kazimierz wynagradzając Polsce utratę Pomorza i Szląska, zwrócił się na Ruś, i nieraz wyczytaliśmy poprzednio, że przygotował wprowadzenie uporządkowanéj organizacyi kościelnéj itd.

Pozostaje nam podnieść jeszcze jednę rzecz. Zaraz we wstępie wyraża się autor o Rusi, że to „kraj przed wiekami polski“. Może się autor trzymać jakiéjkolwiek teoryi i hipotezy rozsiedlenia się Słowian, może przywodzić i wzmiankę Nestora o wyprawie Włodzimierza na Lechów (981) i o zdobyciu na nich Przemyśla i Czerwienia, to jednak nie może go rozgrzeszyć z tego wyrażenia się, że tak powiemy nie historycznego. Słów Nestora nie należy rozciągać na całą Ruś Czerwoną, być może, że Czerwień, Przemyśl i przyległe ziemie należały przed r. 981 do Lechów, czyli Polaków, ale ziemie te nie stanowią jeszcze całéj Rusi Czerwonéj!

Ernest T. Breiter.

= **Na Vidov-dan 1389—1889.** *Pieśni serbskie o Kosowskim boju, w nowym przekładzie przez Izydora Kopernickiego z przedmową T. T. Jeża*

(Kraków, Gebethner i S-ka, 1889, str. 111). Vidov-dan znaczy dzień św. Wita, w którym Serbowie przed pięciuset laty ponieśli straszną klęskę na Kosowem Polu. W roku bieżącym obchodzono w Serbii smutną tę pamiątkę, a pomiędzy różnorodnemi objawami spółczucia, jakiemi pobratymcze narody uczciły rocznicę, było także ogłoszenie wybranych 14 pieśni serbskich, opiewających wielkie dla Serbów i wogóle Słowian południowych zdarzenie, a przetłómaczonych nanowo przez dra Izydora Kopernickiego. Zalety przekładów p. Kopernickiego nie są obce czytelnikom „Ateneum", które dało je poznać pierwsze. Właściwością ich jest wierność najzupełniejsza względem oryginału, posuwająca się może nawet zbyt daleko, bo aż do zatrzymania w języku naszym wyrazów serbskich w ich brzmieniu (gospodar, gospoja, pobra i t. p.). Jeż powiada, że zrobiły na nim takie wrażenie, iż czytając je, przenosił się w świat, w którym zrodziły się oryginały. „W słuchu — powiada — zabrzmiała mi gęśl ślepca, wtórząca opowiadaniu rytmicznemu, pochłanianemu przez otaczający rapsodzistę w malowniczych strojach tłum, złożony z *babów* i *babic*, z ludzi dojrzałych płci obojga, z *momków* i *diewojek*. Widziałem żywemi oczami tworzenie się pieśni podobnych do tych, z których wiązanką w tłómaczeniu polskiém dr. Izydor Kopernicki narodowi serbskiemu *pokłon* czyni. Mogę więc o akcencie ze znajomością rzeczy mówić. Czcigodny tłómacz utrafił w ten akcent, w który się na gruncie z ciekawością artysty i z miłością pobratymca wsłuchiwał. I o tém ze znajomością rzeczy mówić mogę, bośmy przed laty 25 w ojczyźnie Łazarów, Jugowiczów, Musiczów, Obyliczów, Kosancziczów razem w gościnie byli" (str. 32, 33). Przekład jest nierymowy, lecz rytmiczny, jak i oryginał. Budowa tych wierszy jest poprawna, z nielicznemi tylko wyjątkami, w których można brak rytmu zauważyć: Takim np. jest wiersz na str. 61: „włóczni tam bez liku nałamano", albo na str. 69: „odkądeś mi pobratymem w Bogu", albo na str. 85: „gdyby zaś do najwyższego Pana"; a wogóle te wszystkie, które się od spójnika *i* zaczynają, muszą być uważane za wykroczenie przeciw rytmowi trochaicznemu, gdyż *i* akcentu mieć nie może. Na usprawiedliwienie jednak tłómacza dodać potrzeba, że najskrupulatniejsi nawet przestrzegacze rytmiczności w wierszu naszym błąd ten popełniają. Język jest piękny, czysty; gdzieniegdzie tylko zdarzają się niepoprawności, wywołane wymaganiem rytmu, jak np. używanie formy *dziewięć* jako biernika l. m. przy rzeczownikach żywotnych, zamiast: *dziewięciu* i t. p. W każdym razie ładny to bardzo zbiorek pieśni i ładnie wydany.

= **Trzy legendy z dawnych lat** *według obcych podań opowiedział Adam Pług, illustrował E. M. Andriolli* (Warszawa, Paprocki, 1889, str. 69 w 4-ce). Każda z tych trzech legend odbija w sobie właściwości narodu i pisarza, od którego pochodzi. W „Matce“, obrobionéj według duńskiego pisarza Andersena, widać ponurą i groźną fantazyę ludów północnych, lubujących się w symbolice wrogich dla człowieka żywiołów przyrody, a trzymających na wodzy uczuć religijnych objawy potężnych namiętności. Matka, któréj dziecko ukochane śmierć porwała, puszcza się w pogoń za straszną złodziejką i dzięki sile uczucia macierzyńskiego i ofiarności bezgranicznéj zdołała ją prześcignąć w biegu, pokonać wszelkie przeszkody i dostać się do ogrodu, w którym rośliny reprezentują życie jednostek ludzkich na ziemi. Posługaczka śmierci wskazuje jéj drobny kwiatek, będący przedstawicielem życia zmarłego dziecięcia, i doradza, żeby groźbą wymogła na śmierci oszczędzenie tego kwiatka. Śmierć przybywa, matka stara się spełnić groźbę i zabiéra się do rwania innych kwiatów, lecz gdy śmierć jéj przypomina, że i te rośliny mają także swe matki, staje bezwładna. Wówczas śmierć daje widziéć dwa żywoty: szczęśliwy i błogi, oraz grzeszny i nikczemny, i pyta, który z nich wybiéra. Matka odnosi nad sobą najwyższe zwycięstwo; pokonywa własne cierpienie, byleby dziecko jéj było szczęśliwe — za grobem. W drugiéj legendzie, wziętéj z Dickensa poznajemy ewangelią przebaczenia dla zbłąkanych. „Siostra Aniela“, najprzykładniejsza z zakonnic, dała się unieść nieznanemu uczuciu dla rycerza; po trzech latach znękana wraca do klasztoru, chcąc żebrać o przebaczenie; dowiaduje się ze zdumieniem, że jéj nieobecności nie zauważono, bo jéj postać wzięła na siebie Matka Boska i wszystkie prace za nią w ciągu tych trzech lat spełniała. Trzecia wreszcie legenda „Niezabudka“, z Coppéego zapożyczona, wykazuje fantazyę rozsądkową, lubiącą tłómaczyć zjawiska cudowne przyczynami naturalnemi. Córka okrutnego barona średniowiecznego, nie mając z powodu skąpstwa ojca dawać co ubogim, za radą matki obdarza ich dobrém słowem lub kwiatkami; kwiatki przemieniają się w rzeczy dla obdarowanych najpotrzebniejsze. To nie cud wcale, objaśnia poeta. Książę, którego baron był lennikiem, posłyszawszy o dobrém sercu Niezabudki, szedł w ślad za nią i dokonywał owéj przemiany kwiatów na dary pożyteczne; byłby ukarał barona, gdyby nie prośby córki, którą pojął za małżonkę. Obrobienie p. Pługa jest bardzo ładne, gładkie i płynne; najpiękniéj udała się „Matka“.

= **Marcin Teofil Polak**, *malarz polski z pierwszéj połowy XVII-go stulecia. Skréślił Mathias Bersohn.* 4 ryciny (Kraków, 1889, str. 16,

w 4-ce). Dzięki skrzętnym poszukiwaniom, których i w innych kwestyach autor złożył wymowne dowody, udało mu się dorzucić kilka interesujących szczegółów do dziejów życia i twórczości nieznanego prawie malarza polskiego. Chociaż bowiem w Słowniku malarzy polskich figuruje imię Marcina Teofila, to przecież ze względu, iż prace tego artysty w obcych jedynie znajdują się krajach i nigdy w reprodukcyach się nie ukazały, mało kto mógł sobie wyrobić jakieś bliżéj określone pojęcie o jego manierze artystycznéj. Gdzie i kiedy malarz nasz się urodził, nie wiadomo napewno; p. Bersohn na podstawie wzmianek o malarzach śląskich zwanych Polakami przypuszcza, iż z téj rodziny mógł i Marcin Teofil pochodzić. Ponieważ zaś już jako ukształconego malarza zabrał z sobą arcyksiążę Maksymilian, ubiegający się o koronę polską w r. 1587, można mniemać, iż w Krakowie się kształcił, lub że miał tu pracownię malarską. Potém zostawszy nadwornym malarzem arcyksięcia, długie lata przesiedział w Innsbruku, biorąc rocznéj pensyi 150 guldenów, osobno zaś za każdy obraz dostając zapłatę. Przyswoiwszy sobie właściwości szkoły włoskiéj, malował głównie obrazy religijne, które do dziś dnia w Innsbruku, Trydencie, Rivie i Brixen się przechowują. Wybrał p. Bersohn cztery z nich i według zdjęć fotograficznych, książkę swą niemi przyozdobił i wzbogacił. Mamy tu najprzód ładny portret artysty przez niego samego zrobiony, daléj „Gloryfikacyą św. Magdaleny“, „Adoracyą N. Panny Maryi“ (z obrazów w Innsbruku), oraz „Ofiarę trzech królów“ z obrazu w Brixen. Te reprodukcye uprzystępniają już dla szerszego ogółu zapoznanie się z pracami Marcina Teofila; a wyliczenie szczegółowe przechowanych dotychczas malowideł daje pojęcie o płodności artysty, który zmarł 1639 w Brixen. Książka p. Bersohna wydana bardzo pięknie i starannie.

= **Kwiat lotosu**, *powieść przez Maryę Rodziewiczównę* (*autorkę „Dewajtisa“*). Warszawa, Lewental, 1889, str. 320. Obfita i lotna fantazya, energia, dobitność i śmiałość stylu, wielka wrażliwość na kwestye i zagadnienia zaprzątające młode głowy, a przytém pewne lekceważenie psychologii i dowolność w naginaniu figur do ról i scen, jakie autorce chwilowo wydają się potrzebne: oto główne znamienne cechy talentu pisarskiego panny Rodziewiczówny, która po napisaniu „Dewajtisa“, tak szerokiego nabrała rozgłosu. Rozgłos ten sprawił, że i dawniejsze jéj prace zaczęły znajdować licznych czytelników, co pobudziło nakładców, do żądania coraz to nowych utworów od poczytnéj autorki. Nie mając rzeczy naprawdę nowych, sięgnęła ona po napisane dawniéj i obdzielała niemi żądne jéj powieści czasopisma. Niewątpliwie takie źródło mieć

musiał i „Kwiat lotosu“. Z faktury saméj widać dość wyraźnie, że to rzecz skreślona przed „Dewajtisem“, lubo się ukazuje nam z datą późniejszą; była ona mniéj więcéj spółczesną opowiadaniu p. R. pod napisem „Między ustami a brzegiem puharu“; odznacza się bowiem taką samą brawurą słowa, taką samą żywością dyalogów i taką samą, niestety, niekonsekwencyą psychologiczną. Pierwsza połowa książki, przedstawiająca odwiedziny obywatela na najwyższe piętro mieszkań studenckich, rozmowę tegoż obywatela z Wiktoryą Brzezową, utrzymującą stancyę i prowadzącą proces nieskończony z krewnymi; postaci i zachowanie się studentów względem jéj córki Leonii całą potęgę młodzieńczego zapału rwącéj się do nauki, wyjazd na wieś Rafała i Adama, pobyt ich w domu leśniczego, zachowanie się względem Rahozów — jest doskonale pomyślaną i śmiało a żwawo wykonaną; czyta się téż z rosnącém zajęciem. Rafał, główna osobistość powieści, jakkolwiek przypomina zachowaniem się swojém, lakonicznemi odpowiedziami i pojęciami „ludzi nowych“ Turgeniewa, ma przecież i cechy właściwe sobie, a jest utrzymany w tonie dość dobrze: natura-to silna, trzeźwa, gardząca wszelką miękkością i marzycielstwem, szorstka, bez zdolności i chęci do wylań serdecznych, mająca przecież w gruncie uczucie tkliwe, któremu tylko wskutek swych zasad nie daje wydobyć się na jaw. Dopóki z takim charakterem mamy do czynienia, wdzięczni jesteśmy autorce za wzięcie z życia i przedstawienie osoby, któréj nasza literatura nie posiadała; nie zważamy na akcentowaną przez p. R. demoniczność bohatera, uważając to wyrażenie tylko za forsę frazeologiczną. Naraz autorce sprzykrzyło się iść prostą drogą i rozwijać charakter zgodnie z jego wewnętrzną konsekwencyą; wybujała fantazya robi skok jeden po drugim i zaciéra pierwotną narysowaną fizyonomią niemal zupełnie; mamy już do czynienia nie z osobą żywą i prawdziwą, lecz z kaprysem powieściopisarskim. Udział Rafała w życiu studentów monachijskich, postać włóczęgi Berta, ubieganie się o reprezentowanie turnerów, łamanie sobie ręki we drzwiach, gdy spółzawodnik zwyciężył, przedzierzgnięcie się filozofa w światowca, plan zemsty w guście Ponson du Terrail'a, błąkanie się po całym świecie w jakiejś nieokreślonéj, fantastycznéj, niby cygańskiéj bandzie, powrót do kraju dla spełnienia ostatniego życzenia przyjaciela, prawdziwe żółtodziobowe zachowanie się wobec księdza, a niedorzeczne i zwierzęce wobec Leonki: są to rysy tak dziwaczne, tak z sobą nie spojone i nie sharmonizowane, że obudzają zdziwienie i rozczarowanie czytelnika; książkę zamyka się wprost z niesmakiem. Druga ta połową powieści powinna była być zniszczona, trzeba było po „Dewaj-

tisie“ napisać coś bardziéj, jeżeli nie zaobserwowanego to przynajmniéj loiczniéj pomyślanego. Posyłając do druku wytwór fantazyi bardzo młodocianéj, któréj się zdaje, że każde powikłanie zdarzeń, każde nagromadzenie scen jaskrawych, będzie rzeczą zajmującą, zaszkodziła autorka swéj opinii powieściopisarskiéj jeszcze więcéj, jak ogłaszając „Między ustami a brzegiem puharu“; tu bowiem są tylko rażące błędy psychologiczne i lalkowatość osób poruszanych dowolnie, w drugiéj zaś połowie „Kwiatu lotosu“ jest jeszcze prócz tych wad mętna, niezdrowa fantazya, lubująca się w jaskrawości dla saméj jaskrawości. Dla dobra piśmiennictwa życzyćby wypadało, żeby to był ostatni wylew szumowin burzącéj się wyobraźni i żeby odtąd autorka, pisząc zgodnie ze swym temperamentem energicznie i śmiało, poddawała wytwory swéj fantazyi krytyczniejszemu nadzorowi rozumu. Ma po temu wiele danych w naturze swego talentu: wrażliwość, żywość, barwność i zdolność spostrzegawczą, przy wielkiéj intuicyi tj. umiejętności odgadywania rzeczy niewidzianych na podstawie obcych spostrzeżeń i uwag. Potrzeba tylko właściwości te skupić i silnie zawładnąć niemi, ażeby módz utworzyć całość artystyczną, piękną i rozumną.

= **Biblioteka pisarzów polskich** (Kraków, wydanie Akademii Umiejętności, 1889). Wydawnictwo to ma obejmować przedruki rzadkich utworów literatury, w języku polskim lub łacińskim pisanych, przedewszystkiem z XVI wieku i przeważnie takich, które nie były wydane w „Bibliotece polskiéj“ Turowskiego, oraz dawne zabytki piśmiennictwa dochowane w rękopismach. Kieruje niém osobny komitet, złożony z pięciu członków komisyi literackiéj Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prezesa téjże komisyi; sekretarz komitetu (p. Józef Korzeniowski) wprowadza w wykonanie uchwały, a więc i drukiem wydań się zajmuje. Za regułę w przedrukach przyjęto, i bardzo słusznie, zachowywać tylko skrupulatnie wszystkie cechy języka staropolskiego zarówno pod względem fonetycznym jak i morfologicznym, ale nie odtwarzać cech pisowni nieustalonéj jeszcze i w różnych drukarniach XVI stulecia odmiennéj. W zastosowaniu niezawsze zasady téj przestrzegano. W czterech zeszytach, które mamy przed sobą, są dowody odstępstwa dość rażące, témbardziéj, że się spotykają na kartach wydawnictwa, które według jednostajnych zasad ogłaszać miano. W jednym zeszycie zgodnie z rzeczywistym stanem form językowych XVI wieku, nie są odróżniane narządniki i miejscowniki l. p. rodzaju nijakiego (potym, małym dzieckiem itp.), w innych przeciwnie wyróżnienie takie się znajduje. Podobnie bywa i z imiesłowem nieodmiennym cz. prz. na — szy; w jednych mamy *szedszy* w innych przeszet*ł*szy.

Zdaje się nam, że gdy fakt pewien językowy jest dostatecznie ugruntowany, to chociażby nawet znajdowały się przypadkowe od niego odstępstwa w XVI w., nie należałoby odstępstw tych uwzględniać w przedrukach, lecz iść za objawem powszechniejszym, gdy się ma pewna jednostajność zachować. Wiele tu oczywiście zależy od wyobrażeń pojedyńczych wydawców, którzy opracowują do druku pewien utwór, ale sądzimy, iż obowiązkiem jest komitetu czuwać nad jednolitością. Podobnież rzeczą komitetu być winno nie zostawiać w objaśnieniach, dodawanych przez wydawców, form takich, które nie mają ogólno-polskiego znaczenia, lecz są naleciałościami prowincyonalnemi, jak np. wyraz *zioło* zam. ziele. Co się tyczy utworów dotychczas ogłoszonych, wszystkie one mają wartość przedewszystkiém jako rzadkości bibliograficzne, z któremi trudno się badaczowi literatury spotkać. Pod względem wczesności daty najdawniejszą, bo jeszcze z r. 1524 pochodzącą, jest allegoryczna powiastka z czeskiego przerobiona p. n. „Fortuny i cnoty różność w historyi o niektórym młodzieńcu ukazana“. Opracowaniem jéj zajął się p. Stanisław Ptaszycki, znany jako wydawca staropolskich zabytków z przedruku „Wizerunku“ Rejowego. Poprzedził on tekst krótkiém zestawieniem z oryginałem czeskim, oraz uwagami nad wybitniejszemi formami gramatycznemi i pisownią pierwodruku. W końcu pomieścił spis wyrazów, których niéma w słowniku Lindego i spis wyrazów przestarzałych z lakoniczném ich objaśnieniem. Po téj powiastce chronologicznie idą z r. 1553 „Wita Korczewskiego Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane“, przedstawiające nam w sposób, co prawda, bardzo niedołężny, wrzenie umysłów, zajętych nowinkami witenberskiemi; autor staje w obronie obrzędów i praw kościoła katolickiego, mając przeciwko sobie żółtodziobego studenta. Wydał tę broszurę polemiczną, kulawemi rymami spisaną, p. Jan Karłowicz, poprzedziwszy wiadomościami, jakie o niéj dotychczas ogłoszono, oraz opisem bibliograficznym pierwodruku; w końcu dawszy objaśnienie rzeczowe i spis wyrazów mniéj dziś zrozumiałych, oznaczając gwiazdką te z nich, których u Lindego niéma. Najważniejszą z wydanych dotychczas w „Bibliotece pisarzów polskich“ książką są „Marcina Bielskiego Satyry: I. Sen majowy, II. Rozmowa Baranów, III. Sejm niewieści“; rzecz ta bowiem ma już nietylko wartość jako materyał do poznania języka, lub szczegółów cywilizacyjnych, ale także jako utwór literacki jednego z najstarszych autorów naszych. Wydał ją dr. Władysław Wisłocki, który już od r. 1873 Bielskim się zajmował i pisał o nim. Przytoczone przez niego objaśnienia bardzo wiele się przyczyniają do zrozumienia i oceny tych utworów cie-

kawych i ze względu na rzecz i na sposób wyrażenia. „Szymona Szymonowicza Castus Joseph przekładania Stanisława Gosławskiego“ z 1597 r. jest prawie zupełną nowością; jedyny bowiem znany egzemplarz tego dziełka znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie i mało przez kogo był przeglądany. Przekład sam nie wielkie posiada zalety estetyczne; jest przedewszystkiém rozwlekły, powtóre w technice wierszowéj bardzo zaniedbany, a w rytmice dość często ma błędy. W tonie ogólnym jest pewna rubaszność, a niekiedy trywialność, nie licująca z wykwintnemi wyrażeniami Szymonowicza. Zdarzają się zaś i takie miejsca, których tłómacz, zdaje się nie rozumiał; gdy np. Szymonowicz mówi o dwuobolowych ladacznicach, których względami Józef czysty, zdaniem Iempsary, miał się cieszyć (*diobolarias apud obscoenitatem prostituit suam lupas*), tłómacz prawi o „rycerskim domu“, w którym Józef „dwu pieniężnych zażywał panien, w téj grze dość dobrze potężnych“. P. Roman Zawiliński bardzo starannie przekład ten wydał i objaśnił; sądzimy tylko, że przymiotnik w s z y s t k o w i ę d n y nie znaczy bynajmniéj: wszystko niszczący, lecz raczéj czytany być winien wszystkowi*e*dny, bez nosówki.

= **Z zagona i Bruku**, zbiór nowel *Adolfa Dygasińskiego* (Warsz. S. Lewental, 1889, str. 441). **Beldonek** przez *Adolfa Dygasińskiego* (Warsz. 1888, str. 132). Nowele p. Dygasińskiego tę mają zaletę, że są wzięte z obserwacyi, że więc, jak życie samo, dostarczają realnego materyału dla myśli. Autor pisze po większéj części z przypomnień tego, co widział lub słyszał przed laty; a tym sposobem już w samym procesie odtworzenia, zachodzi pewna na rzecz sztuki modyfikacya, bo się wiele rysów poszczególnych zléwa w jeden, figury nabywają wypukłości, a idealizujący promień wspomnień wyróżnia i te figury i ich otoczenie z pośród powszedniéj, codziennéj, trywialnéj rzeczywistości. P. Dygasiński mało więc sobie zadaje trudu, gdy przychodzi tego rodzaju materyał przerobić na dzieło sztuki; spisuje tylko mniéj więcéj widocznie, co i jak sobie przypomina. Obrobienie nawet stylistyczne bywa częstokroć zaniedbane. O kompozycyą zazwyczaj mało się troszczy; jakiś wypadek lub szereg wypadków stanowi nić łączną pomiędzy luźnie rzuconemi częściami. Braki te wykonania wynagradza treść. Życie zwierząt, którego malowanie wyrobiło p. Dygasińskiemu imię w beletrystyce, dostarczyło mu i w najnowszym zbiorku „Z zagona i bruku“ parę tematów, z widocznéni zamiłowaniem wykonanych, jako to: „Z psiarni, pola i kniei“, gdzie przedstawione zostało oryginalne życie na dworze w Sokołówce, albo „W górze i u dołu“, gdzie życie psa pańskiego i psa wiejskiego splecione jest z życiem

ich właścicieli w sposób interesujący, albo „W obronie dzieci“, motyw gdzie walka kury z jastrzębiem i zgon jéj przedstawiony. Lud stanowi drugi motyw w twórczości p. Dygasińskiego. Nie bierze on go sentymentalnie i ostrzega czytelników, ażeby tego sentymentalnego żywiołu w jego obrazkach ludowych nie szukali. Autor widzi dobrze wady swoich bohaterów i uwydatnia je równie dobitnie, jak ich zalety; a zwyczaje, obyczaje i mowę wieśniaczą zna dobrze, lubo nie myśli tych szczegółów traktować zupełnie realistycznie, mianowicie co się tyczy języka. Słownik autora jest bogaty, szczególniéj co się tyczy zajęć i narzędzi rolniczych, myśliwskich itp. Mowę swoich chłopów urabia on według przypomnień, nadając im zawsze wiele własnego zabarwienia, a więc ujednostajniając ją znacznie. Z nowel ludowych najlepszą zdaje się jest „Przy kościele“, którą „Ateneum“ drukowało, daléj „Walkowe zaloty“, epizody w „Licznych przygodach krótkiéj podróży“ i w „Dwu dyabłach“ chłopskim i szlacheckim na szkodę zobopólną z sobą na udry idących. Ludzi z bruku traktuje p. Dygasiński nadzwyczaj żartobliwie lub szyderczo, jak np. w „Licznych przygodach“, wystawiając syna mieszczańskiego, który nie czując najmniejszego zamiłowania do handlu, a mając dużo zarozumiałości, puszcza się w podróż po kraju dla poznania ludu i w przeciągu dwu dni rozczarowywa się najzupełniéj i wraca do Warszawy. Wesołą farsą jest „Ajent ubezpieczeń“, który wykształciwszy się w Ameryce w sztuce reklamy i zyskiwania zwolenników dla głoszonéj przez siebie jakiejś zasady, umie w bardzo krótkim czasie zmienić stosunki wśród małomiasteczkowéj inteligencyi. W „Dwu upadłościach“ dość lekko traktowany jest temat dramatyczny upadku firmy kupieckiéj w połączeniu z upadkiem żony, bez wiązania jednak przyczynowego tych dwu faktów. „Mąż z krukiem“ przedstawia wychudłego śledziennika, który dla kuracyi udaje się na wieś ze swoją otyłą małżonką, a sam prowadząc sumiennie kuracyą, pragnąłby także widziéć podobną higieniczną gorliwość w małżonce; stara się ją więc wstrząsnąć z apatyi mocnemi wzruszeniami; ale gdy rozgniewana żona odjeżdża, śledziennik czuje, że mu owo ciągłe irytowanie się na nią było potrzebne, że bez niéj już żyć nie może i czém prędzéj z nią się godzi. Z życia literackiego mamy tu jednę tylko „Humoreskę przez łzy“ opowiadającą poprostu opłakany stan naszych stosunków umysłowych, ze względu na liche wynagrodzenie materyalne za produkcyą duchową: literat cieszy się, że będzie mógł zarobić 30, wyraźnie trzydzieści rubli za humoreskę, o którą go prosił wydawca, ale kłopoty domowe, przeszkody w pracy, spokoju wymagającéj, choroba dzieci pozbawiają go rychło nawet téj

nadziei. — Dzieje siéroty wiejskiego i przebiegłego dziada Florka, opowiada zajmująco językiem i stylem autorsko-chłopskim w osobno wydanym tomiku p. n. **Beldonek**. Rzecz-to niewątpliwie jedna z najudatniejszych, jakie napisał p. Dygasiński. Jest w niéj wybornie utrzymany ton, zarówno w sferze pojęć i uczuć ludowych, jako téż prawie zawsze w sferze wyrazów użytych do określenia tych pojęć i uczuć. Beldonek skatowany przez „stryka" za to, że śmiał prosiaka „stworzenie boskie" obić, ucieka ze wsi, dążąc za słonkiem zachodzącém do matuli zmarłéj, przepędza noc na drzewie, widzi wieśniaków jadących na jarmark, a między nimi stryka i stryjnę, uganiających się za rozpierzchłemi kurami, które nieśli na przedaż: po ich oddaleniu się, chwyta jednę z kur, spotyka dziada, który go zachęca do pójścia z sobą, uczy pieśni nabożnych i należytego recytowania dla wzruszenia ludzi, wyzyskuje go bardzo zręcznie tak, żeby chłopak jeszcze się czuł obowiązanym do wdzięczności dla niego, prowadzi kompanią do Częstochowy, umiejąc wszystkich zabawić, zjednać sobie, z najgorszych tarapatów wybrnąć szczęśliwie; w końcu jednak przerachowuje się. Siedząc wśród żebraków pod kościołem w Częstochowie, Florek łapie pugilares, który wypadł jakiemuś panu; Beldonek to widział, a gdy jego posądzono o kradzież, wskazał rzeczywistego winowajcę. Florek dostał się do więzienia; Beldonek zaś pod opieką bab w kompanii, dostał się naprzód do Kielc, a potém do rodzinnych Balic. Właściwym bohaterem opowiadania, jest tu Florek, a postać ta traktowana z łagodną ironią, przenikającą wszystkie szczegóły i podnoszącą ją do artystycznego znaczenia, jest wyborną kreacyą. Beldonkiem obiecuje autor zająć się kiedyś jeszcze w dalszym ciągu jego życia. Życzyć należy, aby ten dalszy ciąg był równie dobry jak pierwszy,

— *Gabryela Zapolska*. **One**, akwarele, szkice i obrazki. Z ilustracyami L. Wiesiołowskiego. Warszawa, 1890 (Teodor Paprocki i S-ka, str. 336). Nazwisko p. Zapolskiéj tak się zrosło ze wspomnieniem „Małaszki" i „Kaśki Karyatydy", że gdy się je czyta lub słyszy, mimowoli nasuwają się myśli obrazy drastyczne, w malowaniu których miała upodobanie. Tak wyrobiona opinia jest oczywiście dla autorki niedogodna, a co ważniejsza, niesprawiedliwa. Obok bowiem utworów wymienionych i do nich podobnych, pisała ona i pisze zarysy, obrazki i nowele, wzięte z bardzo rozmaitych sfer życia; przedstawia świat i uczucia dzieciństwa, młodości i podeszłego wieku, ubóstwo i bogactwo, nieukształcenie i inteligencyę. Można przeczytać z rzędu kilka jéj nowel a nie znaleźć nic, coby było drażniącém czy gorszącém. We wszystkiém co tworzy,

widać temperament namiętny i nerwowy, wszędzie panuje styl silny, gwałtowny, nieraz patetyczny lub melodramatyczny, ale różnorodność pomysłów jest bardzo znaczna. Czy te pomysły biorą się u niéj z obserwacyi stosunków rzeczywistych, czy téż z fantazyi zasilanéj twórczością zagranicznych pisarzów, to inna kwestya. Autorka podaje się za niezmordowaną, niesłychanie ciekawą obserwatorkę; nie myślimy temu przeczyć, tylko zrobimy uwagę, że pojęcie obserwacyi musi być u niéj dość powszednie, takie, jakie w potocznéj rozmowie wyraz ten posiada. Obserwacya p. Zapolskiéj to ciekawe rozglądanie się wkoło siebie, zapytania rzucane mimochodem jakiéjś trafem napotkanéj osobistości, zachodzenie czasami do kuchni, na strychy, lub do budek stróży — i uzupełnianie sobie w ten sposób pochwyconych rysów wyobraźnią własną na podstawie pewnych poglądów psychologicznych czy społecznych. I tak, można w zupełności uwierzyć, że taką „Princessę", dziecko matki-arystokratki, przytulone przez żonę stróża, autorka widziała rzeczywiście i niemało słów z nią zamieniła; ale żeby ją do gruntu wystudyowała, żeby wniknęła w głąb jéj myśli i uczuć, żeby nietylko zachowanie się jéj, lecz także słowa a zwłaszcza myśli pochwyciła;—to jest już rzeczą dość wątpliwą, gdyż na każdym prawie kroku można jeżeli nie wykazać dowodów, to odczuć szukanie efektu artystycznego, wpływ fantazyi, a może nawet książek francuskich. O wiele zgodniejszym z prawdą jest obrazek p. n. „Helenka", przedstawiający dziecko nieślubne, lubiącéj upijać się praczki, poniewierane i katowane, w którego sercu powstaje silne przywiązanie do malutkiéj siostrzyczki, przywiązanie naturalnie rozsądkiem niekierowane i kończące się tragicznie, bo mimowolném otruciem ukochanéj przez podanie jéj zielonego rycerza z cukru, ku zabawie i pożywieniu. Autorka rozwinęła ten obrazek bardzo starannie, ze względnym u niéj spokojem i przedmiotowością, w formie opowiadania, unikając wprowadzania rozmów, stanowiących najczęściéj szkopuł, o który się rozbija prawdopodobieństwo, jak np. w szkicu „Peri i raj", gdzie zarówno młoda żydówka jak i autorka jednakowym przemawiają stylem. Dobre są również dwa wprost przeciwne nastrojem obrazki: „Pociemku" z życia pensyonarskiego, gdzie zamiar ucieczki z pensyi rozbija się o konieczność schodzenia do ciemnéj piwnicy, i „Na posterunku" kreślący sympatyczny wizerunek siostry miłosierdzia, ponoszącéj śmierć z ręki rozgorączkowanego chorego. Niezłém jest opowiadanie „Dlaczego", gdzie kobiéta przyszedłszy na schadzkę i nie zastawszy uwodziciela, przegląda smutne listy jednéj z jego ofiar i cofa się przed grozą podobnego losu. „Drobnostkami" nazwała sama autorka zarysy

p. n. „Jéj uszko“ i „Wychodzę z czterdziestu“, w których opisuje zawody i pociechy, nie przechodzące granic chwilowego wzruszenia. Do téjże kategoryi odnieśćby wypadało „Zakutą głowę“ niedorosłego młodzieńca, który się przecież zdobywa na koncept wysłania w swém zastępstwie męża téj, która go ku sobie ciągnęła. „Dla niéj“ jest dość już wyblakłym i zużytym szkicem z życia teatralnego; sufler zabija się pracą, byle na imieniny swéj bogini módz ofiarować bransoletkę; bogini spojrzawszy na nią, z lekceważeniem odrzuca, wołając: dęta! nie massyw!—sufler zakrapia zawód najmocniejszym koniakiem. Amplifikacyą tylko retoryczną nazwać musimy maleńki obrazek matki „Nad trumienką“ dziecka. Niczém téż innem jak takąż amplifikacyą jest artykuł na czele książki pomieszczony p. t. „Ona“, malujący kobiéty jako istoty wyłącznie uczuciowe, nerwowe i zalotne. Konsekwencyą takiego pojęcia kobiéty jest artykuł końcowy „W sprawie emancypacyi“, w którym autorka odwodzi swą płeć od nauki medycyny, wołając między innemi: „Nie wnoś zarazy w fałdach swéj sukni i ręką, przesiąkniętą wonią trupa, nie gładź czoła swego dziecka?“ A jakże ma postępować lekarz-ojciec względem swego dziecka? Lepiéj byłoby, gdyby te dwa artykuły, wcale zresztą nie mające charakteru powieściowego, nie wchodziły w skład zbiorku nowel, który stosowniéj nazwać wypadało od obrazka: „Helenka“.

= *Mikołaj Rej z Nagłowic*, **Wizerunk własny Żywota człowieka poczciwego**, *podług edycyi z r. 1560, wydał Stanisław Ptaszycki* (St. Petersburg. Warszawa. 1881—1888, str. 284—XXXIV). Długo się ciągnące, bo jeszcze w r. 1881 rozpoczęte, wydawnictwo jednego z najznakomitszych poematów literatury staropolskiéj doprowadził nareszcie p. Ptaszycki szczęśliwie do końca, ułatwiając i badaczom i amatorom piśmiennictwa możność bliższego zapoznania się z autorem, który tak wybitne zajmuje u nas stanowisko. Zastosował w niém metodę literalnego powtórzenia edycyi, którą wziął za podstawę, mając nadzieję, że zdoła nowém wydaniem zastąpić w zupełności nietylko ową podstawową edycyę, ale wogóle wszystkie trzy, jakich się Wizerunek w wieku XVI doczekał. W ciągu dziewięcioletniéj pracy tak z własnego doświadczenia, jak i z przykładu innych wydawców, przekonał się p. P., że osiągnięcie takiego celu jest wprost niemożliwe. Przedruki bowiem z zachowaniem wszelkich ortograficznych właściwości edycyi starych wymagają — jak powiada — „wiele pracy i kosztów i w ostateczności nigdy nie mogą być wolne od tak zwanych omyłek drukarskich, które znów niezawsze sprostować się dają; jeśli więc zjawi się niepewność choćby co do jednego błędu, zachowanie pisowni traci

znaczenie praktyczne; zresztą pisownia stara nie jest właściwością pisarza, lecz drukarza; kto zechce badać pisownię starożytną, ten koniecznie będzie musiał zwrócić się do oryginałów i nie zawierzy nowemu wydawcy; z powodu utrudnionéj korekty, takie wydania muszą być drogie i nie mogą liczyć na szersze koła; w ten więc sposób podobne wydania nie zadowolnią drobiazgowych wymagań archeologa literackiego i nie są dostępne dla szerokiéj publiczności; dla zaspokojenia zaś gustu kilku starożytników, dla których stara, choć wznowiona, szata ma pewien urok, nie warto tracić czasu i atłasu". Tém łatwiéj zgodzić się nam przychodzi na wywody p. Ptaszyckiego, żeśmy już przed laty podobne poglądy i argumenta wypowiedzieli w „Ateneum" z okazyi wydania pomnikowego dzieł Jana z Czarnolasu, i od owéj chwili utwierdzaliśmy się tylko w raz powziętém przekonaniu, które coraz więcéj liczyć zaczęło zwolenników, jak widzimy z krakowskiéj „Biblioteki pisarzów polskich". W każdym razie i ten poboczny wynik zajęcia się przedrukowaniem Wizerunku ma swoje znaczenie, gdyż praktycznie przekonał o niepokonanych niemal trudnościach zupełnie wiernego odtworzenia nawet zewnętrznych, częstokroć przypadkowych cech edycyi dawnych, a zarazem o małéj w stosunku do łożonych mozołów owocności tychże; zdaje się, że tylko fotografowanie starych zabytków może nam dać istotnie rzetelną ich podobiznę. Wobec takiego zwrotu myśli samego wydawcy przy końcu wydawnictwa, zaznaczyć tylko wypada istotnie wielką staranność edycyi i podziękować mu za trud podjęty. Omyłki w jego wydaniu są, bo być musiały, ale jest ich o ile to podobna jak najmniéj. Dodane ważniejsze odmianki z wydania 1558 i 1580 wraz z dokładnym opisem wszystkich dziś znanych egzemplarzy, dokonanym na podstawie osobistego ich obejrzenia, są cennemi uzupełnieniami naszych dotychczasowych wiadomości bibliograficznych o Wizerunku. Stosunek tego poematu do „Zodyaku życia" Palingena, zaznaczany dawniéj tylko ogólnikowo, został bliżéj określony przez p. Ptaszyckiego, który odłożył wprawdzie wyczerpujące pod tym względem obrobienie Wizerunku do studyum specyalnego, podobnież jak i kwestye językowe, ale dał poznać dokładniéj rodzaj zależności Reja od Palingena, rozbiérając i ustawiając trzy odpowiednie sobie pieśni (1-éj, 2-éj, 5-éj) utworu jednego i drugiego. Z rozbioru tego i zestawienia okazuje się dowodnie, że z „Zodyaku Życia" wziął Rej pomysł, ogólny rozkład dzieła, wiele myśli, obrazów, porównań, ale to wszystko po swojemu przetworzył, mniéj się wdając w dowodzenie teoretyczne zasad, a więcéj starając się objaśnić kwestye moralne przykładami,

zaczerpniętemi z życia codziennego, oraz stosować je do potrzeb towarzysko-społecznych. Z tego powodu „Wizerunek, jakkolwiek za podstawę zasadniczą ma utwór obcy, nic nie traci na samodzielności i ważności pod względem społeczno-obyczajowym i pozostanie źródłem ciekawém i cenném dla charakterystyki epoki“. Przy końcu książki mieści się słowniczek „ciekawych archaizmów“. Niektóre wyrazy mniéj potrzebnie tu się dostały, bo się używają dziś jeszcze lubo rzadko, np. *acz* w znaczeniu *chociaż*, *jaśnia* w wyrażeniu *na jaśnię*, *kaźń* w znaczeniu *kara* itp., niektóre są niewłaściwie objaśnione, np. *zasz* przez *zaś*, gdy ten wyraz, tak samo jak *azasz*, którego p. Pt. nie pomieścił, znaczy *zaż* tj. *czyż*; wiele słów potrzebujących objaśnienia pominięto, np. *ocel*: bądź-co-bądź jednak, chociaż spis archaizmów bardzo niedostateczny, pomoże on niejednemu do zrozumienia Rejowego utworu i przydać się może przy układzie słownika staropolszczyzny.

= W czasopiśmie francuskiém: „*Revue d'art dramatique*“ (Nr. 88 i 89), z r. b. ukazał się artykuł p. Władysława Bogusławskiego p. n. **Le théâtre en Pologne**. Pisząc dla cudzoziemców tak mało obeznanych z literaturą naszą, autor nie mógł naturalnie miéć na celu nietylko wyczerpania przedmiotu, lecz nawet szczegółowego w nim rozejrzenia się; chodziło mu tylko o zaznajomienie obcych z losami naszéj literatury dramatycznéj i sztuki teatralnéj w rysach najgłówniejszych, o wydobycie na wierzch tego, co w nich jest znamiennėm i ważném. Z tak postawionego sobie zadania wywiązał się p. B. bardzo dobrze; wszędzie bowiem umiał trafnie i dobitnie podmalować tło cywilizacyjne, przyczyniające się do wyjaśnienia kierunku twórczości dramaturgicznéj, wszędzie potrafił zjawiska ważne należycie, chociaż krótko scharakteryzować wszędzie wreszcie stylem ujmującym, nieraz dowcipnym, liczącym się z wymaganiami publiczności francuskiéj, starał się rzecz swą uczynić zajmującą dla czytelników rozłakomionych na przysmakach kuchni literackiéj. W jednym niewielkim ustępie zaznajomił z początkami dramaturgii u nas, podnosząc naturalnie „Odprawę Posłów“ Kochanowskiego i komedyę Baryki „Z chłopa król“; szerzéj się rozpisał nad drugą połową wieku XVIII, a mianowicie nad działalnością Wojciecha Bogusławskiego; dał poznać następnie stan teatru naszego przed r. 1830, oraz dwie odmienne jego fazy po r. 1831: melodramatyczną i tragiczną; kończy zobrazowaniem stanu obecnego, mniéj świetnego, aniżeli był bezpośrednio przed nim, ale nie usposabiającego znów pesymistycznie, zwłaszcza, że dają się dostrzegać nowe talenta zarówno w dramacie jak komedyi, które się mogą w przyszłości rozwinąć i przyłożyć się, jeżeli nie do wytworzenia

nowego okresu w rozwoju dramaturgii naszéj, to przynajmniéj do utrzymania nici łączności z przeszłością. Taka jest najogólniejsza treść artykułu p. B. Nie będę tu powtarzał charakterystyki Zabłockiego, Fredry, Korzeniowskiego, Stanisława Bogusławskiego, Chęcińskiego, Narzymskiego, Blizińskiego, Sarneckiego, Lubowskiego, Zalewskiego, Świętochowskiego itd., kto ciekawy, niech zajrzy do źródła. Chciałbym tylko, naturalnie nie ze względu na czytelników obcych, lecz swojskich, zwrócić uwagę na niektóre nieścisłości, które sprawiają, że obraz przez p. B. roztoczony nie może być nazwany wiernym odtworzeniem rzeczywistości dziejowéj we wszystkich punktach. A naprzód, jakkolwiek nic nie mam przeciwko naznaczeniu Wojciechowi Bogusławskiemu tak wielkiego miejsca w dziejach naszego teatru, jakie mu autor wydzielił, to przecież za całkiem niestosowne uważam traktowanie Zabłockiego po Bogusławskim, gdyż Zabłocki wystąpił od niego wcześniéj i wszystkie swoje najważniejsze utwory już był napisał, zanim Bogusławski teatr warszawski zreorganizował w 1783. Powtóre, nie mniéj niestosowną było rzeczą mówić o Fredrze dopiéro po scharakteryzowaniu reżyserstwa Jasińskiego po r. 1831, ponieważ przedstawienia sztuk Fredry rozpoczęły się znacznie wcześniéj, bo w r. 1821 za dyrekcyi Ludwika Osińskiego. Zapewne wygodniéj było autorowi zająć się odrazu grupą trzech pisarzów (Fredry, St. Bogusławskiego, Korzeniowskiego), ale dogodność traktowania nie może usprawiedliwić pomieszania okresów; wówczas gdy Korzeniowski i Stanisław Bogusławski naprawdę d l a t e a t r u, tworzyć zaczęli, Fredro zamilkł (w r. 1835), tak, że teatr posługiwał się utworami jego dawniéj już napisanemi i wystawionemi. Co do nowszych wreszcie czasów, to zdaje mi się, że jeżeli p. B. poświęcił osobne ustępiki pp. Kozłowskiemu, Mańkowskiemu, Gadomskiemu, Gawalewiczowi; to wypadało dobitniéj powiedziéć o „Liście Żelaznym“ Małeckiego, o „Popielu i Piaście“ Romanowskiego i dramatycznéj twórczości Asnyka. Nie zapomniał wprawdzie o nich p. B., ale tak to epizodycznie uczynił, jakby w kąciku tylko, a nie miejscu widném... Ugrupowanie autorów zawsze przedstawia niemało trudności; pojmuję téż, że dla zwrotów stylowych, dla ich urozmaicenia można niekiedy poświęcić pedantyczną dokładność; lecz powyżéj wskazane usterki nie należą zdaniem mojém do tych, któreby tylko pedant mógł wytknąć; wchodzą one dość głęboko w rdzeń rzeczy. Jakkolwiekbądź, praca p. Bogusławskiego, pisana ze znajomością przedmiotu, oddała usługę piśmiennictwu naszemu, zaznajamiając z tak ważną jéj częścią choćby tylko pewne sfery inteligencyi zagranicznéj.

= *S. Arnoud.* **Synowie Jaheli**, dramat w czterech aktach wierszem. Przełożyła z francuskiego *T. Prażmowska* (Warsz. T. Paprocki. 1890, str. 111). Treść tego utworu wzięta jest z dziejów walki, jaką prowadzili Żydzi przeciw Antyochowi Wielkiemu. Synowie Jaheli to wielcy bohaterowie, znani lepiéj pod nazwą Machabeuszów. W prologu przedstawia nam Jahelę po śmierci męża Matatyasza, zajętą wykonaniem trudnego zamiaru ukrycia synów przed zwycięskim wrogiem. Gdy się przed nią zjawia jeden z dowódców syryjskich, wysłaniec Antyocha, Lizyasz, by się wywiedziéć o jéj pochodzeniu, udaje, że jest rodem z Arabii i że nigdy dzieci nie miała; dopiéro usłyszawszy umówiony sygnał, że synowie jéj są już w niedostępném ukryciu, wypowiada w uniesieniu całą prawdę i poprzysięga zemstę. Dramat sam rozpoczyna się, gdy już synowie Jaheli dorośli i prowadzą zwycięską z Syryjczykami partyzantkę. Czteréj bracia walczą w szeregach, piąty najmłodszy, wysłany został na dwór Antyocha, by wiadomościami u źródła zaczerpniętemi mógł ostrzegać braci o ruchach nieprzyjaciół a w razie danym dopomódz im czynnie. Ten najmłodszy, Jan imieniem, zakochał się w córce Antyocha, Mirze, i został przez nią pokochany. Tém zawikłaniem dochodzi dramat do punktu kulminacyjnego. Jana ranionego pielęgnuje Mira i stara się ukryć przed nim niepomyślne wiadomości o losach wojsk żydowskich, którym chory i nieprzytomny nie mógł dać sygnału; ale Jan w półśnie słyszy opowiadanie sługi i srogą uczuwa boleść; na propozycyą ucieczki zrobioną przez Mirę, ociąga się; a w téj chwili przybywa dowódca syryjski i jako brata buntowników zabiéra do więzienia. Mira w rozpaczy, choruje, wyznaje ojcu swą miłość, Antyoch, za poradą Lizyasza postanawia dla ocalenia córki wydać ją za Jana i ogłosić go królem Judei, sądząc, że tym sposobem pozyskać sobie potrafi ludność żydowską. Janowi chwilowo uśmiécha się ta myśl; wątpi bowiem o żywotności narodu, ale gdy matka za syna go uznać nie chce, odrzuca świetny los, idzie na męki, gdy Mira zażyła truciznę. Tymczasem poczytany za zabitego Juda zjawia się w pałacu Antyocha zwycięski. Jahela, która przeczuwała, że doczeka się wieści o zwycięstwie, z nadmiaru wzruszeń bolesnych i radosnych zarazem, umiéra. Na takiéj treści, pełnéj dramatyczności i podniosłych, wielkich uczuć osnuty utwór posiada zalety pierwszorzędne i wyróżnia się pięknie od tłumu dramatów, w których niskie i szpetne wzięte są motywa. Wykonanie jednak zbyt często nie odpowiada nastrojowi; zbyt często jest deklamacyjném i napuszoném, albo posługuje się jak w przedstawieniu miłości, bardzo już zużytemi środkami; brak mu często naturalności i prawdziwéj siły. Tłómaczenie jest sta-

ranne, lecz przypomina nader wyraźnie manierę pseudoklasyczną, a nie ma téj zalety, jaką pseudoklasycy wysoko cenili, tj. piękności i wytworności rymów; nieraz bowiem dla zapełnienia wiersza i pozyskania końcówki użyła tłómaczka słów bezbarwnych lub nawet pustych jak np. *oto*, *należycie*. Jakżeż słabemi są np. takie wiersze i to takie właśnie, gdzie siła była niezbędna:

Starzec, dziecię, na śmierć pójdą z ochotą,
Słaby krzyknie: ja silny jestem *oto*

Albo znów jakże rozwlekłym i niesmacznym taki ustęp:

Aż do Boga niech dojdzie twéj wściekłości wycie!
Tyś dokonała swego, a my *należycie*
W spadku po tobie weźmiem pracy korzyść całą...

W języku znajdują się także gdzieniegdzie usterki; tłómaczka używa słowa *przeląknąć* w znaczeniu czynném zam. *przestraszyć*: „Odejdź, oczy *przeląkniesz* straszliwym obrazem“ (str. 99), a *mknąć* w znaczeniu *unikać*: „Pobity, *mknąc* naszéj pogoni“ (str. 82).

— *Systematyczny kurs nauk.* **Wzory i tematy ćwiczeń stylistycznych** przez *Bronisławę Lande* (Warsz. M. Arct, 1889, str. 180). Książka obecna ma podobieństwo w założeniu swojém do pracy p. A. Dygasińskiego: „Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych“, o któréj na tém miejscu pisano; powstała wszelako całkiem od niéj niezależnie i o wiele wcześniéj. Wypełnia ona wielką w naszém piśmiennictwie pedagogiczném lukę i to bardzo szczęśliwie. Po krótkich, zwięzłych „prawidłach dla piszących wypracowania“, które bynajmniéj nie miały na celu zastąpienia wykładu stylistyki, lecz zdążają tylko do zsumowania najważniejszych wiadomości, jakie sobie przy pisaniu ćwiczeń uprzytomnić należy, autorka podaje 30 wzorów wypracowań z zakresu prozy opisowéj i historycznéj, dydaktycznéj i oratorskiéj. W ugrupowaniu ich wychodziła p. L. z zupełnie słusznéj i przez pedagogikę teoretyczną uznanéj zasady, że „należy myśl ucznia wprowadzić przedewszystkiém w świat mu najbliższy, w świat kształtów i zjawisk otaczającéj go natury, by baczne przypatrywanie się rzeczom we wszystkich ich szczegółach przyzwyczaiło młodociany umysł do prawdy i ścisłości w sądzie“ i dlatego rozpoczęła od opisów zwierząt, roślin, minerałów, oraz zjawisk przyrody swojskiéj. Dopiéro potém przechodzi do ćwiczeń trudniejszych, rozumowanych, rozpoczynając je od t. zw. *chryj* tj. ujętych w pewne stałe formy dowodzeń jakichś prawd moralnych, wyrażanych przez przysłowia i maksymy, i mieszcząc następnie: rozprawy, charakterystyki i rozbiory. W końcu podaje wzory mów, krótko tylko nad nimi się zatrzymując. Wszystkie wogóle wypracowania, podane przez p. Lande, są odro-

bione starannie i pod względem treści i pod względem stylu. Autorka bardzo dobrze zrobiła, unikając myśli i wyrażeń, któreby dla młodzieży uczącéj się były niedostępne lub przedstawiały się jako indywidualna właściwość pisarska; zwracając się do szkoły, trzeba miéć na widoku średnie przygotowanie i uzdolnienie wychowańca i powoli przyzwyczajać go do jasnego i poprawnego, oraz logicznego wyrażania swych myśli; jeżeli będzie miał talent, to sam sobie zdobędzie przymiot piękności stylowéj i wytworzy właściwy sobie sposób pisania. Ze względu na poprawność, należałoby w 2-ém wydaniu książki uniknąć nielicznych zresztą zaniedbań, lub niebardzo odpowiednich wyrażeń, jakie tu i ówdzie spotykać w wypracowaniach p. L. można. Tak np. na str. 14 łatwo było ustrzedz się niemiłego powtórzenia wyrazu: *pracy*, na str. 43 należało zamiast „w sprawie *bardziéj ogólnéj* powiedziéć „w sprawie ogólniejszéj“, na str. 54 wyrażenie: „z *uszczerbkiem* mody“, lepiéj podobno byłoby zmienić na: „wbrew modzie nawet“, itp. Drugą ważną i nową częścią w książce p. L. są „rozkłady“ czyli dyspozycye ćwiczeń. Kto wié, jak trudno przychodzi młodemu umysłowi zdobyć na należyte uporządkowanie myśli, na logiczne ich ustosunkowanie, ten uzna pożyteczność tych 144 rozkładów, które autorka pracowicie, starannie i umiejętnie rozwinęła; najwięcéj i tutaj uwzględniając prozę opisowo-historyczną, lubo i dział „rozpraw“ jest bardzo obfity. Zapewne nie w jednéj dyspozycyi dałoby się dostrzedz usterkę; w innych możeby ktoś wybrał inne ugrupowanie; lecz naogół trzeba przyznać, że z trudnego zadania wywiązała się autorka bardzo dobrze; i sądzimy, że uczniowie i uczennice wdzięczni jéj będą za wzbogacenie piśmiennictwa dziełkiem tak pożytecznem. Przy końcu podała p. L. spis 100 tematów, wraz z podaniem książek, z których wychowaniec może zaczerpnąć wiadomości i pomysłów potrzebnych do wywiązania się z zadania. Książka jest wydana starannie i poprawnie.

— *Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.* **Jak mówić po polsku czyli Gramatyka polska w zarysie popularnym** przez *Antoniego Gustawa Bema* (Warsz. 1889 str. XI, 342, IV). O dziełku tém, wchodzącém w skład t. z. „Biblioteki dla samouków, była już częściowa wzmianka w „Ateneum“, gdy kilka pierwszych ukazało się zeszytów; obecnie więc tylko zrobimy o niém uwagi dopełniające. Rozglądając się w całości, dostrzegamy przedewszystkiem, że zalety popularnego, na przykładach opartego, rozwinięcia przedmiotu są w niéj takież jak i w początku; autor pozostał wiernym zasadzie i trafnie ją do szczegółowych kwestyi stosował. Zaczyna on wprawdzie od dogmatycznego zazwyczaj postawienia pewnych twierdzeń gramatycz-

nych, lecz natychmiast objaśnia je bardzo obfitym szeregiem zdań, poczerpniętych pospolicie z pism pierwszorzędnych autorów naszych, zwłaszcza poetów, i na rozbiorze tych zdań utrwala w pamięci ucznia podaną regułę. Czasami bywa odwrotnie, tj. zaczyna się rzecz od przytoczenia jakiegoś dłuższego wyjątku, odpowiednio do celu dobranego, i na nim opiera się wykład określeń czy prawideł. Oddając należną sprawiedliwość i umiejętności w grupowaniu faktów gramatycznych i trafności w doborze przykładów i zasadności prawie wszystkich reguł; musimy wszelako zauważyć, iż początkowe części gramatyki a mianowicie rzecz o głosowni oraz o odmianach imion, daleko szerzéj i szczegółowiéj są traktowane aniżeli dalsze tj. nauka o czasownikach, wyrazach nieodmiennych, a wreszcie wykład składni. Nieproporcyonalność taka nie mogła wyjść na dobre dziełku; odmiana imion a zwłaszcza rzeczowników przedstawia się w kształtach zbyt rozwlekłych w stosunku do skąpstwa wzorów i uwag dotyczących odmiany czasowników; roztoczenie zaś osnowy składni musimy uważać zgoła za niedostateczne. To jedna strona ujemna; druga dotyczy pomieszania rozmaitych dziedzin gramatycznych. Już dawniéj wskazywaliśmy niewłaściwość wciągania do głosowni takich kwestyi, które w morfologii stosowniejsze pod względem metodycznym i praktycznym miejsce znaleśćby mogły; obecnie zaś zwrócimy uwagę na to, że w morfologii traktowane są kwestye składniowe, z czego oczywiście musiało wyniknąć pewne zamieszanie i powtarzanie np. co do użycia form czasownikowych, a nadto iż rzecz o przecinkowaniu wstawiona najnieorganiczniéj pomiędzy wykład o zdaniach i o użyciu przypadków.—Co do szczegółów, nie zamierzamy bynajmniéj wykazywać wszystkich miejsc, mogących ulegać dyskusyi czy to pod względem treści czy téż pod względem formy; ponieważ całość jest oparta na zasadach słusznych, łatwo pominąć można pomniejsze usterki. Niepodobna jednakże pominąć, choćby dla przykładu, kilku zdań autora, mających donioślejsze znaczenie. Nie zadowolony dotychczas podawaném określeniem „podmiotu“, przedstawia własne w tych słowach „Podmiot jest-to wyraz położony w mianowniku, a oznaczający rzecz lub osobę, o któréj sąd wydajemy“. Tak nieoględna definicya, na str. 244 podana, znajduje zaprzeczenie zaraz na następnéj, gdzie powiedziano, że podmiotem może być nie tylko rzeczownik, lecz każda inna część mowy, niekoniecznie odmieniająca się przez przypadki, ba nieodmienna zgoła a „niekiedy nawet cała wiązanka wyrazów“. Cóż ma sobie pomyśléć samouk, gdy odczyta przykład: „Twoje n i g d y rozdziera mi serce“ (str. 246); czyż to n i g d y jest położone w mianowiku i czy oznacza rzecz lub osobę? Zamiar za-

stąpienia dotychczasowéj definicyi podmiotu był chwalebny, ale wykonanie chybiło. Nie tylko jednak w określeniach zdarzają się u autora niedokładności; czasami nawet myli się w przykładach. Mówi np. że można powiedzieć zarówno: „Mickiewicz, Słowacki i Krasiński są znakomitymi poetami“ jako téż: „Mickiewicz, Słowacki i Krasiński jest znakomitym poetą“ (str. 265) stosownie do tego czy „wydajemy sąd o trzech mężach nie kładąc na żadne miano szczególnego nacisku“ czy „dajemy do zrozumienia, że nie tylko dwaj pierwsi, ale i ostatni na podobny zasługuje tytuł“. Widocznie miał autor w myśli wyrażenie: „Nie tylko M. i Sł., lecz i Kras. jest znakomitym poetą“, lecz zamiast téj istotnie prawidłowéj formy, podał na piśmie i w druku dziwoląg składniowy. Do takich „*lapsus calami*“ zaliczyć należy przykład podany za wzorowy: „Matka i dziecię gorzkiemi zalewa*li* się (zam. zalewa*ły* się) łzami“ (str. 266). Błędną téż a raczéj pogmatwaną podaje autor regułę co do użycia spójników po słowach oznaczających bojaźń, powiadając: „Mówmy i piszmy“: „Lękam się, że odgadnie“ (myśląc: Nie życzę sobie, żeby odgadł), lub téż: „Lękam się, żeby nie odgadł—w znaczeniu odwrotném“ (str. 277). Pierwsze wyrażenie napotyka się wprawdzie, ale nie jest zgodne z powszechnym zwyczajem, drugie oznacza właśnie to, iż nie życzymy sobie, ażeby ktoś odgadł; życzenie zaś, żeby odgadł, wyrażamy w formie: lękam się, c z y odgadnie. Dziwną wreszcie u tak dobrego, a nawet wykwintnego stylisty jak p. Bem, który pierwszy chyba u nas reguły gramatyczne kokieteryjnie starał się przedstawić, jest nieczułość na wadliwą stylistycznie budowę zdania, przytoczonego z *Kuryera*. „Podawanie prośb o przyjęcie kandydatów do klasy pierwszéj—warszawskiéj szkoły realnéj rozpocznie się z dniem dzisiejszym“ (str. 291). Po stoicku autor powiada, że tu myślnik (—) był niezbędnie potrzebny. Należało chyba nauczyć samouka, iż był inny środek usunięcia dwuznaczności (do klasy pierwszéj w warsz. szkole realnéj).

= **Codex diplomaticus Silesiae**. *XIV Band*: *Liber fundationis episcopatus Vratislaviensis*, *herausgeg. von H. Markgraf u. I. W. Schulte. Mit 5 lithogr. Karten.* Wrocław. 1889. 4-o, str. XCIV i 212.

Zważywszy ubóstwo dotychczasowe dokumentów historycznych o najdawniejszych stosunkach Szląska, a mianowicie o stosunkach biskupstwa Wrocławskiego, spieszę poznajomić czytelników z powyższą pracą. Nieznany dotąd całkiem, pochodzący jeszcze z początku wieku XIV rejestr dochodów biskupstwa Wrocławskiego, zawiera tyle materyałów lokalno-historycznych, rzuca tak wiele nowego i jasnego światła na obszar i urządzenia posiadłości kościelnych, oraz na kolonizacyę niemiecką Szląska, począwszy od

w. XII, że na tym rejestrze przyjdzie odtąd badaczom opierać swe prace. Uczeni wydawcy tomu powyższego, profesorowie: Markgraf i Schulte odpisawszy dokładnie rękopis, spoczywający w bibliotece uniwersyteckiéj w Leyden, p. t. *liber fundationis episcopatus Vratislaviensis*, opatrzyli objaśnieniami i poprzedzili wstępem, w którym zastanawiają się nie tylko nad czasem, w jakim sporządzony został rejestr pierwotny, ale także nad kwestyami pewnemi, które wynikają z ilości wielkiéj faktów nowo wykrytych. Autorami rękopiśmiennéj księgi fundacyjnéj, składającéj się właściwie z 5 rejestrów, są t. z. prokuratorowie biskupi z początku wieku 14-go. Rękopis sam przepisany został około r. 1484 z oryginału, który znajdował się wówczas w kancelaryi biskupiéj i nosił nazwę czerwonéj księgi, *in quo fundatio episcopatus Vratislaviensis continetur*. Niebawem po r. 1484 znikł z kancelaryi. Nabyć go miał późniéj w Sztokholmie Vossius, uczony przyjaciel królowéj Krystyny szwedzkiéj. Do Leydy dostał się rękopis w r. 1666. *Liber fundationis* zawiera sporządzony, wedle podziału dyecezyi Wrocławskiéj na archidyakonaty, spis dochodów biskupstwa z dziesięcin i z posiadłości. Jest tedy **A**. *regestrum Nissense*, **B**. *reg. Vratislawiense*, **C**. *reg. Wyasdense* (t. j. Ujazdowski), **D**. *reg. Legnicense* i **E**. *reg. Glogoviense*. Do tego dołączone są jeszcze dwa spisy, a mianowicie spis **F**. zawierający nazwy posiadłości w ziemi Grotkowskiéj, nabytéj w r. 1344 od ks. Bolesława Lignicko-Brzegskiego przez biskupa Przecława z Pogorzeli i spis **G**, dodany przez prof. Markgrafa, a pochodzący z końca w. XV. Profesor dołączył go dlatego, że wykazuje, iż dziesięciny pobierała już dawno kapituła z okolic Kluczborka i Byczyny. Wstęp do *liber fundationis*, napisany przez dwóch wzwyż wymienionych uczonych, składa się z 15 rozdziałów i jest pod każdym względem wart, aby się z nim poznajomić. Jest np. w nim mowa o dziesięcinach. Dawał je pierwotnie lud polski w snopie, ale już pod koniec w. XII nastąpiła zmiana w formie; dawano bowiem z włóki stałą miarę, t. j. trzecie lub 4-te ziarno pszenicy, żyta i owsa. Z nowin (*novalia*) płacono biskupowi w początkach XIII w. dziesięcinę w pieniądzach, t. j. po wiardunku od włóki. Obok dziesięcin, pobierali biskupi dochody, z posiadłości ziemskich, t. j. z kasztelanii Odmóchowskiéj, z ziemi Niskiéj, a od r. 1344 i z ziemi Grotkowskiéj, oraz z różnych, po całéj dyecezyi rozrzuconych majątków. Prof. Schulte prostuje zapatrywania i wywody Heyne'go, Stenzla i Grünhagena, nie dające się już teraz utrzymać, wobec nowych dokumentów i zwraca uwagę na to w obszernym przeglądzie, z którego wyjmujemy, co następuje: Kasztelania Odmóchowska nadana została, jeszcze przed r. 1155, biskupstwu Wrocławskiemu,

gdyż bulla konfirmacyjna papieża Adryana IV nosi datę 1155. Ziemię Niską, graniczącą z kasztelanią Odmóchowską, nabył biskup Jarosław (1198—1201). Nissa, będąca starą siedzibą Słowian, zwie się téż *antiqua civitas Nizensis*. Obie ziemie są jeszcze w początku w. XIV niepołączonemi, dopiero gdy kolonizacya niemiecka wyglugowała niemal całkiem prawo polskie, a miasto Nissa otrzymało prawo niemieckie, kasztelania zaś Odmóchowska zachowała prawo polskie (1341 — 1376), zaczęto obie ziemie mianować Księstwem Niskiém. Prof. Schulte wykazuje dalej, że pierwotném *patrimonium* kościoła Wrocł. była kasztelania Odmóchowska, że uznana była za taką wyraźnie przez książąt polskich, a więc i wykluczoną od działów między tymi książętami. Przed połączeniem wyżéj wspomnianém téj kasztelanii z ziemią Niską, dzierżył biskup w obrębie kasztelanii prawo zwierzchniczne sądownictwa, ograniczone prawem zwyczajowém; po połączeniu dzierży on *plenum dominium perfectumque in omnibus jus ducale*. Stare Odmóchowo schodzi na bok, Nissa zostaje stolicą obu ziem biskupich. Co się tyczy sądownictwa, powiada Schulte, że w kasztelanii Odmóchowskiéj istniał obok polskiego dawnego sądu, sąd odrębny wyższy dla poddanych, rządzących się prawem niemieckiém, w ziemi zaś Niskiéj sprawował sądownictwo najwyższe starosta, przysyłany przez biskupa, z zachowaniem uznania nominalnego zwierzchnictwa księcia. Odkąd jednak ustanowiony został sąd wyższy dla poddanych niemieckich biskupa w Nisie, zniesiono podwójne sądownictwo niemieckie i wyznaczono na miejsce sądownictwa polskiego Odmóchowo, a niemieckiego Nissę. Prof. Schulte dowodzi dalej—wbrew Stenzlowi—że kościół wrocławski miał istotnie w połączonych ziemiach Odmóchowskiéj i Niskiéj, nawet po bulli papieskiéj, potwierdzającéj donacyą książęcą, prawo suwerenności, ograniczone prawem zwyczajowém, podczas gdy inne posiadłości, rozrzucone po całym Szląsku, posiadały tylko *immunitas* zwykłą, choć różną wedle lokalnego prawa. Większa część immunitatów tych leżała blisko Wrocławia.

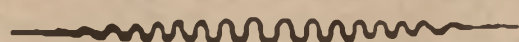
L. Ż.

— **Rys dziejów czeskich** skreślił według źródeł *Justyn Feliks Gajsler*. Warsz. skład gł. w księg. E. Wendego i S-ki, 1888, 8-m, str. 281. Czechy i Polska, jako kraje graniczące z sobą, zostawały od najdawniejszych czasów w stosunkach ścisłych, już to pokojowych, już wojennych. Bardziéj na zachód wysunięte Czechy, wcześniéj zetknęły się, z wyżéj ucywilizowanemi krajami Europy, wcześniéj przyjęły kulturę chrześciańską i daléj ją ku wschodowi rozszerzały. W ten sposób wpływy czeskie działały w pierwotnych czasach na państwo Piastów. Następnie dwa pobratymcze narody

staczały z sobą długie boje albo o przewagę w Słowiańszczyznie zachodniéj, albo o pograniczne ziemie. Walka toczyła się ze zmienném szczęściem. Pod koniec XIII i na początku XIV wieku Czechy stanęły górą, w sto lat późniéj przewaga polityczna znalazła się po stronie polskiéj, ale ruch umysłowy husycki otworzył sobie pole działania i nad Wisłą. W drugiéj połowie XV stulecia na tronie czeskim zasiadła dynastya Jagiellonów. W późniejszych czasach nasi Lisowczycy walczyli przeciw protestantom czeskim. Kiedy Czechy utraciły późniéj znaczenie polityczne, stosunki nasze z tym krajem osłabły. Pomimo tego wszyskiego w piśmiennictwie naszém nie wiele jest prac, z którychby można było powziąć wiadomości o naszych najbliższych sąsiadach. Dziejów np. czeskich nie mieliśmy dotąd obszerniéj opracowanych. Brakowi temu postanowił zaradzić p. Gajsler i wydał pierwszy tom swéj pracy, doprowadzony do śmierci Jana Husa. W 18 rozdziałach autor przedstawia zmienne losy państwa Przemysławiczów, uwzględniając zarówno wypadki polityczne jak i sprawy wewnętrzne, kościelne, społeczne, prawne, literackie. Dzieło to, ozdobione kolorowaną mapą Czechii w XV wieku, a wydane z zapomogi kasy pomocy Imienia D-ra Józefa Mianowskiego, znajdzie u nas bezwątpienia licznych czytelników.

= *Henryk Merczyng*. **Zasady elektrotechniki**. Warszawa, 1889. (Skład gł. u Gebethnera i Wolffa, cena rs. 2 kop. 70). Wydaniem niniejszego dzieła autor zapełnił dotkliwy brak podręcznika elektrotechnicznego w piśmiennictwie naszém. Zasady elektrotechniki są wyłożone bardzo treściwie i jasno, a kto się należycie z niemi za pomocą tego wykładu obznajmi, będzie dobrze przygotowany do studyowania dzieł obszerniejszych. Pożądaną byłoby rzeczą, aby nasi tak zwani elektrotechnicy choć część tego wykładu przyswoili sobie. *Bron. R.*

= W miarę zbliżania się ku schyłkowi roku bieżącego, nowe kalendarze różnych wydawców codzień niemal ukazują się za szybami księgarskiemi. W téj chwili mamy przed sobą dwa tego rodzaju wydawnictwa: *Józefa Ungra* **Kalendarz illustrowany**" in 4-to i „**Kalendarz powszechny**" in 8-o, wydany nakładem T. Paprockiego i S-ki. Obadwa ozdobione są drzeworytami, obadwa zawierają szereg nowelek oryginalnych lub tłómaczonych i obszerny dział pożytecznych w życiu codziennem informacyj, mają téż w dodatku kalendarzyki kieszonkowe. W kalendarzu Ungra jest nadto pięć życiorysów, zmarłych w roku bież. wydatniejszych osobistości.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pro domo sua.— Projekt szkół zawodowych — zatwierdzony. — Do naszego warsztatu przez zagranicę.—Gościnność pruska i krakowska.—Typy i rodzaje szkół technicznych.—Programy.—Kto u nas zakładać ma szkoły zawodowe.—Czy koszta powinny stanowić przeszkodę nie do przebycia?—Szkoły rolnicze.—Towarz. Popier. Przemysłu i handlu i jego delegacya szkolna.—Nieznany memoryał o szkołach dopełniających.—Gimnazya klasyczne i gruntowne reformy.—„Co się dzieje z Bazarem rzemieślniczym?"—Komu i na co on potrzebny.—Skąd wziąć pieniędzy?—Wprawa w narzekaniu.—Wskrzeszenie starego grzechu w Galicyi.—Ś. p. Żółkowski.

Zeszyt niniejszy kończy c z t e r n a ś c i e l a t istnienia „Ateneum".

Czternaście lat, to chwila tylko, to niedostrzegalny punkcik w bezmiarze wieków—i czternaście lat to długi okres czasu. Każdy z nas, ludzi pojedynczych, gdy przesunie w pamięci, rok za rokiem, różaniec przeszłości, ileż tam znajdzie pragnień nieziszczonych, nadziei zawiedzionych, ile niezadowolenia, goryczy, cierpień, a obok tego chwile cichéj, wewnętrznéj pociechy, jeżeli spełniony obowiązek owoce przyniósł; czasami głośny tryumf. Życie pisma z tych samych składa się pierwiastków. I tu świat wewnętrzny, postanowienia i nadzieje, zawody i pociechy, osłania szata zewnętrzna, któréj obce oko często przeniknąć nie zdoła. Gdy staniemy przed jakimś gmachem, z kształtów jego i ozdób wnosimy o myśli i chęciach twórcy, zapominając często, iż ta myśl nie jest jedyną siłą, która ten gmach wznosiła, że ona była obecna i wpływ wywarła, ale nie ona jedna decydowała. Na ostateczną postać dzieła składało się przyczyn tyle, że nieraz trudno wszystkie na pamięć przywołać,—począwszy od pokładów gruntu na wiele łokci pod powierzchnią, kończąc na wiatrach pod obłokami. Tak samo z pismem. Czytelnik odbiera co miesiąc zeszyt, w nim następuje po artykule artykuł, po szpalcie idzie szpalta; kto zechce zastanowić się, ile te stronnice mieszczą trudu ukrytego? Kto sobie przypomni, że chęć twórcy to tylko siła jedna z wielu, że ten twórca sam nieraz łamie ręce, porównywając rzeczywistość z ideałem.

Jeżeli pismo powstało nie dla spodziewanych zysków, nie dla zadowolenia widoków osobistych, jeżeli zamiary społecznéj natury powołały go do życia, to ma ono swoje własne założenie, ma wytknięty kierunek, który nie zawsze wtoruje usposobieniu panującemu, nie zawsze przypada do upodobania większości. Ztąd nie wynika, aby należało, aby można było lekceważyć to usposobienie i te upodobania; nie, bo one warunkują poparcie, a czémże będą usiłowania pisma bez poparcia jeżeli nie ogółu to przynajmniéj pewnéj jego części? Gdy jednak staną naprzeciwko siebie dwa względy: przeświadczenie o pożytku i możność zyskania poklasku, popularności—wybrać trzeba pierwsze, bo inaczéj pismo straciło by racyę bytu, zniknąłby cel zabiegów i pracy. To téż nieraz trzeba zamieszczać prace, o których wié się z góry, że nie przypadną do smaku większości, ale które uważa się za pożyteczne lub za słuszne. Nieraz z zupełną świadomością zarabiać mozolnie wypada na zarzut „nudziarstwa", gdyż w tém nudziarstwie tkwią ziarnka prawdy, gdyż to „nudziarstwo", wymijając błyskotki, wymijając i pusty zgiełk krótkiéj chwili, dotyka szaréj podstawy bytu trwałego, walczy o chléb dla ciała i duszy, potrzebny na dziś i na jutro. Czy tego rodzaju praca, czy oddziaływanie przeciwko jednostronności panującego pędu, czy poważniejsze słowo wśród lekkiego szczebiotu feljetonów nie powinno zyskać posłuchu? Sądzimy, iż jedna jest tylko na to pytanie odpowiedź.

Wobec stanowczego wpływu, jaki prasa wywiera na opinią, miesięczniki winny być istotną i nieodzowną potrzebą w społeczeństwie, jeżeli tylko posiada ono ludzi, niezadawalniających się wrażeniami, lecz pragnących p o z n a ć migające zjawiska życia. Wolne od gorączki dziennikarskiéj, wśród któréj żyją dzienniki, mogą rzecz każdą traktować spokojniéj, a przez to słuszniéj, wolne od notowania jednodniowych drobiazgów mają więcéj miejsca na gruntowne rozstrząśnięcie każdéj sprawy.

A teraz, czy „Ateneum" osiągnęło założenie, a czy dopięło celu, czy wolne jest od zarzutu, iż przyniosło mniéj korzyści niż przypuszczano. Naturalnie, że nie. Ale téż pracy ludzkiéj nie należy przykładać do ideału lecz do możliwości. Ideał zwykle stawia się wyżéj i stawiać go wyżéj należy niż ręka dosięgnąć może, to cel usiłowań, do którego zasługą jest zbliżyć się, cel ten zwykle stawiamy daléj niż można dojść nie zbłądziwszy ani razu, nie potknąwszy się ani razu. Jakże łatwe było by zadanie, gdyby omylny człowiek mógł je przez lat tyle rozwiązywać zawsze bez zarzutu, zawsze najlepiéj. To téż tak się rzeczy ludzkich nie sądzi. Chodz o to, czy przy danych warunków zrobiło się wszystko, co możliwe. Pozostawiając zresztą wyrokowanie innym, redakcya, roztrząsnąw-

szy przeszłość, obrachowawszy swe siły, rozważywszy potrzeby najbliższéj przyszłości, przyszła do wniosku, iż obowiązkiem jest prowadzić daléj rozpoczętą pracę.

Jednocześnie zwraca się do ogółu o poparcie. Żąda go śmiało, bo chodzi o sprawę zarówno naszą jak waszą. Prosi i domaga się, aby ta część ogółu, która poważnie zastanawia się nad biegiem i kierunkami życia zbiorowego, zechciała zwrócić baczniejszą niż dotąd uwagę na usiłowania „Ateneum“, gdyż żywi mocne przekonanie, że stąd pożądane skutki wyniknąć mogą.

Redakcya ze swojéj strony przyrzeka skupić siły, zdwoić starania. Wszelkie zjawiska społeczne czy literackie, naukowe czy polityczne, znajdą odbicie na szpaltach „Ateneum“. Redakcya dołoży wszelkich starań, ażeby zeszyty naszego pisma były istotnym łącznikiem pomiędzy wielkim światem cywilizowanym a naszym zacienionym zakątkiem, ażeby się stały żywym pośrednikiem pomiędzy ogniskami nauki europejskiéj i pojęciami ogółu naszego. Redakcya czujném okiem wpatrywać się będzie w sprawy, obchodzące ogół, o każdéj z nich postara się przy pomocy piór kompetentnych rzucić pomiędzy ścierające się opinije spokojne słowo rozwagi i wiedzy.

Został zatwierdzony projekt szkół technicznych. O piekącéj potrzebie szkół przemysłowych w kraju naszym przekonywać chyba nikogo dziś już nie potrzeba. Fabryki liczyć już możemy na setki, rozumiemy co raz wyraźniéj, że od rozwoju przemysłu zależy byt materyalny kraju i jednostek, synowie nasi wszyscy niemal na kawałek chleba pracować będą musieli w warsztatach, w pracowniach chemicznych, w przemyśle rolnym; a tymczasem, aby się dostać do tych warsztatów, do tych pracowni, trzeba jechać przez zagranicę. Warszawa jest dziś miastem przemysłowém, posiada wiele dziesiątków rodzai fabryk i ani jednéj szkoły zarówno wyższéj, jak średniéj. Szkoły kolejowe przygotowują głównie majstrów i robotników dla własnego użytku, dwie szkoły rzemieślnicze nie są wstanie wykształcić tyle młodzieży, ile potrzebują fabryki i ile potrzebuje społeczeństwo. Istnieje jedna tylko szkoła techniczna średnia w Łodzi, gdzie na widoku mają głównie tkactwo, świeżo założono szkołę sztygarów w Dąbrowie—i oto wszystko.

Wobec wszechświatowéj niemal konkurencyi, niepodobna obywać się majstrami praktykami, którzy znajomość fachu nabywali wśród ciężkiéj pracy warsztatowéj, niepozostawiającéj ani chwilki czasu wolnego do namysłu i do podniesienia mechanicznego zajęcia przez inteligencyę. Konieczność zmusza do sprowadzania Niemców.

Wielkie nawet zapotrzebowania można zaspakajać z zagranicy, jeżeli chodzi o wyroby z metalu lub włókna, ale taka gospodarka z ludźmi jest niemożliwą.

Na dobitkę najbliższe szkoły techniczne za granicą są dla mieszkańców Królestwa zamknięte: szląskie, a w części i saskie, wskutek edyktów ks. Bismarcka; krakowska szkoła przemysłowa wskutek woli policyi tamecznéj (świeżo wydalono z granic państwa austryackiego wszystkich wychowańców, pochodzących z Królestwa, biorąc za pretekst awanturę, do któréj wcale nie należeli). Trzeba jechać do Alzacyi lub Szwajcaryi, na co nie każdego stać.

Słowem, szkoły przemysłowe potrzebne są dla kraju naszego jak deszcze dla spieczonéj słońcem ziemi. To też spodziewać się należy, że z nowego prawa niebawem skorzystają fabryki, stowarzyszenia i jednostki.

Ustawa daje trzy główne typy szkół: 1) szkoły techniczne średnie, 2) szkoły techniczne niższe i 3) szkoły rzemieślnicze. Pierwszy typ składać się będzie z pięciu rodzajów: szkoły mechaniczne, chemiczne, budowlane, rolnicze i górnicze. Drugi—z trzech rodzajów: szkoły niższe mechaniczne, chemiczne i budowlane. Szkoły rzemieślnicze wedle programu uwzględniać mają głównie stolarstwo i ślusarstwo. Teoretyczna część nauki w tych szkołach obejmuje przedmioty ogólne (religia, matematyka, fizyka, chemia) i specyalna (budowa maszyn, technologia mechan. techn. chemicz., budownictwo, metalurgia itd.). Pierwsze wykładane będą jednakowo we wszystkich rodzajach szkół, druga grupa przedmiotów różni się nieco w każdym rodzaju odpowiednio do specyalności. Znaczną część czasu zajmą wychowańcom rysunki rozmaite, oraz praktyczne ćwiczenia w warsztatach i laboratoryach. O ile sądzić można z ogólnikowego zupełnie, bo obejmującego tylko tytuły nauk, programu, to rozkład zajęć ułożony został racyonalnie. Teoretyczne lekcye wszędzie zajmują zaledwie od 12—18 godzin tygodniowo, wraz zaś z rysunkami i ćwiczeniami praktycznemi 36—44 godzin. Uczniowie więc pracą teoretyczną przeciążeni nie będą. W szkołach niższych technicznych uczyć mają mniéj więcéj tych samych przedmiotów, w mniejszéj tylko ilości i w mniejszym zakresie. Szkoły te składać się będą z 3-ch klas, gdy szkoły wyższe podzielone zostały na 4 klasy.

W szkołach rzemieślniczych wykład obejmie: religię, język ruski, arytmetykę i rachunkowość, gieometryę, ogólne pojęcia z fizyki, technologię drzewa i technologię metali, kaligrafię oraz rysunki trzech rodzajów. Praktyczne zajęcia w warsztatach wynosić będą w każdéj z trzech klas po 24 godziny tygodniowo. Prócz tego wciągniętą została do planu nauka śpiewu ($1\frac{1}{2}$ godz. tygodniowo).

Rodzi się pytanie, kiedy te szkoły u nas zaprowadzone zostaną? Niepodobna się łudzić, aby to nastąpiło prędko. Państwo nie posiada możności żadnéj opatrzenia całego swego terytoryum szkołami całkiem nowemi w ciągu jednego, dwu, nawet pięciu lat. Cała więc nadzieja przyśpieszenia tych gwałtownie potrzebnych urządzeń spoczywa na inicyatywie prywatnéj. Wielką przeszkodę stanowić zapewne będą względy pieniężne, a szczególniéj znaczny koszt początkowego urządzenia. Nie jestto jednak może przeszkodą nie do pokonania. Urządzenie warsztatów lub laboratoryów przy istniejących fabrykach nie kosztowałoby tak wiele. Może by niektórzy przełożeni istniejących prywatnych szkół ogólnych pomyśleli o przetworzeniu swoich zakładów na szkoły techniczne i rzemieślnicze, porozumiawszy się z przemysłowcami w kwestyi uorganizowania praktycznych zajęć. Gazety podawały niegdyś wieść o staraniach celem otworzenia w Warszawie politechniki prywatnéj, może byłoby praktycznie i dobrze otworzyć za te pieniądze szkołę techniczną średnią, o kilku wydziałach.

Toż samo mniéj więcéj da się powiedzieć o szkołach górniczych i rolniczych. Te ostatnie stanowią naglącą potrzebę: ze wszech stron dochodzą utyskiwania, że postęp w gospodarce jest niemożliwy wobec tego, iż główni wykonawcy, ekonomi, są to praktycy bez najlżejszego pojęcia o możliwości jakichś ulepszeń. Należy się spodziewać, że może właściciele zamożni wielkich majątków rozpoczną starania o założenie w ich dobrach szkół średnich i niższych rolniczych. Naturalnie pociąga to za sobą kłopot wielki, z tysiąca względów jest uciążliwe, o ile jednak szkoły takie podnieść by mogły rolnictwo! Wobec doniosłego celu warto byłoby znieść niejedną przykrość.

Kosztorys rządowy oblicza roczne wydatki na szkołę techniczną średnią do dwudziestu kilku tysięcy rs., na niższą od 16 — 19 tysięcy a na szkołę rzemieślniczą do 12 tys. rs. Nie ulega jednak wątpliwości, iż koszta te przy odmiennėm a oszczędniejszém prowadzeniu szkoły, dałyby się zmniejszyć może nawet do połowy. Te dwadzieścia kilka tysięcy w szkole średniéj, obejmują pensyę dyrektora, inspektora, nadzorcy, sekretarza rady, bibliotekarza, naczelnika kancelaryi, lekarza i t. d.

Odezwały się już głosy, wyrażające myśl, iż Tow. popierania przemysłu i handlu, które dotąd wielkich dowodów działalności nie złożyło, powinno podjąć się inicyatwy w urządzeniu szkół. Nie chcemy przesądzać jak daleko sięga możność działalności Towarz., to jednak pewna, że zawierając w swojém łonie znawców zarówno potrzeb przemysłu jak i urządzeń szkolnych gdzieindziéj, mogłoby

ono poprzéć bardzo tę ważną sprawę, jeżeli nie czynem bezpośrednim, to radą, oświetlaniem, informowaniem i pobudzaniem opinii. Kilka broszur nauczających o nowych szkołach, wskazujących, jaką drogą dążyć należy, aby cel osiągnąć, niewątpliwie przyniosłoby korzyść.

Ministeryum oświecenia przy pomocy gubernatorów zbiera wiadomości, jakie w jakiéj okolicy byłyby najpotrzebniejsze szkoły. „Gazeta Radomska" twierdzi, iż władze tameczne zajęte są opracowaniem projektu, dotyczącego otwarcia szkół zawodowych w Radomiu (średnia techniczna o trzech specyalnościach), w Końskich (średnia górnicza) i w Sandomierzu (średnia techniczna).

Co do Warszawy, zapytywany był w téj kwestyi prezydent miasta, który zwrócił się do Tow. popier. prz. i handlu, a to poleciło opracować memoryał delegacyi. Działo się to jeszcze przed ogłoszeniem ustawy. Delegacya więc miała orzec, jakie szkoły uważa dla naszego miasta za bezwzględnie najlepsze i doszła do przekonania, że najpożądańsze są szkoły d o p e ł n i a j ą c e. Gdy jednak prawo ogłoszone zostało, należało wybrać z pomiędzy wskazanych typów i rodzajów. Uznano, iż Warszawa nie potrzebuje tylko szkół rolniczych i górniczych, zresztą wszystkie inne są pożądane. Gdyby jednak przeszkody materyalne nie pozwoliły na założenie wszystkich szkół odrazu, to za mniéj pilne uważać należy średnią budowlaną, niższą mechaniczną i rzemieślniczą ślusarską. Zgodnie z tą opiniją wystosował p. prezydent przedstawienie do władz właściwych.

Jednocześnie téż delegecya szkolna Tow. p. p. i h. wypracowała inny memoryał dla zjazdu przedstawicieli szkół technicznych w Petersburgu. W memoryale tym rozwija ona projekt owych szkół dopełniających, które składałyby się z trzech typów: szkoły elementarne—gdzieby uczono czytać, pisać, rachować, trochę rysunków i trochę buchalteryi; szkoły zawodowe dla czterech rodzajów rzemiosł (mechanicznego, chemicznego, budowlanego i szyjącego), nareszcie—szkołę wyższą rysunkową. Memoryał ten ledwie teraz został wykończony, lub może nawet wypracowany nie jest, nie wiemy więc, jakie względy spowodowały w delegacyi powyższe zdanie, jak również czy szkoły zalecone uważa ona wogóle za najlepsze, czy téż tylko za najbardziéj odpowiednie do potrzeb i środków naszych w kraju całym lub może tylko w Warszawie.

Jeszcze jedna nasuwa się nam uwaga. W żadnym z trzech typów szkół zawodowych nie zostały wciągnięte do programu języki cudzoziemskie, tymczasem, zdaje się, są one u nas bardzo potrzebne. Technik, który skończył szkołę, chociażby nawet niższą,

powinien badać postęp w swoim fachu, poznawać nowe wynalazki i ulepszenia, powinien więc czytać pisma odpowiednie, a pisma takie wychodzą po francusku, niemiecku, lub angielsku. Przytém niejeden kończący szkołę zechce może na praktykę udać się do wielkich warsztatów na Zachodzie. Może zakładający szkoły zdołają uzyskać możność wciągnięcia tych języków do planu nauk.

W obecnéj chwili kilka komisyj przy min. oświaty pracuje również nad zreformowaniem programu w gimnazyach klasycznych. Sprawą tą zajmują się żywo dzienniki ruskie. Zdaje się, że obowiązująca dziś ustawa 1871 roku nie utrzyma się nadal. W sferach rządzących zwrócono uwagę, iż dzieci zbyt wiele uczą się greckiego i łaciny. Szczególniéj ostréj uległy krytyce bardzo dziś wysoko cenione tłómaczenia piśmienne z ruskiego na grecki i łacinę, które nie pozwoliły wielu już chłopcom otrzymać patentu. Wszak kresem nauki języka starożytnego jest rozumienie autora, nikt mówić, ani pisać tym językiem dziś już nie potrzebuje. Była to więc sztuka dla sztuki, zbyt kosztowna, gdyż pochłaniała wiele godzin drogiego czasu. Wobec tak surowego sądu, wychodzącego z ust osób decydujących i powtarzanego w urzędowym organie ministeryum oświaty, kwestyi ulegać nie może, iż poziom wymagań starożytniczych w gimnazyach ulegnie znanemu obniżeniu.

Pisma ruskie—a w téj liczbie pół oficyalny „Wileńskij Wiestnik"—zwracają również uwagę, że reformy gruntowne zbyt może często przekształcają wychowanie publiczne i nie są bynajmniéj rozwojem jednéj myśli. Rzadko komu udało się rozpocząć i skończyć naukę przy jednym systemie, zwykle w środku w 4-éj, 5-éj klasie zaskoczyła ucznia zmiana kierunku, która wprowadzała pewien zamęt i nie mogła dobrze oddziałać na rozwój umysłu. Stanowi to więc wadę dotychczasowéj praktyki wychowawczéj. Obecnie p. minister oświaty dokłada osobiście największych starań, aby wszystko poszło dobrze. Podczas objazdu, toczył długie i wyczerpujące rozmowy w sprawach wychowania z pedagogami różnych części państwa i obecnie wzywa wszystkich nauczycieli, aby nadsyłali uwagi swoje i skazówki. Również cała prasa ruska zabiera głos, aby wyświetlić sprawę wychowania i spopularyzować projektowaną reformę. Zapewne także książki szkolne będą zupełnie zmienione.

Niewątpliwie ważną wskazówką jest użytek, jaki wychowańcy gimnazyum osiągają z klasycznego wykształcenia. W warszawskim np. uniwersytecie na 1164 studentów tylko 54 poświęca się filologii, a wśród nich maleńki tylko procent dały gimnazya miejscowe.

Świeżo, bo zaledwie 10 dni temu, wyszła z druku bardzo ciekawa broszura, p. t. „Co się dzieje z bazarem rzemieślniczym?“ Myśl otworzenia nazwanéj tak instytucyi błysnęła szczęśliwie jeszcze rok temu. W piérwszéj chwili inicyatorów projektu i jego zwolenników opanował wielki zapał i gorączka pośpiechu. Spierano się, czy otworzyć bazar od wielkiéj nocy, czy od Św. Jana. Przebierano w lokalach, a nawet gorętsi i śmielsi, szybując na skrzydłach lotnéj niecierpliwości, projektowali odrazu wybudować dom i—basta!

I oto co się stało: po roku o projekcie głucho, nikt się już nie zapala i nikogo nie'podnieca niecierpliwość; zamiast potrzebnych 10,000 rs. zebrano zaledwie 3,100. Więc zapewne, albo bazar był sobie pomysłem teoretycznym, nie opartym na żadnéj istotnéj potrzebie i jako taki spłonął niby fajerwerk? Albo znów 10,000 rs., to suma przechodząca środki rzemieślników warszawskich?

Oba te zarzuty przewiduje autor i zwycięsko je odpiera. Dobry rzemieślnik warszawski nie zawsze ma się świetnie. Nabywców, kundmanów—używając utartego miana, wyszukać trudno, trzeba walczyć z nawałem partaczów. Publiczność więcéj nieraz pociąga taniość niż wartość. Reklama stała się wszechpotężną i naturalnie posługują się nią częściéj partacze, niż sumienni i dobrzy majstrowie. Kto zdoła się domyślić, że w jakimś zaułku odludnym na Łuckiéj lub Smoczéj, mieszka dobry bronzownik, lub stolarz. Szyld oczywiście nie wystarcza. Fabryka wyrobów platerowanych Norblina nie poprzestaje na sprzedaży w fabryce na ulicy Żelaznéj, lecz założyła sklep na Krakowskiém-Przedmieściu, gdzie się sam towar zachwala na wystawie w oknach. Każdy rzemieślnik osobno takiego sklepu nie jest w stanie urządzić, ale wszyscy razem mogą to zrobić bez wielkiego wysiłku. To, co się opłaca wielkim przemysłowcom, opłaci się bezwątpienia i małym, tém więcéj, że bazar powinien mieć wśród kierowników swoich znawców i przyjmować tylko wyroby dobre; publiczność zyskałaby gwarancyę, a rzemieślnicy skuteczny środek na tandeciarzy.

Jeżeli zastanowimy się, że istotnie bez reklamy w odmęcie wielkiego miasta wybić się trudno, że walka z partaczami jest ciężka, projekt bazaru występuje nie jako chimera, lecz jako potrzeba ważna i nawet pilna. Takie bazary istnieją zresztą gdzieindziéj i przynoszą korzyść. Nie chodzi więc o nowatorstwo, o stosowanie jakiegoś wynalazku, lecz o przeszczepienie na nasz grunt środka pewnego, wyprobowanego.

Autor broszury zwraca daléj uwagę, że rzemieślnik warszawski wyroby swoje zbywać musi na rynkach poza miejscowych,

A jeżeli warszawiak nie zawsze znaléść zdoła odpowiedniego majstra, to cóż dopiero mówić o kupcu cudzoziemcu. W dodatku reputacya naszych wyrobów została mocno zachwiana wszędzie poza krajem, również wskutek wysunięcia się na plan piérwszy tandety. Kupiec cudzoziemski znalazłby w bazarze wystawę, informacyą i gwarancyą.

Tyle co do potrzeby. Co do środków, autor twierdzi, iż rzemieślnicy drobni, zainteresowani w nowéj instytucyi, mogą złożyć 5,000 rubli (nabywając udziały po 25 rs.). Sądzimy, iż to rachunek zbyt skromny. Czyżby szewcy, krawcy, stolarze i t. d. warszawscy, liczni, wśród których są przecie firmy zamożne, nie zdołali bez wysiłku nawet złożyć całych 10 tysięcy rubli? Ale, może tak jest, autor jako rzemieślnik stosunki te znać musi lepiéj. Pozostałe 5,000 rs. autor ma nadzieję uzyskać dla bazaru od większych przemysłowców. Dotąd nie wzięli oni udziału, a kilkanaście grubszych zapisów załatwiło by sprawę. Autor przypuszcza, iż nieobecność pochodzi z niewiadomości. „Czyż to już raz—mówi on—hojność naszych przemysłowców powołała do życia nową instytucyę?! Dla czegóżby, gdy idzie o sprawę czysto rzemieślniczą, mieli by być twardego serca? Ani myślę w to wierzyć. Sprawa sama prawdopodobnie nie doszła do ich uszu, a jeżeli doszła, to przedstawioną została tak niezgrabnie lub niesympatycznie, że ich nie zainteresowała".

Autor podaje kilka powodów małego poparcia bazaru przez ogół interesowanych, wszystkie one jednak streszczają się niemal w dwu następujących zdaniach:

„Francuzi urządzili przez ten czas wystawę, wystawili setki pawilonów, sprowadzili narody ze wszystkich pięciu części świata—a my skromnego sklepu na Bazar nie zdołamy otworzyć".

„Francuzi są ludźmi czynu—a my jesteśmy grabarzami wszelkiéj działalności i największą przyjemność nam sprawia, gdy jak karawaniarze odprowadzamy wszystko, co jest czémś nowém, na mogiłki zapomnienia".

Przyznając najzupełniéj racyę szanownemu i wymownemu autorowi w kwestyi bazaru rzemieślniczego, niepodobna mi jest powstrzymać się od jednéj uwagi, którą broszura jego nasuwa. Nadzwyczajnie wprawiliśmy się w recytowanie spisu i określania naszych wad i ułomności. Podobno niegdyś uważaliśmy się za naród wybrany, wolny od wad, które bliźnich naszych trapią; dziś jesteśmy o wiele bardziéj podobni do grzeszników bijących się w piersi.

Bardzo przykre wieści doszły nas z Galicyi.

Parę lat temu cała Galicya pogrążona była w sprawę propinacyjną, ani nowo-odkryte źródła nafty, ani pogłoski o wojnie nie były wstanie oderwać od niéj myśli publicznéj. Rząd wiedeński naglił sejm krajowy, o przyśpieszenie reformy, a znaczna część opinii, broniąca interesów obywatelstwa wiejskiego, załamywała ręce i groziła jednocześnie, że nie dopuści do takiego rabunku właścicieli ziemskich. Zdawało się, że sprawa się nie zakończy spokojnie, że wytworzone przez nią pretensye i niesnaski rozsadzą, albo stosunek Galicyi do państwa, albo parlament w Wiedniu, albo przynajmniéj rozerwą ministeryum hr. Taafego. Na szczęście nadarzyła się możność zaciągnięcia pożyczki na warunkach dogodnych; obywatele otrzymali znaczne, podobno najzupełniéj dostateczne, wynagrodzenie i raz na zawsze utracili prawo propinacyjne; odtąd karczmy wydzierżawiać będzie skarb, dopóki dochód nie spłaci zaciągniętéj pożyczki i monopol przez to nie zniknie.

Ludzie wszech stanów i wszelkich przekonań, którzy dobro kraju przekładają nad interes jednéj klasy i jednego pokolenia— odetchnęli. Zasypane wreszcie zostało jedno z bagnisk, szerzących zarazę społeczną, wyschło źródło zgorszenia i pokus, które zatruwały życie kraju nieszczęśliwego, dźwigającego na wyniszczonych barkach straszne przekleństwa ponuréj, metternichowskiéj przeszłości. Odtąd upadek moralny jednego stanu nie miał dochodu przynosić innemu, szlachcic stracił interes w rozpajaniu chłopa. Haniebna spółka dziedzica z szynkarzem rozerwana, otwierały się jedne z licznych niestety wrot, zamykających przystęp do dobrych stosunków sąsiedzkich, do zaufania, do wpływów dworu na chatę. Tak się rzecz przedstawiała, czyż mało było powodów do radości?

Stało się inaczéj.

Pożyczka miała być zamortyzowaną w ciągu lat 26, rząd dopłacał milion guldenów rocznie. Dochody z dzierżaw przeszły oczekiwania, termin, przecinający spekulacyę na rozpajanie chłopa, przybliżył się znacznie.

Wszędzie na świecie trzeźwość ludności uważana jest za ważny warunek pomyślności kraju, narodu, państwa. Od niéj zależy zdrowie, bogactwo, moralność. Czyż trzeba dowodzić, że naród rozpity musi wyradzać się, musi ginąć z głodu samego. Przeciwko pijaństwu na całym cywilizowanym świecie walczy państwo i kościół, walczą stowarzyszenia i jednostki, szkoła, policya, sądownictwo, medycyna. W Galicyi walka podobna była niemożliwa, bo dla bardzo ważnéj i bardzo wpływowéj części ludności zmniejszenie się pijaństwa szkodę dotkliwą przyniosłoby. Czyż więc nie jest bo-

lesném, że nadzieja poprawy tych fatalnych stosunków okazała się tylko krótkotrwałém złudzeniem?

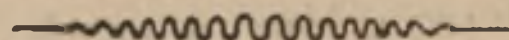
Ziemiaństwo broniło posiadania karczmy wszystkiemi siłami, używało wpływów, próśb i pogróżek; gdy obronić nie było wstanie, wzięło wynagrodzenie, ale propinacyi za wygranę nie dało. Szerokie stosunki i stanowisko polityczne pozwoliły obywatelom uzyskać pierwszeństwo i oni dzierżawią dawną swoją własność, odstępując ją następnie żydom za wyższą cenę. Pisma cytują fakty, iż pewien właściciel majątku zapłacił 2.000 gulden., a wziął od żyda 4.000. A więc nie zmieniło się nic, pan pozostał wspólnikiem żyda w dziele rozpajania chłopa.

Sprawę tę podnosi organ, którego o stronność, o niechęć, o lekkomyślne uogólnienie pojedyńczego wypadku pomówić nie można, podnosi ją „Słowo“! Nie chęć urągania, nie radość wroga wywołała pierwszy głos żalu, skargi i potępienia „niepoprawnych“, lecz boleść głęboka. Rzeczywiście, smutny to obrót sprawy. Dawniéj można było tłómaczyć, że złe trzyma się siłą bezwładności, że się toczy nabytym w przeszłości pędem. Dziś tém już się pocieszać niepodobna. Grzech tkwi nie tylko w nieumiejętności zerwania z szkaradnemi nałogami, lecz w popędzie do nich, w usiłowaniu czynném, połączoném z pomysłowością, sprytem. Dziś już nie można wytykać żydom, że do pracy produkcyjnéj zdolni nie są, lecz żyją wyzyskiem. Stan ziemiański w Galicyi w łonie swoim posiada członków téj saméj wartości: zmarnowali ojcowiznę, nie umieli pracą i rozumem wydobyć z ziemi pomnożenie spadku, a obecnie znaleźli talent do interesu: wyzyskują chłopa, wyzyskują przyszłość kraju.

Czy można wobec tego przypuszczać, że tli tam iskierka chociaż miłości dla spraw ogólnych? Jakże się gorzko zawiedli ci, co przypuszczali, że ziemiaństwo galicyjskie postąpi sobie jak szlachta w Poznańskiém i Prusach zachodnich, jak by niewątpliwie postąpiła szlachta i gdzieindziéj. Tam wyrzucili żydów z za szynkwasu, karczmy zamknęli, darząc przyszłe pokolenia zdrowiem, zyskując dla siebie i kraju zdrowych i uczciwych robotników.

Złych skutków złego stanu moralnego jest kilka. Przedewszystkiém przeciąga się istnienie prawa propinacyjnego, bo gdyby 4.000 złr. szło do skarbu, nie zaś 2.000, pożyczka prędzéj spłaconą by została. Ale naturalnie na tém się nie kończy. „Słowo“ słusznie dowodzi, że obywatele sobie pewną gotują zgubę, przyzwyczając się za pieniędze, wyciśnięte z pijanych tłumów, do życia nad stan. Psując własne otoczenie, marnując robotnika, rabują oni majątek, o zdanie rachunku z którego ma przecie prawo dopomnieć się teraźniejszość i przyszłość.

Umarł Aloizy Żółkowski. Kto go nie znał? Ci co nie widzieli tego wielkiego talentu na scenie, słyszeli o nim od szczęśliwszych znajomych, wiedzieli, iż był synem bardzo popularnego aktora-humorysty, którego koncepty i anegdotki znane są równie dobrze wszystkim pokoleniom żyjącym. W zawodzie swoim był on doskonałością—to zdanie wyczerpuje wszystko. Zawdzięczamy mu wiele chwil wesołych i wrażeń artystycznych. Oddając temi kilkoma słowy cześć pamięci zmarłego, dodam, iż był on może jedynym w Warszawie człowiekiem, który posiadał uznanie wszystkich, wszyscy go chwalili, wszyscy cenili, nikt mu nic, jako aktorowi, nie zarzucał. Był on jeden, teraz niéma już nikogo. *Lus.*



KORESPONDENCYA DO REDAKCYI.

Z powodu artykułu „Bawmy się."

Dziwne, jak Boga kocham, nastały czasy! Nikt nikomu nie dogodzi, a zwłaszcza młodszemu pokoleniu. Oj to młode pokolenie!... Wszystkiemu rade przyganić co pochodzi od starszych lub się przechowało z tradycyą. Bo i cóż to, proszę państwa, może komu szkodzić, że młodzież się pobawi? Na to jest młodość. I niema za co ciąć filipiki. Juściż każdy może używać swego czasu czy pieniędzy, jak mu się podoba. Jeśli państwo X. chcą wydać bal i sprowadzą wina reńskie lub szampańskie, jeśli hrabina Y. chce zaprosić księdza biskupa na postny obiadek i sprowadzi ostrygi z Ostendy, a sterlety z Wołgi, toć na tém handel zyska; zarobią kupcy, zarobią krawcy, a jeśli to lub owo z zagranicy się przywiezie, toć już ekonomia polityczna przekonała, jak dwa a dwa cztery, że wymiana produkcyi między państwami tylko na dobro i pożytek tych państw się obraca. Ot, czy nie na to starają się Francuzi i Niemcy kolonizować dalekie lądy? Czy nie zarabiają oni na sprzedaży owéj tandety u dzikich nacyi? A u nas czy mało zarobili to Węgry tokajem, to Francuzy babskiemi fatałaszkami, to Niemcy bogdaj zabawkami dla dzieci? No i my na nich coś zarobić musieliśmy. Tylko ja już tak dawno siedzę tu sobie w Arcachon, w mojéj ciupce pod strychem, że nie wiem dobrze co się u nas dzieje, więc i nie potrafię dokumentnie wypisać czémeśmy się wywdzięczyli sąsiadom i nie sąsiadom za ich towary—ale to rzecz pewna, żeśmy się czémś innem niż krwią naszą wypłacić musieli.

Pan K. pisze, że nie umiemy się oszczędzać, że nie umiemy pracować.. Jak mi Bóg miły bajka, wierutna bajka. Zaraz dowiodę, gdy przytoczę to, co własne oczy widziały.

Nie dawno, parę lat temu, wypadło mi pojechać dla interesów w te strony bogate, gdzie co krok, to albo pan baron, albo pan hrabia, albo nawet J. O. książe. Nawet szewc, co mi buty robił (i źle zrobił), pieczętował się koroną z dziewięciu gałkami. (Nie korespondowałem z nim, ale obuwie na wieś mi ekspedyował, i sam rozcinałem szpagat, którym paczka owiązana i opieczętowana była). Otóż pojechałem do téj krainy, w któréj nie byłem przedtém, i gdyby nie ta zawierucha z przed laty, tobym sobie w méj wiosczynie nad Pilicą do dziś dnia Boga chwalił, na roli gospodarzył, w swobodnéj chwili zabawiał się z sąsiadem, popijając miodek i grając w ćwika. Pojechałem więc, bo się tam zmarło stryjecznemu, po którym chudoba mnie się należała, a od przybytku głowa nie boli, kiedy się ma niewiele. Zajechałem na probostwo, bo i gdzież się nieznany miałem udać po radę, po informacye, jak nie do sługi bożego? Ksiądz proboszcz, staruszek, przyjął mnie najgościnniéj, objaśnił o jakiéj porze mam się stawić u p. N., kiedy odchodzi poczta do miasteczka, słowem wszystko, co mi do skończenia interesu w pałacu i u sądu potrzebne było. Poczciwy z kościami człowiek być musi; toż ubolewałem, że zostawał w szponach gospodyni.

Przenocowawszy w żydowskim zajeździe—(oj, nie wiem cobyśmy to bez żydów poczęli!) poszedłem o 10 godz. z rana do dworu. Dwór pański, nie ma co mówić; pałac z piętrami, oficynami, galeryami, z ogrodem, parkiem, trebhauzem. Gospodarz domu bardzo grzeczny, choć słuszny pan, przyjął mnie uczciwie w swéj kancelaryi, prosił siedzieć, i stryjecznego, który był rządcą w jednym z jego folwarków, nie mógł się nachwalić. O interesie poinformował i pożegnał mnie po ludzku. Zacny pan, niema co mówić, poznałem go bliżéj, bo się z pół roku przewlekło, zanim się wszystkie formalności załatwiło, i często z nim dla tegoż interesu musiałem się widywać. Pieniądze, które stryjeczny u niego składał, oddał,—to jest, nie oddał wszystkiego, ale obiecał oddać skoro tylko będzie mógł. Narazie wypłacił mi półtora tysiąca gotówki a na siedm tysięcy pozostałych wydał formalny oblig. Ale za to, jak przepraszał jak się tłómaczył!... Patrz pan — powiada — córka mi dorosła, trzeba to w świat powieść, niech się trochę rozerwie, zabawi, boć to młode jest. A młodość nie powraca! I westchnął tak żałośnie, gładząc się po łysinie, że mi się żal człowieka zrobiło. Prawda, pomyślałem sobie, trzeba pannę w świat powieść, bo co na

wsi robić będzie?... Chyba siać rutkę. Minęły te czasy, kiedy młodzież, dowiedziawszy się, że jest z dobrego gniazda panna dorosła, spieszyła na wyścigi w gościnne gospodarskie wrota. Teraz moda, aby panny jeździły w konkury. Bo choć się rzecz okrasza rozmaitemi pozorami, nikt się na nie, jak stary wróbel na plewy, złapać nie da. Musiało więc biedne ojczysko wieść córkę na karnawał. Oj te karnawały dzisiejsze!... Jak jarmark jest targiem, na którym się sprzedają krowy i owce, skupują konie i woły, jak kontrakty są jarmarkiem, na którym się załatwiają interesa majątkowe i fabryczne, tak karnawały, Boże odpuść, nic innego, jeno targi, na które się zwozi panny, a panicze zjeżdżają sami. Lepiéj bywało za dawnych czasów, o lepiéj!... A kto temu winien, jeśli nie nowomodne wymysły, nie nowomodne teorye, nie nowomodni politycy, którzy wszystko co dawne w pośmiewisko obracają?!... Musiało więc biedne ojczysko powieść córkę do miasta na karnawał. Bawili coś dwa miesiące, kosztowało to ich, panie dobrodzieju, przeszło dziesięć tysięcy, ale nie złotych polskich, i powrócili—z kwitkiem. Nie dziw! Panna szpetna jak bohomaz. Na rok następny ta sama ekskursya musi się powtórzyć, obyż z lepszym skutkiem, bo nie długo i hrabiowska fortuna wytrzyma takie ekspensa. Trzebaby nie miéć serca, powiedziałem sobie, żeby naciskać o te siedm tysięcy; wszak mi to wszystko jedno, czy one u Pawła, czy u Gawła, byle ewikcya pewna, a prowizya na termin. Więc zostawiłem na lat trzy, Pan N. aż za obie ręce mnie uściskał, tak był wdzięczny i prowizyę za rok piérwszy z góry wypłacił, z czegom i ja był rad, bo na drogę potrzebowałem grosza. Pożegnaliśmy się serdecznie, jakbyśmy się kopę lat znali, a pani N. na drogę do kobiałki włożyć kazała dwa pieczone kuraki i butelkę wina.

W roku następnym przysłał p. N. procent — trochę spóźniony, co prawda, i to mi zrobiło niejaką różnicę, ale jak się tłómaczył!... Nie sposób miéć żalu. Syn skończył szkoły; na wojaż go musiał wyprawić, aby świat i ludzi poznał, zanim wstąpi do służby obywatelskiéj... Jest racya, jest! Kto wié, może nam powróci jakim Bismarkiem.

Niechże sam p. K. powié, czy nie konieczne to wydatki? Jeśli imię i honor wymagają czego, to niéma co. Wszystko *pro honore domus*. Że zaś oszczędzamy się tam, gdzie idzie o rzeczy mniejszéj wagi, to i na to mam dowody. Sam byłem świadkiem, jak tenże p. N. targował się z nauczycielką dwóch młodszych swych córek, która żądała, po skończonym piérwszym roku, podwyższenia swego honoraryum o 200 rs. na rok następny. Aż za głowę się brał biedny człowiek: na co pani tyle pieniędzy, na co pani tyle pieniędzy,

powtarzał. A ona wciąż swoje: ponieważ zastępuje dwie cudzoziemki, które były pierwéj, ponieważ pokazała, że może dokończyć edukacyi, więc uważa za słuszne podniesienie wynagrodzenia... Targ w targ, stanęło na tém, że ustąpiła sto rubli.

Nie słusznie też zarzucają, jakobyśmy nie dbali o dobro ogólne. Czy nie powieźli nasi, tak z Galicyi jak ztąd, z Paryża, Ojcu św. na jubileusz jego, daniny? Czy na pogrzebie Wiktora Hugo nie nasz wieniec był najładniejszy? Czy nie zapisał tu jeden z naszych bogaczy milionów na zakład filantropijny dla Francuzów? Jak kto ma wolę, to zawsze dojrzy źdźbło w oku brata—a przeoczy co najlepsze. Ot choćby ten sam pan N., do którego ciągle powracam, bo takich panów N. jest szczęściem, u nas wielu jeszcze: byłem świadkiem jak mieszkająca w miasteczku emerytka po urzędniku, przyszła z upoważnieniem do zbierania składek na szkołę cieszyńską. Pan N., pomimo mnóstwa wydatków, dał, na tutejszą monetę, przeszło dwa franki i tyleż co roku dawać obiecał. Czegóż chcieć więcéj?...

Panu K. się zdaje, że Francuzi się nie bawią, kiedy tyle bogactw nagromadzili. Otóż bardzo przepraszam! Bawią się, bawią, i jak jeszcze!... Tylko to dziwny naród. My ich nie znamy. Nam się ubrdało, nie wiem z jakiéj przyczyny, że oni do nas, czy też my do nich, jesteśmy podobni: *(les Français du Nord)*. Bogdaj tak psy trawę jadły! Myśmy ufni, łatwowierni, nieopatrzni, optymiści, oni przeciwnie. U nich zarobienie grosza na pierwszym planie. Myśmy uczuciowi, serce u nas do wszystkiego się miesza; Francuz nie ma serca tylko krew gorącą, a rozum jeden z najtrzeźwiejszych i najpraktyczniéjszych pod słońcem. Powiadają, że żyd geszefciarz, że Anglik geszefciarz. Jak Bóg miły, Francuz im nie ustępuje! Tylko Francuz uprzejmy, wesół, towarzyski, gładki, a my zawsze na jedwabne słówka, jak muchy na lep, dajemy się brać. On i w zabawie głowy nie straci. A przepada za zabawą. Hula, nicpoń, aż strach! Pije jak gąbka (a ma przysłowie: „*ivre comme un Polonais;*“ na co ja im zawsze: „*coquette comme une Française*“), lampartuje się aż pfe, zapomni o Bogu, o żonie i dzieciach — o interesie nigdy! Na bibie dzień i noc przepędzi, a geszeft idzie — nakręcił maszynę. Za to jak się weźmie do roboty, to pali mu się w ręku. Że pracowity, zapobiegliwy, oszczędny, to prawda — ale hulaka, to także prawda—tylko nie zapomni interesu dla przyjemności, o nie.

Żebym pochwalał taki tryb postępowania, tego nie powiem. Ot sami państwo osądźcie z następujących przykładów.

Mieszka obok mnie wdowa z trojgiem dzieci. Poczciwa, rozsądna kobieta, no i nie bez grosza, bo z zapisu mężowskiego pobie-

ra 200 franków procentu miesięcznie. Z tego wnoszę, że kapitalik jéj do 75.000 fr. dochodzi a po śmierci teścia, obrzydliwego skąpca, zdwoi się lub potroi. Cóż powiecie na to? Nie tylko że sługi nie trzyma ale nawet się obchodzi bez tak zwanéj *femme de ménage*, to jest posługaczki, przychodzącéj na godziny do grubszych robót. Sama z córką piętnastoletnią wszystkiemu daje radę. Nawet do pralni chodzą same, jak proste praczki. A co za chęć zysku!.. Młodszy jéj syn, skończywszy szkółkę, wziął się do zarobku zaraz, to jest w trzynastu leciech, i zarabia już franka dziennie. Starszy, kiedy odźwierna zachorowawszy nie mogła zamiatać schodów, wejścia itd., nie wahał się ją zastępować i brać za to po franku. Przyznacie państwo sami, że to niewypada.

Przy *Carrefour de l'Odéon* jest elegancka piekarnia, połączona z kawiarnią. Można dostać zwyczajnego chleba wybornych ciastek, kawy, czekolady, mleka. Wdałem się raz w gawędę z panem właścicielem. Powiedział mi, że na urządzenie zakładu wydał 50.000 fr. ale że obecnie odkłada 15.000 fr. rocznie po odtrąceniu kosztów na życie: „*apres avoir vécu et bien vécu*". Otóż ten pan piekarz, mający lepszy dochód z bułeczek niż nie jeden brat szlachcic z majątku, sam siedzi za kantorem, sprzedaje rogaliki po susie, podaje gościom wodę z syropem niby lokaj! Gdy potrzebuje spocząć lub ma inne zajęcie, to go zastępuje żona. A oboje elegancko ubrani, choć do powozu i na wizytę. Bo już to strój elegancki do artykułów wiary tu należy. A raczéj są tacy, którzy wiary nie mają, ale takich, którzyby wytworną odzież lekceważyli, nie spotkałem jeszcze nigdy. Pewnego dnia wstąpiwszy z rana do tejże piekarni, widzę, jak właściciel wraz z czeladzią wnosi kosze pieczywa; nie mogłem się wstrzymać od zapytania: dla czego tak pracuje? On mi na to: A cóż, mam pójść na spacer?.. Widoczne, pomyślałem sobie, człowiek ten nie zna szlachetniejszych przyjemności.

Poznałem tu także pewnych państwa, których na pół miliona rachują. Pani obchodzi się jedną służącą, a pan, inżynier z fachu, cały dzień w biurze, na urzędowaniu. Nie, to już zanadto. To skąpstwo i czczenie cielca złotego posunięte do ostateczności. Nam tego nie potrzeba! To się nie zgadza ani z charakterem ani z naszą szlachecką tradycyą.

Na tém skończę choćby się jeszcze dużo powiedzieć dało, alem ja nie pisarz, i jeśli wziąłem pióro do ręki to tylko dla tego, że artykuł p. K., krytykujący dawne nasze zwyczaje, dotknął mię mocno.

Szlachcic staréj daty.

P. S. Spóźniona moja odpowiedź, ale ja mieszkam w Arcachon, i rzadko się z miejsca ruszam, a „Ateneum“ nie abonuję bo nie ma za co. Dopiéro przyjechawszy na wystawę, przeczytałem artykuł p. X. i nie czekając *stante pede* nań odpisuję.

Paryż d. 16 września 1889 r.

NEKROLOGIA.

† **Jan Rymarkiewicz**, zasłużony i wpływowy pedagog, urodził się w Łobżenicy (pow. wyrzyskim w W. ks. Poznańskiém) r. 1811; nauki pobierał w szkole wydziałowéj we Wschowie i w gimnazyum poznańskiém. Po r. 1831 przez lat 6 oddawał się nauczycielstwu prywatnemu; poczém udał się na studya uniwersyteckie w Berlinie. Ukończywszy wydział filozoficzny, wrócił do Poznania i w r. 1842 został tu nauczycielem przy słynném gimnazyum ś. Maryi Magdaleny. Tegoż roku otrzymał stopień doktora filozofii w Giessen. Służąc długo w zawodzie nauczycielskim, został w końcu inspektorem gimnazyum. Przed kilku laty otrzymawszy emeryturę, dożywał sędziwego wieku. Umarł w Poznaniu 19 października r. b. Oprócz oddziaływania na uczniów żywém słowem, ś. p. Rymarkiewicz pozostawił wiele rozpraw i książek treści pedagogicznéj lub krytycznéj. Rozpoczął działalność swoję literacką od artykułów pomieszczanych w czasopismach poznańskich, bujnie rozwiniętych między r. 1838 a 1850. W „Tygodniku literackim“, w „Orędowniku Naukowym“, w „Roku“, w „Szkole Polskiéj“ znajdujemy jego rozprawki już od r. 1840, kiedy napisał: „Koniec średniowiecznéj dążności w historyi polskiéj“ oraz „Krytykę filozofii Trentowskiego i Cieszkowskiego“. Poszły potém: „Koleje spółki słowiańskiéj“, „Pojęcie o narodowości“, „Krótki wykład i rozkład nauki o narodowości Etnologią zwanéj“. Prace pedagogiczne zagaił rozprawą niemiecką: „Ueber die Conjugation im Polnischen“ (Poznań, 1852, w programie gimn. Maryi Magd.). Wydał następnie w 1855 „Naukę prozy“, którą trzykrotnie potém przerabiał; trzecie wydanie ma napis. „Prozaika czyli Stylistyka prozy“ (1868, str. XII, 218). Według podziału w pracy téj zachowanego, ułożył: „Wzory prozy na wszystkie jéj rodzaje, stopnie i kształty“ w 3 tomach, r. 1856. W późniejszych wydaniach zmieniał porządek działów i artykułów stosownie do zmian wprowadzanych do nauki prozy oraz do względnéj trudności lub łatwości wybranych ustępów. Najwięcéj miał powodzenia tom I-y, który w r. 1874 doczekał się piątego wydania. Tom III

zawiera chronologicznie z literatury zebrane okazy stylu prozaicznego od pierwszych zabytków piśmiennych aż do czasów najnowszych; miał on dwa wydania; drugie w 1874 (str. 562; dodatku zawierającego chronologiczny wybór poezyi, str. 191). Z rozpraw historyczno-literackich wymieniamy: zarys życia i twórczości Kacpra Miaskowskiego przy nowém wydaniu jego „Rytmów", (1855) „Lutnia Jana Kochanowskiego" (1857), „Książeczka Jadwigi albo Nawojki" (1876), „Sobótka Jana Kochanowskiego" (1876, 1884), „Pieśń Bogu-Rodzica" (1878), „Zjazd Długoszowy Krakowski" (1880), „Kolebka, dom i grób Jana Kochanowskiego" (1880), „Rozbiór krytyczny rozprawy A. Kaliny o Bogarodzicy" (1880).

† **Kazimierz Stanisław Michał hr. Wodzicki** urodz. 26 września 1816, otrzymawszy bardzo staranne wykształcenie i mając ciągły popęd do zwiększania zapasu swéj wiedzy, stał się jednym z najrozumniejszych przedstawicieli stanu ziemiańskiego w Galicyi. Znawcą był wybornym świata przyrody a mianowicie ptastwa, a spostrzeżenia swoje umiał wypowiadać ponętnie i nieraz dowcipnie. Literacko-naukowe prace swe wydawać zaczął od r. 1851, kiedy ogłosił rozprawkę: „O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak leśne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych" oraz sprawozdanie z „Wycieczki ornitologicznéj w Tatry i Karpaty galicyjskie". Nastąpiła potém rzecz „O hodowaniu owiec" (1853) i dzieło „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich" 1858). Najruchliwszą atoli była działalność piśmiennicza ś. p. Wodzickiego w ostatniém dwudziestoleciu. Pomimo prac obywatelskich jako poseł na sejm krajowy i do rady państwa, co parę lat ogłaszał on pod ogólnym tytułem „Zapiski ornitologiczne" jakąś monografię z życia ptaków. Należą tu: „Wróbel domowy" (1868, drugie wyd. 1880), „Kruk właściwy" (1869), „Kukułka właściwa" (1871), „Jastrząb" (1876 i 1878), „Bocian" (1877), „Jaskółka" (1878), „Kuropatwa" (1878). Oprócz tego wydał w tymże okresie czasu: „Vademecum dla owczarzy wschodniéj Galicyi" (1867), „Własność i służebnictwa w Galicyi" (t. r.), „Uwagi o sprawach krajowych" (1881) „Wspomnienia z życia łowieckiego" (1880). Próbował nawet sił swoich w powieści pod pseudonimem Kazimierza Olejowskiego; powieść jego p. n. „Teresa" wyszła w 2 tomach we Lwowie r. 1874. Żonaty był dwukrotnie: z Laurą hr. Borch-Plater i Józefą hr. Dieduszycką i zostawił dziesięcioro dzieci. Zmarł po długiéj chorobie w nocy z 20 na 21 października r. b. w Olejowie pod Złoczowem.

† **Tytus Chałubiński,** znakomity lekarz, zmarł w Zakopaném 9 listopada r. b. Oddzielne wspomnienie poświęcimy zasłużonemu mężowi w styczniowym zeszycie „Ateneum".

† **Paweł Dembowski**, zacny i rozumny pedagog, przewodnik paru pokoleń w gimnazyum lubelskiém po dziedzinie wiedzy historycznéj, zmarł w końcu listopada r. b.

DOPEŁNIENIA I SPROSTOWANIA.

Autor kilku słów o oryentalizmie Mickiewicza nadsyła nam następny dodatek.

1. Julian Klaczko sonetom krymskim, przetłómaczywszy je jednocześnie na język francuski, poświęcił całe studyum („La Crimée poétique“ w „Revue contemporaine“, 30 Avril et 15 Mai 1855).

2. Najszerzéj zaś dotąd o wschodnim charakterze sonetów krymskich rozpisał się dr. H. Biegeleisen w cennéj swéj pracy o sonetach Adama Mickiewicza (w „Życiu“ 1887, 6—12), ale niesłusznie tam twierdzi, iż ów koloryt oryentalny rozlany jest we wszystkich sonetach bez wyjątku.

3. Ś. p. Ludwik Radliński wydał broszurę p. n. „Wyrazy obce w sonetach Krymskich Mickiewicza (Warsz. 1887).

Na str. 306, wiersz 4 od dołu, zamiast „faktycznéj“ czytać „krytycznéj“;—str. 317, w. 6 od d. zamiast „przypuszczalnie“ czyt. „przypuszczenie“;—str. 321, w. 13 od góry, zam. „zarodzi“ czyt. „zarodki“; — str. 331, w. 4 od d. zam. „znajduje się na płatku“ czyt. znajduje się nie na płatku“; — str. 335, w. 1 od d. zam- „*evolutions*“ czyt. „*evolution*“;— str. 341, w. 14 od d. zam. „przygotowywać“ czyt. „przystosowywać“; — str. 343, w, 18 od d. zam. „od idyotyzmu“ czyt. „do idyotyzmu“; — str. 439, w. 21 od d. zam. „Stąd tylko można wnosić“ czyt. „Stąd tylko wnosić“; — str. 443, w. 14 od d. zam. „rodów 35“ czyt. „rodów, 35“; — str. 454, w. 13 od d. zam. „bliższego“ czyt. „bliskiego“; — str. 457, w. 7 od góry, zam. „67,108,864“ „czyt. 67,108,862“;— str. 458, w. 11 od g. zam. „psychologicznéj“ czyt. „psychopatologicznéj“.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

Prospekt na rok 1890.

ATENEUM

wychodzić będzie w roku 1890 jak dotychczas, w zeszytach miesięcznych, od 10 do 12 arkuszy druku obejmujących.

Rozpoczynając **piętnasty** rok wydawnictwa pisma miesięcznego, redakcya **Ateneum** czuje potrzebę przemówienia ponownie do ukształconego ogółu, by zwrócić uwagę na zmiany, jakie w nowéj seryi publikacyi swojéj wprowadzić zamierza.

Ostatnie lata były bardzo ciężkie i wielce niepomyślne dla rozwoju czasopiśmiennictwa naszego. Zły stan ekonomiczny powodował niejednego do robienia oszczędności, a oszczędności te rozpoczynały się u nas zazwyczaj od wykreślenia z budżetu wydatków na książki i wydawnictwa peryodyczne. Z drugiéj strony, brak takich wypadków, któreby żywiéj i głębiéj zająć potrafiły ogół, a więc rozbudzić wyobraźnią i uczucie, dopomagał do wyrobienia wśród czytających pewnego zobojętnienia względem zagadnień i kwestyj, poruszanych przez prasę, w tém przekonaniu, że niéma w nich żywotnego interesu.

Apatya jednak nigdy nie bywa dobrą doradczynią.

Gdy sobie ludzie powiedzą, że nic zrobić się nie da, to oczywiście żadnego czynu pożytecznego nie spełnią.

A czas nie czeka na opieszałych, kroczy naprzód niepowstrzymanie; inne narody idą z nim razem, dokonywają odkryć

i wynalazków, udoskonalają instytucye, pogłębiają i rozszerzają naukę, tworzą wielkie dzieła sztuki lub przemysłu, pozostawiając lekceważąco na stronie wszystkich zacofanych. nie pojmujących swojego czasu i nie biorących udziału w pracy cywilizacyjnéj.

Więc i nam rąk zakładać nie należy. Samo narzekanie na ciężkie czasy brzemienia nam z bark nie ujmie, rozdraźni nas tylko i do działania zgoła nie sposobnymi uczyni. Rączo chwyćmy się pracy i róbmy, co robić można.

W imię takich przekonań założone zostało **Ateneum**, w imię takich przekonań wychodzić będzie i nadal.

Wierne swoim zasadom postępowym **Ateneum**, pragnie rozwinąć w przyszłości niektóre działy swego programu, dotychczas może nie tyle, ile należało, uwzględniane, pragnie jaknajściśléj się zespolić z interesami chwili bieżącéj, by zostać dokładném odbiciem potrzeb swego społeczeństwa.

Wyrobienie jasnego poglądu na obecne położenie nasze, ciągłe zwracanie uwagi na związek naszéj cywilizacyi z cywilizacyą przodujących społeczeństw, zaznajamianie z temi wszystkiemi objawami życia, które korzystnie lub niekorzystnie na nasz rozwój wpływają, informowanie o zdobyczach nauki i techniki, kształcenie uczucia piękna, uświadamianie ideałów społecznych: będzie ustawiczném staraniem redakcyi **Ateneum**, która zgodnie z temi przewodniemi myślami postanowiła rozszerzyć i wzmocnić następujące działy:

1. W artykułach **wstępnych** roztrząsane będą kwestye najbliżéj obchodzące nasze społeczeństwo;
2. W artykułach **politycznych**, o wprowadzenie których poczynione już zostały starania w Głównym Zarządzie prasy, rozwijane będą poglądy na bieżące stosunki państwowe świata;
3. W przeglądach **krytycznych** w miarę wagi i znaczenia dzieł podawane będą rozbiory krótsze lub dłuższe publikacyj najświeższych; a w **nowościach naukowo-li-**

teracko-artystycznych zaznaczany będzie ruch w dziedzinie piśmiennictwa, lub żeby czytelnik mógł sobie wyrobić mniéj więcéj dokładne pojęcie o stanie literatury spółczesnéj w kraju;

4. W sprawozdaniach z **piśmiennictw zagranicznych** przedstawiane będą najważniejsze książki i wydawnictwa, mające ogólno-cywilizacyjne znaczenie, ażeby czytelników utrzymywać w ciągłym związku z biegiem oświaty;
5. W przeglądach **dramatycznych i artystycznych** uwzględniane będą główniejsze objawy twórczości w teatrze i sztukach plastycznych, jak niemniéj ich znaczenie dla życia.

Przeznaczając dużo miejsca chwili bieżącéj, postaramy się, żeby inne działy dotychczas w **Ateneum** reprezentowane: jako to: historya, filozofia, psychologia, estetyka, ekonomika, nauki społeczne, studya literackie, powieść i poezya równomierne znalazły uwzględnienie.

Żywimy nadzieję, że usiłowania nasze nie będą bezowocne, że znajdą szczere poparcie u wszystkich, którzy rozumieją wielkie znaczenie pogłębienia świadomości społecznéj.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Ноября 1889 г.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale IV-tym 1889 r.

1. **Słownik nazwisk zoologicznych** i botanicznych polskich, zawierający ludowe oraz naukowe nazwy i synonimy polskie, używane dla zwierząt i roślin od XV-go wieku aż do chwili obecnej, źródłowo zebrane i zestawione z synonimami naukowemi łacińskiemi w podwójnym porządku alfabetycznym i pomnożone porównawczym materyałem, zaczerpniętym z innych języków słowiańskich. Zebrał i ułożył *Erazm Majewski*. Tom I. Słownik polsko-łaciński. Warsz. 1889, 4-o, zesz. I, str. XL i 8.
2. **Historya Żydów** od Mojżesza do epoki obecnej. Opracował podług najwiarogodniejszych źródeł *Hilary Nusbaum*. Warsz. nakł. księg. L. Mayznera, 1889. 8-o, tom IV, str. IX i 334.
3. *H. Spencer*. **Zasady socyologii**. Tomu II-go zeszyt 3 (str. 209—299 i karty nlb. 2). wydaw. Redakcyi „Głosu“.
4. **Józefa Ungra Kalendarz** warszawski popularno-naukowy illustrowany na rok zwyczajny 1890 (rok XLV). Warsz. 4-o, str. XXIV+16+92 +46+kart. nlb. 69.
5. **Z fizyjologii roślin**. Fakty i przypuszczenia w dziedzinie asymilacyi, przez *S. Grosglika*. Warsz. 1889, 8-o, str. 23.
6. **Lessings Epigramme** und seine Arbeiten zur Theorie des Epigramms von D-r *J. Bystroń*. Krak. 1889, 8-o, str. 56.
7. **Trefniś**. Nowele, obrazki i szkice *Wincentego Rapackiego*. Warsz. nakł. redak. „Echa muzycznego“, 1890, 8-o. str. 179 (cena kop. 75).
8. **Tieatralnyj**, muzykalnyj i chudożestwiennyj żurnał „**Artist**“. Kniga I Moskwa, 1889, wielkie 8-o, str. 140 i 68, z rysunkami (7 zeszytów rocznie, przedpłata rsr. 10).
9. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. 1889, wielkie 8-o. Zesz. VII, str. 481—560 (Brona—Budownictwo); Zesz. VIII, str. 561—640 (Budownictwo—Burak).
10. **Badania z historyozofii.** Część II przez *Tadeusza Chrzanowskiego*. Kraków, nakł. autora 1889, 8-o, str. 103 i tablica rysunków.
11. *K. Estrejcher*. **Bibliografia polska**. Tom. XI. Zeszyt I, II i III. Kraków, 1890, 4-o, str. 372.
12. **Alma**. Poemat w 2 częściach, pisany we Włoszech 1883 roku przez *Gabryelę Leszczyc Radolińską*. Warsz. 1890, 8-o, str. 36.
13. **Pandekta prawa rzymskiego**. Napisał Dr. *Ferdynand Źródłowski* prof. uniw. lwows. (Wydawnictwo Towarzystwa „Biblioteki słuchaczów Prawa we Lwowie“). Tom. I. Wstęp i część ogólna. Lwów, 1889. 8-o, str. XVI, 528 i kart. nlb. 2. (cena złr. 8).
14. **Rocznik zarządu Akademii** umiejętności w Krakowie. Rok 1888. Krak. 1889, 8-o, str. II. 206 i 13.
15. *Ostoja*. **Nowelle**. (Miłość babuni. Zły duch. Złota rybka. Scyzoryk. List. Z krainy duchów. Z moich stron. Nowa łódź). Z przedmową D-ra *Piotra Chmielowskiego*. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890 8-o, str. V i 335.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku 1890, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, od 10 do 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie i artystyczne, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego, artystycznego i teatralnego, objawiającego się w nowo wychodzących lub przedstawianych na scenie utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 23 Ноября 1889 г.

d) Archeologia.

Danae i Perseusz na wazie cesarskiego Ermitażu w Petersburgu. Rozprawa archeologiczna A. Mierzyńskiego, p. *P. Chmielowskiego*, 1876. I. z. 2, 431—436.
Album widoków i pamiątek, oraz kopie z obrazów galeryi Willanowskiéj, p. *W.* . . . . 1876. I. z. 2, 439—441.
Dodatek do artykułu „O napisie króla Mezy“ w poszycie sierpniowym Ateneum, p. *K.* . . . . 1877. IV. 436—438.
Chata polska, studyum lingwistyczno-archeologiczne p. Jana Karłowicza, p. *T. T. J.*, ... 1885. I. 576—578.
Wrażenia literackie.
Rzecz o słowiańskich nazwach miejscowości, wypowiedziana przez prof. dr. Nehringa 25 lutego 1884 r. we Wrocławskiém muzeum starożytności szląskich, ... 1884. II. 393—394.
O kollekcyi okazów archeologicznych z czasów przedhistorycznych przedłożonej p. Schickfuss'a dnia 3 marca 1884 na posiedzeniu tegoż towarzystwa. . . . . 1884. II. 394.
Wykład prof. dr. Crampe'a „o zabytkach archeologicznych w żalnikach kaukaskich znajdowanych“, miany na posiedzeniu Towarzystwa starożytności szląskich we Wrocławiu r. 1886, p. *J.* 1886. II. 181—184.
Rocznik Towarzystwa histor.-archeol. szląskiego, r. 1886, p. *J.* 1886. III. 560—561.
Skarb archeologiczny, p. *S. J.* . . . . 1887. II. 365--366.
Prof. Maryan Sokołowski. Trzy zabytki dalekiego wschodu na ziemiach naszych. . . . . 1887. II. 556.

e) Geografia, etnografia, podróże i opisy.

Sibirien und das Amurgebiet. Geschichte und Reisen, Landschaften und Voelker zwischen Ural und Beringsstrasse. I. Sibirien von Albin Kohn. II. Das Amurgebiet von Richard Andrée. p. *Stanisława Warnkę*, ... 1876. III. z. 7, 250—255.
Z podróży Oświecima. (Turcya, Francya, Niemcy, Włochy) wydał z rękopismu Klemens Kantecki, p. *S.*. . . 1877. II. 194—196.
Monografia Lublina. Napisał Władysław K. Zieliński. Tom. I. 1878. III. 189.
Historya wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI w., przez Oskara Peschla. Tłómaczył z niemieckiego Józef Tretiak, p. *K.*, 1879. I. 385—390.
Lud ziemi dobrzyńskiéj, jego zwyczaje, mowa, obrzędy, pieśni, leki, zagadki, przysłowia itp. Zebrał i złożył Aleksander Petrow, p. *Wł. Smoleńskiego*, ... 1879. IV. 164—168.

Monografia miasta Sandomierza, przez ks. M. Bulińskiego p. *Tadeusza Korzona* . . . . 1879. IV. 173—179.
Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. p. *E. Callier*, ... 1880. I. 579—589.
Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckiemi, zestawił Dr. Wojciech Kętrzyński, p. *E. Callier*, ... 1880. III. 547—553.
Wiara Słowian z obrzędów, klechd, pieśni ludu, gusel, kronik i mowy słowiańskiéj wskrzeszona. Nap. Romuald Świerzbiński. 1881. I. 370—375.
Mein Polen. Reise-Erinnerungen aus dem Jahre 1879, von Maria Teresia Gräfin Ledochowska, p. *Teodora Wierzbowskiego*, 1881. IV. 179—181.
Ziemia w krajobrazach (La Terre à vol d'oiseau). Geografia przez Onezyma Reclusa. Tłom. z 3-go wyd. fran. p. *Wacł. Nałkowskiego*, 1883. I. 369—371.
O ludności polskiéj w Prusiech niegdyś krzyżackich. Napisał Dr. Wojciech Kętrzyński, p. *Antoniego Prochaskę*, 1883, II. 376—386.
Mapa hydrograficzna dawnéj Słowiańszczyzny. Część zachodnio-północna. Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograf. dawn. Słowiańszczyzny części północno-zachodniéj, p. W. K. 1883. II. 386—391.
Wiara Słowian, ich byt domowy i społeczny przed i po podboju lechickim i warago-ruskim, przez Romualda Świerzbińskiego, p. *Jana Hanusza*, ... 1885. I. 564—567.
L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi; p. *Lud. Krz.*, ... 1887. III. 369—375.
Przyczynek do etnografii ludu ruskiego na Wołyniu, z materyałów zebranych przez Zofię Rokossowską, opracował dr. I. Kopernicki, p. *Jana Karłowicza*, ... 1887. IV. p. 551—553.

Wrażenia literackie.

Z dalekiego wschodu. Wrażenia, obrazy, opisy z dobrowolnéj podróży po Syberyi, przez Bronisława Rojchmana, . . 1881. II. 367—368.
Wszechświat. (Pierwsze 4 zeszyty) . . . . . 1881. II. 380—381.
Wycieczka do Węgier Stanisława Smolki . . . 1882. I. 583—584.
Szkice Klina. Część druga; zeszyt I. U drogowskazu. 1882. II. 187—188.
Słownik geograficzny polski, zeszyt XXXII. . . . 1882. IV. 189,
Szkice Klina. Część druga, zeszyt II: Po Europie. Wycieczka trzecia. Zeszyt III: Po Europie wycieczka czwarta i piąta, 1882. IV. 581—582.
Monografia miasteczka Żar (Sohrau) nad Rudką w górn. Szląs. przez ks. plebana Welzela. . . . . 1884. II. 590.
M. L. Leger: La Save, le Danube et le Balkan, Voyage chez les Slovines, les Croates et les Bulgares. . . . 1885. II. 572—574.

O wniosku Dr. Wł. Łebińskiego, postawionym na posiedz. wydz. historycz. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu: „Zebranie nazw miejscowości niezamieszkałych w krainach zaboru pruskiego“, 1886. I. 179—180.
Szkice Klina, część II, zeszyt 4—6. . . . . . . 1886. I. 357—358.
Z Warszawy do równika. Wspomnienia z podróży po Ameryce Południowéj, odbytéj przez Józefa Siemiradzkiego. . 1886. I. 562—563.
Słownik geograficzny, zeszyt 81, lit. O. . . . . 1886. IV. 182.
Rys geografii Królestwa Polskiego. Skreślił K. Krynicki, 1886. IV. 561—562.
„Wisła“ czasopismo poświęcone etnografii i geografii krajowéj, pod kierunkiem literackim Jana Karłowicza, I. zesz. . 1888 II. 367—368.
„Wisła“, kwartalnik poświęcony etnografii pod redakcyą d-ra Jana Karłowicza, tom drugi. . . . . 1888. IV. 175—176.

b) Statystyka.

Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego, opracowana przez W. Załęskiego. Ludność i stosunki ekonomiczne. p. *Karola Strasburgera*, ... 1876. I. z. 2. 428—431.
Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego i innych krajów europejskich, przez G. Simonenko, p. *R. B.* . . . 1879. III. 161.
Wrażenia literackie.
Statystyka miasta Krakowa, zestawiona przez biuro statystyczne miejskie pod kierunkiem i redakcyą Prof. D-ra Józefa Kleczyńskiego. Tom. I, p. *W. P.* . . . . 1887. IV. 553—554.
Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydawane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. D-ra Tad. Pilata T. X. z. I, p. *P.* . . . . 1888. IV. 550—551

4, 5. DZIEŁA

W NAUKACH EKONOMICZNYCH I PRAWNYCH.

O prawie granicznem polskiem, napisał St. Ł., p. *Karola Dunina.* 1876. I. z. 1, 425—428.
Władza i układ państwa. — Zarysy polityki i porównawczego prawa konstytucyi przez Dr. I. B. Oczapowskiego, ocenił Dr. *A. Rembowski*, ... 1877. I. 195—213.

O budowie i życiu ciała społecznego, dzieło D-ra Alberta Schäfflego, p. *Bolesława Limanowskiego*, ... 1877. I. 214—223.
Kwestya domu zarobkowego w Warszawie, tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju, p. Justyna Wojewódzkiego, p. *A. O.* 1878. I. 161—163.
Od autora rozprawy p. t. „Kwestya domu zarobkowego w Warszawie, tudzież zaradzenia ubóstwu kraju“ — słówko objaśnienia na recenzyą téj pracy w zeszycie styczniowym Ateneum z r. b. (str. 161—163), p. *J. Wojewódzkiego*, ... 1878. I. 360—362.
Edward Laboulay. Państwo i jego granice, studyum prawno-państwowe, przekład Józefa Schiffa, p. *K. D.*, . 1879. I. 394—397.
Socyalizm jako objaw choroby społecznéj. Zarys ustroju społecznego i krytyczną odprawę socyalizmu, skreślił Dr. Juliusz Au. p. *K. Dunina*, ... 1879. III. 375—380.
Zbiór wiadomości statystycznych odnoszących się do dóbr ziemskich obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiém, p. *Henryka Konica*, 1882. III. 174—177.
Prawo spadkowe rzymskie, napisał dr. Leonard Piętak. T. I. p. *T. D.*, 1883. II. 188—191.
J. Iwaniukow. Główne zasady teoryi polityki ekonomicznéj od Adama Smith'a do teraźniejszych czasów. — Stanley-Jevons: Ekonomia polityczna.—E. de Laveleye: Zasady ekonomii politycznéj, p. *K. P.*, ... 1883. IV. 185—200.
Gmina i wójt. Rukowodstwo dla czinow ujezdnoj administracyi i dla gminnych wojtow... Sostawił i izdał N. Maewskij, p. *Henryka Konica*, ... 1884. IV. 189—193.
Przepisy dla ruchu pociągów kolejowych, zestawił A. Toleżyński, p. *Jana G.*, ... 1884. IV. 394—396.
Kryzys ekonomiczna, czyli Ewangelia p. Bismarcka, przez Juliusza Domergue, p. *W. Kuszla*, ... 1885. II. 190—192.
Postęp, szczęście i przewroty społeczne. Chłodne uwagi o palących kwestyach, napisał Władysław Michał Dębicki, p. *W. Wścieklicę*, 1885. III. 377—381.
Der Kampf um den Besitz von Dr. F. L. Chleborad, p. *W. Wścieklicę*, 1885. III. 561—568.
Stanisława Skrodzkiego. Porządek prawa bartnego dla starostwa łomżyńskiego z roku 1616, opracował Ad. Ant. Kryński. — Słownik wyrazów godnych uwagi, użytych w „Porządku prawa bartnego“ ułożył Ad. Ant. Kryński, p. D-ra *Jana Hanusza*, . 1886. II. 570—572.
Rzecz o socyjalizmie, napisał Mścisław E. Trepka, p. *K.* 1888. I. 155—164.

Wrażenia literackie.

Droit romain et gréco-byzantin chez les peuples slaves, avec un appendice contenant un extrait serbe de lois romano-byzantines. (Przekład D-ra Aleksandra Stokerta dzieła polskiego Romualda Hube'go, ... 1881. I. 178—179.

Dr. Rudolf Sohm. Fränkisches Recht und Römisches Recht. Prologomena zur Deutschen Rechtsgeschichte. . . . 1881. I. 183.
Z dziedziny praw kobiety. O prawie assystencyi męża napisał Adolf Suligowski. . . . . 1881. II. 557—558.
Dr. A. Schaeffle. Kwintesencya Socyalizmu. Przeł. Henryk Konitz, 1882. IV. 188—189.
Dr. Stanisław Starzyński. O t. z. ustawodawstwie tymczasowém. Studyum porównawcze z dziedziny prawa politycznego, p. *K. D.*, 1884. I. 189—191.
Dr. Stan. Starzyński. Kilka kwestyj spornych z zakresu prawa politycznego, p. *K. D.*, ... 1884. I. 191.
Dr. Stan. Starzyński. Uwagi o prawnéj stronie równouprawnienia narodowości w Austryi, p. *K. D.*, ... 1884. I. 191—192.
Bibliografia powszechna notaryatu. Zebrał Adam Niemirowski, p. *M(eyeta)*, ... 1885. I. 380—381.
Die Irrthümer des Historismus in der deutschen Nationaloekonomie. von Dr. Carl Menger, p. *W. W.*. . . . 1885. III. 191—192.
Demokratie und Bismarck. Ein ehrliches Wort über das Recht auf Arbeit. von Ferdinand Gilles, p. *W. W.*, ... 1885. III. 382—383.
Arnold Toyrebee. Lectures on the Industrial Revolution in England. 1885. III. 574—575.
Le Play i jego szkoła, przez Achillesa Brezę, p. *W. W.* 1885. IV. 567—569.
„Przegląd społeczny", miesięcznik we Lwowie, zeszyt I, 1886. I. 363.
Die Geschichte der ersten socialpolitischen Arbeiterbewegung in Deutschland, p. D-ra Jerzego Adlera, ... 1886. I. 366—367.
Nasze stosunki społeczno-polityczne z życia, naszkicował jako przyczynek do ich historyi i naprawy dr. Seweryn Robiński, p. *W.* 1886. I. 559—560.
Čolakowsky J. Codex iuris municipalis Regni Bohemiae. Tomus I. Privilegia civitatum Pragensium. . . . . 1886. II. 379—380.
Dr. Heinrich Siegel. Deutsche Rechtsgeschichte. . . 1886. II. 575.
Hugo Loersch. Der Ingelheimer Oberhof, p. *B.* . . 1886. II. 575.
Dr. Bolesław Ulanowski. Wybór zapisek sądowych kaliskich z lat 1409—1416. . . . . 1886. III. 559—560.
Paul Viollet. Précis de l'histoire du droit Français, p. *B.* 1886. IV. 180—182.
Dernburg. Pandekten. . . . . 1887. I. 176—177.
Kwestye społeczno-polityczne, według prawa naturalnego, międzynarodowego i kanonicznego, rozwiązane pr. X. licencyata Paszkowskiego, ... 1887. IV. 557.
Notaryat hiszpański. Fragment z dziejów prawodawstwa tego kraju, w skróceniu opowiedział Adam Niemirowski. . . 1888. I. 175—176.
Artykuły w NN. 1179—1180 „Kłosów", wyjaśniające znaczenie „hypoteki" z powodu 300-letniéj rocznicy zaprowadzenia téj instytucyi w Królestwie Polskiém. . . . . 1888. I. 554.

Dr. Antoni Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj . . . . 1888. II. 552.
Podręcznik austryackiego prawa wekslowego. Nap. Dr. Józef Retinger, 1888. III. 165—166.
Kronika prawnicza, pod redakcyą prof. d-ra Franciszka Kasparka, 1888. III. 166.
Podręcznik prawa politycznego, napisał Dr. Franciszek Kasparek, p. *P.*, 1888. IV. 551—552.

---

6. MATEMATYKA.

Panteon wiedzy ludzkiéj. (Oddział pierwszy: Nauki matematyczne: I. Arytmetyka.—II. Algebra, przez Dr. Baranieckiego. III. Geometrya elementarna. — IV. Trygonometrya. — V. Geometrya wykreślna.—VI. Geometrya analityczna przez Mikołaja Jaxę Bykowskiego.—VII. Rachunek różniczkowy i całkowy, przez Władysława Gosiewskiego), p. *W. Kwietniewskiego*, 1876. II. z. 4, 246—248.
Artykuły w kwestyach matematycznych, pomieszczone w pierwszych siedmiu zeszytach „Encyklopedyi wychowawczéj", p. *Maryana A. Baranieckiego*, ... 1881. II. 163—170.
Początkowa nauka geometryi w zadaniach przez S. Dicksteina, p. *M. Baranieckiego*. . . . . 1881. IV. 360—362.
Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. Rok 1882, p. *M. A. Baranieckiego*, ... 1883. IV. 397—399.
Początki arytmetyki. Napisał Michał Berkman, p. *Ad. Dyg.*, 1884. II. 386—388.
Zasady algebry wyższéj przez d-ra Władysława Zajączkowskiego, p. *M. A. B.*, ... 1884. II. 388—389.
Zasady matematyczne muzyki, przez Władysława Witkowskiego, p. *S. Dicksteina*, ... 1888. III. 153—157.

Wrażenia literackie.

Metody i teorye rozwiązania zadań geometrycznych konstrukcyjnych, zastosowane do przeszło 400 zadań, przez d-ra Jul. Petersena.... przetłómaczył dr. Karol Hertz, ... 1881. III. 574.
Biblioteka matematyczno-fizyczna, ... 1882. III. 182.
Biblioteka matematyczno-fizyczna:
1) Rozwiązywanie równań liczebnych przez D-ra Juliana Sochockiego.
2) Początkowy wykład syntetyczny własności przecięć stożkowych na podstawie ich pokrewieństwa harmonicznego z kołem, przez M. A. Baranieckiego,. . . 1885. I. 578—579.

Bibliotcka matematyczno-fizyczna. (Serya III. Arytmetyka przez M. A. Baranieckiego), p. *Władysława Puchewicza*, . . 1885. II. 174—186.

Odpowiedź p. Władysławowi Puchewiczowi na jego artykuł o książce „Arytmetyka" przez M. A. Baranieckiego, p. D-ra *M. A. Baranieckiego*. . . . . , ... 1885. II. 372—380.

W sprawie odpowiedzi p. Baranieckiego na recenzyą Puchewicza, o Arytmetyce Baranieckiego, p. *Władysława Puchewicza*, 1885. II, 576—577.

Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych. Tom. III. . 1886. I. 561—562.

---

7. LITERATURA.

a) *Literatura powszechna.*

Die Übersetzungen Arabischer Werke in das Lateinische seit dem XI Jahrhundert, przez F. Wüstenfelda, p. *Jana Korłowicza*, 1878. III. 187—188.

Revue Slave . . . . 1878. III. 189—190,

Gajusz Lucyliusz, satyryk rzymski. Przez Kazimierza Morawskiego. p. *P. Ch.* . . . . 1879. II. 168—170.

Historya literatur słowiańskich, przez A. Pypina i W. Spasowicza, p. *Ant. Kalinę*, ... 1880. II. 358—371.

Lafontaine. Seine Fabeln und ihre Gegner, przez Wilhelma Kulpe'go, 1881. I. 380—382.

Epopeja rycerska Niemców, studyum historyczno-literackie T. Jeske-Choińskiego, p. *E. G.* . . . . 1884. II. 384—386.

Augustin Filon. „Histoire de la littérature anglaise, depuis ses origines jusqu'à nos jours, p. Aćr'a: . . . . 1884. II. 586—590.

Wegweiser durch die Literatur der Urkundensammlungen von Herman Osterley, p. *B. U.*, ... 1886. II. 370—375.

Dzieje literatury powszechnéj z illustracyami. Tom II. 2 cz., p. *L. Szepielewicza*. . . . . 1887. IV. 165—170.

Wrażenia literackie.

Dzieje literatury powszechnéj z illustracyami. . 1881. I. 173—174.

Wypisy z autorów starożytnych dla użytku młodzieży, ułożył Kazimierz Kaszewski . . . . 1881. I. 176—177.

Historya literatur słowiańskich Pypina i Spasowicza, . 1881. I. 179.

Die Sprachenwelt in ihrem geschichtlich-literarischen Entwickelungsgange zur Humanität, przez D-ra H. A. Manitius'a, tom II;

Histoire de la langue et de la literature française au moyen-âge, przez Aubertin;
Allgemeine Geschichte der Literatur des Mittelalters im Abendlande, przez A. Eberta;
Kärtig. Geschichte der Literatur Italiens im Zeitalter der Renaissance;
Lotheissen: Geschichte der französichen Literat. im XVII Jahrhundert. . . . . 1881. I. 179—183.
Die Göttliche Komödie nach ihrem wesentlichen Inhalt und Charakter von Hettinger . . . . 1881. I. 590—591.
Historya literatury powszechnéj Jana Scherra w przekładzie p. Bronisława Zawadzkiego . . . . 1881. III. 575—577.
Homer i Homerycy przez D-ra Ludwika Ćwiklińskiego. 1881. IV. 600—601.
Herder i jego filozofia historyi, napisał Dr. Tadeusz Rutowski. 1881. IV. 601—603.
Historya literatury powszechnéj Jana Scherra w tłómaczeniu Bronisława Zawadzkiego . . . . 1882. I. 188.
Geschichte des neueren Drama, przez Roberta Prölss. . 1882. I. 589—590.
Athaeneum. Listy pro literaturu a kritiku viedeckou, w Pradze, 1883. IV. 610.
Historya literatury czeskiéj od czasów odrodzenia, oprac. p. Wiktora Czajewskiego . . . . 1883. IV. 610.
Tryumfy orła i zaćmienia księżyca, panegiryk Józefa de la Vegi poety hiszpańskiego, napisany z okazyi pogromu Turków pod Wiedniem, w tłómaczeniu A. Święcickiego, . . 1884. I. 575—576.
Historya literatury powszechnéj Scherra, przekład p. Zawadzkiego, 1884. II. 201—204.
Szkice z Gruzyi przez Artura Leista. . . . . 1885. IV. 560—561.
Lord Byron von Karl Elze. . . . . 1887. IV. 558.
J. W. Cross. George Eliot as related in her Letters and Journals, 1887. IV. 558.
Johann Elias Schlegels aestetische und dramaturgische Schriften. 1887. IV. 368—369.
George Eliot, ihr Leben und Schaffen, dargestellt nach ihren Briefen und Tagebüchern, von H. Conrad.. . . . 1887. IV. 558—559.
Bartoli Ad. Storia della letteratura italiana, p. *L. Sz.* 1887. IV. 559.
L. M. Łazarewicz. Szkice średniowieczne. Zeszyt 1. „Rozmowa o cudach" Cezarego z Heisterbachu (Niemcy przed odrodzeniem). 1888. I. 355—358.
T. M. Plauta komedyi pięciu parafrazy, przez J. I. Kraszewskiego, 1888. I. 361—362,
Byron (w urywkach) w setną rocznicę jego urodzin, wybrał i ułożył Nap. Hirszband. . . . . 1888. II. 165—166.
Tytan. Arion z Koryntu . . . . 1888. IV. 560—561.
Gaston Paris. Manuel d'ancien français. La litterature française au moyen âge (XI—XIV siecle), p. *L. Sz.* . 1888. IV. 564—565.
Prof. Dr. R. Heinzel. Ueber die Walthersage. p. *L. Sz.* 1888. IV. 565.

b) Literatura polska.

Rys dziejów literatury polskiéj, podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych źródeł opracował i do ostatnich czasów doprowadził Leonard Sowiński. . . . . 1876. I. z. 1, 211—229.
Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. Zeissberga, przekład z niemieckiego, p. *S.*, ... 1877. II. 410—418.
Die Ukraine und ihre Dichter. Bohdan Zaleski, von Heinrich Blumenstock, p. *Tr. Wi.*, ... 1877. II. 678—679.
Listy Juliusza Słowackiego do matki, p. *S.* . . 1877. III. 206—212.
Zygmunta Krasińskiego Nieboska Komedya i niedokończony poemat, studyum. Napisał Wincenty Stroka, p. *P. Chmielowskiego*, 1880. III. 172—176.
Mikołaj Rej z Nagłowic i ks. Józef Wereszczyński przez Stanisława Ptaszyckiego. . . . . 1881. I. 169—171.
Die Sommernacht. Aus dem des Sigmund Krasiński von Heinrich Blumenstock . . . . 1881. I. 360—361.
Etyka Mikołaja Reja z Nagłowic, p. *W. Czajewskiego*, . 1881. IV. 181—186.
Kazimierz Brodziński. Studyum przez Waleryę Marrené, p. *P. Chmielowskiego*, ... 1881. IV. 354—360.
Nowy Karakter Polski z Drukarnie Lazárzowéy: Y Orthographia Polska Jana Kochanowskiego. Jo° M. P. Lukasza Gornickie°, etc. etc. Jana Januszowskiego. Roku Pańskiego 1594. Posnaniae. Apud J. K. Żupański, przez *P. Ch.* 1882. IV. 382—384.
Listy J. Słowackiego. . . . . 1883. III. 396—401.
Ueber die bis jetzt unbekannt gebliebenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn. Inaugural Dissertation, von Jan von Rzepecki, p. *P. Ch.* 1884. IV. 568—571.
Studya literackie. Napisał Wł. Nehring, p. *P. Chmielowskiego*, 1885. I. 557—564.
Białoruski rękopism z XVI wieku, p. *Br. Chleb(owskiego)*, 1887. II. 358—361.
O budowie zwrotek w poezyi polskiéj do Jana Kochanowskiego, napisał W. A. Bruchnalski, p. *Br. Chleb(owskiego)*, 1887. II. 362—365.
Józef Nogaj: Wpływ poetów łacińskich na sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza, p. *Kornelego Juliusza Heck'a*, 1887, III. 375—381.
Pobyt Kochanowskiego za granicą. Szkic biogr. napisał Stanisław Windakiewicz, p. *W. Prokesch'a*, ... 1887. IV. 365—367.
Dr. Zdzisław Hordyński. Brodzińskiego lata szkolne, p. *W. Prokesch'a*, 1888. IV. 546—548.

Wrażenia literackie.

Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego, Mémorial de la légion formée à Rome en 1848 par Mickiewicz, 1877. III. 426—427.

Wydawnictwo Elizy Orzeszkowéj w Wilnie, ... 1881. I. 178.
Wydawnictwo dzieł Juliana Bartoszewicza. . . 1881. I. 375—376.
Dzieła Lucyana Siemieńskiego, tom. I, ... 1881. I. 585—586.
Władysław Syrokomla, studyum literackie przez W. Z. Kościałkowską, 1881. I. 588.
Dzieła Lucyana Siemieńskiego, t. II. III. IV. . 1881. II. 552—554.
Niewieście ideały poetów polskich, przez Walerego Przyborowskiego, 1881. II. 556.
Dzieła Lucyana Siemieńskiego, t. V, VI, VII, . 1881. III. 577—578.
Wydawnictwo Elizy Orzeszkowéj (książeczki od 8-éj do 16-éj), 1881. IV. 188.
Wykaz pseudonymów używanych przez autorów polskich, ułożył Edward Minkowiecki. . . . . 1881. IV. 188—189.
Wincenty Pol, jego młodość i jego otoczenie, p. Karola Estrejchera, 1881. IV. 598—600.
Frycz Modrzewski i najświeższa ocena jego działalności, napisał Edmund Dylewski. . . . . 1882. I. 187.
Dzieje literatury polskiéj (p. Włodz. Spasowicza). Przełożyli z rosyjskiego St. Czarnowski i A. G. Bem. . . 1882. I. 188—189.
Pamiętniki Bogusławy z Dąbrowskich Mańkowskiéj, . 1882. I. 582.
Dzieła Lucyana Siemieńskiego, tom VIII. . . . . . 1882. I. 585.
Mikołaj Rej z Nagłowic. Wizerunk własny żywota człowyeka poczciwego, ... 1882. IV. 387—388.
Charakteristik Tremebcki's, von Heinrich Biegeleisen, . 1882. IV. 578—579.
Kilka słów o elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego, napisał J. H. Kallenbach. . . . . 1883. II. 391—392.
D. Zgliński. Humor w Panu Tadeuszu, . . . 1883. II. 392—395.
Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitéj, pr. Adolfa Pawińskiego, p. *B*. . . . . 1884. I 387—388.
Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego—jéj wzory i geneza, napisał Józef Kallenbach . . . . 1884. III. 197—199.
W. Spasowicz. Dzieje literatury polskiéj, przełożono z rosyjskiego. Wydanie drugie, przejrzał i poprawił A. G. Bem. . 1884. IV. 580—581.
Zur Säcularfeier des polnischen Dichterfürsten Jan Kochanowski. Ein Uebersetzungsversuch aus dessen Klagelieder v. Th. Stahlberger, 1884. IV. 581.
Studya literackie, napisał Władysław Nehring. 1884. IV. 581—582.
Pan Tadeusz Adama Mickiewicza, studyum przez d-ra Henryka Biegeleisena, ... 1884. IV. 582.
Marya Malczewskiego w świetle nowéj krytyki. Napisał dr. Stefan Gramlewicz. . . . . 1885. I. 187—188.
Jan Kochanowski, jego pieśni i pamiątki po nim w 300 lat po śmierci tego pieśniarza napisał Kazimierz Promyk. 1885. I. 188—189.
O źródłach niektórych utworów poetycznych polskich XV i XVI wieku, przez Wilhelma Bruchnalskiego. . . . 1885. I. 189—191.
Czwarty tom Korespondencyi Adama Mickiewicza, . 1885. II. 381.

Uwagi nad Seb. Fabiana Klonowicza, poematem „Victoria deorum“ nap. T. Garlicki, ... 1885. IV. 369—370.
N. 46 „Kraju“ (wydany w 30 rocznicę śmierci A. Mickiewicza), 1886, I. 177—178.
Piotr Chmiolowski. Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki. Piotr Chmielowski. Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat dwudziestu, 2 wydanie . . . . 1886. I. 178—179.
Perły humoru polskiego, pod redakcyą Kazimierza Bartoszewicza, 1886. I. 359—360.
Maryla, szkic literacko-biograficzny, przez Władysława Bełzę. 1886. I. 360—361.
Objaśnienie działalności politycznych Adama Mickiewicza w r. 1848, skreślił Karol Rogawski. . . . . 1886. II. 382—383.
Projekt nowego opracowania „Pana Tadeusza“, nap. Ant. Bądzkiewicz, 1886. II. 383—384.
Dr. W. Kętrzyński. O dwóch nieznanych historykach polskich, p. *B.*, 1886. II. 573—574.
Życie dworskie Kochanowskiego. Napisał Stanisław Windakiewicz, 1886. III. 184—185.
Adam Bełcikowski. Ze studyów nad literaturą polską, . 1886. III. 564—565.
Stahlberger T. Mickiewicz w Weimarze 1829 roku, 1886. IV. 371.
Studya i szkice z dziejów liter. polskiéj, skreślił Piotr Chmielowski, 1886. IV. 562.
Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Zarys literacki Piotra Chmielowskiego, ... 1886. IV. 562.
St. J. Czarnowski. Postępy literatury peryodycznéj, 1886. IV. 563—564.
Listy Narcyzy Żmichowskiéj do rodziny i przyjaciół, . 1887, I. 176.
Konkurs na przedstawienie „Obrazu historyi literatury polskiéj w wieku XVII“, ogłoszony przez Redakcyą „Biblioteki Warszawskiéj“, 1887. I. 568—570.
Nehring Wł. Die dramatische Geschichte Joseph's: Żywot Józefów von Nicolaus Rej;
W. A. Bruchnalski M. Reja Żywot Józefa w stosunku do literat. obcéj . . . . 1887. II. 170—172.
Rewizya tekstu pierwszéj części „Dziadów“ A. Mickiewicza podług autografu. Podał Józef Kallenbach. . . 1887. IV. 176—177.
Mieszkania żaków krakowskich w XIV—XVI wieku, napisał dr. A. Karbowiak, p. *W. P.* . . . . 1887. IV. 554—555.
Piotr Ronsard. Studyum literatury XVI w. Napisał dr. Teofil Ziemba, p. *W. P.* . . . . 1887. IV. 555—556.
Słowo o stosunku Kochanowskiego do Ronsarda napisał Kazimierz Bronikowski, p. *W. P.* . . . . 1887. IV. 556—557.
Józef Ignacy Kraszewski, zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski. . . . . . . - . . . . 1888. I. 552.
Historya literatury polskiéj na tle dziejów narodu, skreślona przez Maryana Dubieckiego. . . . . 1888. I. 352—355.

Stosunki i pieśni miłosne Mickiewicza w Odessie, p. Józefa Tretiaka, 1888. I. 360—361.
Goethe w Polsce, zestawił bibliograficznie Ludwik Kurtzmann, 1888. II. 554.
Filozofia Jana Kochanowskiego, skreślił Józef Kallenbach, 1888. I. 553—554.
Heinrich Nitschmann als Interpret Mickiewicz'scher Werke. Ein Verzeichniss... zusammengestellt von Władysław Małukiewicz, 1888. II. 554.
Typy i ideały pozytywnéj beletrystyki polskiéj, przez Teodora Jeske Choińskiego . . . . 1888. III. 160—162.
Czwarta część „Dziadów" Adama Mickiewicza. Studyum porównawcze, napisał Dr. Józef Kallenbach, . . . 1888. III. 162—165.
Polacy w Bazylei w XVI w., wydał Dr. Józef Kallenbach, p. *P.* 1888. IV. 171—172.
Michał Bałucki. Szkic literacki przez Czesława Pieniążka, 1888. IV. 174—175.
Generał Filip Hauman i rodzina Antoniego Malczewskiego, przez Kajetana Kraszewskiego, ... 1888. IV. 553—555.
Rys historyi literatury polskiéj, ułożony przez Hermana Drobnera, 1888. IV. 561—563.

c) *Wiadomości bibliograficzne.*

Bibliographische Berichte über die Publicationen der Academie der Wissenschaften in Krakau. Erstes Heft 1876, p. *Tr. Wi.* 1877. IV. 174—175.
Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich dotyczących rzeczy polskich, zestawił Edward Jelinek, p. *Teodora Wierzbowskiego*, 1881, II. 363—366.
Katalog rękopisów biblioteki Zakładu narodowego imienia Osssolińskich, wydał dr. Wojciech Kętrzyński, T. I, p. *T. Wierzbowskiego*, 1882. III. 176—179.

Wrażenia literackie

Bibliografii polskiéj XIX stulecia przez d-ra Karola Estreichera, początek tomu VI. . . . . 1881. I. 583—584.
Bibliografia polska XIX stulecia p. Karola Estreichera, z. 2, tom. VI. 1881. IV. 362—363.
Przewodnik bibliograficzny, redagow. p. D-ra Władysława Wisłockiego, w Krakowie;
Wiadomości bibliograficzne wydaw. p. Teodora Paprockiego, w Warszawie;
Notatnik bibliograficzny za rok 1880 i pierwszą połowę 1881, wyd. p. Henryka Glińskiego, ... 1882. I. 585—586.
Spis przedmiotów „Świata illustrowanego", ... 1882. IV. 192.

Spis bibliograficzny pamiętników mających związek z historyą lub literaturą polską. Ułożył Edward Minkowiecki. . 1882. IV. 391.
Les Archives, la Bibliothèque et le Trésor de l'ordre de Saint-Jean de Jerusalem à Malte par I. Delaville Le Roulx, p. *B*. . 1884. I. 569—573.
Leopold Delisle, Le Cabinet des manuscrits de la bibliothèque Nationale, p. *B*., ... 1884. I. 573—575.
Przewodnik bibliograficzny, przez D-ra Władysława Wisłockiego, za wrzesień. (O komedyi Marc. Bielskiego w r. 1557 „Komedya Justyna i Konstancyéj"), ... 1884. IV. 194—195.
Zestawienie bibliograficzno-porównawcze utworów Adama Mickiewicza. Ułożył Maurycy Stankiewicz, . . 1886. I. 361—362.
Katalog biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Opracowali M. E. Sosnowski i L. Kurtzmann, ... 1886. II. 572—573.
Spis przedmiotów zawartych w 80 tomach Przeglądu Polskiego, zestawił Jarosław Pieniążek, ... 1886. IV. 372.
Wiadomość o biblii litewskiéj, drukowanéj w Londynie 1663 roku i wrzekomym jéj tłómaczu, podał Maurycy Stankiewicz. 1886. IV. 564—565.

d) Poezya.

Marya. Powieść przez Antoniego Malczewskiego, p. *W. G.*, 1876, I. z. 2, 436—438.
Próby nowego przekładu Iliady, p. P. Chmielowskiego, . 1877. II. 140—163.
Poezye Goethego, tłómaczył Hugo Zathey, p. *Kaz. Kaszewskiego*, 1879. I. 179—183.
Aleksander Kraushar. Pieśni Heinego, p. *P. Chmielowskiego*, 1880. I. 380—387.
Mikołaj Biernacki (M. Rodoć). Piosnki i satyry. p. *P. Chmielowskiego*, 1880. I. 575—579.
Wacław Potocki. Wojna Chocimska, poemat w 10 pieśniach.—Merkuryusz nowy.—Pełna.—Peryody.—Wiersze drobne, p. *Bronisława Chlebowskiego*, ... 1881. I. 159—163.
J. W. Goethe. Faust. Przekład Feliksa Jeziorskiego. . 1881. I. 579—582.
Przekłady obcych poetów, Warszawa r. 1878;
Pieśni Petrarki, objaśnieniami i przypisami opatrzone przez Felicyana, p. *Edwarda Grabowskiego*. . 1881. II. 354—363.
Marya Konopnicka. Poezye. 1881;
Czesław. Poezye, p. *P. Chmielowskiego*,. . 1881. III. 155—169.
Pieśni śpiewaka z nad Dniepru, p. *Piotra Chmielowskiego*, 1881. IV. 351—354.
Dzieła Mickiewicza w przekładzie rosyjskim, p. *P. Ch.* . 1882. II. 571—575.

Lira Polska II. Poezye Wiktora Gomulickiego, p. *P. Chmielowskiego*, 1882. IV. 181—186.
Jana Kochanowskiego Wszystkie Dzieła Polskie. We Lwowie, 1882. Biblioteka klasyków polskich, nakładem H. Altenberga, p. *H. Biegeleisena*, ... 1882. IV. 567—576.
Dzieła poetyczne i dramatyczne Fryderyka Schillera. . 1883 IV. 603—607.
Czesław. Poezye. III. przez *P. Ch.* . . . . . . 1884. III. 187—193.
Hajota. Poezye. p. *P. Ch.* . . . . 1884. III. 193—195.
Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. T. I, 1883. IV. 389—397.
Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom drugi, p. *P. Ch.* . . . . 1884. IV. 170—177.
Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami. I. Antoniego Malczewskiego Marya. Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak;
Arcydzieła poetów polskich. II. Juliusza Słowackiego: Ojciec zadżumionych. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak, p. *P. Ch.*, ... 1884. IV 572—577.
Niedola Nibelungów. Przekładał Ludomił German, p. *Jana Hanusza*, 1885. II. 368—372.
Najnowsze wydanie dzieł Adama Mickiewicza (wyd. Gubrynowicza i Schmidta), p. *P. Ch.*, ... 1885. IV. 166—171.
Leonard Sowiński. O zmroku, p. *P. Ch.*, . . 1885. IV. 354—360.
Jerzy Gordon Lord Byron. Don Juan. Przekład Edwarda Porębowicza, p. *Kaz. Kaszewskiego* . . . . . 1885. IV. 554—558.
Jarosław Vrchlicki. Duch i świat. Przeł. z czeskiego Miriam, p. *P. Ch.*, 1886. I. 168—171.
Złota przędza poetów i prozaików polskich, pod redakcyą D-ra Piotra Chmielowskiego, ze współudziałem Stanisława Krzemińskiego i Ernesta Sulimczyka Świeżawskiego (tom IV). Warszawa, 1887. p. *A. G. Bema*. . . . . 1888. III. 552—556.

Wrażenia literackie.

Przekład Iliady wierszem przez Pawła Popiela, . . . 1881. I. 176.
Dzieła Adama Mickiewicza w wydaniu przez dzieci autora dokonaném, 1881. I. 377—378.
Wybór pism Pawła Heysego. . . . . 1881. I. 588—589.
Dzieła Adama Mickiewicza tom szósty, w wydaniu przez dzieci autora dokonaném . . . . 1881. II. 554—555.
Don Żuan w haremie. Ustęp z pieśni VI. Przełożył Edward Porębowicz . . . . , . 1882. IV. 391—392
Miron. Poezye. . . . . 1885. IV. 370.
Poezye Władysława Stankiewicza . . . . 1885. IV. 371.
Halina. Powieść wierszem przez Tadeusza Otawę. 1885. IV. 367—369.
Lira polska, tomik 7. Deklamator. . . . . . . 1885. IV. 561.
Kobieta w poezyi polskiéj. Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiéj, ułożył Władysław Bełza, 1885. IV. 559—560.

Adam Mickiewicz. Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie, historya szlachecka z r. 1811 i 1812 w XII księgach wierszem. Przedruk wydania paryskiego z r. 1834. W Krakowie, nakł. W. Chaberskiego 1886 . . . . 1886. I. 362.
Poezye Adama Mickiewicza. Wydanie ułoż. p. Piotra Chmielowskiego, 1886. I. 362—363.
Gunilla, poemat z czasów średniowiecznych. Napisała Jadwiga Z. 1886. I. 364—365.
K. Brodziński, Wiesław, Sielanka. Wstęp krytyczny i życiorys autora opracował Maryan Gawalewicz . . . 1886. III. 563—564.
Pan Tadeusz. Warsz. 1886, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886. IV. 565.
Jana Kochanowskiego. Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe, T III. 1886. III. 565—566.
Poezye Adama Mickiewicza. Wydanie zupełne w 4 tomach. Lwów księgarnia polska, 1886, ... 1886. IV. 371—372.
Żywot kozaków lisowskich, poemat Józefa Bartłomieja Zimorowicza, ocenił i wydał Korneli Juliusz Heck. . . . 1887. I. 383—384
Allegorya. Napisał Kazimierz Przerwa (Tetmajer), 1887. IV. 557—558.
Poezye J. I. Kraszewskiego. . . . . 1888. I. 550—551.
Poezye Adama Mickiewicza. Nowe wydanie z życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego, (Warsz. 1888, 4 tomy), 1888. III. 159—160.
Adam Mickiewicz. Początek I. księgi Pana Tadeusza w przekładzie na 9 języków europejskich, ... 1888. III. 165.
Sonety Józefa Orłowskiego. . . . . 1888. III. 167.
Alfred Nossig. Poezye. . . . . 1888. IV. 555—557.
Poezyje Konstantego Leona Kaszyńskiego. . . . . 1888. IV. 557.

e) *Dramata.*

Tragedye Sofoklesa. Przekład Z. Węclewskiego, p. *Piotra Chmielowskiego*, ... 1876. III. z. 9, 659—679.
Przegląd teatralny za rok 1876, p. *Władysława Bogusławskiego*, 1877. I. 424—440.
Marya Stuart. Drama in fünf Aufzügen von Juliusz Słowacki übersetzt von Ludomil German, p. *Chmielowskiego*, 1879. IV. 168—173.
Balladyna Słowackiego p. Adama Bełcikowskiego, p. *P. Chmielowskiego*, 1880. III. 164—172.
Kiejstut. Trauerspiel von Adam Asnyk. Uebersetzt von M. v. Reden, p. *P. Chmielowskiego*, ... 1880. III. 543—547.
Przegląd dramatyczny. „Na jedną kartę“, dramat Henryka Sienkiewicza, p. *P. Chmielowskiego*, ... 1881. II. 170—179.
Przegląd dramatyczny. „Helvia“, dramat W. Okońskiego, p. *P. Chmielowskiego*, ... 1881. II. 564—570.

Przegląd dramatyczny. „Izrael na puszczy", obraz dramatyczny napisany przez Juliana Łętowskiego, p. *Piotra Chmielowskiego*, 1881. III. 382—388.
Obłąkani, tragedya. Napisał Kazimierz Gliński, p. *P. Chmielowskiego*, 1882. I. 573—576.
Wojna, obraz dramatyczny przez Seweryna Płomieńczyka, p. *Piotra Chmielowskiego*, ... 1882. I. 576—578.
Przegląd dramatyczny. „Piękna", dramat Wł. Okońskiego, p. *P. Ch.* 1882. IV. 559—566.
Przegląd dramatyczny. „Osaczony", komedya przez Edwarda Lubowskiego. . . . . 1886. II. 562—569.
Wincenty Rapacki. 1) Bogusławski i jego scena, 2) Odbijanego, komedya, p. *P. Ch.*, ... 1888. IV. 166—169.

Wrażenia literackie.

Dzieła Aleksandra hr. Fredry . . . . 1881. I. 584—585.
Tragedye Eurypidesa, w przekładzie Zygm. Węclewskiego, 1881. II. 555.
Marysia, komedya przez J. Jordana. . . . . . . 1885. IV. 563.
Dzisiejsi, komedya przez Maryana Gawalewicza. 1885. IV. 563—564.
Hrabina Sylwia, przez Alfreda Konara . . . . . . 1886. I. 562.
Maryan Gawalewicz. Figiel Benwenuta, komedya, 1886. III. 185—186.
Szach i Mat (Karyerowicz), komedya przez Józefa Blizińskiego, 1886. III. 186—187.
Dziwak, komedya, napisał Aleksander Mańkowski, 1888. IV. 558—559.

f) Powieści, gawędy, nowelle.

Biblioteka obrazkowa dla grzecznych dzieci. Baśnie i podania ludu polskiego. K. Wł. Wójcicki. Pan Twardowski;
Powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi, pr. Zofię z Rymanowa;
Pamiętnik Laury. Naśladowany przez Felicyę Szymanowską;
Ziemia i jéj mieszkańcy. Tom II. Europa północno-wschodnia, przez Stanisława Strojnowskiego, p. *Feliksa Witkowskiego*, 1877. IV. 567—570.
Błogosławieństwo na drogę życia. przez T. T. Rolę. 1878. IV. 566—567.
Zbiór powieści dla dzieci i młodzieży wybranych przez Waleryę Marrené. I. Kazio. . . . . 1881. I. 166—169.
Z przeszłości. Fragmenty dramatyczne przez Maryą Konopnicką. Wisła. Fantazya przez Leokadyą Jordan-Wierusz. 1881. I. 355—360.
Książki dla młodzieży. 1) Kwiaty rodzinne. Wybór poezyi, ułożony przez Narcyzę Żmichowską;
2) Bitwa pod Raszynem. Powieść przez Walerego Przyborowskiego;

3) Z przeszłości. Powieści historyczne, skreślone przez Teresę Jadwigę;
4) Mayne-Reid. Młodzi żeglarze czyli przygody myśliwskie w Ameryce Północnéj. Przełożyła z angielskiego M. J. Zaleska;
5) Ludwik Jacolliot. Tajemnice Afryki. Ostatni statek niewolniczy. Bohater puszczy. Stolica stepu. Przełożył Karol Jurkiewicz, p. *Piotra Chmielowskiego*, . 1882. I. 167—177.

Zofia Rudnicka. Obrazki z życia i prawdy. Ocenił *P. Chmielowski*, 1882. I. 578—571.
Eliza Orzeszkowa. Z różnych sfer. Serya nowa, p. *P. Chmielowskiego*, 1882. II. 565—581.
Złota przędza poetów i prozaików polskich. Tom I-szy, pod redakcyą Piotra Chmielowskiego i Stanisława Krzemińskiego. 1884. III. 195—197.
Krok dalej, powieść przez Edwarda Lubowskiego, p. *P. Ch.*, 1886. I. 351—356.
Adam Szymański. Szkice. Tom I, p. *P. R.*, . 1888. I. 348—352.

Wrażenia literackie.

Belletrystyka. . . . . 1881. I. 177—178.
Nowe powieści J. Kraszewskiego. . . . . . 1881. I. 378—379.
Komedya ludzka przez Honoryusza Balzaca . . . . 1881. I. 589.
Wydawnictwo Elizy Orzeszkowéj, tom 15 i 16 . 1882. I. 186—187.
„Tylko doktór“, szkic p. Henryka Glińskiego. . . . 1882. I. 188.
Ostatni list, skreślił Aleksander Chomiński . . 1882. II. 377—378.
Z życia poety (Sebastyan Klonowicz). Szkic powieściowy, napisał W. K. Zieliński. . . . . 1882. II. 378—379.
Wydawnictwa E. Orzeszkowéj. XVIII, Do nieznajoméj. Nowelle. Z rękopismu znalezionego przepisał Leopold Méyet. 1882. II. 575—577.
„Wszyscy za jednego!“ Fraszka. Napisał Włodzimierz Wysocki, 1882. II. 577—578.
Złota przędza poetów i prozaików polskich. . . 1883. II. 395—396.
Laszka. Napisał Włodzimierz Wysocki . . . 1883. IV. 201—203.
Tanie zbiorowe wydanie powieści Elizy Orzeszkowéj. . . 1883. IV. 609—610.
21 powiastek dziecinnych . . . . 1884. I. 388—390.
Z chwil wolnych. Wiązanka prac literackich. . 1884. II. 389—392.
Michał Bałucki. Nowelle i obrazki. . . . . 1884. IV. 582—583.
Wspomnienia szkolne Leonarda Sowińskiego. 1885. IV. 175—176.
Opowiadania i studya Aëra, Serya I. . . . 1885. IV. 176—177.
Wiktor Gomulicki. Obrazki prawdziwe. . . 1885. IV. 558—559.
Niepoprawni, powieść społeczna J. Turczyńskiego. 1885. IV. 561—563.
Złota przędza poetów i prozaików polskich. . . 1885. IV. 566—567.
Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowéj. Księżniczka, powieść, napisała Zofia Urbanowska. . . . . 1886. I. 356—357,
Donkiszot żydowski, szkic z literatury żargonowéj żydowskiéj, przez Klemensa Junoszę. . . . . 1886. I. 358—359.

Eliza Orzeszkowa. Powieści wiejskie. Niziny. 1886. II. 380—381.
Jan Zacharyasiewicz. W dole i na wyżynach, nowelle i powiastki. 1886. III. 186.
Hajota, Co życie dało, nowele i obrazki. . . . 1886. III. 187—189.
Pisma Narcyzy Żmichowskiéj (Gabryelli) z życiorysem autorki skreślonym przez D-ra Piotra Chmielowskiego. 1886. III. 189—190.
Illa przez Kazimierza Przerwę. . . . . 1886. IV, 182.
Pisma Narcyzy Żmichowskiéj (Gabryelli) z życiorysem autorki skreślonym przez D-ra Piotra Chmielowskiego. 1886. IV. 565—566.
Klin. Moi kochani rodacy. . . . . 1887. IV. 173--176,
Korwin (Wincenty Chełmiński). Z życia, nowelle i satyry. 1887. IV. 177—179.
Z lat minionych. Trzy powieści historyczne dla młodzieży, przez Teresę Jadwigę . . . . 1888. I. 164—166.
Teresa Jadwiga. Z różnych sfer. . . . . . . 1888. I, 166—168.
Po za domem, powieść dla młodzieży p. Ludwika Niemojowskiego, 1888. I. 168—169.
Myszy króla Popiela, opowiadanie przedhistoryczne przez autora „Króla Kraka i królewny Wandy" . . . . . 1888, I. 169—170.
Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy, przygody podróżników w Australii. Wolny przekład z francuskiego, p. M. F. Zaleską. 1888. I. 170.
Z siół, pól i lasów. Zbiór nowel przez Adolfa Dygasińskiego. 1888. I. 170—172.
Marya Konopnicka. Cztery nowele. . . . . 1888. I. 172—174.
Adam Nowicki. 1) Ojczyzna, nowele i szkice. 2) Czy pamiętasz, szkic z życia. . . . . 1888. I. 174—175.
Nieszczęśliwi, obrazki na tle codziennego życia, skreślił J. K. Maćkowski 1888. I. 359—360.
J. I. Kraszowski. Wizerunki książąt i królów polskich. Z rycinami Pilati'ego. . . . . 1888. I. 551—552.
Panna Antonina... W zimowy wieczór. . . . 1888. II. 166—168.
Sylwetki i szkice literackie, przez Maryana Gawalewicza. . 1888. II. 366—367.
Nowelle Adolfa Dygasińskiego, p. *N.* . . . . . 1888. II. 549—552.
A. I. Sęk. Nowelle. . . . . 1888. II. 553—554.
Piękna żydówka, szkic psychologiczno-społeczny przez Wilhelma Feldmana (W. F. Zbarawskiego). . . . . . 1888. IV. 169—171.
Na pobratymczéj ziemi, Zwycięzca, Doczekali, Syn Kmiecy. Powieści dla dorastającej młodzieży, przez Teresę Jadwigę. 1888. IV. 552—553.
Hanka, powieść podolska p. J. S. Wierzbickiego, 1888. IV. 559—560.

g) *Zbiory, czasopisma, sprawozdania.*

Wydawnictwa Akademii Umiejętności. Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydziały: Filol. i Historycz. T. I i II, p. *St. Ł.* . . . . 1877. I. 441—463, 658—672.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na r. 1879. Zawiera:

Przyczynek do stanu ekonomicznego Królestwa Polskiego, p. Henryka Konitza. . . . . 1880. II. 546—547.

O wiecach w Polsce w XI, XII i XIII wieku, przez Romana Nowakowskiego—tamże, 547—557. p. *J. Abczyńskiego.*

Fundusz Lerneta, fragment z dziejów szkolnictwa p. H. Merczynga, tamże, 557—558, p. *Piotra Chmielowskiego.*

Rozwój praw pisanego i drukowanego słowa w zachodniéj Europie. Skreślił Jakób Lewi, tamże, 558—559, p. *K. W.*

O zmianach jakim ulegają mięśnie prążkowe po wycięciu, zmiażdżeniu itp. uszkodzeniach pewnéj części odpowiedniego nerwu ruchowego, przez Henryka Pacanowskiego, tamże, 559—560, p. *M.*

Sądy Grodzkie Ziemi Łęczyckiéj przez Józefa Tomala, tamże 560—561, p. *J. Abczyńskiego.*

Symonides z Ceosu poeta grecki, p. Romualda Stępowskiego, tamże 561—565, p. *Piotra Chmielowskiego.*

Jan Stodółkiewicz. Dowód na wzór Caylego, służący do obliczania liczby różnych wyrazów wyznacznika symetrycznego, tamże 565—566.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na r. 1880:

1. Rolnictwo i handel za czasów księstwa Warszawskiego, napisał Henryk Konitz.
2. Kołłątaja i Czackiego: „Projekt urządzenia Gimnazyum wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiéj“ przez Henryka Merczynga, p. *P. Ch.*
3. Przyczynek do absorbcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego. Podał Józef Stanisław Konitz.
4. O pęcherzu moczowym, napisał Dawid Wasserzug, p. D-ra *D.*
5. „O niewymierności liczby *e*“, przez I. Cohna.
6. Policya lekarska w dawnéj Polsce. Napisał Franciszek Olszewski. . . . . 1881. III. 169—181.

Rozprawki pomieszczone w Sprawozdaniach gimnazyalnych galicyjskich na rok 1882, p. *H. B.* . . . . 1883. I. 362—365.

Ognisko. Książka zbiorowa, wydana dla uczczenia 25-letniéj pracy T. T. Jeża. . . . . 1883. I. 550—567.

Sprawozdania szkół średnich (15) galicyjskich z r. 1883/4. 1884. I. 559—565.

Przegląd Polski. Miesiąc sierpień 1884. p. *P. Ch.* 1884. IV. 177—184.

Slovansky Sbornik. Rocznik III. p. *J. H.* . . . . 1885. I. 378—380.

Czasopis macicy serbskeje 1883. p. *J. Hanusza.* 1885. I. 567—570.

Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza pod redakcyą Romana Pilata, p. Adama Nowickiego, . . 1888. II. 159—165.

Wrażenia literackie.

Spór o autorstwo książki „O naśladowaniu Chrystusa“. 1881. I. 379.

Biblioteka Mrówki (tomik 101 i dalsze). . . . . . . 1881. II. 368.

Album „Dla Zagrzebia" Koła literackiego we Lwowie. . 1881. II. 368—369.
Wykłady popularno-naukowe wydawnictwa Stanisława Wegner'a, 1881. II. 555.
Prospekty: w Warszawie „Nowiny", „Kuryer codzienny", w Krakowie „Reforma". . . . . 1882. I. 189—190.
„Słowo"—dziennik warsz.—„Echo łomżyńskie". . 1882. I. 586—587.
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik I. r. 1878. Rocznik II. r. 1880. . . . . 1882. III. 183.
„Kraj", tygodnik polityczno-społeczny wych. w Petersburgu (2 pierwsze numera). . . . . 1882. III. 389—391.
Sprawozdanie z konkursu na najlepsze dziełka ludowe, ogłosz. przez Komitet Wydaw. dziełek ludowych we Lwowie. 1882. IV. 189.
Roman Pilat. Początek publicystyki literackiéj w Polsce. Czasopismo uczone. . . . . 1883. II. 198—199.
Świt—tygodnik dla kobiet. . . . . 1884. II. 393.
„Dla pogorzelców", pismo zbiorowe za staraniem Adama Pługa. 1885. III. 383.
„Ogrodnik Polski" N. 13, z dnia 1 lipca 1885 r., p. *W.* . 1885. III. 571—574.
Polnische Stimmen. I. Ausrotten? . . . . 1885. III. 574.
Co dać dziecku na gwiazdkę? Przegląd literatury dla dzieci i młodzieży z ostatniego siedmiolecia, przez Władysława Nowickiego, 1886. I. 178.
„Muzeum", czasopismo miesięczne Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, wych. we Lwowie. . . . . . 1886. I. 363—364.
„Nowy Dziennik" wychodz. w Berlinie redakt. dr. Seweryn Robiński, 1886. I. 367.
„Dziennik Łódzki" . . . . 1887. I. 177.
„Rad jugoslavenske akademije" p. *J. Nitowskiego,* 1887. III. 176—179.
Józefa Ungra Kalendarz illustrowany". — „Kalendarz powszechny" nakł. księg. Teodora Paprockiego. — „Gość", kalendarz opracowany przez K. Promyka . . . . 1888. I. 176.
„Świat" dwutygodnik illustrowany. Kraków, p. *P.* . . 1888. I. 362.
Kalendarz „Wieku" illustrowany na rok zwyczajny 1889. 1888. IV. 176—177.
„Prawda", pismo miesięczne w języku rusińskim we Lwowie. 1888. IV. 177.
„Nowiny Lekarskie", czasopismo miesięczne lekarskie, mające wychodzić od r. 1889 w Warszawie. . . . . . . 1888. IV. 568.
Kalendarz Powszechny na rok 1889, wydany nakładem księgarni Teodora Paprockiego . . . . 1888. IV. 568.
„Ziarno", codzienne pismo polskie, wychodzić mające w Warszawie od r. 1889. pod redakcyą J. K. Korwin-Piotrowskiego. 1888. IV. 568.

---

8. SZTUKI PIĘKNE.

Ruiny na Ostrowie jeziora Lednicy. Studyum nad budownictwem w przedchrześcijańskich i pierwszych chrześcijańskich wiekach w Polsce. Na podstawie badań wspólnie na miejscu odbytych z prof. Wład. Łuszczkiewiczem, źródłowo opracował i napisał Maryan Sokołowski, przez *T. Ziemięckiego*, 1879. I. 593—607.

Od Redakcyi. (Niektóre wątpliwości w powyższéj pracy). 1879. I. 608—618.

Głos, ucho i muzyka, rozprawa Augusta Langela, przetłómaczona i uzupełniona przez Felicyą Baszkiewicz, p. *Jana Karłowicza*, 1877. IV. 175--179.

Charles Henry: Wroński et l'esthetique musicale, p. S. Dicksteina 1888. I. 547—550.

Wrażenia literackie.

Echo muzyczne i teatralne. . . . . 1883. IV. 608—609.

Die italienischen Künstler der Renaissance in Krakau, przez Maryana Sokołowskiego. . . . . 1886. II. 385—386.

Prof. Władysław Łuszczkiewicz. Ruina Bohojawlenskiéj cerkwi w zamku Ostrogskim na Wołyniu. . . . . . 1886. IV. 177.

Prof. Maryan Sokołowski. Malarstwo ruskie. . 1886. IV. 177—178.

„Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau" przez Lutsch'a, p. *S. J.* 1887. I. 175—176.

Szkice naukowo-literackie z zakresu sztuki i archeologii, przez A. O. 1887. II. 555—556.

9. NAUKI PRZYRODNICZE.

a) *Nauki przyrodnicze poszczególne.*

Pamiętnik fizyograficzny, wydawany staraniem E. Dziewulskiego i B. Znatowicza, tom pierwszy, p. *Maryana A. Baranieckiego*. 1881. III 556—564.

Pamiętnik fizyograficzny, wydawany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza, T. II. . . . . 1882. IV. 175—179 (i Dopisek na str. 179—180).

Józef Trojanowski. Pogląd na wewnętrzną budowę materyi ciał stałych i płynnych, wysnuty z rozważania zjawisk ciepła i sił przyciągania. . . . . 1882. IV. 386—387.
Biblioteka matematyczno-fizyczna, tom II i III, seryi I. Wiadomości początkowe z fizyki, napisał Stan. Kramsztyk, p. *S. Dicksteina*, 1883. I. 365—369.
Pamiętnik fizyograficzny, wydawany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza. Tom III, p. *Józefa Nusbauma*, 1884. I. 549—559.
Materyały do zoografii Polski. Skrzeki (Amphibia), p. A. Wałeckiego. — Materyały do zoografii Polski. Płazy (Reptilia), przez A. Wałeckiego, p. *Michała Wierzbowskiego*, 1884, III. 377—379.
Pamiętnik fizyograficzny, wydawany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza. Tom. IV. p. D-ra *B. Dybowskiego*, 1885. I. 570—576.
Explication nouvelle du phénomène des marées. Cause de courant atlantiques et des vents par A. Aug. Thauvenin, p. *L. S.* 1885. III. 568—570.
Rostafiński Dr. Józef. Kucmerka (Sium Sisarum) p. *Ign. Szy.* 1886. I. 165—168.
Pamiętnik fizyograficzny. Tom V, p. *D-ra Ign. Szyszyłowicza*, 1886. II. 172—178;
Dział IV. „Antropologia", oceniona p. *St. Ł.* tamże 178—180.
J. H. Taylor. Zmyślność i moralność roślin. — Zarys życia i obyczajów królestwa roślinnego, p. *D.* . . . . . 1886. III. 180—184.
Jan Jędrzejewicz. Kosmografia, p. *L. Str.* . . 1886. III. 357—360.
Dr. Józefa Rostafińskiego Botanika szkolna dla klas niższych z kluczami do oznaczania 536 pospolitych roślin, ozdobiona podwójną tablicą barwną, oraz 374 figurami w drzeworytach. Kraków 1886 8-o, str. 120 i 52.—Botanika szkolna dla klas wyższych, ozdobiona podwójną tablicą barwną, 553 figurami w drzeworytach, oraz tablicą rozsiedlenia się roślin. Kraków 1886 8-o, str. 192. p. D-ra *Ign. Szyszyłowicza*, ... 1887. I. 366—370.
Pamiętnik fizyograficzny. Tom VI, przez *St. Kr(amsztyka* i D-ra *Ign. Szyszyłowicza*. . . . . 1887. II. 155—167.
August Wrześniowski. Zasady zoologii, przez *S. Grosglika*, 1888. I. 343—348.
Dr. Edward Strasburger. Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowéj, p. *S. Grosglika*. 1888. II. 361—366.
Pamiętnik fizyograficzny, tom VII, przez D-ra *Ign. Szyszyłowicza*, 1888. II. 543—549.

Wrażenia literackie.

O porfirze w Królestwie Polskiém, przez D-ra Jana Trejdosiewicza. 1881. I. 582—583.
Dr. Prel. Die Planeten - bewohner und die Nebularhypothese. 1881. II. 370—373.
Nauka fizyki w uniwersytecie, p. prof. d-ra Oskara Fabiana, p. *M. A. B.* 1881. IV. 365.
O tak zwanym czwartym stanie skupienia, napisał Oskar Fabian, p. *M. A. B.* . . . . 1881. IV. 365—366.

Zasada momentów przygotowanych. Przyczynek do analitycznéj mechaniki, napisał dr. Oskar Fabian, p. *M. A. B.* 1881. IV. 366.
Elektrotechnika w zastosowaniu do inżynieryi, przez H. Merczynga, p. *B. R.* . . . . 1887. II. 366.
Mechanika, wykład popularny; tom I. Mechanika teoretyczna przez inżyniera Józefa Łubińskiego, wydana przez Ignacego Zawiszowskiego. . . . . 1888. II. 552—553.

b) *Nauki przyrodnicze wogóle.*

Przekłady polskie z „Biblioteki Międzynarodowéj“.
1. Woda, jéj kształty i przeobrażenia, jako obłoki i rzeki, lód, lodniki, przez J. Tyndall'a, przełożył Karol Jurkiewicz.
2. Zasada zachowania energii, przez Balfoura Stewarta, tłómaczył Wł. Kwietniewski.
3. Ruchy zwierzęce, czyli chodzenie, latanie i pływanie, wraz z rozprawą o aeronautyce, przez J. Bell Pettigrewa, przekład professora Nawrockiego.
4. Nauka o pochodzeniu gatunków i darwinizm, przez Oskara Schmidta, przełożył A. Wrześniowski.
5. Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku, przez Aleksandra Bain'a, tłomaczenie z angielskiego.
6. O początku narodów, przez Waltera Bagehot'a, tłómaczenie z angielskiego. Ocenił *F. K.* . . 1876. I. z. 3, 684—693.

Goethe, znaczenie jego prac na polu biologii i filozofii przyrody. Studyum D-ra Tymoteusza Stępniewskiego, p. *B. K.* 1877. III. 213.
O niektórych błędach w teoryi Darwina. Napisał Dr. A. Chalupczyński, p. *S. Kramsztyka*, ... 1881. I. 155—159.
Odczyty w resursie kupieckiéj (urządzane przez Koło naturalistów warsz.). , ... 1881. II. 570—581.

Wrażenia literackie.

Zarysy Antropozofii czyli teorya i technika należytych wyjść (modus vivendi) humanitarnych stosunków: przyrodniczych, etycznych i między-ludzkich. Opracował K. L. Lichtański. . 1882. II. 185—187.
Udział Czechów w rozwoju oświaty i nauki lekarskiéj w dawnéj Polsce. Napisał Dr. Hubert hr. Krasiński. . . 1882. III. 180—182.
Arabella B. Buckley, Czary w krainie wiedzy. Przełożyła z angiel. E. H. 1883. I. 576.
Wydanie kompletne wszystkich dzieł Karola Darwina w jęz. polskim, 1883. IV. 610.

---

10. GOSPODARSTWO.

Assenizacya miast. Tymczasowe środki assenizacyi miast naszych. opracował Dr. Stanisław Markiewicz, p. D-ra *Gust. Fritsche'go*, 1878. IV. 366—373,

Encyklopedya rolnictwa i wiadomości związek z niém mających. 1880. I. 363—379.

Encyklopedya Rolnicza i Rolniczo-Przemysłowa, A. Strzeleckiego i H. Kotłubaja, p. *C. Reklewskiego* . . . . . 1887. III. 557—562.

Wrażenia literackie.

Encyklopedya techniczna. Opracowana pod redakcyą D-ra Aleksandra Weinberga. . . . . 1885. IV. 366—367.

Nowe pisma techniczno-gospodarcze (Tellus, Przemysłowiec), p. *W. Wścieklicę* . . . . 1887. I. 381—383.

11. NAUKI LEKARSKIE.

Karol Vogt. Listy o fizyologii. Przekład D-ra Konrada Dobrskiego p. *B. K.* . . . . 1877. IV. 430—432

Karol Reklam. Nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy. Przekład Wacława Mayzla, p. *St. Markiewicza*, 1880. I. 176—180.

Mózg i jego czynności, przez J. Luysa lekarza w szpitalu Salpetrière. Przełożył dr. Teodor Dunin, p. *Antoniego Ślósarskiego*, 1880. IV. 551—557.

Z dziedziny teratologii. O sztuczném wywoływaniu potworów o sercu podwójném, przez Stanisława Waryńskiego, 1886. II. 166—172.

„Rocznik medycyny krajowéj" wyd. staraniem i nakładem D-ra J. Rogowicza . . . . 1888. I. 176.

12. LINGWISTYKA.

Archiv für slavische Philologie. Unter Mitwirkung von A. Leskien und W. Nehring, herausgegeben von V. Jagić. I Bd. 1 Heft. p. *L. M.*, ... 1876. I. z. 2, 442—446.

Modlitwy Wacława, zabytek języka polskiego z wieku XV, odkryty i skopiowany przez ś. p. Aleksandra hr. Przeździeckiego. Wydał i objaśnił Lucyan Malinowski, p. *Ad. Ant. Kryńskiego*, 1876. III. z. 9, 679—688.

Błędy nasze w mowie i piśmie, ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy, zebrał Aleksander Walicki. Warszawa, 1876, p. *Jana Karłowicza*, ... 1877. I. 463—468.

Archiv für slavische Philologie. Tom I, p. *Jana Karłowicza*, 1877. I. 681—696.

Brus jazyka česke̕ho, jejž sestavila komisse širším sborem Matice České zřízena, p. *Ad. Ant. Kryńskiego*, . . 1877. II. 160—166.

Archiv für slavische Philologie. Tom. II, zeszyt I, p. *J. Karłowicza*, 1878. IV. 553—566.

Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane. oraz prowincyonalizmy, zebrał Al. Walicki, Warszawa, 1879, p. *A. A. K*, ... 1879. III. 366—374.

Rozbiór krytyczny pieśni „Bogarodzica", napisał Dr. Antoni Kalina. p. *St. Ł.* . . . . 1880. I. 569—575.

Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego, przez D-ra Antoniego Małeckiego, p. *W. Nehringa*, 1880. IV. 162—173.

List J. Radlińskiego do Redakcyi z powodu nowego przekładu napisu staroperskiego, dokonanego p. Wł. Chodzkiewicza. 1880. IV. 562—564.

Gwara lasowska w okolicy Tarnobrzegu. Studyum dyalektologiczne Szymona Matusiaka, p. *Jana Hanusza*, . 1881. I. 151—155.

Dr. Wł. Nehring. Ueber den Einfluss der altčechischen Sprache und Literatur auf die altpolnische. III. Psalter von Puławy, p. *Adama Ant. Kryńskiego*, ... 1881. II. 543—552.

Ślady dyalektyczne w oznaczaniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI, przez Lucyana Malinowskiego, p. *Jana Hanusza*, ... 1881. III. 376—378.

Głoski nosowe w gwarze ludowej we wsi Kasinie oraz niektóre inne właściwości tej gwary p. Lucyana Malinowskiego. p. *Jana Hanusza* . . . . 1881. III. 378—380.

Gwara brzezińska w starostwie Ropczyckim. Studyum dyalektologiczne Romana Zawilińskiego, p. *Jana Hanusza*, . . 1881. III. 565—571.

Wykaz form języka staropolskiego zawartych w „Przykładach i Wzorach z najcelniejszych poetów i prozaików polskich D-ra Karola Mecherzyńskiego", napisał Szymon Matusiak, p. *Jana Hanusza*, 1881. IV. 594—597.

La langue des Tziganes slovaques par le Dr. Antoine Kalina, przez *Jana Hanusza*, ... 1882. III. 384—389.
Modlitewnik siostry Konstancyi z r. 1527, wydał dr. Wł. Wisłocki, p. *Jana Hanusza*, ... 1883. I. 567—574.
Kleinere altpolnische Texte aus Handschriften des XV und des Anfangs des XVI Jahrhunderts, von Prof. Emil Kałużniacki, p. Dr. *Jana Hanusza*, ... 1884. I. 181—184.
Die polnische Dichtung des XV Jahrhunderts. I. Mariengedichte. (Inaug. Dissertation von) Nicolaus Bobowski, p. *Jana Hanusza*, 1884. I. 185—187.
Der slavische Interrogativsatz, von Stephan Dubrawski, p. *J. Hanusza*, 1884. I. 187—189.
Wörterbuch der littauischen Sprache von Friedrich Kurschat. II. Theil, p. *Jana Hanusza*, ... 1884. I. 565—569.
Historya języka polskiego przez Anton. Kalinę. Tom I., p. *J. Hanusza*, 1884. II. 191—204.
Leitfaden für den Elementarcursus des Sanskrit von Georg Bühler, p. *Jana Hanusza*, ... 1884. II. 584—586.
Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft, przez *J. Baudouin de Courtenay*, ... 1884. III. 565—576.
Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego, tom I, zesz. I, przez *Justyna Feliksa Gajslera*, ... 1885. IV. 161—166.
Der Text der Gnesener Predigten, kritisch beleuchtet. Inaugural-Dissertation von Boleslaus Erzepki, . . 1885. IV. 177—178.
Emil Kałużniacki. Die polnische Recension der Magdeburger Urtheile und die einschlägigen deutschen, lateinischen, u. czechischen Sammlungen, p. *Jana Hanusza*, ... 1886. II. 375—377.
Dwa nowe dzieła prof. Miklosicha. Etymologisches Wörterbuch der slavischen Sprachen. Dictionnaire abrégé de six langues slaves, ainsi que français et allemand, przez Dr. *J. Hanusza*, 1886. III. 361—369.
Prace filologiczne, wydawane przez pp. J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom I. Zeszyt I i III, p. *Justyna Feliksa Gajslera*, 1887. I. 566—568.
Prace filologiczne. Tom II. Zeszyt I, p. *Justyna Feliksa Gajslera*, 1887. IV. 170—173.
Prace filologiczne. Tom II. Zeszyt II, p. *Justyna Feliksa Gajslera*, 1888. III. 157—159.

Wrażenia Literackie.

Rozpraw i sprawozdań wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie tom VII. . . . . 1881. I. 175.
Kilka rozprawek z działu lingwistyki. . . . . 1881. I. 175—176.
Prace lingwistyczne (2 broszury Karola Appela w jęz. ros. o zabytk. polsk.) . . . . 1881. I. 380.
Język assyryjski w rodzinie języków semickich. Studyum J. Radlińskiego. . . . . 1881. I. 586—587

W sprawie pisowni Polskiéj, napisał Stary Pedagog. 1881. II. 556—557.
Note glotto logiche intorno alle lingue slave e questioni di morfologia ario-europea. Memoria d. J. Baudouin de Courtenay. 1881. IV. 369.
O języku litewskim Dra Józefa Karłowicza;
Die Slawische Fremdewörter im Litauischen D-ra Aleksandra Brucknera;
Die Lettischen Sprachreste auf der kurischen Nehrung;
Pieśni litewskie zebrane przez Antoniego Juszkiewicza w okolicach Puszołat i Wielony;
Obrzędy weselne litwinów wielońskich spis. p. Ant. Juszkiewicza;
Littauische Volkslieder und Märchen aus dem preussischen und dem russischen Litauen przez Aug. Leskien i Kar. Brugmann, przez *Ad. Ant. Kryńskiego*. . 1882. I. 587—589.
Nieskolko słow o srawnitielnoj gramatikie indo-ewropejskich jazykow, przez *J. Baudouina de Courtenay*. . . . 1882. II. 190—191.
Szósty zjazd oryentalistów w Lejdzie. . . . . 1883. IV. 399—401.
Uebersicht der slavischen Sprachenwelt im Zusammenhange mit den anderen ario-europeischen Sprachen, von Dr. *J. Baudouin de Courtenay*. . . . . 1884. II. 392—393.
Mémoire sur l'influence des langues orientales sur la langue polonaise, par Jean Karłowicz . . . . 1884. IV. 577—580.
Gramatyka polska dla Anglików, przez *W. R. Morfilla*. 1885. IV. 564—565.
Rozprawy i sprawozdania wydziału filologicznego Akademii Umiejętności, 10 tomów, przez *Ad. Ant. K*. . . . 1886. II. 180—181.
Psałterz floryański, wyd. przez Wł. Nehringa. . 1886. II. 377—378.
Starodawna pieśń polska „Przez twe świante zmartwychwstanie“, 1886. II. 386.
Błędy nasze w mowie i piśmie, ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy zebrał Aleksander Walicki. Wyd. III. 1886. III. 562—563.

---

13. PEDAGOGIKA.

Początki języka polskiego. Książka do czytania, ułożona podług stopniowego rozwoju pojęć mowy i gramatyki, przez Władysława Nowickiego, przez *Feliksa Witkowskiego*, 1877. IV. 432—436.
Mały zwierzyniec. Historya naturalna, wierszem dla dzieci ułożona przez Jana z Rzeszowa;
Pytania i odpowiedzi. Piérwsza książeczka obrazkowa dla zabawy i nauki małych dzieci od lat 3-ch do 6-ciu, przez Starego Nauczyciela. Rozwijanie myśli i pojęć metodą poglądową za pomocą obrazków, pytań i odpowiedzi, przez *Feliksa Witkowskiego*, ... 1877. IV. 692—695.

Język łaciński w organizmie publicznego wychowania, przez M. Świtalskiego, przez *P. Ch.*, ... 1879. II. 170—172.

Przewodnik opisowo porównawczy do wyuczenia czytania i pisania po polsku wszystkich dorosłych i dzieci, przez Michała Józefa Konstantynowicza, przez *K. Prószyńskiego*, 1879. II. 175—179.

Encyklopedya wychowawcza wydawana przez Tadeusza ks. Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego, Stanisława Przystańskiego i J. K. Plebańskiego. Zoszyt I-szy i II-gi, przez *P. Chmielowskiego*, 1880. III. 535—543.

Nowe książki dla dzieci. Przegląd pedagogiczny:

Wstęp . . . . 1880. IV. 333—335.

Biblioteczka dziadunia. Zarys literatury polsk. w opowiadaniach dla dziatwy, napisał K. Wł. Wójcicki, przez *Piotra Chmielowskiego*, ... 1880. IV. 335—337.

Młodzież w pięciu częściach świata, przez Eligijusza Berthota. Tłómaczył Władysław Nowicki i Józef Miaskowski, przez *Antoniego Słósarskiego*, ... 1880. IV. 337—339.

„Mały zwierzyniec". Historya naturalna wierszem dla dzieci ułożona, przez Jana z Rzeszowa;

„Powieści z Pisma Ś-go" wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa;

„Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce Zachodniéj", przełożył A. Wrześniowski;

„Przygody na lądzie i morzu: Porwana siostra", przez Kapitana Mayne-Reida, przekład polski P. S.;

„Obrazki dziejowe dla młodzieży", przez Teresę Jadwigę (Papi); przez *Floryana Łagowskiego*, . . . 1880. IV. 339—345.

1. Branka Tatarska, powieść dla młodzieży, przez Paulinę Kraków;
2. Kampanella, koleje życia sieroty według angielskiego M-rs. Jeroma Mercier, przez Paulinę Kraków;
3. Zima pośród lodów, przez Juliana Verne'a, tłómaczenie St. Rzętkowskiego;
4. Kolenda dla Marylki i zbiór wierszyków p. A. Fiedorowiczową; — przez *Wł. Nowickiego*, . . . 1880. IV. 346—350.

Nowe książki dla dzieci. Przegląd pedagogiczny:

1. Ze świata rzeczywistości i ze świata fantazyi. Pięć powiastek dla czytelników od 10 do 14 lat. Napisała Teresa Jadwiga;
2. Szlachetna zabawa. Oryginalne powiastki. opowiadania i komedyjki dla młodzieży. Zbiór drugi. Wydał Władysław Nowicki;
3. Kalendarz dla młodego wieku na rok zwyczajny 1881; przez *Piotra Chmielowskiego*, ... 1880. IV. 524—540.

Czarodziejskie Baśnie dla młodego wieku, zebrała i przetłómaczyła K. Gościmska:

1. Podarek dla grzecznych chłopczyków;
2. Zabawy po szkole;

3. Jak psotnikom bywa? przerobił z francuzkiego Roman Nowina;
4. Lalka Maniusi, prześliczna książeczka obrazkowa dla grzecznych dziewczątek;—przez *Romana Plenkiewicza*, 1880. IV. 540—545.

Pogadanki z dziećmi, ułożone metodą poglądową, przez Z. Morawską, 1881. I. 163—166.

Przegląd pedagogiczny:
1. Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część niższa;
2. Wypisy z pisarzów polskich dla szkół męzkich i żeńskich. Ułożył Stanisław Gargulski. Część wstępna na klasę wstępną i na piérwszą;
3. Toż. Część średnia;
4. Wypisy polskie. Ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część średnia;
5. Wypisy, przykłady i wzory form prozy i poezyi polskiéj. Książka do czytania, ułożona p. D-ra Władysława Seredyńskiego i Anastazyą hr. Dzieduszycką; p. *P. Chmielowskiego*, 1881. IV. 155—169.

Rocznik pedagogiczny wydawany staraniem i pod redakcyą S. Dicksteina przy współudziale wielu pedagogów. Rok I. 1881, p. *P. R.*, 1882. II. 560—566.

Pogadanki o życiu. Popularny wykład nauki obyczajowéj przez Henryka Wernica, ... 1882. III. 597—599.

Niedole dziecięce wydane staraniem miłośników dziecięcego wieku. 1883. IV. 384—385.

Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część średnia;
Wypisy polskie. Ułożył Ant. Bądzkiewicz. Część wyższa; p. *P. Ch.* 1882. IV. 378—381.

Książki o piérwszém nauczaniu.
1. Piérwsza nauka z małemi dziećmi. Dla użytku szkół elementarnych i domowego zajęcia (?) opracował (podług A. Diesterwega) Antoni Celichowski;
2. Dla nauczycieli i wychowawców. Piérwszy rok nauki systematycznéj, przez Henryka Wernica. . 1883. II. 192—198.

Rocznik pedagogiczny. Przegląd postępów w dziedzinie wychowania i nauczania, wydawany staraniem i pod redakcyą S. Dicksteina przy współudziale wielu pedagogów. Tom II, przez *P. R.* 1884. III. 184—187.

Wrażenia literackie.

Encyklopedya wychowawcza. 5 zeszytów piérwszych. 1881. I. 173.

Poradnik dla osób, wybierających książki dla dzieci i młodzieży; ułożył Jan Karłowicz. . . . . 1881. I. 587—588.

J. H. Schürrens Ansichten über Lehrer-Bildung, przez G. Spieker'a, 1881. II. 373—374.

Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu, przez Henryka Wernica. 1881. III. 380—381.

Encyklopedya wychowawcza. 3 zeszyty. . . . 1881. IV. 186—188.

Przegląd pedagogiczny, w Warszawie, prospekt. 1881. IV. 603—604.

Przegląd pedagogiczny, (6 zeszytów za kwartał I). 1882. II. 183—185.

O nauczaniu historyi z powodu zamierzonéj reformy szkół średnich w Galicyi. Napisał Tadeusz Korzon. . . 1882. IV. 186—187.

Uwagi nad sprawozdaniem komisyi w sprawie reformy szkół średnich powołanéj przez Akademią Umiejętn. w Krakowie. Napisał Dr. Zygmunt Samolewicz. . . . . 1882. IV. 580—581.

Paedagogické rozhledy po literatuře československé, p. *S. Dicksteina*. 1883. I. 574—576.

Światełko. Książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. . . . . 1885. I. 186—187.

Wskazówki metodyczne do nauki początków języka ojczystego w ogólności a do czytania w szczególności, przez A. Jurgielewicza. 1888. IV. 563—564.

DZIAŁ III.

OGŁOSZENIA.

OGŁOSZENIA.

Ogłoszenie konkursu. (Na pracę z zakresu języka polskiego mogącą służyć za dopełnienie słownika Lindego) przez Sekr. Gener. Akad. Um. Szujskiego. . . . . 1877. I. 496.
Odezwa Komitetu Zjazdu archeologicznego. . . . . 1877. I. 497.
Ogłoszenia i przypomnienia konkursów akademickich, przez Sekret. Gener. Akad. Szujskiego. . . . . 1877. II. 701—702.
Konkurs historyczny ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk. 1877. III. 239—240.
Konkurs lwowski imienia hr. Aleksandra Fredry, p. Jana Dobrzańskiego. . . . . 1877. III. 460.
W sprawie wydawnictwa jubileuszowego „Wyboru pism“ J. I. Kraszewskiego. . . . . 1878. I. 191—192.
Ogłoszenie przedpłaty na t. I. „Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski“, przez Zarząd Biblioteki Kórnickiéj. . . 1878. I. 192.
Konkurs historyczny. (Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-półn. między Elbą a granicami dawnéj Polski), przez Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn. . . . . . 1878. I. 595—596.
Towarzystwo lekarskie Warszawskie. Zaproszenie do składek w celu utworzenia stypendyum Polikarpa Girsztowta. . 1878. II. 198.
Konkurs dramatyczny z zapisu ś. p. Norberta Bredkrajcza, przez Zarząd Towarzystwa Przyj. Nauk Pozn. . . 1878. II. 199—200.
Program książki jubileuszowéj dla J. I. Kraszewskiego. . 1878. II. 392—396.
Odezwa konkursowa na rozprawę przemysłowo-rolniczą. 1878. III. 405.
Od wydawcy Kuryera Codziennego. . . . . . . 1879. IV. 204.
Ogłoszenie. Tom V Zbioru Praw i Rozporządzeń Rządu wyszedł, co zawiera . . . . 1879. IV. 394.
Ogłoszenie. Zaproszenie do przedpłaty na wydawn. Gazety Sądowéj. 1879. IV. 590.
„ Ofiary na rzecz głodem dotkniętych Szlązaków złożono w Redakcyi „Ateneum“. . . . . 1880. I. 402 i 609.

Ogłoszenie. Zaproszenie do przedpłaty na rok 1880 Gazety Sądowéj Warsz. . . . . 1880. I. 403 i 610.
List D-ra Karola Estreichera wzywający do zakupna dzieł Henryka Niewęgłowskiego, matematyka. . . . . . 1880. III. 195—196.
Od redakcyi. Rozprawa D-ra Jul. Ochorowicza nie będzie drukowana daléj. Redakcya złożyła 15 rs. od N. Trz. z Kolskiego w redakcyi „Wieku“ na rzecz. Henr. Niewęgłowskiego. 1880. III. 406.
Od redakcyi. Datki dla Dr. H. Niewęgłowskiego, odesłane do Paryża. 1880. III. 589.
Zaproszenie do przedpłaty na wyd. Gazety Sądowéj. . 1881. I. 196.
Telegram Ministra Spraw Wewnętrz. o tragicznym zgonie Cesarza Aleksandra II;
Manifest Cesarza Aleksandra III;
Kilka słów od redakcyi . . . . 1881. II. z. 1. str. I—II.
Korespondencya A. D. Bartoszewicza o wydawnictwie „Biblioteki Mrówki“. . . . . 1881. III. 580.
Wezwanie do b. studentów b. Szkoły Głównéj, by nadsyłali informacye do spisu studentów tejże szkoły. . . . . 1881. IV. 388.
Odezwa redakcyi Przeglądu Technicznego. . . . . 1882. I. 198.
Prospekt Gazety Sądowéj Warszawskiéj. . . . . . 1882. I. 198.
Projekta w celu uczczenia jubileuszu Teodora Tomasza Jeża. 1882. II. 193—194.
Ogłoszenie Koła art.-liter. w Krak. na napisanie życiorysu Mickiewicza. 1882. III. 392.
„ „ „ „ na wykonanie illustracyi do ustępu z tragedyi Jul. Słowackiego. Podpis. Prezes Jul. Kossak, za sekretarza Kazimierz Bartoszewicz. . . . . . . 1882. III. 393.
Odezwa o prenumeracie „Ogniska“, książki zbiorowéj z pism T. T. Jeża. 1882. III. 601.
Odezwa Wydziału Towarzystwa archeologicznego we Lwowie. 1882. IV. 190—191.
Ogłoszenie prenumeraty na „Przegląd archeologiczny“ we Lwowie. 1882. IV. 192.
Odezwa Ober-Policmajstra m. Warszawy, w celu wybudowania „Przytułku domu dla biednych“. . . . . 1883. I. 581—584.
Redakcya Słown. Geograf. wzywa do nadsyłania prac lub materyałów. 1883. IV. 404.
Słownik geograficzny polski, zeszyt LV wyszedł 1 lipca 1884 r. 1884. III. 380.
„ „ „ „ LVI. „ 1 sierpnia 1884 r. 1884. III. 576.
Korespondencya: panu St. Lubiczowi w Petersburgu. „ „ „
Ogłoszenie Komitetu Kasy J. Mianowskiego o miejscu wnoszenia składek i ofiar. . . . . 1884. IV. 587.
Zaproszenie do przedpłaty na Gazetę Sądową. 1884. IV. 587—588.

Komitet stypendyjny fundacyi D-ra Seweryna Gałęzowskiego, imienia Śniadeckich, ogłasza konkurs o 4 stypend. . 1884. III. 200.
Ogłoszenie o Wystawie obrazów, szkiców i kartonów Aleksan. Lessera. 1885. II. 578.
Karta dawnéj Polski z przyległemi okolicami staraniem Towarzystwa hist.-liter. w Paryżu. . . . . 1885. III. 384.
„Słownik geograficzny“ zesz. 67 wyszedł lit. M. . . 1885. III. 384.
Ofiary na pogorzelców grodzieńskich. . . . . 1885. III. 576.
Ogłoszenie przedpłaty na „Kraj“ podp. Erazm Piltz, redaktor. 1886. I. 192.
Ogłoszenie konkursu imienia Lindego. . . . . . . 1886. I. 384.
Ogłoszenie. Wyszedł zeszyt 73 „Słownika geograficznego“. 1886. I. 384.
Słownika geograficznego zeszyt 76. . . . . 1886. II. 386.
Warunki konkursu imienia Adama Chojnackiego, na dzieła z zakresu medycyny. . . . . 1886. II. 387—388.
Wyszedł „Przegląd Pedagogiczny“ Nr. 9, zawiera. . 1886. II. 584.
Ogłoszenie. Ofiara. . . . . 1886. IV. 192.
Ogłoszenie o tragedyi Jana Gadomskiego „Larik“. . 1886. IV. 566.
Ogłoszenie. „Kraj“ (NN. 49—52) spis artykułów w tych NN. zawartych. 1887. I. 396.
Korespondencya Ryszarda Puciaty. . . . . 1887. I. 588.
Ogłoszenie. „Kraj“ (N. 1—4). . . . . 1887. I. 588.
„ „ (N. 5—9). . . . . 1887. II. 188.
„ „ (N. 10—13). . . . . 1887. II. 380.
„ „ (N. 27—31). . . . . 1887. III. 578.
„ „ (Wrzesień N. 36—39). . . . 1887. IV. 384.
„ „ (Październik N. 40—44). . . 1887. IV. 572.
Odezwa od Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, dotycząca wydawnictwa „Wielkiéj Encyklopedyi rolniczéj“. . . . 1888. I. 186—187.
Ogłoszenie „Gazety Świątecznéj“ 2-ch nagród za powiastkę i za artyk. 1888. I. 187—188.
Postanowienie generał-gubernatora, skazujące redaktora gazety: „Dziennik dla wszystkich“ na karę pieniężną. 1888. I. 190—191.
„Sprawozdanie Biblioteki Polskiéj w Rumunii za rok 1887“. 1888. I. 380—382.
Regulamin przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natansona. 1888. I. 575—576.
„ corocznéj wystawy konkursowéj w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. . . . . 1888. I. 578—580.
Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych podaje do wiadomości Artystów o Trzeciéj Wystawie Sztuk Pięknych w Monachium. 1888. I. 580.
Regulamin wystawy konkursowej sztuki ornamentacyjnéj i dekoracyjnéj w Towarzystwie Zachęty Szt. Pięk. . . . 1888. I. 580.
(Ogłoszenia) Komitetu Tow. Zach. Sztuk Piękn. 1888. II. 191—192.
„ „Kraj“ N. 6—9 (luty) . . . . 1888. II. 192.

I. Konkurs na powiastkę ogłoszony przez Redakcyę „Głosu“;
II. Konkurs Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, na „Opracowanie monograficzne przedmiotu z zakresu historyi stosunku politycznego między Litwą a Polską od roku 1386 do 1569“;
III. Konkurs na nadanie stypendyum fundacyi Sewer. Gałęzowskiego. 1888. III. 189—191.

Ogłoszenie: o mającéj wyjść książce zbiorowéj, złożonéj z prac z dziedziny nauk matematyczno-fizycznych. . 1888. III. 192.
„ „Kraj“ N. 19—22. . . . . 1888. III. 384.
„ od Redakcyi „Ateneum“. . . . . 1888. IV. 384.
„ Kalendarz illustrowany Józefa Ungra. . 1888. IV. 384.

Zawiadomienie „Zarządu Towarzystwa Osad Rolnych, o seryi prelekcyj publicznych, mających odbyć się w poście r. 1889. 1888. IV. 575—576.

SPIS II.

WYKAZ AUTORÓW, KTÓRYCH PRACE POMIESZCZONO W „ATENEUM“.

WYKAZ AUTORÓW,
KTÓRYCH PRACE POMIESZCZONO W „ATENEUM“.

A. Rozprawy i utwory.

A.

A. R., 1878. III, 389. 1879. I, 510.
Abakanowicz Bruno, 1878. IV, 374. 1879. I, 185; II. 185, 384; III. 174. 1880. I, 184.
Aër., 1883. IV, 104. 1884. III, 500.
Anczyc Wacław, 1884. II, 568.
Askenazy Szymon, 1886. I, 410. 1887. III, 85. 1888. III, 398.
Aspis Bogumił, 1880. I, 492.

B.

B., 1884. II, 174.
B. P., 1887. I, 107.
B-a. O., 1888. II, 311.
Balzer Dr. Oswald, 1885. II, 146.
Bałucki M., 1885. II, 30.
Baraniecki Maryan A., 1877. I, 171; II, 164. 1878. I, 524. 1879. I, 372; II, 157. 1880. III, 137, 390, 516. 1881. I, 548. 1884. I, 390.
Baranowski Ig. Dr., 1884. IV, 164.
Bartoszewicz A. D., 1881. III, 580. (ogłosz.).
Bądzkiewicz Antoni, 1887. III, 226.
Bełcikowski Adam, 1882. I, 1. 1885. I, 385. 1886. III, 257. 1887. II, 274.
Białobłocki Br., 1883. IV, 174.
Biblioteka Kórnicka (Zarząd), 1878. I, 192. (ogłosz.).
B(iegeleisen) H(enryk), 1883. III, 62; IV, 313.
Bienias Stanisław, 1884. I, 351.
Bl. Leop., 1888. III, 338.
Bloch Jan, 1883. I, 458.
Bobrzyński Michał, 1876. II, z. 4. 1.
Bogusławski Władysław, 1885. II, 564.
Bostel F., 1888. III, 136.
Burzyński Kazimierz, 1877. I, 261; III, 582.
Buturlin generał, 1883. I, 581. (Odezwa).

C.

C., 1885. IV, 479.
Callier E., 1885. III, 135.
Chicińska W., 1887. III, 162.
Chlebowski Bronisław, 1882. II, 240. 1883. II, 13. 1884. I, 1. 1885. I, 88; III, 22. 1888. I, 75.
Chmielowski Adam, 1876. II, zesz. 12, 428.
Chmielowski Piotr, 1877. III, 643. 1878. I, 46; III, 549. 1879. I, 23, 398, 532. 1880. I, 153, 318. 1882. IV, 433. 1883. I, 72; II, 558; III, 291, 554; IV, 152. 1884. I, 362; II, 359; IV, 372. 1885. II, 317. 1886. I, 128; II, 345, 558; III, 1; IV, 356. 1887. I, 147, 514; II, str. I. 1888. I, 115; III, 13; IV, 357.
Chodecki Władysław Dr., 1886. II, 517.
Choiński Jeske Teodor, 1881. III, 76.
Chojecki Edmund, 1881. III, 389.
Chyliński Michał, 1878. III, 265.
Cossa Piotr, 1878. III, 1.
Czajewski Wiktor, 1881. II, 339.
Czarnik Bronisław, 1888. II, 394.
Czermak Wiktor, 1885. III, 379.
Czerny Franciszek Dr., 1887. I, 77.
Czerwieński Bolesław, 1878. IV, 329.

D.

Daleki, 1888. IV, 448.
Danielewicz Bolesław, 1885. II, 347.
Darwin Karol, 1877. III, 661.
Daszkiewicz Dr. Wacław Korybutt, 1885. II, 478.
Dawid J. Wł., 1884. IV, 153; 1885. III, 214.
Dembiński Dr. Bronisław, 1884. II, 552. 1886. II, 355.
Dembowski Leon, 1882. II, 76.
Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), 1878. IV, 193.
Deskur Józef, 1878. III, 290.
Detmerski Józef, 1882. I, 473.
Dickstein S., 1887. III, 350.
Dobrzański Jan, 1877. III, 460. (ogłosz.).
Drozdowski Jan, 1883. III, 229.
Dunin Karol, 1879. II, 203. 1880. I, 512.
Dygasiński Adolf, 1877. III, 345. 1878. I, 25. 1880. IV, 351. 1888. I, 393.
Dzieduszycki Wojciech, 1879. I, 572.

E.

E. K., 1888. IV, 36.
Ebers Jerzy, 1881. IV, 51.
Erzepki Bolesław Dr., 1888. III, 149.
Estreicher Karol Dr., 1880. III, 195. (ogłosz.).

F.

Fabian Oskar Dr., 1888. III, 54.
Faleńska Marya. 1876. IV. z. 10. 103.
Felicyan, 1876. I, z. 1, 89; IV. z. 10. 176. 1881. III, 197. 1885. IV, 83. 1888. I. 11.
Finkel Ludwik, 1886. III, 522.
Finkelhaus Jan, 1880. III, 122.
Flaubert Gustaw, 1882. IV, 320.

G.

G. W., 1882. I, 33.
Gabler Dr., 1881. I, 495; IV, 309. 1882. III, 292. 1883. III, 116. 1884. IV, 108. 1885. III, 443. 1886. I, 431; IV, 477. 1887. III, 273. 1888. II, 442. (Ob. też: Prawda).
Gadomski Jan, 1886. II, 390.
Gadon L., 1888. III, 189.
Gajsler Justyn Feliks, 1887. IV, 542.
Galdos B. Perez, 1879. IV, 1.
Gawroński Fr., 1888. IV, 242.
Gąsiorowski, ob. Tristis.
Gotko-Zboryszowski, 1888. IV, 94.
Gliński Kazimierz, 1883. I, 29.
Głowacki Aleksander, (kronika miesięcz.), 1876. II, z. 4. 223, z. 5. 438, z. 6. 629; III. z. 7. 210, z. 9. 460; IV. z. 10. 220, z. 11, 212, z. 12. 222. 1877. I, 242, 486, 718; II, 427, 689; III, 226, 447, 672; IV, 453, 705. 1878. I, 179, 375, 577.
Głowacki Aleksander, 1877. IV, 206.
Gnatowski Jan, 1882. IV, 54.
Goldberg Henryk, 1877. I, 458.
Gostomski Walery, 1886. IV, 1.
Grabowski Bronisław, 1876. I, z. 2. 330. 1880. I, 260; II, 512. 1884. III, 283; IV, 518.
Grabowski Edw., 1880. II, 95; IV, 34. 1882. III, 358; IV, 155.
Grajnert Józef, 1876. II, z. 5. 404.
Grosglik S., 1887. II, 84.
Grzegorzewski Jan, 1883. II, 201. 1884. II, 339. 1885. I, 1. 1887. I, 479. 1888. IV, 321.

H.

Heck Korneli Juliusz, 1887. I, 186.
Heilpern J., 1885. III, 163.
Hertz Michał, 1876. I, z. 3. 660. 1879. II. 126.
Hirszband Napoleon, 1884. III, 98. 1885. II, 1. 1887. III, 439. 1888. II, 508.
Hodi J. T., 1880. III, 456. 1882. III, 529.
Holewiński Wacław, 1878. III, 140.
Hoyer Henryk, 1876. II, z. 4. 169. 1879. I, 301.
H(ube) R., 1884. III, 477.
Hurko generał-adjutant, 1888. I, 190. (Postanowienie).

I.

I., 1887. IV, 360.
Ignotus (Kazimierz Chłędowski), 1880. I, 19; II, 1. 1881. I, 31; II, 282.
Iwanicki Leon, 1885. IV, 197.

J.

J., 1887. IV, 547. 1888. I, 340.
Jabłonowski Aleksander, 1876. I. z. 1. 140; IV. z. 10. 178, z. 12. 136. 1877. III, 1. 1879. IV, 265. 1880. I, 504; II, 526. 1882. I, 70. 1885. IV, 237. 1887. I, 498. 1888. I, 115.
Jarochowski Kazimierz, 1876. I, z. 1. 34, z. 2. 282; II, z. 5. 259; III, z. 9. 483. 1877. I, 1; III, 294. 1878. II. 397. 1879. I. 1; III, 1. 1880. I, 70, 182; II, 201. 1881. I. 197; III, 60; IV, 16. 1882. I, 519; IV, 401. 1883. I, 1; IV, 1. 1884. III, 259; IV, 197. 1885. I, 193, 500; III, 1. 1886. II, 204. 1887. IV, 192. 1888. I, 523.
Jenike Ludwik, 1887. II, 52.
Jezierański Józef, 1887. I, 397; III, 152.
Jeż T. T., 1876. III, z. 8. 367. 1877. I, 499. 1878. IV, 1. 1884. I, 193. 1886. I, 193; III. 193.

K.

K., 1877. II, 210.
K. (R. H.), 1877. IV, 436.
K., 1884. IV, 451. 1886. III, 500. 1887. III, 262. 1888. I, 1, 193, 385; II, 9, 193, 385; III, 1, 193, 385; IV, 1. 193, 385, 518.
K. A. A., 1877. II, 24. 1879. III. 366. 1880. I, 51; II, 290.
K. F., 1876. II, z. 4. 111; III. z. 9. 548. 1878. III, 201; IV, 453. 1879. III, 309. 1880. III, 238. 1881. III, 429. 1886. II, 194.
Kalina Antoni, 1884. III, 153.
Kallenbach Józef, 1884. III, 552.
Kantecki Klemens, 1876. III, z. 7. 1. 1877. IV, 261. 1878. IV, 259. 1883. I, 449; II, 440. 1884. II, 521. 1885. II, 385.
Karłowicz Jan, 1876. II, z 6. 457; 1877. IV, 154. 1878. IV, 571. 1881. IV, 214. 1883. II, 78.
Karwowski Stanisław Dr., 1887. IV, 321.
Kaszewski Kazimierz, 1877. II, 247. 1878. III, 1. 1879. IV, 193.
Kętrzyński Wojciech Dr., 1877. IV, 313. 1878. IV, 349. 1879. II, 370. 1881. II, 463. 1887. I, 347.
Kirszrot-Prawnicki Józef, 1876. II, z. 4. 80; III, z. 8. 402. 1884. I, 92. 1887. II, 548.
Kiślański Ludwik, 1884. IV, 502.
Kleczyński Jan, 1876. II, z. 6. 517.
Kleczyński Józef, 1879. III, 461.
Koło artystyczno-literackie w Krakowie (Konkursy), 1882. III. 392.
Komar (Piotkiewicz) Zygmunt, 1885. III, 512.
Komorowski Bronisław, 1887. I, 1.
Konic Henryk, 1882. III, 174. 1886. III, 532. 1888. II, 536.
K(opernicki) I(zydor) Dr., 1886. I, 335; III, 536.

Kopia Henryk, 1888. IV, 402.
Korzon Tadeusz, 1877. II, 217. 1881. I, 324. 1882. I, 427. 1884. IV, 138. 583. 1886. IV, 230.
Kościałkowska W(ilhelmina) Ż(yndram) 1877. III, 241. 1884. I, 469. 1887. IV, 277.
Kościelski Józef, 1876. II, z. 6. 537; IV. z. 11. 111.
Kosiakiewicz Wincenty, 1888. III, 481.
Kotarbiński J. K., 1880. I, 236.
Kozłowski Władysław, 1878. III, 409. 1881. II, 87. 1883. III, 50. 1885. I, 477; III, 471. 1887. I, 200. 1888. I, 104; III, 498.
Kr., 1887. III, 534.
Kr. F., 1886. IV, 349.
Kramsztyk Stanisław, 1877. II, 121. 1880. I, 388; II, 69, 172, 567; III, 559; IV, 174, 565. 1881. I, 557; II, 152; III, 547; IV, 571. 1882. I, 549. 1883. III, 378. 1884. II, 441; IV, 533. 1885. II, 300. 1886. I, 340. 1888. I, 422.
Krasnosielski Teofil, 1878. II, 201.
Kraszewski Józef Ignacy, 1876. I, z. 1. 117, z. 3. 451. 1878. I, 193; II, 526. 1880. I, 1.
Kryński Ad. Ant., 1879. I, 165.
Krz. Lud., 1886. I, 314. 1888. IV, 336.
Kubary Jan, 1882. III, 94. 1885. I, 50.
Kucharzewski Feliks, 1884. I, 69.
Kudelka Ferdynand, 1883. III, 478.
Kulczyński Leon Dr., 1885. IV, 520.
Kuszell Władysław, 1876. II, z. 6. 607.
Kwaśnicki Jan Dr. Med., 1878. I, 324.
Kwiryn Anastazy, 1877. IV, 531.

L.

L. B., 1886. I, 37; III, 122. 1887. II, 34; IV, 214. 1888. III, 247.
L. Jadwiga, 1886. II, 257.
Lassota z Kaliny Witold, 1883. II, 365. 1884. I, 418.
Leciejewski Jan Dr., 1885. II, 272.
Leist Artur, 1884. I, 529. 1887. IV, 498.
Limanowska Wincenta, 1878. I, 1.
Liske Xawery, 1876. II, z. 6. 499. 1880. I, 399. (Odpow. na filipikę Jaroch.).
Löwenfeld Raf., 1883. I, 498; III, 186.
Lubbock J., 1877. IV, 104.
Lukas Stanisław, 1881. II, 73; III, 337. 1882. III, 233.
Lutosławski W., 1888. II, 204; IV, 203.

Ł.

Ł. St., 1878. II, 1. 1883. I, 527.
Łagowski Floryan, 1879. III, 585.
Łapicki Julian, 1877. I, 625. 1878. II, 541; III, 605; IV, 387. 1880. IV, 268 1883. II, 255. 1884. I, 515.
Łebiński Władysław Dr., 1881. II, 193. 1885. II, 245. 1886. III, 387; IV, 447. 1887. II, 317.

Łoś Jan, 1888. III, 468.
Łoś Wincenty hr., 1888. II, 218.
Łukaszewski J. Dr., 1888. I, 380.
Łuszczkiewicz Władysław, 1882. II, 112.

M.

M. J. Dr., 1885. II, 532.
Makowiecki Alex. (Ogłoszenie), 1880. II, koniec.
Malinowski Lucyan, 1877. I, 357.
Markiewicz St., 1880. III, 144.
Marrené Walerya (Wal. Morzkowska), 1883. I, 219.
Martynowski F. K., 1884. I, 318.
Matusiak Szymon, 1881. II, 123.
Matuszewski Ignacy, 1885. IV, 292.
Mazanowski Antoni, 1887. I, 51. 1888. III, 272.
Mecherzyński Karol Dr., 1876. III, z. 8. 329.
Merczyng H., 1884. I, 345.
mp., 1884. III, 333.
Meyerson Emil Dr., 1883. IV, 137.
Mieczyński St., 1883. I, 503.
Milewski Józef Dr, 1885. I, 169.
Miriam, 1885. I, 257. 1886. II, 29.
Mleczko Stanisław, 1885. II, 75. 1887. IV, 313.
Morawski Kazimierz, 1882. IV, 354.
Morosz Julian, 1882. III, 203. 1887. III, 29.

N.

N. N. (kron. mies.), 1888. III, 367.
Nałkowski Wacław, 1884. II, 533; IV, 228. 1885. II, 431. 1886. IV, 532.
Natanson Ludwik Dr., 1888. I, 203.
Natanson Władysław, 1888. II, 335.
Natansonowie E. i W., 1886. I, 23.
Nehring W., 1877. IV, 225. 1883. III, 349.
Neyman Cesław, 1885. IV, 107.
Niedziałkowski B., 1887. III, 521.
Niedźwiecki Władysław, 1878. IV, 358.
Nitowski J., 1887. II, 394.
Nowalski J. H., 1888. I, 337.
Nossig Alfred, 1884. III, 436.
Nowicki Adam, 1888. II, 355.
Nowicki Władysław, 1879. IV, 549.
Nusbaum Józef, 1885. III, 528; IV, 146. 1887. I, 323. 1888. III, 316.

O.

Ochorowicz Julian, 1879. II, 70; III, 538. 1880. II, 226. 1884. II, 205. 1885. II, 49, 81.
Okolski Antoni, 1876. I, z. 3. 475.
Ołówek, 1886. II, 334.

Orzeszkowa El., 1877. III. 241. 1880. III, 1. 1882. I, 401. 1885. II, 193. 1886. II, 1.
Oskiorka Aleksander, 1877. IV, 180. 1882. II, 1. 1883. III, 403; IV, 405. 1885. I, 155; III, 65.
Ossowski Juliusz Jan, 1882. III, 145.
Ostoja, 1887. II, 11. 1888. IV, 267.
Osuchowski Natali, 1887. III, 309.

P.

P. A., 1881. IV. 1, 543.
P. E., 1886. I, 36.
P. J., 1882. I, 201.
P. K., 1883. IV, 366.
P. L., 1879. III, 59.
P. S., 1881. IV, 391.
Pawiński A., 1880. II, 323. 1882. I, 98.
Pawlewski Br., 1876. II, z. 4. 212.
Pietkiewicz A., 1878. III, 449.
Pietkiewicz (Komar) Zygmunt, 1887. III, 414.
Piltz Erazm, 1876. IV. z. 10. 195. [1886. I. 192, ogłoszenie].
Plebański J. K., 1886. III, 192.
Plenkiewicz Roman, 1878. IV, 156.
Polak Dr. J., 1884. IV, 354. 1887. IV, 517.
Porębowicz Edward, 1886. II, 306; IV, 163. 1887. I, 463. 1888. I, 326.
Poznańska Zofia, 1887. I, 266.
Prawda (Gabler), 1879. II, 405; III, 287; IV. 28. 1880. III, 280; IV, 104;
Prawdomluw, 1888. III, 539.
Prawnicki, ob. Kirszrot.
Prochaska Antoni Dr., 1879. II, 1. 1880. IV, 1. 1887. II, 350; III, 482 IV, 531. 1888. III, 358.
Promyk, 1888. I, 187.
Przesmycki Zenon, 1885. IV, 247.
Przewóski Edward, 1885. III, 285.
Przyborowski Józef, 1876. I, z. 3. 666. 1878. I, 311.
Przyborowski Sulima Stanisław, 1877. III, 274.
Przyborowski Walery, 1883. III, 229.
Ptaszycki St., 1886. I, 150. 1888. III, 525.
Puciata Ryszard, 1887. I, 588; II, 185.

R.

R., 1885. III, 495. 1888. IV, 216.
R. K., 1885. IV, 193.
R. P., 1881. I, 52, 397.
R. M. U., 1882. IV, 368.
Raciborski Aleks. Dr., 1886. II, 584. 1887. I, 194. 1888. I, 91.
Radliński Ign., 1877. III, 408. 1879. II, 343. 1881. I, 67, 566; III, 529. 1882. III, 29, 460. 1884. III, 342. 1885. III, 120. 1887. I, 32.
Rapacki Wincenty, 1876. III, z. 7. 72. 1888. II, 100.
Redakcya, 1882. III, 260.

Rohman Antoni Dr., 1878. I, 94. 1886. II, 57.
Rejchman Bronisław, (B. R.) [kronika naukowa], 1876. II. z. 5. 432; III, z. 7. 196, z. 8. 443, z. 9. 647; IV, z. 11. 197, z. 12. 203. 1877. I, 225, 447, 699; II, 200, 419, 628; III, 214, 438; IV, 190, 439, 696. 1878. I, 164, 366, 566; II, 167, 368, 579. 1879. I, 401. 1881. IV, 571.
Rojchman Bronisław, (B. R.), 1877. IV, 409. 1878. II, 347. 1879. III, 447; IV, 395. 1881. I, 85. 1882. I, 161; III, 330. 1883. I, 147, 541; II, 576; IV, 589. 1885. II, 540.
Rogosz Józef, 1884. IV, 51. 1885. II, 212. 1886. I, 484; III, 459. 1887. I, 444; II, 252, 518; IV, 467. 1888. I, 486; III, 294; IV, 483.
Romanowicz Tad., 1877. I, 328.
Rosenblatt Józef, 1887. II, 461.
Rostafiński Józef, 1883. I, 343; II; 337.
Rybarski Feliks, 1878. III, 171. 1880. III 371.
Rylski Tadeusz, 1877. IV, 48. 1884. III, 137.
Rymarkiewicz Jan Dr., 1876. I, z. 2. 253; IV. z. 10. 46.

S.

S., 1888. III, 121.
S....cki, 1886. I, 150.
S. E., 1885. III. 275.
S. J., 1876. II, z. 6. 665. 1877. II, 664.
S. P., 1883. I, 191.
S. S. Dr., 1888. III, 489.
S. W., 1878. III, 159. 1886. IV, 104, 288.
S. W. A. (kron. mies.), 1888. III, 371.
S-z. W-z., 1882. IV, 292.
S. Z. L., 1887. IV, 385.
S...... Władysława, 1879. IV, 1. (ob. Galdos.).
Sahi-bej, (Wacław Koszczyc), 1883. III, 203.
Saporta de G., 1883. III, 513.
Schnobrich Edward, 1885. IV, 439.
Semkowicz Aleksander Dr., 1886. III, 328.
Sewer (Maciejowski Ignacy), 1880. III, 407. 1881. I, 1. 1883. II, 397. 1884. I, 213; II, 461. 1887. I, 205.
Siemaszko Józef, 1886. II, 436.
Siemieński Lucyan, 1876. II, z. 4. 45.
Słowacki Juliusz, 1883. III, 62. [ob. B(iegeleisen) H.].
Smolak J. A., 1876. I, z. 3. 652.
Smoleński Władysław, 1879. I, 213. 1880. III, 432. 1881. I, 98. 1883. I, 132. 1884. I, 393. 1885. III, 309. 1886. II, 117; IV, 125. 1887. III, 109; IV, 1.
Smolka Stanisław, 1879. I, 59; III, 201; IV. 512.
Sokołowski August, 1883. IV, 74. 1886. I, 511.
Sołtan Wiktor, 1879. III, 565.
Sosnowski Kazimierz, 1885. III, 360.

Spasowicz Włodzimierz, 1876. I. z. 1. 1; IV. z. 10. 145. 1877. I, 129; II. 1. 1878. II, 104. 1879. IV, 381. 1881. I, 115. 1884. II, 397. 1888. I, 452.
Spry W. J. J., 1877. III, 495.
Starzyński Stanisław, 1885. I, 323.
Stefczyk Franciszek, 1885. I. 62. 1887. IV, 77.
Strasburger Edward Dr., 1876. IV. z. 10. 164.
St. L., 1888. III, 204.
Straszewicz Ludwik, (kron. miesięcz.), 1885. IV, 570. 1886. I, 183, 564; II, 188, 576; III. 370, 567; IV, 183, 373, 567. 1887. I, 178, 385, 574; II, 173, 371, 557; III, 180, 382, 567; IV, 180, 370, 560. 1888. I, 177, 363, 555; II, 168, 369, 555; III, 168.
Straszewicz Ludwik (nowella), 1888. III, 376.
Struve Henryk, 1877. II, 318. 1878. II, 31.
Strzemieńczyk, 1885. IV, 179.
Suligowski Adolf, 1884. III, 113. 1887. IV, 298.
Sulimierski Filip, 1883. I, 163.
Swieżawski Ernest Sulimczyk, 1884. II, 16. 1885. I, 134. 1886. II. 184, 535. 1887. IV, 151.
Swięcicki Julian Adolf, 1879. II, 430; IV, 90.
Swiętochowski Aleksander, 1876. III, z. 9. 533.
Sygietyński Antoni, 1878. III, 366. 1879. IV, 151. 1881. III, 45.
Szeliga Dr., 1885. II, 116.
Szepielewicz L., 1888. IV, 159.
Szokalski Dr., 1877. IV, 379. 1881. II, 322.
Szujski Dr. J., 1877. I, 496; II. 701. (Ogłosz.).
Szymanowski Marcin, 1885. IV, 508.
Szymanowski Michał, 1877. IV, 658.
Szymanowski Wacław, 1878. I, 488.
Szyszło Wincenty Dr., 1877. I, 35.

T.

Tarnowski Jan Aleksander, 1882. I, 112.
Tarnowski Stanisław (ogłoszenie), 1884. III, 200. 1886. I, 384. 1888. III, 190.
Towarzystwo archeologiczne we Lwowie, 1882. IV, 196. (Ogłoszenie).
Towarzystwo lekarskie warsz., 1878. II. 198. (Ogłosz.).
Towarzystwo Przyjaciół Nauk Pozn. (Zarząd), 1877. III, 239. 1878. I, 595; II, 199. (Ogłosz.).
Trotiak Józef, 1881. I, 297. 1885. II, 382.
Trejdosiewicz Jan Dr., 1881. IV, 141.
Trepka M. E. Dr., 1878. I, 128. 1884. II, 1. 1886. I, 249. 1887. II, 418.
Tristis A. (Gąsiorowski), 1888. II, 396.
Turczyński Juliusz, 1886. I, 1. 1888. I, 233.
Tyszyński A., 1877. III, 461. 1880. I, 550.

U.

Ulanowska Stefania, 1888. IV, 528.
Ulanowski Bolesław, 1884. I, 31.
Urbański Wojciech Dr., 1887. I, 539.

W.

W., 1887. III, 195.
W. L. S., 1877. II, 464.
W. S., (kron. mies.), 1876. III, z. 8. 476.
W. W., 1888. II, 1.
Wabner J., 1888. II, 532.
Walewska W., 1887. I, 360.
Waliszowski Kaź. Dr., 1879. II, 509. 1880. II, 136. 1884. I, 291; IV, 31. 1886. I, 60. 1887. I, 291. 1888. I, 60; II, 245.
Warnka Stanisław, 1876. II, z. 4. 194; III, z. 7. 168. 1877. III, 315.
Werner B., 1885. I, 541.
Wernic Henryk, 1879. IV. 484.
Wiercieński H., 1886. IV, 193.
Wierzbowski Michał, 1888. I, 320.
Wierzbowski Teodor, 1879. III, 407. [1881. I, 140.].
Wilkoński, 1881. III. 32.
Winnicki Józef, 1885. II, 521. 1886. I, 117; IV, 36.
Wiśniowski Sygurd, 1881. III, 1. 1882. I, 50; II, 475: IV, 496.
Wittyg Wiktor, 1886. III, 349. 1888. III, 114.
Wolff Józef, 1887. IV, 537.
Wrześniowski August, 1876. I, z. 2. 299. 1881. III, 139. 1882. II, 525. 1885. II, 159. 1886. I, 465. 1887. III, 387.
Wścieklica Władysław, 1886. II, 93. 1887. I, 138; II, 533; III, 544; IV, 350. 1888. I, 174; II, 148; IV, 139.

X.

X., 1881. IV, 191.
X. (Waliszewski), 1888. II, 483.

Z.

Z., 1888. IV, 11.
Zacharyasiewicz Jan, 1881. II, 11.
Zagórski K. Dr., 1887. IV, 394.
Zagórski Włodzimierz, 1885. IV, 385.
Zagrzejewski Józef, 1887. II, 381.
Zakrzewski Adam, 1885. IV, 27. 1887. IV, 53.
Zakrzewski Wincenty Dr., 1882. II, 195.
Załęski Witold, 1876. I, z. 1. 99; II. z. 5. 349. 1883. III, 574. 1888. IV, 393.
Zawiliński Roman, 1881. IV, 423.
Zboryszowski, ob. Getko.
Zdziechowski Maryan, 1882. II, 153.
Zipper A. Dr., 1887. IV, 143.
Złotnicki A. Dr., 1882. IV, 347. 1885. II. 502. 1887. I, 15. 1888. I, 44.
Znatowicz Bronisław, 1880. II, 461.
Zubrzycki Piotr, 1876. II, z. 6. 577.
Żmichowska Narcyza (Gabryela), 1876. I, z. 2. 383. 1879. II, 220. 1888. III, 36.

(— X —) [Kron. mies.], 1888. I, 375, 571; II, 181, 377, 567; III, 177, 558; IV, 178, 372, 569.

B. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie.

A.

Abczyński J., 1880. II, 546, 547, 560.
Ačr, 1884. II, 586.

B.

B., 1884. I, 387, 569, 573; II, 575, 579. 1886. II, 575: IV, 180. 1887. II, 167, 367, 369. 1888. III, 556.
B. A. A., 1881. IV, 365.
B. H., 1883. I, 357, 362; II, 182.
B. R., 1879. III, 161.
Balzer Oswald Dr., 1884. III, 371. 1886. III, 168.
Baraniecki Maryan A., 1881. II, 163; III, 556; IV, 360, 365, 366. 1883. IV, 397. 1884. II, 388. 1885. II, 372.
Baudouin de Courtenay, 1884. III, 565.
Bem A. G., 1888. III, 552.
Biegeleisen Henryk, 1882. IV, 567.
Bobrzyński Michał, 1879. III, 358.
Bogusławski Władysław, 1877. I, 424.
Bostel F., 1886. IV, 370, 560. 1887. I, 165, 570; III, 564. 1888. III, 546.

C.

Callier E., 1880. I, 579; III, 547.
Chlebowski Bronisław, 1881. I, 159. 1887. II, 358, 362.
Chmielowski Piotr, 1876. I, z. 2. 431; III, z. 9. 659. 1877. II, 140; IV, 672. 1878. I, 345. 1879. II, 164, 168, 170; IV, 168. 1880. I, 380, 575; II, 557, 561; III, 164, 172, 535, 543; IV, 335, 524. 1881. II, 170, 564; III, 155, 169, 382; IV, 155, 351, 354; 1882. I, 167, 573, 576, 578; II, 565, 571; IV. 181, 378, 382, 559. 1884. III, 187, 193; IV, 170, 177, 568, 572. 1885. I, 557; IV, 161, 354. 1886. I, 168, 351. 1888. IV, 166.
de Courtenay, ob. Baudouin.
Czajewski Wiktor, 1881. IV, 181.

D.

D., 1886. III. 180.
D. dr., 1881. III, 169.
D. K., 1879. I, 394. 1884. I, 189, 191, 191.
D. T., 1883. II, 188.
Dembiński Bronisław, 1885. IV, 172.
Dickstein S., 1883. I, 365, 574. 1885. II, 186. 1888. I, 547: III. 153.
Dunin Karol, 1876. I, z. 2. 425. 1879. III, 375.
Dybowski B. Dr., 1885. I, 570.
Dyg(asiński) Ad(olf), 1884. II, 386.

F.

F-l. L., 1884. IV, 184.
Finkel Ludwik, 1882. II, 364.
Fritsche Gustaw Dr., 1878. IV, 366.

G.

G. E., 1884. II, 384.
G. H., 1882. II, 370.
G. W., 1876. I, z. 2. 436.
G. Jan, 1884. IV, 394.
Gajsler Justyn Feliks, 1885. IV, 161. 1887. I, 566; IV, 170. 1888. III, 157.
Goldberg Henryk, 1876. II, z. 4. 248. 1879. I, 578. 1882. II, 370.
Grabowski Edward, 1876. II, z. 6. 661. 1881. II, 354.
Grosglik S., 1888. I, 343; II. 361.

H.

Hanusz Jan Dr., 1881. I, 151; III, 376, 378, 565; IV, 594. 1882. III, 384. 1883. I, 574. 1884. I, 181, 185, 187, 565; II, 191, 584. 1885. I, 378. 564, 567 (J. H.); II, 368. 1886. II, 375, 570; III, 361.
Heck Korneli Juliusz, 1887. III, 375.
Hiärne Harald Dr., 1881. IV, 347.

J.

J., 1886. II. 181; III, 560.
J. A., 1887. I, 371.
J. S., 1887. I, 175; II, 365; III, 563; IV, 367.
J. T. T., 1885. I, 576.
Jabłonowski Aleksander, 1876. II, z. 4. 240, z. 5. 448, z. 6. 649.
Jarochowski Kazimierz, 1876. II, z. 6. 656. 1880. I, 180, 182.

K.

K., 1879. I, 385; IV, 178. 1882. I, 181. 1888. I, 155.
K. B., 1877. III, 213; IV, 430.
K. F., 1876. I, z. 3. 684.
K. J., 1884. IV, 389.
K. K., 1877. I, 223, 696; II, 183; III, 422.
Kalina Antoni, 1880. II. 358.
Kantecki Klemens, 1880. IV, 368. 1881. IV, 347. 1882. II, 181.
Karłowicz Jan, 1877. I, 463, 681; IV, 175. 1878. III, 187; IV, 553. 1879. II, 179. 1881. I, 361. 1887. IV, 551.
Kaszowski Kazimierz, 1879. I, 179. 1885. IV, 554.
Kętrzyński Wojciech Dr., 1876. I, z. 3. 674.
Konic Henryk, 1882. II, 136. 1884. IV, 189.
Korzon Tadeusz, 1878. I, 332; II, 146, 155. 1879. IV, 173. 1881. I, 571. 1882. III, 170. 1886. III, 542.
Kozłowski Władysław, 1879. III, 151.
Kramsztyk Stanisław, 1881. I, 155.
Kryński Ad. Ant., 1876. II, z. 6. 641; III, z. 9. 679. 1877. II, 160. 1881. II, 543. 1882. I, 587. 1886. II, 180.

Krz. Lud., 1887. III, 369.
Kuszell Władysław, 1885. II, 190.
Kwietniewski W., 1876. II, z. 4. 246.

L.

Limanowski Bolesław, 1877. I, 214.
Lukas Stanisław, 1881. IV, 586. 1882. I, 566.

Ł.

Ł. St., 1877. I, 441; II, 196. 1878. I, 535, 541. 1880. I, 569. 1886. II, 178.
Łagowski Floryan, 1880. IV, 339.

M.

M., 1880. II, 559. 1885. I, 380.
M. Antoni, 1884. I, 381.
M. L., 1876. I, z. 2. 442.
M. St., 1881. IV, 170.
Markiewicz St., 1880. I, 176.
Mioczyński St., 1883. III, 392.

N.

N. 1888. II, 549.
Nałkowski Wacław, 1883, I, 369.
Nehring W., 1880. IV, 162.
Nitowski J., 1887. III, 176.
Nowicki Adam, 1887. II, 159.
Nowicki Władysław, 1880. IV, 346.
Nusbaum Józef, 1884. I, 549.

O.

O. A., 1878. I, 161.

P.

P., 1888. I, 362; IV. 171, 548, 550, 551.
P. K., 1883. IV, 185.
P. W., 1887. IV, 553, 554, 555, 556.
Papée Fryderyk Dr., 1878. III, 178, 183.
Pawiński A., 1876. I, z. 1. 229, z. 2. 441.
Plenkiewicz Roman, 1880. IV, 540.
Prochaska Antoni Dr., 1883. II, 376. 1886. IV, 364, 549.
Prokesch W., 1887. IV, 365. 1888. IV, 546.
Prószyński K., 1879. II, 175.
Puchewicz Władysław, 1885. II, 174. 576.

R.

R., 1880. IV, 546.
R. B., 1887. II, 366.
R. P., 1882. I, 560. 1883. I, 172. 1884. III, 184. 1888. I, 348.
R. S., 1879. II, 588.
Radliński Ignacy, 1880. IV, 562.

Rodakcya Ateneum [St. Ł.], 1879. I, 608 (cf. 594).
Reklewski C., 1887. III, 557.
Rembowski A. Dr., 1877. I, 195.

S.

S., 1877. I, 672; II, 194, 410, 672; III, 206.
S. L., 1885. III, 568.
Semkowicz Aleksander Dr., 1881. I, 142.
Slósarski Antoni, 1880. IV, 337, 551.
Sm., 1887. I, 380; III, 565.
Smoleński Władysław, 1879. I, 174; IV, 164. 1880. IV, 558. 1885. I, 182; II, 565. 1886. I, 555.
Sokołowski August, 1885. II, 357.
Strasburger Karol, 1876. I, z. 2. 428.
Str. L., 1886. III, 357.
Struve Henryk, 1876. I, z. 1. 236, 240. 1877. II, 173.
Swieżawski Ernest Sulimczyk, 1884. IV, 547.
Sz. L., 1887. IV, 559. 1888. IV, 564, 565.
Szepielewicz L., 1887. IV, 165.
Szyszyłowicz Ignacy, (Ign. Szy.) Dr., 1886. I, 165; II, 172. 1887. I, 366; II, 155. 1888. II, 543.

U.

U. B , 1886. II, 370.

W.

w., 1885. III, 571.
W., 1876. I, z. 2. 439.
W., 1886. I, 559.
W. K., 1880. II, 558.
W. W., 1885. III, 191, 382; IV, 567.
Warnka Stanisław, 1876. III, z. 7. 250.
Wi. Tr., 1877. II, 678; IV, 174.
Wierzbowski Michał, 1884. III, 377.
Wierzbowski Teodor, 1877. II, 402; IV, 162. 1878. I, 156. 1879. I, 390; II, 172, 568; III, 380, 381; IV, 361. 1881. I, 140; II, 363; III, 571; IV, 176, 179. 1882. I, 178; II, 169; III, 176, 378, 383.
Witkowski Feliks, 1877. IV, 432, 692, 1878. IV, 567.
Wojewódzki J(ustynian), 1878. I, 360.
Wścieklica W., 1886. I, 172. 1885. III, 377, 561. 1887. I, 381.

Z.

Ziemięcki T., 1879. I, 593.

REJESTR ABECADŁOWY PRZEDMIOTÓW.

str.

Administracya 14
Archeologia . . . . 11 i 77
Architektura 53
Astronomia . . . . 54 i 97
Bibliograficzne wiadomości . . 51 i 88
Biografie . . . . 4 i 69
Botanika . . . . 55 i 97
Chemia . . . . 55 i 97
Czasopisma 94
Debiuty literackie 51
Dramat . . . . 49 i 91
Ekonomia polityczna . . . . 14 i 79
Estetyka . . . . 2 i 67
Etnografia . . . . 77 i 97
Filozofia. . . . . 1 i 65
Finanse 40
Fizyka . . . . 54 i 97
Fizyologia . . . . 55 i 97
Fraszki 49
Gawędy 92
Geografia . . . . 12 i 77
Geografia fizyczna . . . . . 54 i 97
Geologia . . . . 55 i 97
Gospodarstwo . . . . . . 60 i 100
Handel 41
Historya powszechna . . . . 3 i 67
„ polska . . . . 7 i 70
Hygiena 60
Językoznawstwo *v.* Lingwistyka.
Korespondencye, ob. Kronika miesięczna.
Kronika miesięczna. 21
„ naukowa 56
Krytyki 65, 67, 69, 70, 73, 77, 79, 82, 83, 85, 88, 89, 91, 92, 94, 97, 99, 100, 101, 103.
Lingwistyka . . . . 61 i 101
Literatura polska . . . . . 44 i 85
Literatura powszechna . . . 42 i 83
Malarstwo 53
Matematyka . . . . 41 i 82
Materyały do historyi 73
Meteorologia . . . . 54 i 97
Muzyka. 53
Nauki lekarskie . . . . 60 i 100
„ społeczne . . . . . . 14 i 79
„ przyrodnicze . . . 54, 56.—97, 99
Nowelle. . . . . 49 i 92
Ogłoszenia 109
Opisy 77
Opowiadania 49
Pedagogika . . . . 61 i 103
Podróże. 77
Poezye . . . . 48 i 89
Powieści . . . . 49 i 92
Prawo . . . . 14 i 79
Przemysł 41
Rozbiory 65
Rozprawy 1
Rzeźba 53
Spis autorów 114
Sprawozdania. 94
Sprawy bieżące, ob. Kronika miesięczna.
Statystyka . . . . 40 i 79
Sztuki piękne . . . . 53 i 97
Teatr. 53
Teologia 65
Towarzystwa naukowe . . . 62
Wrażenia literackie 65, 66, 67, 68, 70, 72, 75, 77, 78, 79, 80, 82, 83, 85, 88, 90, 92, 93, 95, 98, 99, 100, 102, 105.
Zbiory 94
Zoologia . . . . 55 i 97

SPROSTOWANIA:

Na str. 1 dodać:

Bezwiedne tradycye ludzkości, studyum z psychologii historyi, przez *Juljana Ochorowicza* . . . . 1880. II. 226—255, 478—511

Na str. 2 do wiersza 34 po wyrazach „Pierwsze zasady“—dodać:

Tłomaczył *J. K. Potocki.* — W. Wundt. Teorya poznania. Przekład *Z. Herynga.* — Platon. Fileb. Dyalog o rozkoszy. Przełożył z greckiego *Bronisław Kąsinowski.*

Na str. 12, między pracami etnograficznemi dodać:

Dzień św. Marcina, przez *Władysława Niedźwieckiego.* 1878. IV. 358—365.

Na str. 49 po wierszu 19 dodać:

Faust, tragedya Goethego; przełożył *Ludwik Jenike.* 1887. II. 52—83; 198—235; 435—460: III. 58—84.

